

Pasjonująca powieść oparta na losach dziennikarki Emily Hahn w okupowanym Hongkongu w czasach drugiej wojny światowej, uznana przez *Spectator* za książkę roku.

FRANCESCA BRILL

A woman with short, wavy brown hair, wearing a brown blazer and shorts, sits on a concrete ledge. She is looking off to the side with a thoughtful expression. The background is a harbor filled with numerous small boats, some with cargo, under a hazy sky. The overall tone is historical and contemplative.

PRZYSTAŃ
NA KRAŃCU ŚWIATA

Prószyński i S-ka

FRANCESCA BRILL

PRZYSTAŃ
NA KRAŃCU ŚWIATA

Przełożyła
Agnieszka Barbara Ciepłowska

Prószyński i S-ka

Dla Bobby'ego, Rebeki i Romy

Serce w jegom twarzy widział

William Szekspir, *Zimowa powieść*
przeł. Leon Ulrich, akt I, scena 2

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Hongkong, czerwiec 1940

Ziemia porośnięta krótko przystrzyżoną trawą, wprawiona w dygot odległym dudnieniem, zadrżała pod stopami. Wkrótce zjawily się konie. Hałas i prędkość zdumiewały Stevie za każdym razem jednakowo. Odczuwała też dreszcz emocji: co by się stało, gdyby któraś z tych pokrytych potem, potężnie umięśnionych bestii zboczyła z wyznaczonego szlaku? Niechybnie by ją stratowała tuż za wątym drewnianym ogrodzeniem. Mimochodem zerknęła na swoją dłoń. Drobne, kruche kości. Takie delikatne. Łamliwe.

Nareszcie wyleciała w powietrze ostatnia gruda błota i nawałnica przewaliła się bokiem. Kilka źdźbeł wyrwanej przez kopyta trawy opadało z wolna. Stevie przegrała i wcale jej się to nie podobało. Tor wyścigowy, ochrzczony pełną optymizmu nazwą Szczęśliwa Dolina, okazał się miejscem doprawdy podłym. Niepotrzebnie tu przyszła. Przecież nie brakowało jej nałogów, a drobny hazard na tle innych występków nie miał już większego znaczenia.

Podarła kupon i rzuciła go na ziemię, gdzie dołączył do innych straconych złudzeń. Do konfetti straconych złudzeń.

– Sądziłem, że zerwałaś z tym.

Przez tłum przedarł się Declan McKenna, niepokorny irlandzki reporter, którego poznała na jakimś koktajlu w Astor House Hotel w Szanghaju. Uśmiechał się szeroko, wyraźnie zadowolony, że ją znalazł. Zbudowany był w sam raz, by przetrwać na torfowych bagnach w zachodniej Irlandii: miał krępe ciało i wielkie dłonie, dla odmiany niezbyt pasujące do zawodu wymagającego siedzenia za biurkiem oraz pisania na maszynie. Nie wiedziała o jego przyjeździe, ale też nie było nic dziwnego w tym, że

podróżował.

– Rzuciłam, a jakże. Jestem tutaj z powodów czysto zawodowych.

– Kupujesz konia?

– Gardząc pospolitą bojaźnią, zbieram dla swoich wiernych czytelników, pozostających w kraju ojczystym, materiały do opowieści o najbardziej niebezpiecznych miejscach w Hongkongu.

Zaśmiał się, rozciągając grube wargi jeszcze szerzej. Raptem jego spojrzenie powędrowało za szykowną Chinką, maszerującą przez tłum złożony głównie z mężczyzn. Stevie uśmiechnęła się pod nosem. Jakże łatwo było go rozproszyć! Doskonale też zdawała sobie sprawę, że ona sama, jedyna biała kobieta z dala od trybun, zwracała na siebie powszechną uwagę – niekoniecznie za sprawą czarnych, krótko przyciętych włosów, lecz na pewno z powodu zwiewnej bawełnianej sukienki, braku kapelusza i rękawiczek oraz szminki na ustach. Europejczycy i Amerykanie z zasady przebywali wyłącznie na trybunach, gdzie ich portfele były mniej narażone na bliski kontakt z kieszonkowcami, choć zarazem bardziej podatne na wpływy bukmacherów – próżno bowiem byłoby szukać jakiejś drugiej nici, oprócz hazardu, łączącej te dwie całkowicie różne społeczności mieszkające na tej dziwacznej wyspie.

Declan ponownie skupił uwagę na Stevie, a oczy miał nadal roziskrzone wesołością. Zresztą stale wyglądał tak, jakby właśnie miał puścić zuchwałę perskie oko. Stevie uświadomiła sobie, że i on znajdował się daleko od rodzinnych stron. Pochyliła się ku niemu i ściągnęła lekko brwi.

– Jednego nie rozumiem. Dlaczego te konie w ogóle biegną? Po co?

Declan wzruszył ramionami rozbawiony, lecz zawsze ostrożny.

– Powiem ci, do czego doszłam... – oznajmiła Stevie. Głos miała jasny, o miękkim brzmieniu, amerykański akcent zatarł się w ciągu lat spędzonych za granicą.

– A informacje te uzyskałaś zapewne u źródeł...

Pokręciła głową, przyznając tym samym, że dowcip nie należał do najbardziej lotnych.

– Mogę mówić tylko za siebie. To znaczy wiem, co by mnie skłoniło

do biegu – dodała i odwróciła się z uśmiechem.

Zatrzymał ją.

– Podwieźć cię do centrum? Udało mi się wetknąć samochód w koszty.

– Nie, dziękuję, niczego mi nie trzeba.

– Rzeczywiście, niczego ci nie brakuje.

Przyjęła komplement bez komentarza, ponieważ jednak kąciki jej ust powędrowały w górę, Declan ośmielił się raz jeszcze:

– Może namówię cię chociaż na szklaneczkę whisky w hotelu Peninsula?

– Dziękuję szanownemu panu, nie dzisiaj.

– Przyjaciel krótko cię trzyma?

Roześmiała się.

– Spróbowałby.

W tłumie dało się spostrzec niejakie poruszenie i po chwili Declan wyłowił wzrokiem smukłego Chińczyka o wysokich kościach policzkowych, ubranego w doskonale skrojony garnitur. Wskazał go z westchnieniem.

– O wilku mowa.

Stevie obróciła się w tamtą stronę i ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że musi przyznać Declanowi rację. Jishang nie miał zwyczaju bywać na torze wyścigowym. Nienawidził wszechobecnych tu naciągaczy, ścisku, plucia, krzyków i kwaśnego odoru tłuszczu. Potrzebę hazardu zaspokajał w dyskretnych salonach prywatnych kasyn.

Gdy się zbliżył, Stevie powitała go uśmiechem.

– Sprawdzasz, jak żyje pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć procent obywateli?

– Mam dla ciebie żakiet i kapelusz. W samochodzie.

– To bardzo miło z twojej strony, ale z jakiego powodu nagle zacząłeś się troszczyć o mój wygląd?

– Nie mamy zbyt wiele czasu. Będziesz musiała iść tak, jak jesteś.

Położył dłoń na jej ramieniu, jakby zamierzał pokierować ją do auta. Oswobodziła się.

– Jedną chwileczkę. – Wskazała Declana, który z uniesionymi brwiami przyglądał się tej scenie. – Pamiętasz mojego kolegę po fachu? To Declan

McKenna. Pisze dla „Irish Timesa”.

Uścisnęli sobie ręce. Z jednej strony delikatna dłoń o smukłych palcach, z drugiej – wielka i mocna jak u drwala.

– Tak, oczywiście. Zechce nam pan wybaczyć... Musimy z panną Steiber załatwić sprawę niecierpiącą zwłoki.

– Miło mi było pana spotkać. – Declan uchylił kapelusza i mrugnął do Stevie.

Pozwoliła się prowadzić po sprężystej trawie ku wyjściu ze Szczęśliwej Doliny, a szła nieco zbyt przesadnie kręcąc biodrami, gdyż miała świadomość, że Declan nie spuszcza z niej wzroku. A miała kształtną figurę o ponętnych proporcjach, więc nie było czego się wstydzić.

– Co nowego? – spytała przyjaciela. – Dokąd tak pędzisz?

– Mamy spotkanie z panią Kung – odparł Jishang, nie zwalniając.

Stevie stanęła jak wryta. Zaszumiało jej w głowie. Jishang z rozpędu o mało nie wyrwał jej ramienia ze stawu.

– Coś ty powiedział?

– Słyszałaś.

– Dobry Boże, aleś ty irytujący. – Dogoniła go jednym skokiem. – Spotkanie z panią Kung?! Kiedy? Jesteś pewien? Kto cię zawiadomił?

– Tak, jestem pewien. I... jak brzmiało ostatnie pytanie?

– Teraz?

– A, już sobie przypominam. Przed godziną zatelefonował do mnie pan Leung i tyleż czasu upłynęło, nim cię odszukałem.

– Pan Leung?

– Zadajesz pytania jak dziecko. Tak, pan Leung. Prywatny sekretarz pani Kung, mężczyzna, którego nękałaś od miesiący.

Znaleźli się przy bramie. Stevie dostrzegła lśniące w promieniach słońca wynajęte czarne auto. Szofer opierał się niedbale o maskę, pogrążony w lekturze gazety.

– A niech mnie! Teraz! Dobrze, że wzięłaś kapelusz i żakiet. Ten granatowy?

Szofer pochwycił spojrzenie Jishanga. Pospiesznie złożył gazetę, jedną ręką

wrzucił ją przez otwarte okno na przednie siedzenie pasażera, drugą chwycił za klamkę, by otworzyć wsiadającym tylne drzwiczki.

– Tak, granatowy. Oczywiście.

Stevie przystanęła.

– Nie mogę jechać. Nie jestem przygotowana.

– Możesz i musisz. Zyskałaś wielką szansę. Druga taka okazja się nie nadarzy.

Miał rację, więc po prostu wsparła się na jego wyciągniętej ręce i wsiadła do samochodu. W końcu przecież o to jej chodziło. Czekwała na to spotkanie.

Trudno byłoby wyobrazić sobie piękniejszy dzień. Rzecz jasna panował upał, ale nie taki jak latem, nie lepki, ciężki skwar, wywołujący posmak goryczy w gardle. W miarę jak auto pięło się po Wzgórzu Wiktorii, powietrze stawało się zauważalnie bardziej eteryczne. Stevie wychyliła głowę przez otwarte okno. Strumień powietrza zdławił jej oddech, a ją to rozśmieszyło. Była rozradowana. Daleko w dole, poniżej pięknie utrzymanych tarasów uderzało w brzeg szafirowe morze – natura okiełznana przez bogactwo, ale tylko do pewnego stopnia.

Auto zwolniło przed bajecznie zdobioną żelazną bramą, której zawijasy rzucały na błady żwir ostre cienie. Stevie oparła się o skórzaną tapicerkę i lekko bujnęła w stronę Jishanga, pełnego wdzięku rozpusznika. Zatrzymał na niej spojrzenie.

– Włosy – powiedział.

Przeciagnęła dłonią po starganym przez wiatr koku.

– A komu to przeszkadza? – rzuciła.

– Mnie. I jej także się nie spodoba.

Bez wielkiej chęci, lecz zrobiła, co tylko mogła, by ujarzmić niesforne loki. Była podenerwowana – niepokoił ją pospieszny charakter spotkania. W ogóle, jeśli się nad tym chwilę zastanowić, to wszystko przebiegało jakoś niewłaściwie. Przeniosła wyzywające spojrzenie na bajkowy ogród przesuwany się z wolna za oknem. Gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby

dotknąć ciężkich i gęstych fioletowych hortensji, oblewających morzem kwiecia obie strony podjazdu. Chociaż z pewnością była osobą światową, nie zdołała powstrzymać cichego gwizdnięcia na widok pałacu z białymi filarami, który wyłonił się u wylotu chłodnego tunelu zieleni.

Jishang pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

– A czego się spodziewałaś?

– Kurnika, rzecz jasna – odparła Stevie, szturchając go łokciem w żebro.

Gdy auto się zatrzymało, w progu stanął mężczyzna odziany w nieskazitelną biało-złotą liberię. Do lepkiego skórzanego wnętrza samochodu przedostała się niewyraźna woń kwiatów zmieszana z ciemniejszą nutą zapachu ludzkiego ciała. Stevie pochyliła się ku drzwiczkom i poczuła na nadgarstku długie palce Jishanga.

– Do boju.

Uścisk był mocny. Nawet po wyjściu z wozu, idąc po żwirze chrzęszczącym pod jej pospolitymi pantoflami o zaokrąglonych noskach, nadal go czuła. Jishang pozwolił jej zrobić kilka kroków w stronę budynku, nim sam wysiadł, rozprostowując kończyny niczym ukwiał.

Zapadła się w sofę obciążoną perkalem, zdziwiona suchością w gardle. Zerknęła na Jishanga z nadzieją na uspokojenie, lecz on wziął ze szklanego stolika rzadko tu spotykany tytuł – błyszczący nowością egzemplarz „Time’a”. Na okładce widniało czarno-białe zdjęcie Franklina Delano Roosevelta stojącego za mikrofonami rozgłośni CBS. Patrzył gdzieś w bok – czy odwracał wzrok od wyzwania, czy właśnie mu się przyglądał? Jishang przerzucił nietknięte strony. Stevie dostrzegła nagłówek, przy którym zatrzymał się dłużej: „Wojna w Chinach. Bombardowania Chongqing”. Odwróciła wzrok. Nie chciała myśleć o rannych i zabitych. Nadal miała sucho w ustach. Jak zawsze towarzyszyły jej dwie nieproszone przyzwoitki: wątpliwość i obawa. Walka z nimi leżała u podstaw najważniejszych kroków poczynionych przez Stevie w młodości i poprowadziła ją daleko od miejsc bezpiecznych. Wątpliwość, czy potrafi w ogóle czeokolwiek dokonać,

i obawa, iż poniesie porażkę, szły za nią krok w krok przez różne hotelowe lobby Szanghaju, gdzie pojawiła się, podobnie jak wielu innych życiowych rozbitków z całego świata. Mogły być spełnieniem przekleństwa, jakie rzucił na nią ojciec, gdy wyjeżdżała z domu ostatnim razem. Mogły się okazać przyczyną jej końca.

Walczyła z przyciąganiem nabitych poduszek, skupiając się głównie na tym, by siedzieć prosto, gdy raptem ujrzała wymuskaną kobietę w trudnym do określenia wieku idącą drobnym kroczeniem przez marmurowy hol.

– Któż to taki owa Stephanie Steiber?

Czcigodna pani Kung, ze sztywno udrapowanymi włosami, kobieta pięćdziesięcioletnia, wzbudzała podziw i szacunek. Nie zadała sobie trudu, by zniżyć głos, choć Stevie i Jishang mogli ją usłyszeć. Mówiła tonem lekko wzgardliwym, a z pewnością lekceważącym. Tuż za nią podążał jej prywatny sekretarz pan Leung, zapięty pod szyję, kornie zgięty nieomal wpół, stale o pół kroku za chlebowczynią.

– To reporterka, czcigodna pani. Przyprowadził ją pani kuzyn, Wu Jishang. Rozmawiała już z siostrami pani... zdaje się o książce. – Zniżył głos. – Telefonowała przynajmniej sto razy, a pani dzisiaj rano wyraziła zgodę na spotkanie.

Stevie znała mandaryński zaledwie w stopniu elementarnym, ale pojęła sens tego, co dotarło do jej uszu. Rzeczywiście, od przyjazdu do Hongkongu wiele razy starała się uzyskać zgodę na spotkanie z panią Kung, lecz do tej pory stale jej odmawiano. Pani Kung była najstarszą z trzech sławnych sióstr Song, a przy tym, co zastanawiające, najbardziej niedostępna. Pierwsza zgodziła się na spotkanie pani Czang Kaj-szek, mniej więcej przed rokiem. Stevie przeprowadziła z nią wywiad do niezbyt obszernego artykułu na temat żon polityków, który miała nadzieję sprzedać jako fragment większej całości. W lekkim tonie, rzecz jasna, jako tekst dla kobiet. Jak pani sobie radzi z nieobecnością męża? Co pani mąż lubi zjeść, gdy wraca do domu z misji ratowania świata? Jak się państwu układa w sprawach domowych? Takie tam. Dzięki Jishangowi Stevie została jej przedstawiona na jakiejś imprezie

w Szanghaju, po czym zdołała ją przekonać, że taki artykuł będzie całkowicie nieszkodliwy, a może nawet okazać się pożyteczny. Przecież w ogromnym społeczeństwie amerykańskim niezaprzeczalnie funkcjonowało wiele uprzedzeń wobec Chin i Chińczyków, a wpływały one głównie z niewiedzy. Gdyby obywatele Stanów Zjednoczonych znaleźli w jej artykule interesujące informacje, wzbogaciliby swoją wiedzę, wzrosłoby ich zrozumienie sytuacji panującej w Chinach, a może nawet, kto wie, pojawiłoby się współczucie.

Jako żona przywódcy rządzącej Chińskiej Partii Narodowej pani Czang Kaj-szek, czy też raczej Meiling, bo tak pozwoiliła Stevie się do siebie zwracać, była jednym z najręczniejszych dyplomatów na świecie. Jej uroda, wdzięk osobisty oraz doskonała znajomość języka angielskiego oczarowały wszystkich graczy na scenie politycznej. Szczególne więzi przyjaźni łączyły Chinkę z państwem Roosevelt. Stevie wspominała spotkanie z panią Czang Kaj-szek bardzo miło, zwłaszcza że gospodyni odniosła się przychylnie do jej śmiałego projektu napisania książki o wszystkich trzech siostrach Song. Któż nie byłby zauroczony fascynującą historią trzech dziewczynek, które poślubiły trzy najważniejsze figury w Chinach? Stevie nie miała zamiaru podkreślać faktu, iż dzieci nie przysły na świat w wiejskiej chacie, a ich życiorysy niewiele miały wspólnego z losem Kopciuszka. Mimo wszystko bezsprzecznie historia ich życia należała do zadziwiających, a ona, Stevie, dobrze ją poznała. I właśnie ona, wolny strzelec humorystycznie prezentujący spostrzeżenia wypływające z obserwacji społeczeństwa, zyskała szansę napisania poważnego, istotnego dokumentu na temat sporów o władzę we współczesnych Chinach, widzianych od wewnątrz.

Tak też znalazła się u Czang Kaj-szeków, gdy rząd szykował adekwatną odpowiedź na agresywną ekspansję japońską oraz bezwzględne ataki na Chiny. Potem umożliwiono jej przeprowadzenie wywiadów z Qingling, drugą siostrą Song, która jako żona Sun Jat-sena, założyciela Republiki Chińskiej, stała się nieugiętą propagatorką komunizmu i zaprzysiężonym wrogiem swojego szwagra Czang Kaj-szeka. Dopiero niedawno wróciła z radzieckiej stolicy, Moskwy, by pomóc w zawarciu trudnego przymierza między dwiema frakcjami i w ten sposób doprowadzić do zjednoczenia Chin,

tak by kraj mógł się wreszcie skoncentrować na obronie przed Japonią. Podziały w większości zwykłych rodzin, w tym także w jej własnej, należały do zdecydowanie mniej radykalnych. By zyskać niepodważalny przykład, wystarczyło Stevie przywołać w pamięci naznaczone łzami oraz nabrzmiałe emocjami relacje z własną matką. Nic zatem dziwnego, że była pod ogromnym wrażeniem głębokich uczuć łączących siostry mimo panujących między nimi przepastnych różnic światopoglądowych.

I tak oto znalazła się w Hongkongu, przywiedziona pilnym zamiarem przeprowadzenia wywiadu z trzecią siostrą Song.

Pani Kung, w rodzinie nazywana Ailing, wzięła ślub nie tyle z polityką, ile z biznesem. Jej mąż, uważany za najbogatszego człowieka w Chinach, był bankierem dyskretnie wspierającym ciągle nienasyconych nacjonalistów. Fakt, iż obie siostry poręczyły za Stevie, wydawał się dla pani Kung niewystarczający, podobnie jak to, że Jishang, daleki kuzyn odsunięty od rodziny, ale zgodnie z chińską tradycją nadal w niej przyjmowany, przywiózł Stevie do Hongkongu specjalnie po to, by mogły się spotkać. Pani Kung była daleka od przekonania, że powstanie książki o jej rodzinie jest dobrym pomysłem. Spośród trzech sióstr tylko ona nie była osobą publiczną, a co więcej: z pewnością nie mogła oczekiwać żadnych korzyści z odsłonięcia się przed światem. A właściwie wręcz przeciwnie.

Pani Kung rozejrzała się po wnętrzu. Gdyby mu się rzeczywiście przyglądała, zwróciłaby uwagę na wyjątkowy przepych, na służącego w przeciwległych drzwiach, oczekującego poleceń, a przez okno dostrzegłaby dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn stojących w cieniu drzewa, bez wątpienia ochroniarzy. Ale gospodyni nie patrzyła, tylko lustrowała. Zadowolona z wyniku, ledwo widocznym skinieniem perfekcyjnie prezentującej się głowy dała znać, iż zauważyła obecność Stevie oraz Jishanga. Trudno było zrozumieć, dlaczego jej krucha postać, przywodząca na myśl porcelanową lalkę, wywoływała w Stevie takie drżenie. Po dygocie, jaki ogranał dziennikarkę, można by sądzić, że powinna raczej wyglądać jak King Kong.

Jishang z wdziękiem rozprostował długie nogi i stanął w pozie wyrażającej

szacunek. Stevie zerwała się z kanapy akurat na czas. Pani Kung wyciągnęła do kuzyna nieskazitelną drobną dłoń, a Jishang przycisnął ją do ust.

– Jesteśmy wdzięczni, że zechciałaś nam poświęcić czas.

Zawsze gdy Jishang odzywał się po mandaryńsku, Stevie przechodził dreszcz. W przebiegu pamięci wróciła do niej scena, gdy po raz pierwszy usłyszała jego niski głos. Wydawałoby się to tak dawno, choć od tamtej chwili minął zaledwie rok. Jeden szalony rok.

Pani Kung miała głos dźwięczny i melodyjny, a jej amerykański akcent z lekkim zaśpiewem południowym był bezdyskusyjnie doskonały.

– Zły z ciebie człowiek, Wu Jishang. Niech ci się nie wydaje, że o niczym nie wiem.

I tu flirt się skończył, skupiła uwagę na drugiej osobie.

Stevie pod jej badawczym spojrzeniem gorąco pożałowała, że nie zdołała się przebrać. Miała na sobie całkiem nieodpowiednią sukienkę, stanowczo zbyt prostą, na dodatek jedna z kieszeni była naderwana. Całe szczęście, że Jishang wziął dla niej zakiet, bo poza wszystkim innym przy krótkim bufiastym rękawku brakowało guzika. Mało tego, tkanina przyklejała się do ciała w niewłaściwych miejscach, a na plecach z pewnością widniała ciemna plama wilgoci. Spojrzenie gospodyni mówiło wyraźnie: „W zeszłym roku spódnica tej długości stanowiła ostatni krzyk mody, ale pani krawcową należałoby zastrzelić”, ale słowa, gdyby rzeczywiście padły, zabrzmiałyby znacznie gorzej.

– Wydaje się pani zniecierpliwiona.

Stevie, zbita z tropu, zerknęła na Jishanga, szukając u niego wsparcia, ale nie uzyskała pomocy, gdyż akurat w tej samej chwili sztywne mankiety jego koszuli wymagały dokładnego poprawienia.

– Musi pani znaleźć w sobie dużo cierpliwości – podjęła pani Kung, walec parowy na wysokich obcasach – jeśli zamierza pani napisać prawdę.

– Znam Chińczyków na tyle długo... – zaczęła Stevie niepewnym głosem, ale pani Kung jej przerwała:

– Słyszałam – stwierdziła, unosząc brwi.

Obrzuciła kuzyna cynicznym spojrzeniem, niepozostawiającym

najmniejszych wątpliwości. Ale Jishang nadal był zaabsorbowany mankietami koszuli. Stevie nie zdołała się opanować i spomiędzy jej spierzchniętych warg wydobył się ironiczny śmieszek.

Natychmiast zrozumiała, że wszystko skończone. Właśnie zaważyła sprawę. Czekala na to spotkanie długie miesiące, niecierpliwie krążyła po ciasnym mieszkanku w Szanghaju i wreszcie – gdy straciła zimną krew i przyleciała tu, do bogatej kolonii, chwytając się nikłej szansy, że wraz z Jishangiem osiągną cel – zniszczyła wszystko, bo nie potrafiła powściągnąć emocji. Tymczasem pani Kung ku jej zdumieniu wcale nie odwróciła się na pięcie i nie zniknęła, otoczona chmurą oburzenia. Zamiast tego raz jeszcze przyjrzała się jej z uwagą, po czym zwróciła się do Jishanga głosem słodkim jak miód:

– Drogi chłopcze, bądź tak miły i idź stąd. Znajdź sobie jakieś zajęcie.

Dziesięć minut później Stevie tkwiła na krawędzi sofy, wychylona do przodu, niepomna, że materiał sukienki zwinął się jej pod kolanami. Naprzeciwko siedziała pani Kung, słuchając jej z uwagą, która musiała uwieść samego pana Kunga. Gdy natomiast mówiła gospodyni, Stevie starała się nie dać rozproszyć gestom delikatnej dłoni, poruszającej elegancko wachlarzem z piór.

– Przyjechałam do Chin na dwa tygodnie. Trzy lata temu.

U słuchaczki próżno byłoby szukać choćby cienia uśmiechu. Stevie szybko pojęła, że jej zwykły lekki ton nie będzie w tym wypadku właściwy. Wzięła się w garść i śmiało zapuściła na zatrwazające bezdroża szczerości.

– Proszę dać mi znać, jeśli zacznę mówić o faktach, które pani już zna – poprosiła. – Jestem reporterką, wolnym strzelcem, zamieszkałam w Szanghaju. Piszę do prasy amerykańskiej, do gazet i tygodników, także do magazynu „Szczera Debata”, który prowadzimy z Wu Jishangiem...

– Ponoć wywrotowy.

– Nie, skądże, w najmniejszym stopniu.

Znowu to wytworne uniesienie brwi.

– To znaczy – podjęła Stevie – lubię działalność polityczną, wysoko cenię pasję, z jaką się ona łączy, ale bardziej interesują mnie ludzie niż idee.

– Dlaczego miałabym z panią współpracować, jeśli rzeczywiście nie ma pani żadnych celów politycznych? Jaką korzyść odniosę z faktu, że stanę się obiektem plotek?

– Nie zajmuję się plotkami. Jestem reporterką. Chcę napisać dokument o pani i pani siostrach. Bezstronny i obiektywny, przedstawiający rzetelny obraz waszej znakomitej rodziny dla następnych pokoleń, by ułatwić rozumienie historii.

– Moje siostry mają swoje miejsce na scenie publicznej. Najmłodsza z nas, jak się wydaje, większą część swojego życia spędza na trawniku przed mikrofonami, pozdrawiając fotografów ze schodów albo z fotela, upozowana pod najwłaściwszym kątem. Widuję jej zdjęcia. Głowę ma zawsze sklonioną do słuchania... – Pani Kung zmrużyła oczy. – To musi być w najwyższym stopniu niekomfortowe.

– Może rozmowa ze mną okazała się pożądaną odmianą.

– Albo raczej dała się pani zwieść jej sile i pasji, podobnie jak cała reszta świata.

– Szczerze powiedziawszy, największe wrażenie zrobiło na mnie jej ciągłe staranie, by użyć najwłaściwszego słowa. – Stevie zamilkła na moment. – I fantastyczna garderoba.

Pani Kung uśmiechnęła się. Jej drobne równe zęby zaśniły bielą.

– O Qingling nie powie pani tego samego.

– Racja. Pani Sun Jat-sen wywarła na mnie ogromne wrażenie z całkiem innego powodu.

– To znaczy?

– Jest coś intrygującego w jej skrytości oraz cichym głosie. Trzeba się ku niej pochylić, by usłyszeć jej słowa.

– Do tego niewyszukane stroje i dom nieomal pozbawiony mebli... Zapewne pani zdaniem jedno i drugie odzwierciedla jej poważną postawę oraz godność i dostojeństwo... Nie mylę się, prawda?

– Rzeczywiście. Pani siostra sprawia wrażenie osoby równocześnie kruchej

i silnej.

– Tak pani uważa?

Stevie wyczuła podstęp. Wytrzymała spojrzenie pani Kung bez słowa. Wachlarz zakołysał się szybciej, gospodyni westchnęła.

– Ach, doprawdy, ja bym tego nie zniosła. Te tłumy zapalonych naukowców, młodych radykalistów czekających na jej osąd...

– Porozumiałyśmy się bez kłopotu.

Pani Kung zmierzyła ją srogim, posępnym spojrzeniem. Stevie zdawała sobie sprawę, iż właśnie jest poddawana trudnemu egzaminowi. Oczywiście nie wiedziała, czy go zda. Jeżeli gospodyni nie zgodzi się z nią więcej rozmawiać, trzeba będzie porzucić myśl o napisaniu książki. Cały plan straci jakikolwiek sens.

Opanowało ją poczucie beznadziei. Tkwiała w Hongkongu wyłącznie dlatego, że Jishang wierzył w nią – równie bezpodstawnie, jak i bezkrytycznie. Cóż z tego, że dwie pozostałe siostry jakimś cudem wsparły projekt powstania tej książki? Stevie raptem nabrała przekonania, że pani Kung, najstarsza i najbardziej nieustępliwa z nich, nie wyrazi zgody. Jak długo jeszcze będą odgrywać tę komedię? W głowie zabrzmiał jej głos matki: „Nie wszystko złoto, co się świeci, kochanieńka. Popatrz na siebie”.

Wyraz twarzy pani Kung zmienił się nieznacznie. Odwróciła wzrok od gościa, spojrzała przez okno, zawiesiła oko na wilgotnej zieleni trawnika. Stevie już czuła, jak wszystko, o co walczyła, wymyka jej się z rąk. Nachyliła się w stronę gospodyni jeszcze odrobinę.

– Proszę pani – odezwała się głosem ciężkim od powagi. – Bardzo chcę napisać tę książkę.

Pani Kung przeniosła na nią leniwe spojrzenie.

– Naprawdę – podjęła Stevie. – Muszę ją napisać. Muszę udowodnić, że potrafię. Chcę być traktowana poważnie, być kimś więcej niż tylko... – zacięła się. Trudno było o całkowitą szczerość.

– Niż tylko...?

– Felietonistką. Umiem pisać. Pokażę waszą prawdziwą historię.

Pachnąca kobieta interesu z uwagą przyjrzała się jej twarzy, tchnącej teraz

uczciwością i wrażliwością. Promyki piór z wachlarza zadrżały w bryzie.

– A „Szczerą Debatą” naprawdę nie ma powodu się przejmować – dorzuciła Stevie z rozbajającym uśmiechem. – Zapewniam. I tak nikt tego magazynu nie czyta.

ROZDZIAŁ DRUGI

Cienki papier, lekko wilgotny jak wszystko inne, przykleił mu się do palców. Smukły Anglik, odziany swobodnie w koszulę z krótkimi rękawami, czytając, roześmiał się głośno.

Odchylił się z krzesłem jeszcze bardziej do tyłu, a równowagę utrzymywał już tylko dzięki nogom wyciągniętym na schludnym blacie biurka.

Pchnięte drzwi stanęły otworem i ukazał się w nich wzburzony młody człowiek o zaczerwienionej twarzy.

- Co za jaja z tym upałem!

- Wypowiadasz się w obecności oficera - przywołał go do porządku Harry, nie podnosząc wzroku znad magazynu.

Młodszy mężczyzna, sierżant Ken Ramsay, zasalutował kpiąco. Harry nadal patrzył w tekst.

- Jesteśmy spóźnieni - zauważył Ramsay.

Żadnej odpowiedzi.

- Czas na lunch - spróbował ponownie. - Z panem Takedą z japońskiej izby handlowej.

Harry, nadal pogrążony w lekturze magazynu, ponownie roześmiał się głośno. Zerknął na Kena i stuknął kłykciami w stronicę.

- Powinieneś to przeczytać. Rozjaśniłbyś nieco mroki swojej ignorancji - powiedział i rzucił sierżantowi czasopismo.

Ken zorientował się zbyt późno i zareagował niezdarnie. Luźne strony „Szczerej Debaty”, zadrukowane gęsto w języku angielskim naprzemiennie z chińskim, opadły na podłogę.

- Nie załapałeś się do pierwszej ligi? - prychnął Harry bez większej złośliwości.

Ken spiekł raka, zaklął pod nosem i schylił się, by pozbierać kartki.

- Jeśli coś jest podpisane nazwiskiem Steiber, warto poczytać - ciągnął Harry. - Zabawne teksty.

- Steiber to kobieta. - Ken skończył zbieranie gazety. - Amerykanka. „S” to Sally czy Sophie... Jakoś tak.

- Żarty sobie stroisz.

- Skądże.

Ken był bardzo zadowolony, że mógł podzielić się ze zwierzchnikiem swoją wiedzą. Nieczęsto się zdarzało, by przekazywał Harry’emu wieści, których by jeszcze nie znał.

Zaledwie rok wcześniej, gdy został oddelegowany do wywiadu, Ken z przymrużeniem oka traktował liczne żarty na swój temat. Nie przyznawał racji kolegom, twierdzącym, że brak mu kwalifikacji do tego rodzaju pracy. Natomiast gdy poznał majora Fielda, zakiełkowało w nim poczucie, iż mogli mieć rację. Major Harry Field zwykle wyprzedzał go przynajmniej o krok i najwyraźniej robił to bez najmniejszego wysiłku. Codzienne zajęcia nie dawały im żadnych powodów do satysfakcji, dalekie od fleszy i chwały; polegały głównie na czytaniu transkrypcji jak największej liczby z setek drukowanych broszur, wpływających do kolonii i z niej wypływających. Musieli reagować na codzienne wiadomości z kontynentu oraz streszczać główne wątki wszelkich informacji, które mogłyby się okazać istotne. Ostatnio zostali zaangażowani w dyskusję dotyczącą wątpliwości, czy cenzor powinien pozwolić dzieciom z Hongkongu oglądać film animowany pod tytułem *Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków*. Mieli pomóc rozstrzygnąć, czy obraz nie zawiera przypadkiem jakiejś niebezpiecznej metafory politycznej.

Najmilej wspominał Ken swój pierwszy miesiąc w służbach wywiadu. Razem z majorem Fieldem został wtedy zaangażowany w projekt w równym stopniu wojskowy, jak i cywilny. Otóż z Anglii przyjechał wówczas pewien jegomość, mianowany na szefa obrony przeciwlotniczej, który osłabiał morale w armii, przepowiadając inwazję japońską. Niestety, okazało się, że zaprzyjaźnił się nieco zbyt blisko z niejaką Mimi, sekretarką cywilnego dostawcy bloków betonowych do budowy schronów przeciwlotniczych. W

pewnym momencie wyszło na jaw, iż nie tylko dał się przekonać do przeznaczania funduszy rządowych na zakup bloków po znacznie zawyżonych cenach, lecz na dodatek owe materiały były gatunkowo znacznie poniżej wymaganych standardów, gdyż nie wytrzymały uderzenia młotkiem, nie mówiąc już o wybuchu bomby. W konsekwencji schrony okazały się bezużyteczne. Ken pomagał Harry'emu w odszukaniu zaginionych dokumentów obciążających lotnika oraz dotarł do Mimi, która dogodnym zbiegiem okoliczności zniknęła, gdy tylko sprawa ujrzała światło dzienne. Następnie zostali oddelegowani do zweryfikowania finansów pozostałych oficerów na wypadek, gdyby któryś z nich raptem wzbogacił się w sposób trudny do wytłumaczenia, lecz ogólnie rzecz biorąc, funkcja dyskretnego szpiega okazała się niestety przyziemna i nie była nawet w części tak ekscytująca czy tajemnicza, jak oczekiwał Ken. Zorganizowali inwigilację kilku podejrzanych delikwentów, czytali transkrypcje rozmów telefonicznych, monitorowali korespondencję oraz śledzili wszelkie wyjazdy i przyjazdy, ale major Field jakimś sposobem zawsze wydawał się poinformowany lepiej niż ktokolwiek inny, a z pewnością wiedział więcej od swojego sierżanta.

Ken starał się zachować uprzejmy ton, ale zamiar ten powiódł się jedynie do pewnego stopnia ze względu na zarumienioną twarz oraz postawę niezbędną do zebrania kartek z podłogi, czyli nie do końca wyrażającą szacunek.

- Ma lewicowe ciągotki, przyjaciela Chińczyka i tak dalej. Przyjechali z Szanghaju we dwoje, na pewno szukają kłopotów. Mogą nawet stanowić realne zagrożenie. Moim zdaniem lepiej mieć ich na oku. - Dostrzegł w oczach majora iskiereczki rozbawienia i westchnął. - Aha, już pan ma na nią oko. Jakżeby inaczej.

Był głęboko rozczarowany, blednący rumieniec zaczął ponownie nabierać koloru.

- Niestety, masz rację. Boże, chroń mnie przed Amerykankami, które zbłądziły, zwłaszcza gdy są dobre w tym, co robią. A ona jest. - Harry zdjął nogi z biurka i usiadł prosto.

Widząc rozczarowanie na twarzy Kena, nie zdołał sobie odmówić jeszcze jednego szturchańca. - Czego nie można powiedzieć o niektórych tu zatrudnionych.

Przytyk trafił w cel, okrągłe policzki biednego Kena zalała fala purpury. W efekcie Harry, nieznacznie tknięty wyrzutami sumienia, pocieszył się, że sierżant zbyt mocno bierze wszystko do siebie.

- Tak się złożyło, że ten chiński przyjaciel to też interesujący gość. Nawet wspomniałem o nim w ostatnim raporcie, zapewne jednak miałeś wówczas umysł zajęty ważniejszymi kwestiami. - Zapiął górne guziki koszuli, ściągnął marynarkę z oparcia krzesła i przerzucił ją przez ramię. - Intrygujący osobnik. Wydaje się związany z każdą frakcją polityczną w kraju i nie mogę ocenić, komu służy. On także pisze. Świetnie, moim skromnym zdaniem. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. - Ruszył ku drzwiom. - Chodźmy, sierżancie. Tokijska śmietanka towarzyska czeka.

- I jak? - spytał Jishang, gdy tylko z powrotem znaleźli się w samochodzie.

Stevie wzruszyła ramionami.

- Tyle wiesz, ile ja.

- Wobec tego jest świetnie.

- Tak?

- Tak. Przynajmniej nie powiedziała „nie”.

Stevie westchnęła. Przekłęci Chińczycy razem z tą ich wieczną cholerną przekorą. Mimo wszystko Jishang miał rację - pani Kung nie powiedziała „nie”.

Zerknęła na przyjaciela z boku. Ładny profil. Wysokie kości policzkowe, jasna, promienna cera, a przy tym kruczoczarne włosy - kontrast przywodzący na myśl sztych wykonany tuszem.

W połowie stromego wzgórza poprosiła, by kazał zatrzymać samochód. Musiała się przejść. Jishanga nic na tym świecie nie było w stanie przekonać do podjęcia niepotrzebnego wysiłku fizycznego, więc sama ruszyła po topiącym się asfalcie. Gdy zanurkowała w gorące, wilgotne powietrze, poczuła się nieco lepiej. Odczekała, aż samochód przy wtórze pisku hamulców oprostowujących stromiznę zniknie za zakrętem. Przed jej

oczami roztaczał się spektakularny widok. Miała wrażenie, jakby się przyłączyła do ptaków pikujących w stronę podnóża góry, zataczających kręgi, rysujących pętle w ciężkim powietrzu nad ludzkością zajęta przyziemnymi sprawami. Ogromne, komicznie skupione na sobie dwory i pałace osiadłe na Wzgórzu Wiktorii, pobudowane we wszelkich znanych ludzkości stylach oraz kilku całkiem jej obcych, zazdrośnie strzegły swojej pozycji między wonnymi krzewami spowitymi zapachem sosen. Strome kamienne ściany, obsypane wgłębieniami, w których rozgościły się egzotyczne kwiaty i karłowate drzewa, wciąż jeszcze były dla Stevie równie interesujące jak zapewne niegdyś dla wyczerpanych, spragnionych widoku ładu brytyjskich żeglarzy szmuglujących narkotyki, którzy pierwsi przybili do przystani na swoich pływających świątach. Tak daleko od domu. Krajobraz spowity słodkim aromatem nie pozostawiał wątpliwości, dlaczego przybysze obdarzyli tę wyspę wzruszająco krzepiącymi mianami, przywodzącymi na myśl ich rodzinne strony: Park Wiktorii, port w Stanley, Gloucester Road czy Queens Road, a do tego zaskakująco niepasującą do tego miejsca nazwą szkockiego miasteczka, które z czasem zyskało sławę z powodu zlokalizowanego w nim więzienia - Aberdeen.

Bezpośrednio pod bogatymi posiadłościami rozrosły się zwarte bloki z wieloma mieszkaniami, zajmowanymi przez urzędników, sekretarki, a także optymistycznie nastawione do życia rodziny chińskiej klasy średniej. Potrafiła wskazać ten, w którym razem z Jishangiem wynajmowali swoje lokum - tuż poza krzywizną zatoki, na wpół zasłonięty przez stromy klif. Poniżej rozciągały się wilgotne uliczki dzielnicy centralnej, gdzie prowadzono prawdziwe interesy kolonialne - w zawrotnym tempie i w różnych językach.

Rejwach tam panujący kontrastował z pustą przestrzenią placu Wiktorii, z powściągliwością zdobiących go posągów i jego wielkimi, zadufanymi w sobie palladiańskimi budynkami, wzniesionymi po to, by potęga i stałość imperium brytyjskiego wywierały na przechodniach odpowiednie wrażenie. Ale wbrew najlepszym intencjom twórców tej architektury Stevie wciąż nie mogła pozbyć się przekonania, że Hongkong był zaledwie pasożytem

drażniącym najdalsze rubieże podbrzusza gigantycznych Chin.

Tymczasem uroda przystani zapierała dech w piersiach. Turkusowa powierzchnia wody, upstrzona licznymi statkami i sampanami, ozdobiona kilkoma szmaragdowymi wyspami, stanowiła jeden z najpiękniejszych widoków, jakie Stevie miała okazję podziwiać.

Jedynym elementem odróżniającym tę scenerię od rajy była wszechobecna wilgoć. Między krzewami, wśród których kwitły orchidee, wiły się wąskie ścieżki. Stevie przystanęła, by rozpiąć guziki na przodzie sukienki. Prawie nie poczuła dotyku ciepłego powietrza na skórze. Rozejrzała się, by zyskać pewność, że faktycznie jest sama, i porozpinała guziki aż do pasa. Jedwabna koszulka całkiem przylepiła się do ciała. Stevie z niejakim zdziwieniem spostrzegła wyraźną linię odgraniczającą opaloną skórę na dekolcie od znacznie bledszej reszty. Obok jej dłoni przeleciał motyl, ruchomy kwiat, machnięcie pędzlem na krótko obdarowane życiem. Na moment zapomniała o swoim krytycyzmie i spojrzała na ten kolonialny grajdoł wolna od swojej nieuleczalnej miłości do rozpustnego, barwnego i krzykliwego Szanghaju. Tutaj, nie gdzie indziej, Hongkong oferował wszystko, co miał najlepszego.

Daleką drogę pokonała ze swojego rodzinnego miasteczka w północnej części stanu Nowy Jork. Dzieciństwo, które upłynęło jej w wielkim starym domu w Utice, zdawało się należeć do kogoś innego. Nie było nieszczęśliwe, ale nudne. Stevie zawsze chciała być inna.

Właśnie ona, sama osobiście, nalegała na takie, a nie inne zdrobnienie swojego imienia. Matkę ten pomysł najpierw zdumiał niebotycznie, a potem fantastycznie rozzłościł. „Przecież to imię dla chłopca. Dlaczego chcesz się nazywać jak chłopiec?”. Naprawdę nie rozumiała. I niezmiennie zwracała się do córki „Stephanie”.

W gruncie rzeczy Stevie nie chciała być chłopcem, ale wiedziała z całkowitą pewnością, że chłopcy mieli lepiej. Nie musieli uważać na każdy krok, bez końca szcztokować włosów ani bawić się papierowymi lalkami. Wolno im było biegać, krzyczeć, pływać. Cieszyli się wolnością na wiele sposobów i właśnie za tą wolnością, a nie za chłopięcością Stevie tęskniła. Jej siostry zaakceptowały swój los bez sprzeciwu. Ojcu jednak, zwykle

nieobecnemu, zadowionemu w budynku banku na Genesee Street, pod roslymi wiazami, fanaberie córki wydawaly sie zabawne - podsycal jej ciagotki do przekształcania sie w chlopczyce w znacznym stopniu po to, by wprowadzić w zycie rodzinne jakas odmiane, przegonic nude. Pani Steiber wiec wkrótce sie poddala i skupila na dzieleniu zamiłowania do teatru amatorskiego oraz galerii sztuki z dwiema pozostałymi córkami, pozostawiajac Stevie wzgledna swobode. Ojciec zas, jezli nie zawiadywal miejscowym oddzialem banku, zabieral trzecia corkę na wyścigi lub uczyl ja wioslowania pagajem w kanadyjce. Stevie do tego stopnia zjednoczyła sie z chlopieca czescia swojej osobowosci, ze pierwsza miesiaczka, która pojawila sie u niej w czternastym roku zycia, sparalizowała ja na ladnych kilka tygodni.

Jakis czas szla zбочem pogrązona w myslach. Gdy jednak przypomniala sobie rozczarowanie, jakie ogarnelo ja na widok ewidentnej obojetnosci pani Kung wobec jej planow, powrocilo wzburzenie. Czekajac na to spotkanie, malo nie oszalala z niecierpliwosci i niepewnosci, a gdy wreszcie przyszedl upragniony moment, zmarnowala szanse. Niestety, bez watpienia ja zniweczyla. A co najgorsze, za cale to fatalne doswiadczenie mogla winic jedynie siebie. Zatrzymala sie w pol kroku. Oto cala ona: wzburzona, zawiedziona, polnaga, na zбочu gory na krańcu swiata. Poprawila sukienke, pozapinala drobne, sliske guziczki.

Och, dosyc tego dobrego!

Raptem zaswitala jej pewna mysl. Pojasnialo jej w glowie i juz wiedziala, co chce zrobic. Znowu miala przed soba cel. Natychmiast ogarnely ja dobrze znane, związane z tym celem uczucia: zniecierpliwienie i zakłopotanie. Żwawiej ruszyła w dol zбочa.

Siedzieli na werandzie Hong Kong Club, a późnopołudniowe slonce szykowało sie do odejścia za horyzont. Harry wyciągnal nogi przed siebie, ot, wzorcowy przyklad odpreżonego Anglika pijacego swój pierwszy mocniejszy drink tego dnia. Ale jego czujne spojrzenie zadawalo klam tej postawie. Na stole przykrytym bialym lnianym obrusem widnialy resztki lekkiego lunchu: troche kurczaka na zimno, salatka ziemniaczana i szynka w

plastrach. Niżej, na ulicy, amerykańskie samochody rywalizowały z rikszami, rowerami oraz na wół nagimi kościstymi mężczyznami, którzy pchali wózki wyposażone wszystkim - od soczystych granatów począwszy, a na węglu skończywszy - a także taczki do przewozu owoców i warzyw czy koszy z gładzącymi kurami, ledwo zipiącymi w upale. Tu, wyżej, w klubie, panowały względna cisza i spokój.

Uniósł szklaneczkę.

- Zdrowie.

Rozległ się miły grzechot lodu.

Jego towarzysz Yoshi Takeda w odpowiedzi uniósł własną szklaneczkę. Niedaleko za nimi siedział Ken Ramsay; ze źle skrywanym zniecierpliwieniem spoglądał na zegarek. Od czasu do czasu jednak - nie, to chyba tam właśnie najczęściej spoczywał jego wzrok - pozwalał spojrzeniu zbłądzić w stronę ślicznej kelnereczki w długiej sukni z rozcięciem odsłaniającym całkiem spory fragment uda.

Harry odchylił się na oparcie.

- Żył kiedyś wielki chiński mędrzec, który słynął ze słabości do alkoholu. Pewnego razu odwiedził go przyjaciel i ze zdumieniem stwierdził, że gospodarz jest trzeźwy. Zapytał go o przyczynę takiego stanu rzeczy. A mędrzec odrzekł: „Postanowiłem nie pić dopóty, dopóki mój syn nie wróci do domu”. „Ach tak! A dokąd się udał?”. „Do sklepu po wino”.

Takeda zaśmiał się głośno i dźwięcznie. Kilka osób spojrzało w jego stronę. Nie było w tym spotkaniu nic ekscytującego. Ken stłumił ziewnięcie. Takeda pochylił się ku Harry'emu.

- Czy to aby nie był mędrzec japoński?

Harry wybrał plaster szynki.

- Zauważyłem w tym miesiącu ponadplanową dostawę liny stalowej.

Takeda ściągnął brwi.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Nie? Może powinieneś się tym zainteresować. W przeciwnym razie celnicy mogą coś zwęszyć i zacząć zadawać pytania.

- Rozumiem.

- Może nie od rzeczy byłoby im przypomnieć, że nie jest to wolny port. Opłaciliby się na dłuższą metę, nie uważasz? - Harry zaczął się podnosić. - Zamień kilka słów z kim trzeba.

Daj znać, że patrzymy i widzimy. Lepiej, by nie nabrali przekonania, że mogą przerzucać, co zechcą, bez naszej wiedzy.

Takeda również wstał. Był nieco niższy od Harry'ego i miał wyraźną nadwagę, spowodowaną siedzącym trybem życia. Serdecznie uścisnęli sobie dłonie.

- Następnym razem ja stawiam.

Ken wrócił za Harrym do baru.

- Czy naprawdę musimy się tak publicznie pokazywać z tym Japońcem? - spytał, nie mogąc się powstrzymać.

Harry zaśmiał się i poklepał go po ramieniu.

- A jak byś wolał? O północy w domu pod czerwoną latarnią? Wszyscy w czarnych pelerynach? I porozumiewanie się szyfrem?

- Właściwie nie wiem, panie majorze, ale jakoś tak nie jest w porządku. W końcu to przecież zimny drań. Co mówi, kiedy go nie słyszymy?

- Możesz mi wierzyć na słowo, sierżancie - powiedział Harry zmienionym głosem - pan Takeda jest najsympatyczniejszym zimnym draniem spośród wszystkich, jakich spotkasz w życiu.

Żartobliwe nuty gdzieś się ulotniły, zastąpił je posępny ton. A Ken poczuł, jak twarz i piersi ponownie zalewa mu piekący rumieniec.

Port w ciemniejącym fiolecie zmierzchu przyzywał. Na pierwszy rzut oka w porównaniu z wyrafinowaną i kosmopolityczną linią brzegową Szanghaju wydawał się nieomal interesujący. Były tu budynki stłoczone nad samą wodą, a także skonstruowane z łodzi miasto, ciągnące się przynajmniej kilometr w głąb morza i zwiększające powierzchnię Hongkongu o zauważalny procent. Ale kolosalny port handlowy w Szanghaju, z siedemnastopiętrowymi wieżowcami i oszłamiającym, ciągłym tumultem, nieustającym ani na chwilę w ciągu doby, pysznił się buńczucznie, przekonany o własnej wyjątkowości. Nikt, kto próbował utorować sobie drogę przez kłębiący się tam tłum, nie mógł wątpić w istotną pozycję

Szanghaju na scenie międzynarodowej. W porównaniu z nim tutejsza kolonia wyspiarska robiła wrażenie prowincji.

Mimo wszystko nie sposób było zaprzeczyć: gdy ostatnie promienie słońca kładły się na wodzie, przystań wyglądała bardzo malowniczo. Nadpróchniałe dżonki powiązane jedna z drugą połyskiwały złotem w gasnącym świetle dnia. Drewniane kadłuby skrzypiały i pojękiwały, ocierając się o siebie nawzajem. Po wodzie niosły się przenikliwe głosy. Jeden z nich szczególnie się wyróżniał. Stevie rozpoznała go z daleka: należał do Yanga.

Już nie mogła się doczekać, niecierpliwość niosła ją jak na skrzydłach. Potknęła się o luźno zwiniętą linę, przytrzymała muru. Napięcie wcale nie osłabło. Nieco ostrożniej przeszła po szorstkich pokładach kilku łodzi, a gdy stanęła na dżonce Yanga, była zgrzana i zaróżowiona, jakby biegła na spotkanie z kochankiem.

Yang, krępy, zwalisty mężczyzna w luźnych spodniach i brudnym podkoszulku, rzucił pod adresem sąsiada ostatnią obelgę, po czym splunął celnie i odwrócił się w stronę kabiny, od niechcienia witając Stevie, choć biała kobieta budziła w nim żywe emocje.

Odsunął na bok kotarę zwisającą w niskim przejściu. Stevie poszła za nim. Kabinę wypełniał mdłosłodki zapach. W kontraście do złotawego światła na zewnątrz w pomieszczeniu panowały mrok, brud i stęchłe powietrze jak w jaskini. Wzdłuż burt ustawiono wyściełane ławy, rozdzielone w nierównych odstępach ciężkimi brokatowymi zasłonami, które już dawno z bordowych stały się ciemnobrązowe. Na poduchach przesyconych kwaśną wonią potu leżały bezwładne ciała.

Yang, krocząc przez swoje imperium, nie zwracał uwagi na woskowe twarze Chińczyków pogrążonych w głębokim, narkotycznym śnie. Niektórzy rzucali się i podrygiwali, inni jęczeli. Przed nimi na niskich drewnianych stołach bulgotało w fajkach czarne opium, spadek po długich wiekach brytyjskiego wolnego handlu.

Stevie znalazła wolną ławę, umościła się na poduszkach i w skupieniu pochylona nad stołem. Wprawnie zwinięła czarne lepkie opium w kulkę i wetknęła w główkę fajki.

Zaciągnęła się głęboko.

Euforia zjawiała się szybko, cudowna, porywająca, wszechogarniająca. Stevie czuła, jak wraca do tajemnego sanktuarium, które poznała przed kilkoma miesiącami, gdy po raz pierwszy spróbowała nowego doświadczenia - z drzeniem, ciekawością i odrobiną niepewności. Wkrótce przekonała się, że ten azyl jest lepszy niż dom. Najwspanialszy na świecie.

W żyłach miała płynną rozkosz. Zadrżała, zamrugła, powieki jej opadły. Osunęła się, wypuszczając fajkę, odsuwając się od wszystkiego.

Jakiś czas później przez cudowną mgłę usłyszała niewyraźny głos, który zdawał się dochodzić z bardzo daleka, może nawet zza oceanu:

- Jak ty wyglądasz. Biała dziewczyna z takim znakiem. Ohyda.

To Jishang. Nie miała pojęcia, jak długo leżał naprzeciwko. Sięgnął po jej rękę.

Poczuła ten dotyk jakby przez aksamit. Chińczyk odwrócił jej dłoń wnętrzem do góry, popatrzył na czarną oleistą smugę na lewym palcu wskazującym. Potarł ją energicznie. Nie zeszała. Stevie zebrała wszystkie siły i wysunęła dłoń z jego ręki.

- Zostaw mnie w spokoju. Ledwo mówisz.

- Wiem, co robię.

- A ja to nie?

- Właśnie. Ty nie.

- To po co mnie tu przyprowadziłeś?

- Bo chciałaś spróbować.

- Ty zawsze to samo.

Raptem poczuła się nim znużona. Jego tonem zdającym się dowodzić, że Jishang wszystko wie najlepiej, jego nieskazitelnym opanowaniem.

- Zawsze winien jest ktoś inny. Ty nigdy się nie skalasz.

Pochyliła się, wetknęła cybuch między wargi i butnie wciągnęła gęsty dym w płuca. Coś jednak było nie tak. Haust palił w piersiach zbyt mocno, potrzebowała świeżego powietrza, musiała schłodzić płuca. Nagle dostała konwulsji. Jej ciało zmieniało się w próżnię. Zwymiotowała gwałtownie raz, drugi i trzeci, fala za falą. Dziwacznie uderzała w poduchy rozrzuconymi na

boki rękami i nogami. Tonęła, nie potrafiła się uratować.

Jishang usiadł.

- Żadnego lekarza! - rozkazał głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Zachwiał się, sam uległ narkotycznemu odrętwieniu. Stevie zwymiotowała ponownie z samego środka trzewi. Słyszała uderzenia własnych udreńczonych kończyn, lecz znacznie wyraźniej dochodził do jej uszu szum skrzydeł. Stado mniej więcej dwudziestu ptaszków krążyło jej przed twarzą. Próbowwała je przepędzić, osunęła się na podłogę. W końcu to Yang postawił ją na nogi.

- Wynosić mi się stąd, oboje. Jeszcze mi tego brakowało, żeby mi tu poumierali.

Jishang na wpół prowadził, na wpół ciągnął ledwo przytomną Stevie przez kałuże czerwonego światła spływającego z papierowych latarni. Ziemia uciekała mu spod stóp, tym bardziej że szedł po rozkołysanych pokładach. Do ubrania Stevie przywarł ostry zapach wymiocin.

Gdy Chińczyk przystanął, by pewniej ułożyć sobie rękę przyjaciółki na ramionach, skryty nieopodal milczący obserwator wtopił się głębiej w cienie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przez żaluzje wdarło się zimne światło poranka. Ubrania leżały porozrzucane w nieładzie, a Stevie i Jishang tkwili między splątanymi prześcieradłami. Kobieta jęknęła w resztkach opiumowego snu i odepchnęła mężczyznę. Zza ściany naprzeciwko łóżka dobiegło jakieś szuranie i uderzenia. Nagle z tapety wyprysnął ptak. Dziko bił skrzydłami, uderzał o ściany, gwałtownie miotał się po pokoju, desperacko szukając drogi ucieczki.

Stevie z galopującym pulsem otworzyła oczy i usiadła gwałtownie.

Żadnego ptaka.

Zadrzała. Owinęła się prześcieradłami. Nie tak miało być. Pamiętała sceny z minionej nocy: ostrosłodka smród resztek wymiocin plamiących jej ubranie, twarz Yanga wykrzywioną gniewem, twardy uścisk Jishanga, który ciągnął ją niemal pustymi ulicami, a potem na wzgórze.

Z początku przygoda z opium wyglądała bajecznie. Stevie, dumna z tego, że nigdy przed niczym nie uciekała, czuła się zobligowana do podjęcia każdego nowego wyzwania. A im było trudniejsze, tym bardziej stanowczo za nim podążała. Komu właściwie udowadniała swoją wartość? - tego stwierdzić nie umiała, ale smakując zatęchłe wspomnienie nocy w ustach, stwierdziła, że już jej to nie bawi. Pewnie lepiej będzie dać sobie spokój z opium.

Jishang tymczasem zdawał się dysponować nadludzkimi zdolnościami do hedonizmu i unikał jego pułapek bez żadnych potknięć. Silniejsi mężczyźni odpadali w przedbiegach, on zaś gładko jak po jedwabiu sunął dalej przez życie nacechowane niewyobrażalną przesadą.

Ostatnio bawiło go sprawdzanie różnych metod przetrwania w świecie polityki. Z tym samym kwaśnym uśmieszkiem i szelmowską łatwością, z jakimi odwiedzał palarnie opium i domy publiczne Szanghaju, zaangażował

się w ciemne sprawki wywrotowców.

Obróciła się, by na niego popatrzeć. Jego nieruchoma twarz miała rysy posągu i z natury cyniczny wyraz. Była przy tym piękna. Jakby działania Jishanga napędzało niebezpieczeństwo jako takie, występki budzący dreszcz grozy.

Jishang był arystokratą, rozpieszczanym starszym synem wychowywanym na dawną modłę. Urodził się, by żyć jako łaskawy pan feudalny, ale współczesny świat zmienił go w anomalie, a jego niewiele to obchodziło. Wydawane przez niego czasopismo, powołane do życia za sprawą kaprysu, stało się jedynym nieocenzurowanym głosem mediów w Szanghaju, mieście licznych dyskursów. Drukowane w dwóch językach prezentowało możliwie najprościej kakofonię opinii, która to narastała, to znów cichła na ulicach i w zaułkach.

Magazyn opierał się przyjęciu jednej linii politycznej, a co za tym idzie, był jednakowo niechętnie odbierany przez wszystkie istniejące partie. Jishang zdawał się nie dbać o nic, ale zawsze twardo bronił swojego stanowiska, mroczny i nieodgadniony. Nikt mu nie dyktował, co ma robić. Żadna partia ani japońskie siły okupacyjne, ani ich kolaboranci lub przedstawiciele ekstremalnej frakcji komunistycznej.

Stevie prychnęła cicho. Jishang był arystokratycznym buntownikiem, który przypadkiem - prowadzony niesłychanym uporem - stanął po stronie prawa. I tak, upór był jego najważniejszą cechą. Za jego sprawą Jishangowi nie sposób było się oprzeć. Czuło się, że musi mieć rację. Z westchnieniem przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie. Pokusę.

Chęć bycia zapraszaną do serca Chin, gdzie nie miał dostępu żaden z jej przyjaciół wygnańców: tajemnicze podwórza, pachnące mimosą ścieżki, parawany z ciemnego drewna, za którymi poznawali wzajemnie swoje rozognione ciała, i zawsze ten jego piżmowy zapach.

Na koniec każdej podróży żegnała miniony epizod bez wielkiego żalu. Wiedziała, że zawsze będą nowe zaproszenia na przyjęcia, kolejne wyścigi konne, następny artykuł, inny mężczyzna... Dopiero Szanghaj wydał się jej odmienny. Zachłanna esencjonalność tego miasta. Nigdy nie uporała się do

końca z jego bezustannym ciężkim falowaniem. Poza tym w Szanghaju odkryła swoją moc.

Od czasu dojrzewania ukrywała się w spodniach, luźnych koszulach i strojach wyłącznie praktycznych. Wzorując się na niewiele starszej Katharine Hepburn, wolała podkreślać swoje cechy użyteczne i kojarzone z chłopięcym charakterem. Właściwa dziewczętom dbałość o wygląd czy obsesja na punkcie chłopców wzbudzały w niej pogardę.

Od zawsze wiedziała, że jej ambicje nie skończą się na mężu, domu i samochodzie. W college'u była zadowolona, nawet dumna z tego, że wyraźnie odstawała od reszty.

Dziewczyna na wydziale geologii... I nie znalazła się tam po to, by upolować męża, lecz żeby mężczyźni pokonać. Mając dwadzieścia lat, wiedziała już doskonale, że jeśli będzie siedziała cicho i uczyła się lepiej niż koledzy, zostanie przez nich zaakceptowana. W każdym razie przynajmniej na tyle, by zyskać możliwość podróżowania po świecie.

Tymczasem w Szanghaju wszystko się zmieniło. Nurt życia w tym mieście bezczelnie kipiał seksualnością. Nie dało się przed nią uciec i w końcu Stevie przestała uciekać.

Dzielnica międzynarodowa stanowiła odrębny świat. Można tam było spokojnie żyć, nie postawiwszy nawet stopy w chińskiej części miasta. I wiele osób tak właśnie robiło.

Oczywiście miejscowi pojawiali się tam jako wszelkiego rodzaju służba, krawcy czy kupcy, lecz zwykle docierali tylko na szerokie, obsadzone drzewami główne ulice. W chłodny dzień człowiek czuł się w Szanghaju jak w każdym innym mieście Wschodu leżącym na szlaku.

Zielona banalność i cisza potrafiły ogłuszyć.

Stevie zawsze ciągnęło do portowych dzielnic, gdzie panował ciągły zgiełk, gdzie ludzie pluli na chodniki, a całość spowijał wszechobecny smród. Zaprzyjaźniła się z Ireną, posągowo piękną Litwinką mieszkającą tuż przy Bundzie, nadbrzeżnej promenadzie, w dekadenccko urządzonym apartamencie, do którego nigdy nie docierało światło dzienne.

Gospodyni miała wyjątkowe upodobanie do lamparcich skór. Okazało się,

że jest kochanką jednego ze szwajcarskich przedstawicieli Ligi Narodów - chudego kanciastego mężczyzny, który zaczesywał na łysiejący czubek głowy dłuższe pasma cienkich włosów. Irena studiowała medycynę i uwielbiała opierając się na wielkich powieściach dyskusje na temat historii Rosji. Podtykała te książki każdemu z zapalem i skwapliwością handlarza narkotykami. Stevie nie raz i nie dwa zasiadała do lektury w jej legowisku. Rozkładała się na poduszkach drukowanych we wzór skóry dzikiego zwierzęcia i zapadała w sen z wielkim, ciężkim i źle przetłumaczonym tomiszczem w dłoniach. Gdy po raz pierwszy wybrały się na tańce, Irena, która miała ją wprowadzić na przyjęcie, spojrzała na koleżankę z nieskrywanym przerażeniem. „Nie, nie, nie, o nie!”. Nawet tupnęła stopą w pantoflu z błyszczącej kremowej skórki. „No to nie” - zgodziła się Stevie gładko.

W zasadzie Stevie była dość zadowolona ze swojego wyglądu. Miała na sobie schludną spódnicę i czystą koszulę, a włosy starannie wyszczotkowane. Tymczasem Irena praktycznie zdarła z niej ubranie i kazała włożyć sukienkę wyciągniętą z pękającej w szwach szafy. W tamtej chwili Stevie zmieniła się z Kopciuszka w księżniczkę. Bładozielona chłodna satyna podkreśliła jej krągłości do tego stopnia, że poczuła się naga. Ale nawet ona widziała w splamionym przez czas lustrze, zawieszonym po wewnętrznej stronie drzwi szafy, że została odmieniona. Wyglądała... no cóż, wyglądała jak dziewczyna. Bardzo ładna dziewczyna. Mimo to patrzyła na siebie jak na kogoś obcego. Przy okazji wyszło na jaw, że nawet najwspanialsza odmiana ma granice. Swoje zakreśliła Stevie, gdy Irena rzuciła jej delikatne sandaalki.

Tamtego pierwszego wieczoru wabiła mężczyzn, przyciągała powszechną uwagę i zbierała komplementy jak debiutantka, którą w pewnym sensie była. I spodobał jej się taki stan rzeczy. Rozkochała się w nowej zabawie. Nieomal nią odurzona kolekcjonowała komplementy jak inni motyle. Z początku zachwycał ją każdy, nawet pospolity. Wkrótce jednak stała się bardziej wybredna. Okazy rzadkie i ezoteryczne szybko zyskiwały w jej oczach. Wymagała uwagi, rozkoszując się nowo odkrytą władzą. Radziła sobie świetnie i wkrótce miała w podręcznym arsenale najsubtelniejsze metody

działania. Stała się najgroźniejszą z istot - kobietą piękną i mądrą.

Dzięki znajomości z Ireną była zapraszana do udziału w wydarzeniach, podczas których najśmielsi członkowie społeczności międzynarodowej niepewnie zagadywali starannie wybranych Chińczyków. Na tego rodzaju przyjęciu, z okazji otwarcia domu towarowego, po raz pierwszy zobaczyła Jishanga. Wyglądał pięknie i wyróżniał się wśród innych mężczyzn - ubrany w hanfu, tradycyjny chiński strój, odcinał się od pozostałych, którzy w ciężkich wełnianych garniturach oraz pod krawatami wyglądali sztywno i wyraźnie czuli się niezręcznie. Jishang, wysoki, jakby lekko ospały, poruszał się miękko i płynnie. Jego zaproszenia do domku w górach nie dało się odrzucić. W pewnym sensie byli do siebie bardzo podobni: świadomi sposobności, jaka się im nadarzyła, głodni nowych wrażeń, doskonale chronieni przed niebezpieczną głębią uczuć. Ale pod wszystkimi innymi względami dzieliła ich przepaść nie do pokonania.

Wizyta w górskim domu Jishanga przebiegła wbrew jej oczekiwaniom całkiem niewinnie. Budynek miał konstrukcję nieomal europejską - piętrowy, ze szlachetnego drewna, otoczony werandą. Stał na polanie nad jeziorem, na łagodnym zboczu blisko szczytu.

Posprzeczali się o definicję góry. Stevie była skłonna nazywać wzniesienie, na którym postawiono dom, wzgórzem, ewentualnie wysokim wzgórzem, ale nie górą. Argumentowała, że Jishang zrozumiałby, co to jest góra, gdyby zobaczył Górę Skaliste albo Wielki Kanion.

Oczywiście wyobraźni widziała go, smukłego i pełnego wdzięku, w hanfu wydymanym wiatrem, spoglądającego ze szczytu w jakąś bezdenną przepaść. Był to tak absurdalny obraz, że wybuchnęła śmiechem. Potem długo siedzieli na werandzie i przyglądali się słońcu zachodzącemu za krągłymi wierzchołkami. Najbardziej uderzyło ją wtedy niesłychane podobieństwo tego widoku do chińskich obrazów przedstawiających góry. One naprawdę były zaokrąglone i niewyraźne, prawie niewidoczne, pokryte miękkim, szarzielonym futrem niczym uspione smoki. W tamtej chwili nietrudno jej było dostrzec źródła legend.

Świerszcze grały, świetliki migotały, z gramofonu płynęły dźwięki *In the*

Mood Glenna Millera. Stevie z przejęciem obserwowała wymowne dłonie Jishanga, gdy gestykulował, a potem kładł je na udach wyprostowanych nóg.

- Ożyłem na nowo, kiedy odkryłem literaturę angielską. Wlała we mnie nowe spojrzenie na świat, rozpostarła przede mną nieznane możliwości. Trudno wyrazić, w jak ogromnym stopniu przywróciła mi chęć do życia. Te książki obaliły we mnie wszelkie pewniki zyskane w trakcie nauki. Dosłownie wprowadziły mnie do całkiem nowego uniwersum.

- Szekspir?

- Oczywiście. Ale także Tennyson i George Bernard Shaw.

- Naprawdę? Shaw wydaje się taki staromodny... Staruszek.

- Jest stary. Miałem okazję go spotkać. Przyjechał do Szanghaju.

- Jak tam jego broda?

- Świetnie, doskonale. Uprzejmie zabrała z sobą także resztę człowieka.

Zaśmiali się oboje.

- Zazdroszczę ci - stwierdziła Stevie.

- Znajomości z jego brodą?

- Fascynacji literaturą angielską. Dla mnie te dzieła były symbolem obowiązku, przeszkodą, kłodą pod nogami, a nie otwartymi drzwiami. Dopiero teraz zaczynam je doceniać. Chyba zabrakło mi cierpliwości.

Jishang wyraźnie się ożywił.

- Otwarte drzwi, właśnie tak.

Otuliła ich przyniesiona bryzą upojna woń jaśminu - rozkoszna, wyraźna definicja romansu. Może właśnie dlatego oboje się zbuntowali i jakiś czas później życzyli sobie dobrej nocy, nawet się nie dotykając. Jishang skłonił się lekko, a wtedy ktoś spośród milczącej służby poprowadził gościa do sypialni. Ubranie Stevie schowano w czarnej błyszczącej szafie z inkrustacjami, a nocny strój rozłożono na łóżku, przy którym na stoliku stała piękna misa z krwistoczerwonymi peoniami. Jishang miał doskonale wycucie chwili oraz nienaganny gust.

Stevie otworzyła okno i wyjrzała w noc. Na zewnątrz panowały smoliste ciemności. Drzewa nad jeziorem wzdychały pod dotknięciem wietrzyku.

Leżąc w jedwabnej pościeli, śliskiej i nieprzewidywalnej, w sypialni

drewnianego domu w chińskich górach, zastanawiała się nad bezmiarem otwierających się przed nią możliwości oraz czekających ją doświadczeń. I pragnęła ich wszystkich, bez wyjątku, jak nigdy.

To właśnie Jishang podsunął jej prowokującą myśl o napisaniu czegoś poważnego.

Również on uruchomił niezliczone koneksje, za których sprawą znaleźli się w Hongkongu, dotarli do pani Kung, a Stevie zyskała szansę stworzenia tekstu dekady.

Pomysł pojawił się którejś parnej, szalonej nocy w Szanghaju. Chociaż w zasadzie nie do końca nocą. Narodził się w tym szczególnym momencie, gdy noc przechodzi w ranek. Jest coś takiego w świtaniu, co inspirowało powstawanie świeżych myśli pozbawionych racjonalnego uzasadnienia, co pozwala zaistnieć najśmielszym nieokiełznanym ideom. A ta koncepcja należała właśnie do skandalicznie śmiałych.

Tkwili akurat w Del Monte, gdzie mieli do dyspozycji salę do tańca, przestrzenne werandy i rozległe ogrody. Rosjanki o tej porze w większości znalazły już sobie towarzystwo i dyskretnie rozeszły się po pokojach na piętrze. Stevie miała na sobie ulubioną sukienkę z błękitnej satyny: bez rękawów i z wymyślnie podkreśloną talią. Jishang ubrany był w szary płócienny garnitur szyty na miarę, podobnie jak wszystkie inne stanowiące jego własność, i wyglądał jak książę. Kto wie, może nie bez powodu. W klubie serwowano śniadania, toteż siedzieli w wiklinowych fotelach na werandzie, a przed nimi na chybotliwym stoliku postawiono jajecznicę. Patrzyli na gwiazdy blednące w żółtawym świetle. Jishang nawet tutaj przyciągał ukradkowe spojrzenia, raczej zaintrygowane niż wrogie. Oboje do tego stopnia przywykli, że ściągają na siebie uwagę, iż prawie nie dostrzegali postronnych ciekawskich.

Rozpoczęli wieczór, jak to się często zdarzało, w porze podwieczorku w Cathay Hotel na Bundzie. Wypili herbatę w sali balowej na najwyższym piętrze, skąd roztaczał się jedyny w swoim rodzaju widok na ogromną brudną rzekę. Obserwowali sampany i kontenerowce walczące o miejsce w ujściu potężnej delty Jangcy, niebezpiecznie blisko jedne drugim w tym rzeczonym

tańcu. A potem jak zwykle po herbacie wypili koktajl, bo i czemu nie?

Następnie spacerem ruszyli przez tłum arystokratów i hochsztaplerów, ignorując przenikliwe nawoływania rikszarzy i rozglądając się za jakimś przyjęciem. Boże, jak Stevie kochała to miasto. Było zmysłowe i zabójcze, dojmująco prawdziwe i niespokojne, zawierało początek i koniec wszystkiego. W drodze rozmawiali, ona i jej kochanek Jishang, mijali jaskrawo pomalowane, trzepoczące na wietrze transparenty przed sklepami, gdzie czerwone znaki rywalizowały z migoczącymi światłami nocy. W całym mieście jasno było jak w dzień.

Przeszli obok ciemnych zaułków Blood Alley, słynącej z barów dla marynarzy, gdzie za brudnymi zasłonami dziewczęta sprzedawały się za równowartość kufła piwa. Stevie namawiała Jishanga, by wstąpili do Palais Café, ale on miał jakieś sprawy do załatwienia, więc w końcu czekała na niego w ciemnej chińskiej herbaciarni w dzielnicy Hongkew, podczas gdy on przy sąsiednim stoliku przyciszonym głosem rozmawiał z trzema młodymi mężczyznami w tradycyjnych strojach. Już jakiś czas temu zrezygnowała z dociekania, czegoż to dotyczyły owe „interesy” Jishanga. Gdy go naciskała, udzielał tak irytująco wymijających odpowiedzi, że w końcu postanowiła dowiedzieć się, czego zdoła, bez jego pomocy. Musiała przyznać, że doskonale potrafił zbierać informacje. Zdawał się znajdować w centrum różnych kół politycznych i grup społecznych, gdzie wyszukiwał nieskończenie wiele materiałów do czasopisma. Stevie nie miała nic przeciwko temu. Co więcej, cieszyła się spokojnymi chwilami i stawiała się w swojej samotności naprawdę nieodłącznym elementem tego miasta światła.

Noc nadciągnęła wtedy podobnie jak zazwyczaj - zamglona alkoholem i tańcem. Bezkształtny tłum znajomych i licznych obcych napływał i odpływał, a godziny mijały. Tamtego ranka wyzwanie rzucone przez Jishanga wcale nie wyglądało na trudne. Wydawało się nawet całkiem sensowne.

- Dlaczego tracisz czas na pisanie o krykocie i kabaretach?

- Bo za to mi płacą. O tym chce czytać amerykański odbiorca.

Wydął usta z pogardą.

- Powinnaś przynajmniej napisać coś poważnego o kobietach.

Prychnęła.

- A niby co takiego?

- Moja matka wyrastała w zupełnie innym świecie. Nie potrafiłaby sobie wyobrazić czegoś takiego. - Gestem objął pustą werandę, lecz Stevie wiedziała, o co mu chodzi. - Nie do pomyslenia był świat, w którym pani Czang Kaj-szek jest bardziej widoczna od swojego męża. - Upił łyk wystygłej herbaty. - Kiedy miała sześć lat, skrupowano jej stopy. Od tego czasu każdy krok wiązał się z cierpieniem.

Stevie знаła tę historię. Wiele razy rozmawiali o tym szczególnie barbarzyńskim obyczaju i zawsze gdy wracali do tego tematu, nieodmiennie narastało w niej poczucie niesprawiedliwości.

- Pani Czang Kaj-szek stanowczo nie jest zwykłą chińską dziewczynką.

- Co z tego? I ona, i jej siostry dokonały ogromnego przełomu. Są postrzegane całkiem inaczej. W kontekście międzynarodowym.

- Z pewnością są widoczne na arenie międzynarodowej. Ale to dlatego, że wyszły za liczących się w świecie mężczyzn. To akurat niezupełnie nowy krok w dochodzeniu kobiet do władzy.

- Jestem z nimi spokrewniony.

Tego nie wiedziała.

- Jesteś spokrewniony z całym Chinami.

Zapadła cisza. Stevie rozważała ogrom wyzwania. Wiedziała, co się kryje pod jego uśmiechem, gdy włożył do ust porcję wystygłej jajecznicy. Jishang nachylił się ku niej nad stolikiem.

- Nie masz ochoty, prawda? - stwierdził i zabrał jej talerz, nim zdążyła odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na wąskiej ulicy królowało bezprawie. Rikszes i rowery torowały sobie drogę między pieszymi, od czasu do czasu próbował szczęścia jakiś zuchwały samochód, wzbogacając hałas o dźwięki klaksonu. Nawet wcześniej rano brakowało miejsca na jakiegokolwiek manewry.

Harry uwielbiał tę atmosferę. Z wprawą sunął przez chaos, gdzie żadna z mijających go osób nie zwracała uwagi na jego mundur. W końcu musiał się zatrzymać, zablokowany przez tłum, więc korzystając z chwili, poszperał w kieszeni w poszukiwaniu kartki z adresem.

Spojrzał na notatkę, rozejrzał się dookoła. Wznosiły się nad nim ceglane urwiska okraszone barwnym praniem, wśród którego od czasu do czasu trafiała się przestrzeń bez drutów, ale żadnych numerów. Przywołał na twarz szeroki, imperialny, kojący uśmiech, znamionujący władzę i pewność siebie. Obdarzył nim rikszarza, który ugrzązł w korku. Pokazał mu kartkę z adresem. Tamten wskazał brodą budynek dokładnie obok nich i ruszył. Droga wolna.

Harry stał przez moment bez ruchu, jak wyspa w ludzkim oceanie, przyglądając się niszczej budowlom. Obojętnie zwisały z niej sfatygowane transparenty z czerwonymi i złotymi ideogramami. W środku Anglik ruszył po schodach w górę, pokonując po dwa stopnie naraz. W pewnej chwili musiał się odsunąć pod ścianę, by ustąpić miejsca zgrabnej dziewczynie, która - stukając wysokimi obcasami - schodziła gdzieś z góry. Na drugim piętrze odruchowo wcisnął guzik dzwonka i dopiero wtedy spostrzegł, że drzwi są uchylone.

Odczekał chwilę, wdusił przycisk raz jeszcze. Nic. Wzruszył lekko ramionami, pchnął drzwi i bez przekonania postąpił krok naprzód.

- Wu Jishang? - Jego głos rozbrzmiał nieprawdopodobnie gromko.

Harry znalazł się od razu w salonie, ale minęła chwila, nim jego oczy przywykły do półmroku. Spuszczone rolety przesłaniały mocnymi cieniami panujący we wnętrzu nieład.

Dostrzegł zastawione książkami półki, mnóstwo kolorowych poduszek porozkładanych na niskich otomanach, sterty papierów oraz sukienkę rzuconą na oparcie krzesła. Nagle rozległ się nieludzki wrzask.

Harry, posłuszny adrenalinie, rzucił się przez salon w stronę, z której dobiegł krzyk.

W następnej sekundzie stanął jak wryty, trafiony czymś ciężkim. Padł na podłogę. Obok niego, szczerząc zębiska i skrzecząc jak najęta, wylądowała małpa, która na niego skoczyła.

Na piersi Harry'ego, na jego nieskazitelnej bluzie szybko rosła mokra, cuchnąca plama sików. W progu sypialni stanęła dziewczynka w okularach na nosie. Spod zmrużonych powiek zmierzyła intruza krzywym spojrzeniem.

- Dobry Boże, to zwierzę jest odrażające! - rzuciła zapalczywie.

Zanim Harry zdążył żarliwie poprzeć jej osąd, otworzyły się inne drzwi. Stanęła w nich Stevie ubrana w podomkę, potargana, z bolącą głową i wściekła.

- Coś pan za jeden, u diabła?!

Nieco później Harry siedział na otomanie z niezgrabnie podkurczonymi nogami, w jedwabnym kwiecistym damskim szlafroku, który przede wszystkim był na niego stanowczo za mały. Jishang w szykownym jasnym lnianym garniturze siedział przy oknie z filiżanką w dłoni. Dziewczynka, która na drugi rzut oka okazała się siedemnasto-, może nawet osiemnastolatką, zajęła miejsce przy stole w głębi pokoju, natomiast Victor, gibbon, został wygnany do sypialni.

- Panie Wu - ciągnął Harry - chętnie zapoznałbym się z pańską opinią na temat stanu rzeczy w Szanghaju. - Zawahał się wyraźnie, po czym uśmiechnął całkiem nieformalnie.

- Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe tego najścia... Skoro usłyszałem o pana przyjeździe do Hongkongu, nie mogłem przepuścić takiej okazji.

- Ani trochę, panie majorze. Czuję się zaszczycony. Czytałem kilka pańskich tekstów, zwłaszcza na temat zależności kolonialnych między Portugalią a Japonią. Fascynujące.

Harry zachnął się, ale nie nazbyt żarliwie, tylko po to, by nie uchybić grzeczności.

Prawdę mówiąc, był wstrząśnięty i nieco podejrzliwy. Nikt nie czytał jego prac akademickich, był o tym święcie przekonany. A poza wszystkim innym, po jakie licha ktokolwiek miałby podejmować ten trud?

- Przykro mi jedynie - ciągnął Jishang - iż przyjmuję pana w tak nieodpowiedni sposób, całkowicie nieprzygotowany.

Pod maską dobrych manier kryła się przygana. Odpowiednie przygotowanie zawsze było dla niego bardzo ważne. Szalenie rzadko zdarzało się, by coś zdołało go zaskoczyć. Nie lubił takich sytuacji.

Z sypialni wyszła Stevie. Tym razem miała na sobie sukienkę doskonale przylegającą do ciała. Pod badawczym spojrzeniem brytyjskiego oficera, emanującego czerstwym zdrowiem i kondycją, natychmiast poczuła się niechlujna. Pozostawała jej tylko nadzieja, że nie dostrzegł śladów przejść z zeszłej nocy. Odwróciła od niego wzrok i zatrzymała spojrzenie na filizance w rękach Jishanga. Kruchej, nieomal przezroczystej. Tak delikatnej, jakby była z papieru.

Harry wstał z niejakim wysiłkiem. Nie dość, że w damskim szlafroku czuł się stanowczo nie na miejscu, to jeszcze zbijała go z nóg uroda tej kobiety. Stevie znowu na niego spojrzała.

- Przykro mi z powodu munduru. Victor jest okropnie zazdrosny, ale raczej nie ma zwyczaju atakować.

- Nie ma o czym mówić. Naprawdę.

- Od razu widać, że jest pan Brytyjczykiem! - zaśmiała się. - Taki uprzejmy!

Ich spojrzenia spotkały się na długo, naprawdę na długo - choć był to zapewne ułamek sekundy - i zdawało się, że połączyła ich drżąca więź, cienka jak pajęczka nić.

- Przetłumaczyłem twój tekst o Szczęśliwej Dolinie - przerwał im Jishang

chłodno.

- Drukarz chce dostać korektę jak najszybciej.

Stevie, upokorzona, spiekła raka. Jishang doskonale zdawał sobie sprawę, że wstydziła się reportażu z toru wyścigowego. Pisanie artykułów na temat rozrywek socjety w kraju ogarniętym wojną było śmiechu warte. Świetnie zrozumiała ostrzeżenie kochanka.

- Czy to nie może poczekać? - spytała, dopełniając własnego poniżenia. Zdawała sobie sprawę, że w żenujący sposób zdradza swoje rozdrażnienie.

Harry pośpieszył jej z pomocą:

- Pani publikuje tutaj? Sądziłem, że „Szczera Debata” to przedsięwzięcie wyłącznie szanghajskie.

- Nie ma żadnego znaczenia, gdzie drukujemy czasopismo - oznajmił Jishang.

- Ważne, by było czytane. - Ledwie dostrzegalna pauza. - Oraz kto je czyta. - Z lekkim skinieniem głowy delikatnie odstawił filiżankę na niski stolik. - Pan wybaczy, zbiorę dokumenty. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, porozmawiamy w drodze do drukarza.

Wyszedł do sypialni. Gdy zamknął drzwi, Harry stracił z oczu widok łóżka ze zmiętą pościelą. Stevie leniwie oparła się o ścianę. Harry’emu ten ruch wydał się dziwnie ociężały. Właściwie to ogarnęła go obawa, że kobieta może zemdleć. Nic dziwnego: po zbyt krótkiej nocy i koszmarach w jej najczarniejszej godzinie wyglądała mizernie i krucho. Zadygotała.

- Wiecznie interesy - powiedziała. - Okropność, prawda? - dodała, ale jej ton mówił zupełnie co innego. Po chwili milczenia obdarzyła Brytyjczyka niepewnym uśmiechem.

- Kim pan właściwie jest, panie majorze?

- Służę armii brytyjskiej jako tłumacz języka japońskiego, a tutaj, w Hongkongu, jestem również oficerem łącznikowym...

- Coś takiego! Pan jest szpiegiem.

- Jak powiedziałem, jestem oficerem łącznikowym...

- Właśnie. Szpiegiem.

Całkowicie nienawykły do tak bezceremonialnego nazywania rzeczy po

imieniu potrzebował chwili, by wziąć się w garść. Zdusił oburzenie, ściągnął brwi i pokręcił głową.

Stevie zrobiło się go żal.

- Nikomu nie powiem - obiecała. - Słowo honoru.

Zaczynała się dobrze bawić. Uwielbiała zapędzać ludzi w kozi róg. Harry spojrzał jej prosto w oczy.

- Pani jest piękna - zabrzmiało bez ostrzeżenia.

Wstrzymała oddech zdumiona taką zuchwałością i spojrzała na majora z respektem, tym razem to ona całkowicie rozbrojona. Jego stwierdzenie było tak dalekie od komplementu i do tego stopnia bezczelne, że aż śmieszne. Na dodatek jasne włosy intruza wyglądały w mrocznym wnętrzu niczym aureola. Przypominał zdziczałego anioła.

Rozgrywkę przerwał im głos Jishanga:

- Czy jest już dość sucha?

Stał w drzwiach z bluzą mundurową Harry'ego przewieszoną przez ramię. Oboje zwrócili się ku niemu wdzięczni za interwencję, każde na swój sposób.

W ciągu tygodnia wilgotność rosła. Powietrze, ciężkie i mokre, zdawało się przenikać do kości. Nie było od niego ucieczki. Światło popołudnia, wlewające się przez wysokie smukłe okna, opływało nieład mięką poświatą. Stevie uważała ten chaos za dowód na to, że jest osobą zajętą, obarczoną sprawami wyższej wagi. Ale w rzeczywistości bałagan ten był skutkiem lenistwa. Wszystko jedno; w takich warunkach czuła się bezpiecznie i z całkowitym zadowoleniem przyjmowała uwagi, iż wygląd wnętrza odzwierciedla stan jej umysłu.

Mogłaby wręcz powiedzieć: owszem, głowę mam pełną pomysłów, a doba jest za krótka, żeby się zająć każdą myślą albo wszystkimi częściami garderoby rozrzuconymi po mieszkaniu, gdy wychodzę z niego. I co z tego?

Osoby, które z nią mieszkały, musiały albo przywyknąć do tego, albo wziąć na siebie rolę służby. Lily, kuzynka Jishanga spokrewniona z nim w jakiś bardzo skomplikowany i trudny do wytłumaczenia sposób, nie była przygotowana do funkcji pomocy domowej.

Pojawiła się razem z mieszkaniem. Gdy Jishang oznajmił, że przyjeżdża do

Hongkongu na czas nieokreślony, dziewczyna dostała od matki zadanie wynajęcia odpowiedniego lokum dla dalekiego krewnego z przyjaciółką i poradziła sobie z nim doskonale. Znacznie lepiej, niż przewidywał właściciel nieruchomości, który dał się zaskoczyć jej talentom negocjacyjnym, gdyż nie podejrzewał u dziecka tak niepowszedniego sprytu. A ona miała w tym względzie niemałą praktykę i bez skrupułów wykorzystywała swój dziecinny wygląd wobec osób, które chciały szybko załatwić z nią sprawę. Rzadko zdarzało im się popełnić ten błąd powtórnie.

Dysponowała też innym ogromnym darem, a mianowicie sprawiała wrażenie osoby niepozornej. Przez całe swoje krótkie życie po cichu i spokojnie robiła dokładnie to, na co miała ochotę. Sama zdecydowała, że chce zdobyć dyplom Oksfordzkiej Szkoły Umiejętności Sekretarskich. Choć związek owej placówki z Oksfordem nie wykraczał poza nazwę i nie było w niej nawet jednego nauczyciela kształconego w Europie, to Lily pracowała ciężko, każdy etap przechodziła bez sensacji i w efekcie oprawiony w ramy dyplom ukończenia tej szkoły zawisł na ścianie w domu jej rodziców, tuż obok domowej świątyni. Dziewczyna była pracowita i ambitna, a ponadto otoczyła się gronem podobnych do niej przyjaciółek.

Rywalizowały o to, która pierwsza zdoła skopiować strój i fryzurę swojej ulubionej gwiazdy filmowej. Ona akurat uwielbiała Myrnę Loy, ale co do jej przewagi nad innymi nie było całkowitej zgody. Nigdy żadnej z nich nie przyszło do głowy wzorować się na którejś z chińskich gwiazd, może poza Butterfly Wu, której dopracowane w szczegółach zdjęcia w sukniach ślubnych, stylizowanych na modłę zachodnią, dziewczęta wyłuskiwały z wszelkich czasopism, starając się naśladować jej uśmiech okraszony dołeczkami w policzkach.

Lily była dumna ze swojego zamiłowania do kultury Zachodu oraz brytyjskiego obywatelstwa i niecierpliwily ją staromodne rodzicielskie troski. Kochała nowoczesność i patrzyła w przyszłość, a ponieważ jej rodzina mieszkała na wsi w regionie Nowe Terytoria, bardzo cieszył ją ten pobyt w mieście. Odczuwała wdzięczność wobec Jishanga i jego dziwacznej amerykańskiej przyjaciółki, wysokiej kobiety o wielkich zębach i

rozczochranych włosach - ale nie do tego stopnia, by robić za służącą.

Z sypialni Jishanga i Stevie dochodziło stukanie maszyny do pisania. Lily odruchowo wyrównała poduszki na otomanie. Drgnęła na dźwięk dzwonka telefonu. Przez chwilę stała bez ruchu. Stukanie maszyny nie ustawało. Victor, ohydna małpia kreatura, tkwił zwinięty w kłębek na drugiej otomanie. Dziewczyna przyjrzała mu się podejrzliwie. Odpłacił jej ciężkim spojrzeniem spod nastroszonych brwi. Telefon ciągle dzwonił. Głośno i jazgotliwie.

Rozdrażniona Lily prześlizgnęła się obok Victora, by sięgnąć do aparatu.

- Jaki z ciebie pożytek? - syknęła przez zęby.

Podniosła lepką czarną słuchawkę i słuchała przez chwilę. Głos kobiety na drugim końcu linii brzmiał beznamiętnie i rzeczowo. Odłożywszy słuchawkę, Lily zawołała:

- Stevie!

Klekot maszyny ucichł. Z sypialni dobiegł zirytowany głos:

- Co się stało?!

Stevie weszła do salonu. Powitała ją głośna tyrada, bo Lily zaczynała mieć dosyć.

Doprawdy, zbyt wiele tego wszystkiego: powroty o trudnych do przewidzenia godzinach, zwykle nad ranem, oczekiwanie, że to ona zajmie się prowadzeniem domu, a teraz jeszcze odbieraniem telefonu. Mimo furii jej angielski pozostał bez skazy.

- Zaczynaj odbierać telefon i sprzątać po sobie ze stołu. Nie rozumiem, jak tak można.

Powiedz Jishangowi, że nie zostanę tu ani chwili dłużej. Wracam do rodziców.

- Czekaj, momencik. Czytasz po angielsku tak samo dobrze jak krzyczysz?

Lily sapnęła oburzona.

- Oczywiście.

- Cudownie. - Stevie wetknęła jej w rękę kartkę, którą trzymała w dłoni. - Sprawdź to, proszę. Ortografię, gramatykę, literówki, no wiesz, normalnie. Dzięki, kochana. - Odwróciła się i ruszyła z powrotem do sypialni.

- Może cię przy okazji zainteresuje wiadomość - odezwała się Lily - że pani

Kung się zgadza.

Stevie stanęła jak wryta.

- Co takiego?!

- W tej sprawie był telefon. Ten przed chwilą. Nikt nie odbierał, więc ja to zrobiłam.

- Zgadza się? - Gwałtownie nabrała powietrza. Nie miała pewności, czy aby dobrze zrozumiała. - Boże drogi, zgadza się!

Świat zawirował jej przed oczami. Miała wrażenie, że pęknie z dumy. Warto było - wyjechać z Szanghaju, tkwić bez końca w tym dusznym mieście, uczestniczyć w nieskończonych spotkaniach z różnymi ponurymi mężczyznami z otoczenia pani Kung. I przede wszystkim mieć nadzieję. Skrytą nadzieję, która pozwoliła jej inwestować w swój wizerunek, by być traktowaną poważnie. Gwałtownie wyciągnęła ręce do Lily, jeszcze bardziej naburmuszonej.

- Na co czekamy? - Ujęła dziewczynę pod ramię i pociągnęła do wyjścia. - Świętujemy!

Miała naturę dominującą, więc Lily nie potrafiła jej się oprzeć. Chciała jednak jej coś powiedzieć i zrobiła to, gdy mijaly próg mieszkania:

- Powinnaś uważać, z kim flirtujesz.

Stevie obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem. Nagle zrozumiała, o czym mowa, i zaczerwieniła się nieco zakłopotana.

- Mówisz o tym okropnym brytyjskim oficerze? Wcale z nim nie flirtowałam. Po prostu... - Skapitulowała. - Gdzie tu można się napić?

Euforia nie trwała długo. Mniej więcej tyle, ile trwa kac, i połowę tego, ile by się chciało. Konieczność traktowania jej poważnie upomniała się o swoje. Stevie miała przed sobą powtórkę ze spotkań, jakie odbyła przy okazji rozmów z pozostałymi dwiema siostrami Song. Musiała poznać osoby z otoczenia pani Kung. I czekać, aż Chinka wróci z zakupów w Szanghaju.

- Co twoim zdaniem pani Kung kupuje w Szanghaju? - spytała Jishanga.

- Informacje i torebki, niekoniecznie w tej kolejności.

Znowu czekała. Dlatego z rozpaczy i ze zwątpienia przyjęła zaproszenie na koktajl od państwa Clarke-Russell, którzy we własnym mniemaniu stanowili

główny filar kolonialnej socjety. A za sprawą niesfornego usposobienia przyjęła je także w imieniu swego towarzysza, Wu Jishanga.

Idąc podjazdem pod rękę z Jishangiem w stronę bungalowu, trąciła kruchą gałązkę kamelii. Płatki przejrzalego kwiatu oddzieliły się od serca i spłynęły przez ciemność na ziemię. Uwolniły delikatny zapach i pchnęły go w ciężkie powietrze. Stevie przyciągnęła Jishanga bliżej. Czuła chłód wyborczego jedwabiu jego hanfu. Światło z otwartych okien wylewało się na żwir i doskonale przystrzyżony trawnik. Dobiegały ich głosy utrzymane w równie nieskazitelnym tonie.

- Założymy się, że podadzą sherry? - zakpiła.

Jishang ledwo raczył nagrodzić ją uśmiechem.

Bogaci wygnańcy brytyjscy rozsiedli się na sofach w salonie. Przez balkonowe okna w głębi zaglądał do środka ogród różany. Jedynym elementem wskazującym na to, iż znajdują się na Wschodzie, a nie w którymś z hrabstw otaczających Londyn, byli chińscy chłopcy w białych uniformach i z tacami pełnymi kieliszków, snujący się między pogrążonymi w rozmowach ludźmi o białej karnacji.

Harry wymienił pusty kieliszek na pełny. Podobnie jak wielu innych mężczyzn w tym salonie miał na sobie mundur. Stał w towarzystwie gospodarza, zasadniczego i całkowicie wyzutego z poczucia humoru dyrektora służby medycznej doktora Clarke'a-Russella oraz jego żony Phyllis, u której znać było każdy rok z przeżytych czterdziestu pięciu, a jedynym powodem do dumy pozostawały ciągle jeszcze rude włosy. Mówiła jak zwykle tonem prymuski, gwarantującym, że służba nie śmie wyrazić sprzeciwu.

- Myli się pan z pewnością. Hongkong jest całkowicie bezpieczny. Japończycy nie mają żadnego powodu, by posuwać się dalej w głąb terenów nacjonalistów. A poza tym naprawdę śmieszna jest myśl, iż mieliby zadzierać z nami i ryzykować poważne kłopoty!

- Naturalnie ma pani rację. Bo i jakżeby ci zabawni karłowaci barbarzyńcy śmieli zamierzać się na potęgę imperium brytyjskiego, skoro... cóż, skoro to my ją reprezentujemy.

- Harry objął gestem dobrze odżywionych gości.

Phyllis nie pojęła szyderstwa, lecz o manierach wiedziała dość, by poczuć się dotkniętą. Akurat w tej chwili u boku Harry'ego zjawiała się młoda blondynka. Ujęła go pod ramię i zdecydowanie ścisnęła jego rękę.

- Dajże spokój, Phyllis - odezwała się napiętym głosem. - Wszyscy wiemy, jak to jest z Harrym: gdy wygaduje takie rzeczy, uważa się za duszę towarzystwa. - Uśmiechnęła się, lecz grymas nie ukrył dezaprobaty. - Kochanie - zwróciła się do niego tonem rozkapryszonej dziewczynki - chodź, poznasz biedną Muriel. Doprawdy powinieneś. Ogromnie jej zależy na przyłączeniu się do klubu tenisowego. Obiecałam, że szepniesz za nią słówko.

Harry zerknął w stronę sofy, na której siedziała biedna Muriel, i napotkał wyczekujące spojrzenie kobiety. Pomachała mu. Uśmiechnął się blado.

Phyllis rozproszyła się, bo dostrzegła swoją ośmioletnią córkę ubraną w pidżamę, jak na wpół zatrwożona, a na wpół nadąsana zagląda zza framugi po drugiej stronie pokoju.

Szybko do niej podeszła.

- Margaret, co ty tu robisz? Gdzie jest niania?

- W kuchni.

- A cóż ona robi w kuchni? Powinnyście obie być na piętrze.

- Ja ją posłałam.

- Bardzo źle zrobiłaś. Mamusia i tatuś są zajęci.

Margaret chwyciła w garść matczyną suknię z połyskującej tafty.

- Jestem głodna.

- Niania ci nie dała podwieczorku?

- Dała, ale i tak jestem głodna. Ta zupa była ohydna.

Phyllis wyciągnęła spódnicę spomiędzy palców córki.

- Cóż, musisz jeść to, co dostajesz.

- Mamusiu... - odezwała się dziewczynka płaczliwym głosem. - Poczytasz mi na dobranoc?

- Margaret, doprawdy...! To nie jest właściwy moment. Z pewnością nawet ty zdajesz sobie z tego sprawę.

Wydawało się, że natychmiast pożałowała ostrzejszego tonu, ale w rzeczywistości nie było w nim nic szczególnego, bo zwykle, rozmawiając z córką, odczuwała rozdrażnienie.

- Bądź grzeczna - odezwała się łagodniej - i uciekaj na górę. Poczytam ci jutro, zgoda?

Oczy dziewczynki niebezpiecznie wezbrały łzami. Phyllis poklepała córkę po ręku.

- Poczekasz do jutra, prawda?

Szczęśliwie Margaret pokiwała główką.

- Doskonale - stwierdziła matka. - Musisz pamiętać, że często jadamy razem podwieczorek i w ogóle miło spędzamy czas, prawda? A teraz bądź grzeczna i wracaj do łóżka.

Po przeciwnej stronie salonu Stevie i Jishang przystanęli na moment w progu, ogarniając wzrokiem falujące morze kwiecistych sukni wizytowych oraz mundurów.

Obciążnięta białą rękawiczką dłoń chińskiego kelnera podsunęła Stevie kieliszek sherry.

Reporterka przyjęła go i popatrzyła na Jishanga, unosząc brew. „A nie mówiłam?”. Kelner spojrział na Chińczyka zmieszany i zawahał się, nim zaproponował trunek jemu, jedynemu prócz służących mężczyźnie spoza Europy. Sama ta niepewność stanowiła zniewagę.

Margaret zdumiała Phyllis niespodziewanym gestem: ujęła dłoń matki, która nadal z roztargnieniem ją poklepywała, uniosła do ust i pocałowała.

- Och, jakaś ty miła - stwierdziła Phyllis bez przekonania.

Dziewczynka zawróciła w stronę schodów, a Phyllis, wreszcie uwolniona, rozejrzała się po salonie, natychmiast dostrzegając nowych gości. Puściła się w ich stronę z wyciągniętą ręką.

- Miło mi panią widzieć, panno Steiber. Zawsze chętnie witamy nowe twarze w starym nudnym Hongkongu. - Przeniosła wzrok na Jishanga i nim wzięły górę maniery, dało się zauważyć niejaki zaskoczenie. - Widzę, że kogoś pani przyprowadziła. Witamy. - Mimo wszystko ton ją zdradził.

Stevie zakręciła lepkiem alkoholem w kieliszku i posłała gospodyni uśmiech

słodki jak miód.

- Może każe pani wyszukać dla mojego przyjaciela uniform kelnera? Będzie się pani lepiej czuła w jego towarzystwie.

Ci z gości, którzy usłyszeli jej słowa, wymienili zaniepokojone spojrzenia. Czyba nie robi sceny?

Gdy Phyllis usiłowała odzyskać równowagę, podszedł do nich pulchny łysiejący mężczyzna.

- Nie życzymy sobie tutaj takich uwag. Nie jest pani mile widziana w tym gronie.

Phyllis powstrzymała go gestem.

- Nic się nie stało, zapewniam, nic się nie stało. Dziękuję panu, panie Evans.

Zanim pan Evans zdołał podjąć junacką obronę honoru kolonii, podszedł do nich wysoki, barczysty mężczyzna. Harry.

- Panna Steiber, pan Wu! - odezwał się głośno. - Co za zaszczyt! - Szeroko uśmiechnięty, patrząc na Stevie bez zmruczenia oka, znalazł się u jej boku.

Ona, nieprzyzwyczajona do tego, by ją ktoś ratował, doświadczyła przedziwnego i obcego jej uczucia ulgi. Nie miała zamiaru urządzić scen, po prostu nie potrafiła puścić zniewagi mimo uszu. Jej matka miała rację: stanowiła zagrożenie dla samej siebie, a to za sprawą ostrego języka oraz braku poszanowania autorytetów.

- Szalenie miło widzieć państwa oboje - dokończył Harry.

Ujął Jishanga pod łokieć i poprowadził w głąb salonu. Wkrótce na dobre pogrążyli się w konwersacji. Stevie przeprosiła obu panów i zawróciła do Phyllis, która instruowała jednego z kelnerów, jak nalewać właściwą miarę. Przeszła od razu do rzeczy:

- Proszę mi wybaczyć, zachowałam się nieuprzejmie.

- Nie ma o czym mówić.

- To bardzo miło z pani strony, ale czuję się naprawdę zdruzgotana. Taka już jestem, postrzelona, nie pasuję do dystygowanego towarzystwa.

Phyllis, choć nie czuła sympatii do trudnego gościa, nie oparła się szczerym przeprosinom.

- Naprawdę nic się nie stało. Bardzo mi miło, że przyszła pani z przyjacielem.

- Krótka pauza. - Może sobie pani wyobrazić, jak trudno tutaj poznać Chińczyków.

Oczy Stevie napotkały nad ramieniem gospodyni spojrzenie Harry'ego. Przez moment dziewczyna straciła trzeźwość umysłu. Brytyjczyk nie spuścił wzroku, a pod nią ugięły się kolana. Zaraz jednak Phyllis sprowadziła ją na ziemię:

- Powinnam zapoznać panią z małżonką pana Harry'ego Fielda.

Stevie zobaczyła miłą jasną twarz okoloną chmurką delikatnych jak u dziecka, kręconych blond włosów. Laleczka z przylepionym uśmiechem. Pastereczka z dziecięcych obrazków. Naszło ją całkiem niespodziewane rozczarowanie. Oczywiście, że był żonaty.

Jakżeby inaczej. A poza tym, dlaczego miałyby to dla niej mieć jakiegokolwiek znaczenie?

Dlaczego miałyby cokolwiek znaczyć?

- Sylvio, to jest panna Steiber. Nowa w mieście.

Stevie ujęła drobną rączkę. Okazało się, że Sylvia Field ma niewiarygodnie delikatną skórę, jak niemowlę, a uścisk jej dłoni był słaby i nieprzekonujący.

- Wiem, że pani jest bardzo mądra - odezwała się Sylvia. - Mąż próbował mnie namówić do czytania pani magazynu.

- Przeróżające.

Sylvia zaśmiała się nerwowo, zdradzając tym samym lęk przed inteligentnymi kobietami. Dziewczęta, które w szkole znały odpowiedzi na pytania, wydawały jej się innym gatunkiem. Ale - zdawała się mówić jej mina - proszę bardzo: ona była mężatką i prowadziła dom, podczas gdy one...? Zerknęła na swojego przystojnego, świeżo ogolonego męża, by się upewnić co do swoich racji. Harry przysunął się do niej, lecz gdy tylko zaczął mówić, jej oczy zasnuła dobrze znana gorzka pretensja.

- Panno Steiber, może pani rozsądzi sprawę, w której nie umiemy się porozumieć?

- Wskazał Jishanga oraz piegowatego młodego człowieka w mundurze,

Kena Ramsaya. - Czy zgodzi się pani, że czas białego człowieka definitywnie dobiegł końca?

Sylvia, nadal z odpowiednim uśmiechem na ustach, zwróciła na niego rozczarowane spojrzenie.

- Jesteś pijany.

Harry nie dał się okiełznać.

- Nasz czas dobiegł końca, tylko nie potrafimy tego przyznać. Oto przed nami ostatnie dni Rzymu, tylko że tym razem pędzimy na oślep w stronę upadku kapitalizmu. Sami siebie oszukujemy, wszyscy.

Sylvia przekrzywiła śliczną główkę.

- Czas wracać do domu, kochanie.

- Słusznie, doskonała myśl. Wracaj.

W oczach pani Field zalśniły łzy. Obróciła się na pięcie okrytej delikatnym pantofelkiem na obcasie i odeszła. Stevie doskonale zdawała sobie sprawę, że została w tłumie sam na sam z Harrym.

- Niepięknie pan się zachował. Zapewne rzeczywiście jest pan pijany.

- Oczywiście, że tak! Tutaj to tradycja. Albo się człowiek upija, albo bierze ślub. Ja, zdaje się, celuję w jednym i drugim.

Czuła bijące od niego ciepło. Stał bardzo blisko.

- Hongkong to ostatni przystanek dla wszystkich przegranych, bezużytecznych drani imperium - ciągnął major Field. - Nie wiadomo, co z gościem zrobić? Wysłać go do Hongkongu! - Pogardliwym gestem objął salon, morze mundurów i beztroskich twarzy.

- Wystarczy popatrzeć!

Stevie ogarnęła spojrzeniem gości, po czym przeniosła wzrok na majora.

- A dlaczego pan jest inny?

- Wcale nie jestem inny. Jestem taki sam.

Stevie była pewna, że major słyszy krew tętniącą w jej żyłach, tak mocno łomotało jej serce.

W pobliżu zjawił się ów pulchny krewki jegomość, który był skłonny tak chyżo wyprosić ją z przyjęcia. Nachylił się ku niej.

- Ja znam takie jak pani - syknął. - Tutaj się pani nie będzie panoszyć. Tu

nie Szanghaj. - Odwrócił się do Harry'ego. - No, staruszkę, Sylvia już na ciebie czeka.

Uznaliśmy, że razem weźmiemy taksówkę.

- Nie wybieram się z wami. Mam tu jeszcze sprawy do załatwienia.

Ale pan Evans już ścisnął Harry'ego za ramię, gotów najwyraźniej w razie potrzeby siłą pozbawić go towarzystwa Stevie. Poza tym w ich stronę szedł Jishang z rozpromienioną, podekscytowaną Phyllis u boku. Gospodyni nie zdołała wstrzymać potoku słów.

- Jak to cudownie porozmawiać z kimś o tak gruntownej znajomości kontynentu. Nie sposób wyrazić radości, doprawdy.

Harry przytrzymał spojrzenie Stevie, więc Evans musiał wykorzystać wszelkie metody, aby odciągnąć go od towarzystwa.

Wkrótce posłusznie wsiadł do taksówki razem ze znajomymi i pojechali w dół stromą drogą na Wzgórzu Wiktorii, natomiast Stevie po raz nie wiadomo który stała się znudzonym obserwatorem znanej jej sytuacji: jak to Jishang oczarowywał każdego w promieniu kilometra. Tym razem jednak nie czuła dumy z tego, że na koniec wieczoru to ona pojedzie z nim do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Dlaczego w ogóle miałabym chcieć zostać w tej dziurze?

Stevie wiedziała, że zachowuje się jak rozkapryszone dziecko. W marmurowej hali panował gwar. Normalnie uwielbiała lotniska - budziły w niej ekscytację. Wystarczyło wyobrazić sobie te wszystkie miejsca, gdzie mogła polecieć, czekające na nią przygody, bogactwo możliwości... Dziś jednak nie czuła nic podobnego. Gdy Jishang po raz kolejny sprawdził bilet, niespodziewanie strach ścisnął ją za gardło. Minęła ich jakaś młoda kobieta trzymająca za rączki dwójkę dzieci. W chaosie i zamęcie Stevie czuła się niepewnie, lekko wystraszona.

- Zabierz mnie do Szanghaju. Proszę.

- Nie. - Jishang najwyraźniej wyczuł niezwykłą u niej panikę. - Nie - powtórzył łagodniej. - I wiesz dlaczego.

- Przypomnij mi.

- Ponieważ zyskałaś bezprecedensowy dostęp do wszystkich trzech sióstr Song i napiszesz o nich wspaniałą książkę, dzięki której świat zacznie cię traktować poważnie.

- Skoro tak mówisz, pewnie masz rację. - Nie mogła się pozbyć wrażenia, że Jishang myślami jest już daleko, choć jeszcze stał tuż obok. - Posłuchaj... Wiem, że pobyt w Hongkongu już nie jest ci na rękę, ale chciałabym, żebyś został.

W jej głosie pobrzmiwało rozdrażnienie, choć czuła się bezbronna. Nie miała powodu rościć sobie do niego jakichkolwiek praw, więc skąd ten ton? Na dodatek już i tak został w Hongkongu dłużej, niż planował. Musiał się zająć swoimi sprawami, podjąć niełatwe decyzje, poza tym w Szanghaju czekali na niego ludzie, a tymczasem ona zmonopolizowała go w sposób bezprecedensowy. Choć nie miała wątpliwości, że spotkania i rozmowy,

jakie prowadził tutaj, także okażą się w taki czy inny sposób przydatne, z równą pewnością wiedziała, że przedłużył pobyt na wyspie wyłącznie z jej powodu.

Jishang wziął ją za rękę, obejrzał uważnie kciuk i palec wskazujący. Potarł ciemne ślady po opium.

- Musisz z tym skończyć. Koniecznie. Jeśli się uzależnisz, to koniec żartów. Wiesz, co się wtedy dzieje?

Przecięgnął jej paznokciem po szyi, zostawiając cienką czerwoną linię. Stevie odsunęła się odruchowo.

- Powiedz mi, że wszystko będzie dobrze.

- Przepowiednie to niebezpieczna zabawa.

- To starożytne chińskie przysłowie?

Zaśmiał się.

- Nie.

Nagle Stevie przywarła do niego całym ciałem, mocno. Przez tkaninę kosztownej dwurzędowej marynarki czuła bicie jego serca. Pocałowała go w usta, jak kochanka, czym zaskoczyła ich oboje. Jakby chciała wyrazić bunt, że ostatnio Jishang stał się dla niej bardziej jak brat niż ukochany mężczyzna. W zasadzie ledwo pamiętała, kiedy ostatnio się kochali.

Przechodzący ludzie zawieszali na nich spojrzenia. Jishang wyswobodził się delikatnie.

- Przyłóż się do pracy.

Stevie zadrżała.

- Tak zrobię. Zresztą i tak w tej dziurze nie ma innego zajęcia.

Jishang uśmiechnął się i wmieszał w tłum.

Stukając w klawisze miniaturowego hermesa, Stevie paliła papierosa. Dym kłębił się wokół jej głowy, a palce skakały po literach, zapełniając papier kolejnymi słowami.

Wyrwała kartkę z maszyny, odepchnęła krzesło. Czytając, chodziła po pokoju, omijając kanciasty róg łóżka. Usiadła przy biurku, podparła głowę rękami. Powieki zaczęły jej opadać.

Nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich Lily. W milczeniu ogarnęła

wzrokiem całą scenę. Weszła swoim zwykłym zdecydowanym, lecz pełnym gracji krokiem i wyłowila z chaosu na podłodze kilka zbłąkanych kartek papieru.

- A ty co wyczyniasz? - spytała Stevie głosem pełnym oburzenia.

- Jak możesz pracować w takim bałaganie...

- Wiem, gdzie czego szukać. Zresztą co ci do tego?

- Jestem twoją asystentką. Ponieważ Wu Jishang powierzył mi tę funkcję, będę ją pełnić.

Stevie usiadła prosto, całą postawą okazując niechęć i oburzenie.

- On jest nie do wytrzymania! Wydaje mu się, że jestem jego własnością? I że nie potrafię sama o siebie zadbać? - Głośno płaśnęła dłońmi o blat biurka. Zapiekło. - Boże, Boże... - westchnęła, podniosła wzrok na nieustępliwą figurę pośrodku wyblakłego perskiego dywanu. - Umiesz pisać na maszynie?

W miarę jak mijały dni, Stevie rozumiała coraz lepiej, że z wolna przenika kolejne warstwy etykiety i pochlebców chroniących panią Kung przed rzeczywistością. Dotyczyło to każdego bogacza. Sama wiedza, że czyjaś fortuna przekracza najśmielsze marzenia, to jedno, natomiast przebywanie w pobliżu takiego człowieka, obserwacja jego życia z bliska to zupełnie co innego. Na początku Stevie była zdruzgotana rozziwem pomiędzy nią a panią Kung, a przy tym zdumiewało ją, że Chinka jest tak bystra i przenikliwa. W pewnym sensie akurat po tej siostrze najmniej się tego spodziewała.

Spędziła z nią dzień w starej posiadłości na kontynencie, w granicach Nowych Terytoriów. Był to tradycyjnie prowadzony majątek, jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie zdarzyło się Stevie widzieć. Później często wracała tam w marzeniach. Oaza spokoju i czystego piękna ukryta za białymi murami oraz wielką malowaną bramą, przywodzącą na myśl wrota fortecy. Cały świat obsługiwany przez nieocenioną, niewidoczną, milczącą służbę. Każdy dziedziniec stanowił odrębny zakątek dumania, każda weranda odsłaniała inny widok: z jednej strony na odległe wzgórza, stanowiące granicę Nowych Terytoriów, z innej - na przejrzyste wody jeziora. Każdy pokój był urządony komfortowo, lecz praktycznie.

Ciemne drewno we wnętrzach dopełniało miękkie światło na dziedzińcach. Tam, gdzie należało, było jasno, a w miejscach, gdzie miało się ochotę słuchać szelestu liści, panował cień. Łatwo się było tam zagubić i zapomnieć, w którym stuleciu się żyje.

Pani Kung nie była jednak śpiącą królową. Stevie przyglądała się, jak sprawuje rządy, niczym dawny władca feudalny wysłuchując skarg wieśniaków. Organizowała prace służby, od czasu do czasu zarówno krewnych, jak i obcych obdarzając łaskawym uśmiechem.

W odpowiednim momencie wzywała Stevie ruchem głowy i poświęcała jej uwagę. Dzisiaj usiadły na werandzie. Gospodyni pozwoliła dziennikarce zadawać pytania, a odpowiadała na nie wolno, dając czas na robienie notatek i popijając między wypowiedziami delikatną herbatę „górski obłok” z regionu Lushan. Mówiła po angielsku płynnie, z bezbłędnym amerykańskim akcentem, swobodnie operując idiomami. I ku wielkiej uldze Stevie nie opowiadała jej o znaczeniu z zachwytem referowanego w mediach i z pewnością wartego uznania przedsięwzięcia pod nazwą Chińskie Stowarzyszenie Przemysłowe, które tworzyło miejsca pracy dla kobiet przy tkaniu, szyciu i tradycyjnym rzemiośle, ale wspominała czasy nauki na Uniwersytecie Wesleyan.

Jako czternastoletnia księżniczka była przerażona Ameryką i osamotniona, nie rozumiała głośnych dziewcząt, między którymi znalazła się znienacka: ich strojów, manier, piskliwych głosów, ohydnych napojów mlecznych i braku szacunku dla starszych. Pani Kung zadrzała lekko na wspomnienie tamtych czasów. Stevie się zaśmiała. Sama miała podobne doświadczenia z okresu szkolnego. Nie przebyła aż tak dalekiej drogi, ale równie trudno było jej wtedy pojąć, co się dzieje.

- A czy były jakieś blaski tamtego czasu? - spytała.

- Lubiłam tańczyć.

Wait Till the Sun Shines, Nellie...

- *By the Light of the Silvery Moon...*

- *Meet Me in St Louis...*

- *Oh, You Beautiful Doll.*

Pani Kung wstała, Stevie ujęła w ręce jej kruchą dłoń i radośnie zatańczyły na werandzie, choć niezgrabnie i myląc przy tym kroki. Gdy Stevie zapomniała słów, pani Kung nuciła samą melodię i w jej takt wróciły do krzeseł. Puszczając rękę gospodyni, dziennikarka zrobiła krok do tyłu i skłoniła się w podziękowaniu. Pani Kung dygnęła, po czym znów usiadły, lekko zadyszane. Stevie podniosła wzrok i dostrzegła we wszystkich oknach wokół podwórza zdumione twarze, które kolejno znikwały w chłodnej ciemności.

- Mój mąż nie ma czasu na taniec - stwierdziła pani Kung.

- Wielka szkoda.

- Zaiste.

Podjęły rozmowę na zupełnie innym stopniu zażyłości.

Tego dnia bramy posiadłości otwały się znacznie później niż zwykle, dając sygnał do powrotu na wyspę, do Hongkongu. Słońce zachodziło za jeziorem, drobne ptaszki wirowały w zamierającym świetle niczym pyłki kurzu.

Przodem ruszyły dwa motory, rykiem silników płosząc ciszę. Tuż za nimi jechało nisko zawieszone auto, w którym Stevie siedziała naprzeciwko pani Kung. We wnętrzu unosił się cierpki zapach skóry, a każdy fragment metalu lśnił nieskazitelną czystością. Stevie spojrzała w stronę brzegu jeziora, gdzie wierzby pochylały się wdzięcznie ku wodzie, i ze zdziwieniem spostrzegła zaparkowany samochód. Z jeszcze większym zdumieniem stwierdziła, że patrzą na nią Harry Field oraz jego towarzyszy, ów piegowaty młody człowiek z przyjęcia. Kogo śledzili: ją czy panią Kung? A może obie? Na moment zdrętwiała ze strachu i wściekłości. To że interesowali się krokami Jishanga,

to jedno, ale co ich obchodziły jej zajęcia?

Pochyliła się i ostentacyjnie im pomachała.

- Pomachała nam? - spytał Ken zaskoczony.

Harry, dziwnie zmieszany, odwrócił wzrok.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lipiec 1940

...więc kiedy przyjedziesz do domu? Dotarły do mnie wieści od dawnej przyjaciółki Marguerite, udało się jej napisać do mnie mimo nalotów i wszystkiego, co się dzieje w naszej biednej starej Anglii. Twierdzi, że nie sposób ogarnąć rozumem tego koszmaru. Wszyscy mówią, że Niemcy we Francji nie są tacy znowu straszni, ale nie podejrzewam, byśmy kiedykolwiek obejrzeliby zabytki Paryża. Jane i Faye mówią, że do nich także nie pisałaś.

Zawsze widziałaś tylko koniec własnego nosa, ale skoro toczy się wojna i jest, jak jest, mogłabyś czasem dać znać, co się z Tobą dzieje. Pewnie skończy się na tym, że przeczytam o Tobie w gazecie. Ściskam Cię. Twoja matka.

Bładoniebieski list w dłoniach, bibułkowy dowód wzajemnych pretensji. Telefon zadzwonił ponownie. Stevie go zignorowała. Po jakichś pięciu przenikliwych sygnałach ucichł. Wypuściła list z ręki. Opadł na podłogę jak zeschnięty liść. Niesłychane, jak silne wciąż były więzy poczucia winy. Naprawdę nie miało znaczenia, że ona i matka znajdowały się na przeciwległych końcach świata. Wystarczył jeden ruch i bat znów przywoływał ją do porządku. Nie mogła uciec wystarczająco daleko. Zastanowiła się, czyby nie odpisać. Nawet zrobiła krok w stronę biurka, gdzie czekały na nią kartki papieru. Oczami wyobraźni zobaczyła matkę, uszczęśliwioną, stojącą na krawędzi trawnika przed domem, otwierającą skrzynkę pocztową, wyjmującą z niej bładoniebieską kopertę z listem od

córki. Chwilę potem kąciki jej ust opadły w grymasie dezaprobaty, a łuki brwi uniosły się zdumiewająco wysoko, odzwierciedlając połączenie rozczarowania i braku zrozumienia.

Co by to było, gdyby rzeczywiście napisała prawdę o swoim życiu? Na samą myśl o tym roześmiała się głośno.

Dumanie przerwał jej odgłos pospiesznych kroków. Stevie już miała ruszyć im na spotkanie, gdy raptem drzwi stanęły otworem. List, obudzony prądem powietrza, frunął jeszcze kawałek. Lily, niezwyczajnie wzburzona i wyraźnie oszołomiona, wyrzucała z siebie słowa tak szybko, że aż nachodziły jedno na drugie.

- Musimy się zbierać, z marszu, całkiem nie rozumiem, jak to ma wyglądać...

W salonie znowu rozdzwonił się telefon.

- Dokąd?

- Wyjeżdżamy. Ewakuują nas. Wszystkich. Ciebie nie. To znaczy chyba nie. Nas, Brytyjczyków, kobiety i dzieci. Co ja zrobię? Gdzie oni nas wyślą? Co z moimi rzeczami?

- Skąd o tym wiesz?

Lily przysiadła na łóżku.

- Susie mi powiedziała. Wybierałam materiał na bluzkę, wiesz, tę, którą widziałam w „Vogue’u”, i wpadłam na nią, a ona akurat biegła do domu.

- A ona skąd wie?

- Od chłopaka. On jest żołnierzem. Powiedział jej, że to tajemnica, ale skoro już przepisywał ten rozkaz, to pomyślał, że lepiej by było, gdyby wiedziała.

Telefon ciągle hałasował. Lily, zirytowana, wstała i ruszyła do salonu.

- Nie odbieraj! - krzyknęła za nią Stevie. - Wiem, kto dzwoni.

Ale dziewczyna już chwyciła słuchawkę.

- Tak? - Zerknęła na Amerykankę. - Nie, nadal jej nie ma, panie majorze. Mogę jej przekazać kolejną wiadomość.

Stevie zmieniła zdanie i zakończyła jednostronny bojkot komunikacyjny. W mgnieniu oka znalazła się przy aparacie i chwyciła słuchawkę.

- O co chodzi? - spytała. - Dokąd mają jechać?

Głos Harry'ego, niski i dźwięczny, na moment zbił ją z pantafelku.

- Ach, panna Steiber. Nareszcie.

- Niech pan nie udaje. Co to za ewakuacja?

- Czy ma pani może na myśli ewakuację brytyjskich kobiet i dzieci, która ma zapewnić im bezpieczeństwo na wypadek szalonego mało prawdopodobnej inwazji japońskiej?

- Niech pan sobie nie stroi żartów. Tak, właśnie o to pytam. Czy należy rozumieć, że jest to przejaw paniki rządu brytyjskiego, który wreszcie dostrzegł nieuchronne skutki działań Japończyków, skoro nie zamierzają oni respektować praw kolonii królewskiej jedynie z tego powodu, że stanowi ona własność wielkiego imperium brytyjskiego i traktują ją oraz nas w sposób haniebny, podobnie jak nieszczęsnych Chińczyków? - Przerwała na moment.

- A tak przy okazji: skoro mnie pan śledzi, oszczędzę panu zachodu. Jestem całkiem zwykłą obywatelką, zajęta swoimi normalnymi sprawami całkowicie zgodnymi z prawem.

Major Field zaśmiał się niewątpliwie szczerze i przez to jeszcze bardziej irytująco.

- Czekam - burknęła Stevie w słuchawkę.

- Ciekaw jestem, w jaki to zwykły i zgodny z prawem sposób natrafiła pani na tę tajną informację. Oczywiście nie mogę komentować plotek sugerujących, jakoby istniały plany ewakuacji kobiet i dzieci do Australii.

- Do Australii... - Stevie zerknęła na Lily, a ta miała oczy jak spodki.

- Jak powiedziałem, nie mogę sobie pozwolić na żaden komentarz.

- Dziękuję panu.

- Zapewne wie pani, że próbowałem się z panią skontaktować, a skoro wreszcie mi się to udało, byłbym wdzięczny, gdyby zdołała pani znaleźć wolniejszą chwilę...

Wcześniej zdecydowała się więcej z nim nie spotykać i chociaż w czasie rozmowy postanowienie to osłabło, to teraz się umocniło. Nie potrafiłaby wyrazić słowami konkretnej przyczyny, ale wiedziała, że major jest człowiekiem niebezpiecznym, a ona, choć czuła się silna, nie szukała

kłopotów. Poza tym zamierzała pozostać w Hongkongu jak najkrócej, byle skończyć książkę. Natychmiast potem wróci do Szanghaju, do swojego prawdziwego życia.

- Niestety, ani jednej.

Odłożyła słuchawkę akurat na czas, by złapać upadającą Lily.

Tego tygodnia pani Kung wybrała się w kolejną dłuższą podróż do Chongqing w sprawach Chińskiego Stowarzyszenia Przemysłowego, a także spotkać się z mężem, który w ramach grzecznościowego ukłonu w stronę zachodniego systemu rządu jeszcze niedawno pełnił tam funkcję premiera Rządu Narodowego, nim oddał władzę w ręce wszechmocnego Czang Kaj-szeka. W efekcie Stevie znowu została w Hongkongu sama. Mogła robić, co chciała. Nie było Jishanga, który by ją zabierał na spacer, ani Lily, zarażającej ją swoimi lękami. Unikała klaustrofobicznych spotkań towarzyskich w gronie kolonialistów, a nad książką nie mogła siedzieć bez przerwy. Ciężka jej świadomość, że musi szlifować tekst.

Była stale zmęczona. Zwykle za dnia miała wokół głowy żelazną obręcz bólu, a nocą walczyła z koszmarami. Wracały okropności, które prześladowały ją w dzieciństwie. Nie potrafiła uwolnić się od wspomnień nocy, gdy - drżąc z zimna - szła do sypialni rodziców korytarzem wyłożonym chłodnym linoleum jedynie po to, by odesłali ją samą z powrotem do dziecięcego pokoju. Makabra z przeszłości zaległa się w jej organizmie niczym zjadliwy, niepokonany wirus. W końcu, gdy wreszcie podjęła decyzję, ból zelżał natychmiast.

Szła szybko wąskim chodnikiem nieopodal przystani. Doskonale знаła swój cel.

Drewniane kadłuby dzonek trzeszczały i jęczały, ocierając się o siebie wzajemnie i tworząc chór śpiewający pieśń dezaprobaty. Nie zaglądała tu od tamtej katastrofalnej nocy po pierwszym spotkaniu z panią Kung, ale szybko zignorowała wyrzuty sumienia, że łamie obietnicę daną Jishangowi przy rozstaniu.

Na pierwszej łódce o mało nie straciła równowagi, ale przechodziła z jednej na drugą, coraz dalej...

Do diabła, gdzie to było? W posępnym świetle dnia wszystkie wyglądały tak samo.

Dalej, dalej... Popychała ją obietnica perfekcyjnego odprężenia, osiągalnego jedynie za sprawą opium, stanu błogości, rozmiękczenia świata, zatarcia granic między snem a jawą, zatracenia.

Z początku znajdowała dreszcz emocji w sekretnej naturze swojego związku z Jishangiem. Kryli się z wzajemnym pożądaniem po ciemnych kątach, popołudniami wyjeżdżali na wieś... Nie byli oczywiście ani pierwszą, ani jedyną parą przekraczającą podziały rasowe, lecz normalnie rzecz wyglądała odwrotnie: to mężczyźni z obcego kraju paradowali po koktajl barach i salach balowych Szanghaju z chińskimi przyjaciółkami. Ale Stevie czuła się w tym romansie dość niepewnie, gdyż - poza wszystkim innym - Jishang był żonaty. A ponieważ zapewniał ją, że jego żona ma do takich spraw podejście bardzo tradycyjne, a więc całkowicie obojętny stosunek do kwestii niezwiązanych z domem i rodziną, w końcu postanowiła uwierzyć mu na słowo. W miarę jak mijały kolejne miesiące, stawało się jasne, że ich znajomość wykroczyła poza sferę seksualną i przeobraziła się w związek o znacznie istotniejszym charakterze ze względu na wspólne poglądy. Wtedy zaczęli się pokazywać razem, a owocem ich relacji było czasopismo.

Któregoś dnia Jishang uznał, że w drodze na jakieś spotkanie muszą zajrzeć do jego domu. Chciał odszukać pewną książkę, niezbędną do zilustrowania konkretnego punktu widzenia, który chciał przedstawić. Stevie została na werandzie, z niejakim skrępowaniem słuchając odgłosów rodzinnego życia dobiegających z wnętrza ładnego budynku -

metalicznego stukotu mytych garnków, trzeszczącej płyty z nagraniem *Strange Fruit* Billie Holiday, zwykłych dźwięków wsiąkających w popołudnie. W pewnej chwili wyszła z domu zadbana kobieta ubrana w piękne cheongsam z wysokim kołnierzem, który jeszcze bardziej wydłużał jej i tak smukłą szyję oraz podkreślał proste plecy. Bezwstydnie oszacowała Stevie od stóp do głów, a ta natychmiast zdała sobie sprawę, że ma do czynienia z żoną Jishanga, kobietą, o której mówił zawsze z dumą i szacunkiem. Odrobinę spłoszona zaszurała nogami i wymamrotała słowa

powitania.

- Mąż zaraz przyjdzie - oznajmiła Wu Mei zaskakująco pewnym głosem.
- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy. - Skurczyła się pod spojrzeniem Chinki.

- Jedziemy na spotkanie z drukarzem - zaczęła się niepotrzebnie tłumaczyć.
- Jishang uważa, że tamten nie rozumie, jak najkorzystniej dobrać czcionkę.
Wu Mei uniosła dłonie obronnym gestem.

- Jego zdaniem nikt nie pojmuje rzeczy dość dobrze i tylko on sam potrafi wszystko zrobić jak należy. Nie do zniesienia, prawda?

Stevie pokiwała głową, trochę speszona i trochę przestraszona, że w ogóle bierze udział w tej wymianie zdań. Równocześnie zastanawiała się, czy pani Mei ma pojęcie, z kim rozmawia, czy wie, jakie relacje łączą rozmówczynię z jej mężem.

- Czy zechciałaby pani - podjęła Chinka - zatrzymać męża wieczorem do późna?

Gościmy krewnych. Nie chciałabym, żeby się mieszał w ustalony porządek, bo wtedy wszystko potrwa dwa razy dłużej.

Stevie zaśmiała się nerwowo, kompletnie zaskoczona.

- Zrobię, co będę mogła.

- Jestem pani naprawdę wdzięczna.

Przerwało jej wołanie z domu. Ruszyła do środka, lecz przed odejściem jeszcze się obejrzała.

- Chociaż jest pani chudsza, niż sądziłam.

Połknęła ją ciemność chłodnego domu, a Stevie została na werandzie, skrępowana, choć nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego. Później Jishang tłumaczył jej, że Mei nie widzi w niej zagrożenia dla małżeństwa, skoro i tak kiedyś będzie musiała wyjechać. Inaczej by było, gdyby na jej miejscu była jakaś Chinka, która mogłaby mieć ambicje zostać drugą panią Wu.

Stevie zyskała kolejną sposobność do rozmyślań nad dzielącą ją i Jishanga przepaścią kulturową. Nigdy nie pojęła w pełni pragmatyzmu, z jakim Wu Mei podchodziła do pozamałżeńskiej aktywności męża, ale była jej wdzięczna za to, że zaakceptowała jej obecność w życiu rodzinnym z

nadzwyczajną pogodą ducha.

Odmiennosc Jishanga była dla niej stałym źródłem ogromnego zdziwienia. Mogła godzinami badać zmarszczki na jego skórze. Wszystko, co go dotyczyło, wydawało się cudowne choćby dlatego, że było całkiem nieznane. Gdy zapewnił ją, że dla żony komplementem jest fakt, iż wziął sobie europejską kochankę, i kiedy przyprowadził ją do swojego domu, posadził na honorowym miejscu w głównym pokoju i przedstawił dzieci, podczas gdy służba serwowała herbatę, nie miała ochoty zadawać zbyt wielu pytań - z przyjemnością przeżywała przygodę. Ponieważ znalazła się w zasięgu działania niezrozumiałych dla niej zasad obcej kultury, postanowiła interpretować fakty z własnego punktu widzenia. Dotyczyło to również narkotyków: nędznych palarni opium, wizji narkotycznych i bardzo długich nocy.

Teraz, sama w Hongkongu, na obrzeżach cudzej wojny, niepewna, czy zdoła wykorzystać sposobność, jaką dawało jej napisanie książki o siostrach Song, pragnęła jedynie wyrozumiałego zapomnienia z opiumowej fajki. Tylko ten jeden raz, obiecała sobie, gdy wreszcie odszukała dzonkę ze znajomą kotarą spuszczoną na wejście.

Odgarnęła tkaninę na bok. W łodzi siedziała młoda kobieta karmiąca niemowlę.

Podniosła wzrok i drgnęła zaskoczona. Dziecko wypuściło pierś i z sutka spadło kilka kropli szarawego mleka. Osesek zakwilił rozpaczliwie, a jego głos rozbrzmiał w głowie Stevie rozdzierającym echem. Cofnęła się, opuściła zasłonę. Niewłaściwą zasłonę.

Gdy przechodziła na następną łódź, z kabiny wysunął się Yang. Rozpoznał ją od razu.

- Niemartwa - stwierdził z pokerową twarzą.

- Nie.

Rzucił spojrzenie przez ramię. Był wyraźnie podenerwowany.

- Chcę kupić - oznajmiła Stevie.

- Nie może.

Odwrócił się, gotów zniknąć. Ale Stevie, choć zażenowana z powodu

odmowy, nie miała zamiaru się poddać. Ruszyła za właścicielem łodzi, a gdy odsunął kotarę, zanurkowała do kabiny.

Ogarnęła mroczne wnętrze jednym spojrzeniem, a to, co zobaczyła,omal nie zbiło jej z nóg. Bo przed oczami miała człowieka, którego by się tu w życiu nie spodziewała.

Dziwacznie przekrzywioną głową dotykał sufitu.

Skąd się tu wziął Harry Field? Ze wstydu spiekła raka. Hurtem, za siebie i za niego.

Jak to możliwe, żeby aż tak się pomyliła w ocenie tego człowieka? Major Field, kolega od opium? I zamiast poczuć się swobodniej oraz bardziej komfortowo, zawstydzila się podwójnie.

Cofnęła się błyskawicznie, ale nie uszła nawet kilku kroków, a Harry był już na pokładzie.

- Zachowuje się pani jeszcze bardziej nedorzecznie, niż ludzie gadają - jego głos nabrzmiał złością i pogardą.

- A pan? - rzuciła Stevie trochę w głębi serca wystraszona, ale też jak zawsze zaczepna. - Myślałam, że woli pan alkohol.

Harry był już blisko. Ujął ją za łokieć.

- Cicho, gąsko. Idziemy.

I poszli.

W restauracji panował gwar i ścisk. Przez okno wdzierał się krzykliwy blask neonów.

Goście całymi rodzinami siedzieli przy stolikach stłoczonych na niewyobrażalnie małej przestrzeni. Kłębiła się tu para z wrzątku, dominował brzęk talerzy i królowały lekkie przekąski *dim sum*.

Stevie siedziała wciśnięta w kąt. Harry uwięził ją tam jakimś cudem. Po co? Na wypadek, gdyby chciała uciec? Sam usiadł na sąsiednim krześle, plecami do sali.

- Przecież na pewno pani wie, jakie to niebezpieczne - mówił przyciszonym głosem.

- Co też pani sobie wyobraża?

- Yang sprzedaje dobry towar, w odpowiednim kolorze, nie za suchy i

niezbyt lepki.

Harry ściągnął mocniej brwi.

- Niech pan tak na mnie nie patrzy - obruszyła się Stevie. - Nie jestem uzależniona, przecież pan wie.

- Wcale nie mam pewności - odparł poważnym tonem.

- A pan?

- Ja?

- Tylko proszę mi nie mówić, że pan wie, co robi.

Zaśmiał się zaskoczony.

- Nie, to w ogóle nie dla mnie. Po prostu Yang jest przydatnym człowiekiem, ma różne interesujące wiadomości. Dlatego się widujemy. A pani jak się wytłumaczy? Szczerze mówiąc, jestem rozczarowany. Miałem panią za osobę inteligentną.

Stevie zaczerwieniła się ze wstydu. Nagle uznała, że powinna się wytłumaczyć.

Spuściła wzrok na dłonie, położyła je na lepkim blacie, rozpościerając palce. Nie podnosząc głowy, lekko wzruszyła ramionami.

- Ja chcę wszystko wiedzieć, wszystkiego doświadczyć.

- Doświadczenie to nie to samo co wiedza.

Podniosła na niego wzrok.

- A pan zjadł wszystkie rozumy?

Wytrzymał jej spojrzenie.

- Dlaczego opium?

- Nie mam wtedy ochoty na alkohol, a to już coś. Ale to czasochłonny nawyk, przyznaję. Lubię się rozluźnić, nie przeczę. - Usłyszała we własnym głosie nonszalancję i rozpoznała w niej kolejny nałóg, nad którym zdumiewająco trudno było zapanować. - A swoją drogą, co pan tam robił?

Harry nie stracił rezonu.

- Prowadziłem badania.

- Ja też!

Nie mógł zignorować błyszczących loków spadających na policzki, łagodzących ich zdecydowany zarys.

- Czyżby pani badania dotyczyły szanownej pani Kung albo którejs z pozostałych sióstr Song? Czy to możliwe, że wszystkim nam umknął tłusty kąsek w postaci plotki wartej skandalu? Chyba mi pani nie powie, że zaopatruje najbogatszą kobietę Chin w narkotyki?

Zaraz, a może to przemyślny spisek mający na celu obalenie kierownictwa Kuomintangu?

Czyli jednak pracuje pani dla komunistów!

Stevie słuchała wywodu z niekłamanym podziwem. Gdy major umilkł, jeszcze przez moment się nie odzywała.

- Koniec? - spytała wreszcie.

Harry pokiwał głową z uśmiechem.

- Wobec tego - powiedziała - jeżeli rzeczywiście chce pan wiedzieć, chodzi o tekst, który piszę... - wyhamowała w pół słowa. - Zaraz! Chwileczkę! Skoro pan jest tak dobrze poinformowany, niech się pan sam dowie.

- O, dowiem się z pewnością. Przede mną nic się nie ukryje. Chciałbym też jednak o coś zapytać, z ciekawości. W jaki sposób uzyskała pani dostęp do rodziny Song? To wyjątkowo zamknięty klan. Czyżby pan Wu był z nimi w jakiś sposób spokrewniony?

Stevie natychmiast odzyskała czujność. Nie miała pojęcia, do czego konkretnie zmierza major, ale wyraźnie szukał informacji, a ona nie miała zamiaru dla niego szpiegować, niezależnie od wagi czy rodzaju sprawy. I na dodatek imię kochanka zapiekło ją jak policzek, z różnych powodów, a nie do wszystkich miała ochotę przyznawać się nawet przed sobą.

Założyła ręce na piersi. Miała na sobie sukienkę z cienkiej bawełny.

- Pyta pan, jak uzyskałam dostęp? Otóż stało się to oczywiście za sprawą mojego wrodzonego uroku osobistego.

- Oczywiście. - Harry pociągnął łyk piwa z butelki. - Proszę posłuchać... przejdę do sedna. Musimy wiedzieć, co się dzieje zarówno w kręgach rządowych w Chongqing, jak i w hierarchii komunistycznej. Każdy szczegół, nawet najmniejszy, może się okazać pomocny w uzyskaniu kompletnego obrazu. To jasne, że dysponujemy swoimi źródłami informacji, ale Kuomintang stara się narzucać własną, bardzo szczególną wersję prawdy.

Może by pani...?

- Ściągnął brwi, bo Stevie roześmiała się w głos. Usiadł prosto.

- Pani jest nieprawdopodobna.

Ze mnie się pani śmieje?

- Jest pan przezabawny. Słyszał pan kiedyś o finezji? Zresztą moja odpowiedź, tak czy inaczej, brzmi: nie. Nie będę zdradzała żadnych poufnych wiadomości ani nie wydam swoich informatorów. - Umilkła na moment. - A już na pewno nie Angolowi.

- Mógłbym się zacząć zastanawiać, po czyjej stronie pani stoi.

- Po własnej. Zawsze i wszędzie.

Harry rozważał jej słowa przez chwilę, po czym znowu się ku niej nachylił.

- Może interesują mnie nie tylko informacje.

Serce Stevie przyspieszyło odrobinę. Odezwała się cicho, żeby nie zdradziło jej drżenie głosu:

- Dobry Boże. Czy jest pan tak samo pozbawiony skrupułów jak ja?

- A do jakiego stopnia pani jest ich pozbawiona?

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Dałabym wszystko za dobry temat. Wszystko. Cel uświęca środki.

- Hm... To nie wyjaśnia, przed czym pani ucieka.

Stevie kpiąco wywróciła oczami.

- Dzień dobry, doktorze Freud, a kto pana zaprosił?

- Każdy z nas przed czymś ucieka, inaczej by nas tutaj nie było.

Stevie poczuła się nagle odsłonięta i bezbronna, w jakiś niewytłumaczalny sposób przytłoczona szczerością. Z trudem dobierała słowa:

- Przed niczym nie uciekam. Jestem wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Ale...

- Chwila ciszy. - Jeśli naprawdę chce pan wiedzieć... jestem wystraszona.

Boję się, że nie dam rady napisać książki. Może nie potrafię.

Nie do zniesienia było jego współczujące spojrzenie.

- Nie mogę się doczekać - powiedziała weselszym głosem - kiedy się stąd wyniosę.

Oddałabym wszystko, by wrócić do Szanghaju. - Znowu lekki ton. - Tam

jest jak w raju.

Nie spuszczał z niej wzroku.

- To niedorzeczne. To znaczy, jeśli chodzi o Szanghaj, owszem, jest piękny, bezdyskusyjnie, ale jeżeli chodzi o książkę... Nie rozumiem. Przecież może pani napisać, co zechce. Wiem, bo zachwycałem się pani tekstami, zanim jeszcze zacząłem zachwycać się panią.

Stevie naprawdę czuła piekącą falę gorąca w miejscach, gdzie ich ciała prawie się dotykały: przy kolanach i dłoniach. Nagle Harry'ego chwyciła za nadgarstek jakaś stara kobieta tak pokrzywiona, że niemal zgięta w pół. Raptem wrócili na ziemię. Znow dotarł do nich hałas, a wszechobecny zapach kapusty i ostrych sosów wydawał się znacznie bardziej intensywny niż wcześniej. Starucha miała skórę cienką jak papier ryżowy. Harry wykręcił się do niej, a ona przeciągnęła kościstymi palcami po wnętrzu jego dłoni. Spróbował uwolnić rękę, ale nieznajoma powiedziała coś ochryłym szeptem uwięzionym w zdeformowanym ciele.

Harry spojrzał na Stevie.

- O co chodzi?

Reporterka przetłumaczyła z kantońskiego.

- Pyta, czy się pan boi.

Starucha nadal mamrotała pod nosem, oglądając dłoń Brytyjczyka.

- Mnóstwo kłopotów. Wielka miłość. Rozstanie. Trudne życie.

Puściła go. Gdy Harry wyciągnął z kieszeni monetę, wzięła ją i szurając nogami, przesunęła się, by zaczepić siedzących przy następnym stole.

- I co jeszcze? - spytał Harry.

- Jeśli się nie mylę, przepowiedziała panu wielką miłość i długie życie oraz mnóstwo... szczęścia.

- Wobec tego nie mam się czego obawiać.

Stevie pokręciła głową.

- Nie.

- A pani czego się boi? Poza pisaniem książki.

- Właściwie niczego. Czasami tylko samej siebie.

Czuła na sobie badawczy wzrok majora, znowu gorącą nogę tak blisko

swojej...

Musiała się od tego uwolnić. Wstała, niewygodnie ściśnięta między ścianą a stolikiem, i sięgnęła po żakiet wiszący na oparciu krzesła. Harry także wstał, pomógł jej się ubrać. Nagle znieruchomiała zaskoczona.

- Pan nie zna chińskiego?

- Japoński i portugalski - przyznał, rozkładając ręce.

- To doskonale wyjaśnia, dlaczego armia brytyjska umieściła pana w Chinach.

- Jak najbardziej. - Odsunął się, by zrobić jej przejście obok stolika. - Muszę spytać - odezwał się oficjalnym tonem, bez śladu zażyłości - czy znalazłaby pani dla mnie chwilę.

Ponieważ sierżant Ramsay wspomniał o pani zdolnościach translatorskich, chciałbym panią prosić o przysługę.

Milczała przez chwilę, czując narastające rozczarowanie. Może to faktycznie była tylko zawodowa próba uzyskania informacji. Szalenie trudno było go rozszyfrować, a ona irytująco kręciła się w kółko, choć przywykła, by zawsze być o krok z przodu.

- Rząd Jej Królewskiej Mości będzie zobowiązany.

Zerknęła na niego spod oka, wdzięczna za powrót do żartobliwego tonu, i z przyjemnością ujrzała zwężone uśmiechem oczy.

- Cóż, w tej sytuacji...

Biuro znajdowało się na drugim piętrze niewyróżniającego się niczym budynku w dzielnicy biznesowej. Przez całą drogę Stevie wyraźnie widziała, że brytyjski oficer skraca krok, by mogli iść ramię w ramię. Potem, wracając myślami do tamtych chwil, nabrała przekonania, że już wtedy zdawała sobie sprawę, iż zmierzają do wspólnej przyszłości.

Wszystko miało się zmienić. Tamtego popołudnia wyglądali na parę przyjaciół wracających leniwym krokiem do pracy, na ludzi, którzy nie muszą dużo mówić, by cieszyć się swoim towarzystwem.

Gdy Harry zamknął za nimi drzwi, Stevie omiotła wnętrze spojrzeniem. Na biurku między materialnymi dowodami życia zawodowego stał oprawiony w ramki studyjny portret Sylvii o twarzy wykrzywionej nieodłącznym

posepnym uśmiechem. Stevie odwróciła się gwałtownie.

- Mogę panu poświęcić pół godziny. Idę dziś do kina z Lily. Ona bardzo chce obejrzeć nowy film z Olivierem, chociaż mnie, szczerze mówiąc, niespecjalnie pociąga jego kolejny obraz w bryczesach i koszuli zapiętej pod samą szyję.

Harry spuścił rolety. Chyba po raz pierwszy w życiu przestał myśleć o przyszłości.

Nie pamiętał, co powinien zrobić ani gdzie się znajduje. Zapomniał o swojej bladej, chłodnej żonie. Był skupiony wyłącznie na Stevie.

W pokoju zapanował półmrok, atmosfera zgęstniała, a Stevie zakreśliło się w głowie.

- Wcale nie chodzi o tłumaczenie, prawda?

Odwrócił się do niej i nie powiedział ani słowa. Wytrzymała jego spojrzenie.

- Często będziesz mnie okłamywał?

- Nie. Staram się trzymać tego, w czym jestem dobry.

- Jak uwodzenie?

Wiedziała, że nie będzie się opierała. Jednocześnie każdy nerw w jej ciele rozjarzył się energią.

- Uważaj. Mogę cię sprawdzić, a wtedy pożałujesz. Nie mam wyrzutów sumienia, jeśli chodzi o żonatych mężczyzn.

Harry znalazł się tuż przed nią. Tak blisko. Usta. Oczy.

Tonęła.

- Jak gorąco będziesz przeproszać? - zapytał szeptem.

- Bardzo gorąco.

Jego wargi dotknęły jej ust. Podniósł ją, jakby nic nie ważyła. Jednym zamaszystym ruchem zrzucił z biurka papiery i posadził ją na blacie. Kant mebla wbił jej się w uda. Harry całował ją natarczywie, zachłannie. Twarz przy twarzy. Wspólny oddech. Fotografia Sylvii zsunęła się na podłogę szkłem do dołu.

- Boże, Stevie.

- Będziesz musiał kłamać. Jesteś żonaty.

Złączyli się w jedno. Zgubieni dla świata.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sierpień 1940

W pogodny sierpniowy dzień przez szmaragdowozielone Nowe Terytoria jechał konwój samochodów. Za oknami aut ciągnęły się pola ryżowe pocięte gliniastymi ścieżkami, a kanały nawadniające lśniły niczym okruchy szkła. Jakiś chłop podniósł głowę i spod szerokiego ronda kapelusza przyjrzał się niezwykle długiej kolumnie wozów. Zmrużył oczy zatroskany. Po chwili, gdy zyskał pewność, że jadą dalej, odetchnął z niejaką ulgą.

Nadal jednak odprowadzał je wzrokiem, póki nie zniknęły mu z oczu. Na drugim krańcu świata toczyła się podniebna bitwa o Brytanię, lecz tutaj, na bezchmurnym szarym horyzoncie próżno by szukać echa tamtych krwawych zdarzeń.

Samochody zatrzymały się pod murami Kun Lung Wai, wioski, która podobnego zamieszania nie widziała pewnie od czasów powstania bokserów, czyli od roku 1900.

Prostując kończyny, chłodząc się i na wszelkie sposoby osuszając wilgotną skórę, z czarnych wozów o ogromnych lampach ze znużeniem wydostała się grupa Europejczyków. Od kobiet biła stanowcza chęć działania. Kilku reporterów, którzy wybrali się na tę przejażdżkę, rzucało rozbawione spojrzenia.

Chwilę później na rynku zebrał się już całkiem spory jak na taką wioskę tłum.

Zaciekawieni tubylcy, kilka Europejsek oraz dzieci przyglądali się sobie nawzajem, zachowując grzecznościowy dystans. Na zaimprovizowanym podeście, zbudowanym z kilku desek wspartych na puszkach po oleju, posągowa Phyllis Clarke-Russell zaczęła mówić do mikrofonu. Najwyraźniej

nie zdawała sobie sprawy, że jej głos jest solidnie wzmocniony, bo starała się przemawiać jak najgłośniej. I bardzo wolno.

- Jako przewodnicząca tutejszego oddziału Stowarzyszenia Dobroczynności Kobiet Brytyjskich mam ogromną przyjemność zapoznać państwa, wszystkich mieszkańców Kun Lung Wai, z tą oto apteczką, niezbędną przy udzielaniu pierwszej pomocy.

Jakiś lekko zdezorientowany mężczyzna, reprezentujący nie mniej skonfundowanych mieszkańców wioski, zbliżył się do wątej platformy i wyciągnawszy ręce w górę, wziął od Phyllis metalowe pudełko. Rozległy się rachityczne oklaski zainicjowane przez Sylvię, która darzyła Phyllis żarliwym uwielbieniem, takim samym jak swego czasu wiodącą prymuskę w szkole dla dziewcząt w Surrey. Stojący na uboczu Declan McKenna, w wieku lat dwudziestu pięciu już na wskroś przeziąknięty cynizmem, pochylił się ku Stevie.

- Kto będzie pouczał miejscowych, gdy Stowarzyszenie Dobroczynności zostanie ewakuowane na spieczone słońcem australijskie równiny?

Stevie zaśmiała się w odpowiedzi.

Ostatni raz widzieli się kilka tygodni wcześniej na wojskowej konferencji prasowej. On jako korespondent zagraniczny czasopisma „Irish Times” reprezentował tam dobrych ludzi z Irlandii, ona miała za zadanie opisać, w co się ubierają zagraniczni korespondenci, do dodatku rozpowszechnianego w Stanach. Podobała jej się wewnętrzna siła Irlandczyka oraz fakt, że nie potrafił ukryć wrodzonego optymizmu. Czowała się chroniona przez jego niewyczerpaną jak u tygrysa energię i niezniszczalny entuzjizm.

- Dobry Boże, Declanie, czyżby w Hongkongu ogarnęła cię nostalgia za Chinami?

- Tu są Chiny. Znajdujemy się na kontynencie, nie zauważyłaś?

- Wiesz, o co mi chodzi.

Złapał się za głowę z udawanym przerażeniem.

- Chcesz powiedzieć, że istnieje jakaś część Chin, gdzie jeszcze nie dotarły nasze panie ze stowarzyszenia?

Stevie szturchnęła go żartobliwie, a on udał, że się przewraca, aż musiała

złapać go za rękę i postawić na równe nogi. Powiodła spojrzeniem po rynku. Pod okapami jednego z domów, zgodnie z tradycją pomalowanego na czerwono, dostrzegła Harry'ego pogrążonego w rozmowie z chudym młodzikiem o wysokich kościach policzkowych, ubranym w typowy dla miejscowych wieśniaków strój przywodzący na myśl pidżamę, a składający się z luźnej koszuli i spodni.

Wstrząsnął nią jego widok. Coś ją ścisnęło za gardło. Zaledwie tydzień minął od chwili, gdy szarmancko otworzył przed nią frontowe drzwi budynku biurowego, a równie dobrze mógłby to być rok. Podziękował jej wtedy za pomoc. Nie podniosła na niego wzroku z obawy, że się zdradzi. Jak najszybciej wmieszała się w uliczny tłum. Od tamtej pory nie odbierała telefonów.

Ujrzawszy go teraz niespodziewanie, ze współczuciem i zrozumieniem pochylonego ku ożywionemu rozmówcy, momentalnie wróciła myślami do tamtego dnia. W jednej chwili znalazła się ponownie w tamtym pokoju. Ręce i nogi raptem stały się dziwnie ciężkie, zaskoczyło ją przemożne pragnienie, by go objąć. Przywykła do tego, że sama jest obiektem pożądania. Przyzwyczała się do odbierania hołdów i do rozkoszy, którą dawała jej męska namiętność. Takiej desperacji jednak nie rozpoznawała.

Przestraszyła się.

To Harry usłyszał kroki tuż pod drzwiami pokoju. Musiał zebrać wszystkie siły, by się od niej oderwać i pomóc jej zejść z biurka. Gdy sierżant otworzył drzwi, nadal byli w stanie całkowicie jednoznacznie świadczącym o tym, co zaszło. Stevie nie zdołałaby wydobyć z siebie głosu, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Ken Ramsay od razu zrozumiał, co widzi: papiery na podłodze, dwie postacie w półmroku, major Field z koszulą wyciągniętą ze spodni i dłonią w ochronnym geście ułożoną na plecach dziewczyny... Odkasznął i wycofał się, wyjątkowo mocno skrępowany. Stał na korytarzu i całkiem nie wiedział, co powinien zrobić. Gdy zobaczył, że odsłonięto rolety, oddalił się pośpiesznie, zażenowany, jakby to on się okrył wstydem. Nie miał w słowniku emocjonalnym słów zdolnych określić ten rodzaj zmieszania.

Stevie jakoś udało się opuścić Harry'ego, pokój, budynek... Od tamtej pory robiła wszystko, żeby o tamtym dniu zapomnieć. I w miarę jak mijały minuty oraz godziny, a potem dni, przekonała siebie, że było to jedynie przypadkowe spotkanie, zaskakująca przygoda, owszem, nawet całkiem sympatyczna, lecz nic ponadto. Z perspektywy całego tygodnia wydawała się ona raczej snem niż faktycznym zdarzeniem. Stevie miała wprawę w przelotnych flirtach. Była w tej dziedzinie ekspertem i całkiem jej to pasowało. Nie wyszła za mąż rozmyślnie i niczym odznakę honorową obnosiła swój wolny stan, dumna, że nie wiecie egzystencji w cieniu mężczyzny. Jeśli ktoś pytał ją, dlaczego nie wstąpiła w związek małżeński, serwowała ciętą ripostę, że nie znalazła jeszcze odpowiedniej kandydatki na żonę.

Znowu powędrowała wzrokiem na przeciwległą stronę placu. Harry nadal tam stał, wysoki i smukły, wsparty o ścianę domu, z uwagą słuchając chłopaka. Uświadomiła sobie, że skądś zna tego młodego człowieka. Szczeciniaste włosy i równe łuki brwi wydały jej się znajome. I zaraz sobie przypomniała: to na niego wpadły z Lily któregoś dnia na targu. Był wyraźnie wzburzony, przyjaciółka także. Przedstawiła go jako swojego krewnego, a on szybko zniknął. Właśnie wtedy Stevie nauczyła się, że nie ma sensu wyciągać z Lily jakichkolwiek informacji, którymi dziewczyna nie chce się podzielić. Nie miała najmniejszego zamiaru mówić o chłopaku. Chyba się bała. Wszystko jedno, tak czy inaczej, Stevie nie chciała wtrącać się w jej rodzinne sprawy, więc nie drążyła tematu.

Declan podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Interesy czy przyjemność?

Wzruszyła ramionami.

- Znam tego chłopaka. Ma na imię Chen. Jest kuzynem Lily, a może jej bratem... lub kimś takim.

- Na moje oko wygląda na komunistę.

Chłopak zniknął między domami niczym cień. Harry podniósł wzrok i popatrzył na Stevie, jakby zobaczył ją dopiero teraz. Nie wyszło mu to przekonująco. Długimi krokami ruszył w jej stronę. Przywitał ją chłodnym skinieniem głowy, a z Declanem wymienili uścisk dłoni.

- Ma pan coś dla mnie? - spytał Declan.
- Nic, o czym chcieliby się dowiedzieć czytelnicy „Irish Timesa”.
- Wobec tego same dobre wieści.
- Dla Japończyków z pewnością.
- Cieszę się, że pana znam, majorze, głównie przez wzgląd na pański wybitny optymizm.

Harry roześmiał się swobodnie.

- Jeśli będę miał dobre wieści, pan usłyszysz je pierwszy. - Odwrócił się do Stevie.

- Panno Steiber - odezwał się z nonszalancją zapierającą dech w piersiach - muszę panią o coś zapytać.

Declan, młody, ale nie głupi, przerwał mu bezceremonialnie:

- Faworyzuje pan prasę amerykańską, majorze?

Bez trudu domyślił się natury owego pytania i poczuł ukłucie rozczarowania. Stevie była najładniejszą dziewczyną w okolicy, a do tego obdarzoną rozumem i dowcipem.

Harry uczynił kilka kroków w bok. Stevie rzuciła Declanowi zaskoczone spojrzenie, lecz Irlandczyk nie dał się zwieść. Stanęli na krawędzi rynku, w cieniu bananowca. Stevie była tak oblepiona sukienką, jakby się w niej kąpała. Z pól ryżowych dolatywał lekko skisły zapach.

- Owszem, zgoda - zaczął Harry natarczywym tonem. - Jestem żonaty, a ty masz popisowy romans z Wu Jishangiem. Mogłabyś jednak zdobyć się na minimum grzeczności i odpowiedzieć na moje telefony.

Stevie doskonale zdawała sobie sprawę, że znajdują się pod obstrzałem ciekawskich i potępiających spojrzeń. Nie bez przyczyny załatwiali sprawę publicznie. Czy Harry zamierzał wywołać scenę? Zerknęła nerwowo na Sylwię. Z przejęciem bandażowała jakąś miejscową ochotniczkę, która była całą sytuacją bezdyskusyjnie zachwycona, aż śmiała się głośno przy wtórce radosnych okrzyków przyjaciółek. Sylvia Field, nie bacząc na nic, robiła swoje.

- Co ci strzeliło do głowy? - Stevie nie umiała pohamować gniewu. - Wszyscy patrzą.

- Gdybyś jak normalny człowiek odbierała moje telefony, nie musiałbym rozmawiać z tobą teraz.

- Nie masz prawa do żadnych pretensji.

- Może i nie. Ale ty nie możesz uciekać przede mną bez końca. Co ty sobie wyobrażasz, że będę się zachowywał, jakby nic się nie stało?

- W porządku. Rozmawiamy. Co chcesz powiedzieć?

Harry zawahał się, po czym pokręcił głową.

- Nie wiem.

Stevie wbiła wzrok w ziemię. Sznur mrówek torował sobie drogę w pyle.

- Chyba chciałbym wiedzieć - podjął Harry - czego chcesz. To znaczy... kogo chcesz. I co chcesz zrobić... - umilkł.

- Przypuszczasz, że mogłabym chcieć ciebie? Dlaczego, na litość boską, miałabym chcieć żonatego brytyjskiego żołnierza...

- Oficera.

Zgromiła go wzrokiem.

- Żonatego brytyjskiego oficera, który przy okazji jest opojem? - Wcisnęła ręce w kieszenie. - Fakt, że zdarzyło nam się... zdarzyło się... - zamilkła. - Nie daje ci do mnie żadnych praw.

Miał to być dobijający strzał. Chciała odejść, ale zrobiła tylko krok, bo złapał ją za łokieć.

- Dobrze. Już wiem, czego nie chcesz. Usłyszałem wyraźnie. Wiem też coś jeszcze, a tego się po tobie stanowczo nie spodziewałem. Jesteś tchórzem.

Stevie uwolniła rękę z jego uścisku i kipiąc z gniewu, pognęła z powrotem do Declana. Jak on śmie? Jak on śmie, do ciężkiej cholery?! Ona tchórz? Ona, która żyje, jak chce, nie zwracając sobie głowy obyczajami czy opinią innych? Trudno o gorszą obrazę.

Prychnęła rozzłoszczona. Oto skutki odmowy mężczyźnie, który spodziewa się być kochanym. Natychmiast się taki ucieka do haniebnej zniewagi. Żalotne.

Zanim stanęła obok Declana, czuła się znacznie lepiej.

- W porządku? Masz dla mnie jakiś temat?

- Nie. On... załatwiliśmy niedokończone sprawy. Działo się tu coś przez ten

czas?

- Wskazała demonstrację bandażowania.

Kobiety z wioski nadal świetnie się bawiły, a Sylvia starała się wytłumaczyć im, do czego służy brązowa szklana butla ze środkiem odkażającym. W ostatniej chwili odebrała naczynie kobiecie, która zamierzała z niego pociągnąć łyk. Stevie nie zdołała powstrzymać się od zerknięcia przez ramię na Harry'ego, który stał głębiej w cieniu domów, zatopiony w rozmowie z dwoma Japończykami w garniturach. Ściągnęła brwi. Declan powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Ach, czarujący pan Takeda i pozbawiony czaru pan Shigeo, jeśli się nie mylę.

Stevie była pod wrażeniem.

- Niestety - ciągnął Irlandczyk - są związani z konsulem japońskim i widać ich przy każdej okazji.

Pokiwała głową.

- A oficjalnie?

- Pan Takeda, ten pyzaty, jest reprezentantem japońskich producentów okularów.

- Bardzo stosownie.

- Rzeczywiście. Natomiast pan Shigeo jest zatrudniony przez importera owoców puszkowanych. Tak w każdym razie stoi napisane na jego wizytówce.

Reporterka przyjrzała się uważniej obu mężczyznom. Temu z nadwagą i temu chudemu.

- Wydają się sympatyczni - mówił dalej Declan - ale ja osobiście nie palę się do zawierania z nimi przyjaźni po tym, jak widziałem, co zrobili ich koledzy w innych częściach tego kraju.

Zmrużyła oczy.

- Podejrzewam, że mają tu takie same zobowiązania towarzyskie jak my, czyli żadne.

- Odwróciła się do Declana, zamrugała zalotnie rzęsami i przeszła na raniący uszy akcent z południa. - Oj, oj, oj! Drogi panie McKenna!

Wszystkie te rozmowy o wojnie zepsują przyjęcie!

Declan odpowiedział w jeszcze gorszym stylu:

- Oj, panienko Scarlet, ależ z panienki figlarka!

Była to ich ulubiona zabawa. Wymyślili ją kilka tygodni wcześniej, stojąc na tyłach grupy ludzi zebranych na dłużej się niemiłosiernie odprawie wojskowej. Potrafili ją ciągnąć godzinami.

Nagle usłyszeli krzyki. Podniesione głosy dobiegające z przeciwnej strony placu ściągnęły uwagę wszystkich obecnych. Sylvia przerwała demonstrację i zastygła z agrafkami w uniesionych rękach. Wieśniaczki umilkły, śmiech zamarł im na ustach. Stevie i Declan od razu ruszyli przez tłum tam, gdzie najwyraźniej zaczynała się bójka. Reporterka dostrzegła, że to Chen, krewny Lily, rwie się z pięściami do dwóch Japończyków. Spośród wrzawy wybijał się jeden mocny głos - Harry'ego Fielda, który usiłował załagodzić sytuację.

- Panowie, naprawdę, nie ma takiej potrzeby!

Za późno. Atmosfera nieprawdopodobnie szybko zmieniała się ze świątecznej w groźną. Major starał się utrzymać Chena na długość ręki od Japończyka, ale tłum już stał się groźny. Kilku innych Chińczyków wyraźnie paliło się do bójki. Ktoś kogoś popchnął i zaraz posypały się ciosy. Młodszy i cięższy od kolegi pan Takeda nie radził sobie najlepiej, choć można było odnieść wrażenie, że nie wkłada w walkę całego serca. Przyjął kilka ciosów, na wyciągniętej ze spodni koszuli widniała krew. Pan Shigeo z kolei, starszy i szczuplejszy, żwawo odpłacał pięknym za nadobne. Działał dość skutecznie i szybko spowodował pewne straty wśród Chińczyków. Harry Field robił, co mógł, żeby ich obu bronić, ale sytuacja przybierała coraz gorszy obrót.

Bójce towarzyszyły głośnie krzyki kobiet, kilkoro brytyjskich dzieci zapłakało. Phyllis przytuliła córkę, ukrywając jej twarz w fałdach spódnicy, czym przyjemnie zaskoczyła Margaret, bardziej nawykłą do odpychania niż przyciskania. Dziewczynka próbowała uwolnić się spomiędzy fałd sztywnej bawełny. Ale gdy tylko dotarło do jej przesłoniętych tkaniną uszu ostrzegawcze „Margaret!”, natychmiast się poddała i uległa bliskości matki.

Stevie zadziałała instynktownie - błyskawicznie skoczyła w sam środek burdy.

Widziała Harry'ego wzywającego do zachowania spokoju, ale go nie słyszała w ogólnym harmidrze. Nagle dostała od kogoś pięścią w twarz, tuż obok oczodołu. Na moment straciła słuch, a zaraz potem zjawił się pulsujący ból. Zorientowała się, że oberwała od pana Shigeo, młóćącego rękami gdzie popadło. Zobaczywszy przed sobą jego pociągłą, lśniącą od potu twarz, odwinęła się bez zastanowienia i przyłożyła mu otwartą dłoń. Zapiekło. Obrzucił ją spojrzeniem wyrażającym w równej mierze wściekłość, jak i upokorzenie, aż poczuła lodowaty uścisk strachu. Lecz Shigeo już musiał się skupić na kolejnym napastniku, który go powłókł w przeciwną stronę. Szybko zniknął jej z pola widzenia. Ktoś ją pociągnął do tyłu.

To Declan objął ją jednym ramieniem w talii, a drugą ręką torował sobie drogę w wyjąym tłumie. Puścił ją, gdy się z niego wydostali.

- Niezła rana bitewna! - Gwizdnął z podziwem.

Stevie czuła na twarzy ciepłą wilgoć.

- Brawo! Świetnie! - pokpiwał. - Zyskałaś nowych przyjaciół.

Delikatnie osuszył rozcięcie chusteczką do nosa, nieszczególnie czystą, lecz Stevie nie zwróciła na to uwagi.

- Bez różnicy. Same dranie, jeden gorszy od drugiego.

- Co tam Japończycy! - Declan ruchem głowy wskazał przerażoną Phyllis, która zbliżała się do nich szybkim krokiem. - Znacznie gorzej, że zadarłaś z paniami z dobroczynności.

Stevie uśmiechnęła się i jednocześnie skrzywiła z bólu.

- Tak, to straszne. Masz rację.

Phyllis razem z Margaret wciąż ukrytą w fałdach spódnicy odezwała się tonem w bardzo angielski sposób wyrażającym równocześnie troskę i dezaprobatę:

- Czy wszystko w porządku, panno Steiber? Jest między nami kilka wyszkolonych pielęgniarek.

- Dziękuję, nie potrzebuję pomocy.

Margaret puściła suknię matki na chwilę na tyle długą, by się dokładnie przyjrzeć twarzy reporterki. Phyllis wyraźnie poczuła się urażona odtrąceniem oferowanej pomocy.

- Obawiam się, że będzie pani miała ogromny siniak.
- Przeżyję.
- Och, w to nie wątpię. Pani wybitne talenta przystosowawcze zostały już zauważone i są przedmiotem nieskrywanej admiracji.

Stevie nie zdążyła w pełni docenić podtekstu cierpkiej konstatacji, bo jej uwagę przyciągnął Harry, który wskoczył na niewysoki murek, odsunął na bok gałęzie krzewu peonii rozłożone na kamieniach i coś głośno mówił. Z początku nie bardzo było wiadomo, o co mu właściwie chodzi, ale stopniowo ludzie zaczęli się ku niemu odwracać, więc bitewny zgiełk cichł powoli, aż wreszcie Stevie usłyszała, że brytyjski major... śpiewa. *Cheek to Cheek* Franka Sinatry. Na dodatek przeraźliwie fałszując.

- *W niebie, jestem w niebie! Gdy muzyki rytm do tańca daje znak.*

Donośny fałsz był na tyle zabawny, że tu i tam ktoś z cicha parsknął.

- *Ile szczęścia w nas i tchu mi w piersiach brak, gdy policzek przy policzku tańczy tak [\[1\]](#).*

Jedna za drugą odwracały się ku niemu zaskoczone twarze. Stevie nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego i była pod naprawdę ogromnym wrażeniem. W końcu nastał moment ciszy, a w niej zrodził się nerwowy śmiech. Wola walki osłabła, po czym całkiem zniknęła. Młodzi wioskowi

zapaleńcy powoli się wycofywali. Major Field złożył głęboki ukłon niczym chłopiec na szkolnym koncercie i zeskoczył z murka. Pan Takeda, w dalszym ciągu wyraźnie poruszony, w podzięcie energicznie potrząsnął jego dłonią.

Do Phyllis, która odwróciła się plecami do niedoszłej pacjentki, dołączył jej damski oddział. Panie były rozczarowane, gdyż został im skradziony długo oczekiwany i szczegółowo zaplanowany moment chwały. Całymi tygodniami zbierały się w komitetach, by należycie zorganizować ten jeden wyjątkowy dzień, i z całą pewnością nie miały w starannie wystukany na maszynie programie żadnej bójki.

Stevie wskazała im posiniaczonych i zdenerwowanych ludzi.

- Szczęście, że panie przywiozły apteczki.

Phyllis nie była w nastroju do żartów.

- Zapewne wydaje się pani, że jest dowcipna, ale w rzeczywistości wcale tak to nie wygląda. Po prostu ma pani złe maniery.

Gdy kobiety ruszyły do samochodów, Stevie posłyszała jeszcze słowa Sylvii:

- Harry mówi, że ona jest strasznie inteligentna.

Tylko Angielka potrafi wycedzić słowo „inteligentna” w taki sposób, żeby zawrzeć w nim pogardę.

Declan uśmiechnął się do Stevie szeroko i ruszył w stronę ociągających się, rozeźlonych młodych ludzi.

- Mam swój temat: „Brutalna próba sił na mityngu pań z dobroczynności”. Na pierwszą stronę, bezdyskusyjnie.

Harry’emu zajęło kilka minut dotarcie do Stevie. Stał przy niej i skrzywił się na widok szybko ciemniejącego siniaka na jej policzku.

- Trzymasz się jakoś?

- Nic mi nie będzie.

Ku swemu przerażeniu poczuła klucie łez pod powiekami. Najwyraźniej obszedł jej zabezpieczenia. Cholera jasna. Natychmiast przeszła do ofensywy:

- Jak możesz tak się bratać z Japończykami? To podawanie rąk, te uśmiechy...

- Tak się składa, że to mój przyjaciel. Przeżyliśmy z panem Takedą niejedno.

- Sam widzisz, że takie zachowanie to błąd. To nie jest czysta wojna. To opętańcze, bezlitosne walki. W Szanghaju Japończycy ścinają ludzi tylko za to, że ośmielili się na nich spojrzeć. Dzieci, kobiety, dziewczynki... Wszystko jedno. A jaką broń sobie ukochali?

Przecież wiesz, że nie tracą czasu ani pieniędzy na pistolety i naboje, o nie. Znacznie skuteczniejszy jest gwałt. Świetnie wpływa na morale i pozwala oszczędzać amunicję. Oni to uwielbiają.

Harry uważniej oglądał skaleczenie na jej twarzy.

- Nie wierć się, muszę zobaczyć. - Cmoknął niezadowolony. - Paskudnie to wygląda.

Odrąciła go niecierpliwie.

- Powiedziałam ci, że nic mi nie jest. Ja to widzę całkiem prosto: ten, kto gwałci i morduje, to wróg, a nie przyjaciel, i tyle.

- Zawiozę cię do lekarza.

- Dziękuję, nie trzeba.

Dostrzegła w jego oczach szczerą troskę, więc odrobinę spuściła z tonu:

- Swoją drogą pięknie śpiewasz. Uczą tego w akademii wojskowej?

- Pojedziesz ze mną - zdecydował. - Bądź tak miły, sierżancie - zawołał do Ramsaya, który dyskretnie trzymał się w pobliżu - i zaoferuj swoje usługi kierowcy pani Clarke-Russell i członkiniom komitetu.

Ujął Stevie pod łokieć i poprowadził ją ku samochodom. Większość pań ze stowarzyszenia już skryła się w autach, a warkot uruchamianych silników górował nad szmerem rozchodzącego się tłumu.

- Czy tylko po angielsku nie rozumiesz słowa „nie”? - prychnęła.

- Zabieram cię z powrotem do Hongkongu - oznajmił tonem niedopuszczającym dyskusji. - Na kontynencie stanowisz zagrożenie dla pokoju.

Twarz Stevie rozjaśnił uśmiech.

- Dobrze, już dobrze, złotousty. Skoro nalegasz.

Pozwoliła się poprowadzić do samochodu, zwlekając tylko w celu

zachowania pozorów. W aucie panowała cisza. Po zamknięciu drzwi i wyjeździe z wioski odizolowanie od świata wprowadziło ich w odrętwienie. Stevie oderwała się od rzeczywistości - patrzyła na przesuwające się za oknem rozległe zielone pola jak we śnie. W aucie czuć było olej i czymś wilgotnym, a do tego zastarzałą stęchlizną po perfumach *Je Reviens*. Skóra fotela paliła przez cienką bawełnę sukienki.

Do rzeczywistości wrócili dość gwałtownie, gdy Harry skręcił w boczną, nieutwardzoną drogę.

- Łatwiej będzie jechać przez Tuen Mun, główną trasę - zakpiła.

- Chcesz poprowadzić? - zaśmiał się głośno.

- Nie wolno się ze mnie śmiać! - zaprotestowała z udawanym oburzeniem. - To zabronione. Chyba że powiem coś zabawnego. Wtedy akurat należy się śmiać, i to im więcej, tym lepiej.

Harry wcisnął hamulec, stanęli. Stygnący silnik wydawał z siebie metaliczne trzaski.

Minęła ich jakaś dziewczyna z dzieckiem w chuście na plecach. Nie zwróciła na nich szczególnej uwagi. Tylko dziecko, z piąstką ułożoną pod buzią, przyjrzało się białej kobiecie.

Stevie i Harry utkwili wzrok w przedniej szybie. Milczenie było dziwne. Ciszę przerywało pykanie motoru i krzyki jaskółek krążących nad malowniczymi zielonymi polami.

Harry odezwał się pierwszy, ciągle ze spojrzeniem wbitym w drogę:

- Chcę ci powiedzieć - jego głos brzmiał nienaturalnie głośno - że moje małżeństwo... Ja...

- Daj spokój - przerwała mu Stevie. - Nie będziemy bawić się w zwierzenia. Jesteśmy

na to za starzy, nie wydaje ci się?

Przeniósł na nią wzrok i przyglądał się jej dłuższą chwilę. W końcu skinął głową bez słowa, jakby sam siebie utwierdzał w jakimś przekonaniu, i uruchomił zapłon. Silnik zakaszłał, a po chwili zaskoczył.

- Cokolwiek się stanie - powiedział, wrzucając bieg - nie wolno ci o mnie pisać.

- Zamierzasz być jakoś szczególnie interesujący?

- Stanowczo nie.

Stevie się roześmiała.

- Jeśli człowiek nie chce być uwieczniony w dziele pisanym, powinien się trzymać z daleka od literatów.

Samochód ruszył. Stevie zatrzymała wzrok na samotnym bawole wydeptującym ścieżkę przez równinę.

Na ulicy przed domem Stevie panował względny spokój. Samochód z pomrukiem zatrzymał się przy krawężniku. W drodze prawie nie rozmawiali. Na promie, gdzie za burtami pieniała się niespokojna woda, siedzieli obok siebie tak intensywnie świadomi swojej obecności, że słowa wydawały się namolne. Gdy ruszyli ulicami miasta, Stevie nie spytała, dokąd jadą, a Harry już nie proponował wizyty u lekarza.

Popatrzyła na zwiotczały banner, zwisający z budynku. „Upragniony przystanek”, głosiły litery, a dalej widniało biało-czerwone logo: Coca-Cola. Stevie położyła rękę na kłamce i zdziwiła się, jak chłodny jest metal. W tej jednej chwili oprzytomnienia spojrzała przez ramię na Harry’ego. Siedział z pochyloną głową i wyglądał na znacznie starszego niż w rzeczywistości.

- Nie zamierzasz się popisywać uprzejmością, jak przystało na brytyjskiego dżentelmena?

Odwróciła się z powrotem i zdecydowanym ruchem otworzyła drzwiczki. Gdy postawiła stopę na chodniku, uderzył w nią skwar późnego popołudnia. Zmysły jej się wyostrzyły. Bardziej usłyszała, niż zobaczyła, że za nią idzie.

Stali w drzwiach. Do pokoju wlewało się słońce, budząc połysk metalowego zagłówek od łóżka. Refleksy wody ze szklanki zostawionej na nocnym stoliku drżały na bladozielonych ścianach.

Czuła ciepło jego ciała.

- To się dzieje... - Przepadły gdzieś całkiem niepotrzebne słowa, ulotne jak mgła.

Harry delikatnie zasłonił jej usta dłonią i bardzo wolno wprowadził ją do sypialni.

Pchnął drzwi, żeby się zamknęły. Zamek kliknął niegłośno. Stevie stała bez

ruchu, tylko drżała lekko w rytm uderzeń serca. Harry obszedł ją dookoła, przesuwając wzrokiem po jej ustach, karku, łokciach... Przez okno docierały wyciszone odgłosy ulicy, ale tutaj, w sypialni, istnieli tylko we dwoje: ona i on. W tej kryształowo czystej chwili.

W końcu Harry położył dłoń na plecach Stevie i od tego momentu już nie było odwrotu. Pieszczoty i pocałunki, łagodne i gwałtowne. Dążenie do celu, spełnienie...

Jakiś czas później Stevie otworzyła oczy. Leżała na podłodze, Harry spał obok.

Podniosła się jak najciszej i zaczęła zbierać ubrania. Podbite oko pulsowało bólem, lewe ramię mrowiło, bo na nim leżała. Gdy schyliła się po pończochy, spojrzała na Harry'ego i zamarła w bezruchu. Cerę miał śnieżną, jedynie z cieniem świeżego zarostu, a jego włosy, zamiast tworzyć ciemne obramowanie twarzy, również rozsypały się jasnością. Westchnął głęboko, lecz się nie obudził. Wypuściła z rąk pończochy i usiadła przy nim po turecku. Nie dotykając go, gładziła dłonią powietrze wokół jego rysów.

W pokoju pociemniało. Harry z drgnieniem otworzył oczy. Zaniepokojony usiadł, rozejrzał się dookoła. W wiklinowym fotelu zobaczył śpiącą Stevie z głową przekrzywioną pod dziwacznym kątem. Widział jej pulsującą tętnicę. Wyglądała nieznośnie krucho.

Niepostrzeżenie zrodziło się w nim poczucie winy. Bo i też co on wyprawia, do diaska? Nie dość, że łamie przysięgę małżeńską, to jeszcze sypia z osobą, którą miał obserwować.

Zachowanie fatalne z każdego punktu widzenia. Skompromitował się moralnie i zawodowo.

Wszystko źle.

Tyle że kiedy tak na nią patrzył, wszystko wydawało się jak najwłaściwsze. Świat stanął na głowie.

Wstał po cichu, wolno obciążając nogi. Gdy się prostował, jego wzrok padł na stojące pod oknem biurko. Podeszedł do niego, leniwie przyjrzał się książkom i papierom. Częściowo przykryty listą sprawunków (biskopoty, whisky, cytryny, papier, jajka, naprawić smycz Victora) leżał bilet lotniczy.

Harry wziął go do ręki. Lot do Szanghaju, w najbliższy weekend.

Podskoczył na dźwięk głosu Stevie.

- Przeszukanie?

Nie odwrócił się do niej. Oczy utkwił w cienkim pasku papieru, który trzymał w dłoni.

- Zostań - odezwał się cicho, niepewnym głosem. - Nie wyjeżdżaj. Nie teraz. Proszę.

Zapadła noc. Przez rolety sączyło się stłumione czerwone i niebieskie światło.

Znaleźli się w łóżku. Był w niej, głęboko w środku, zaczął się wycofywać. Przyciągnęła go z powrotem do siebie i szepnęła bez zastanowienia:

- Zostań.

Trochę później leżeli w milczeniu, obejmując się rękami i nogami. Cud zespolenia zagłuszył ich myśli jeszcze na jakiś czas. Żadne nie chciało się ruszyć, bo wtedy świat zacznie pędzić i to szczególne, wyjątkowe coś przypadnie definitywnie. Może na zawsze. Na razie zaś wystarczało za wszystko.

Stevie westchnęła, Harry poczuł na ramieniu jej gorący oddech, palący jak ogień.

- Dlaczego nie chciałaś ze mną rozmawiać po tym w biurze?

Stevie rozdzieliła ich sklezione gorącą wilgocią kończyny, odturlała się na bok.

Milczała.

- Wystarczyłoby uprzejme „dziękuję, nie” - ciągnął Harry. - Nie powinnaś mnie zostawiać bez słowa wyjaśnienia.

Spuściła nogi z łóżka i schyliła się po bieliznę leżącą na podłodze. Bała się, że się rozpłacze, więc zaczęła mówić, szybko. Słowa wpadały jedno na drugie, a ona, nie patrząc na niego, uważnie wsunęła w majtki najpierw jedną, potem drugą nogę.

- Wiem, że nigdy jej nie zostawisz, i wcale tego nie oczekuję. Skoro tak bardzo chcesz wiedzieć, to lubię cię właśnie dlatego, że jesteś żonaty. Natomiast nie przekroczę pewnych granic. Takie wyznaję zasady.

Podniosła sukienkę, przełożyła przez głowę i nie bez trudu wsunęła ręce w rękawy.

- Zasady. - Harry usiadł.

- Możemy się trochę zabawić pod warunkiem, że nikomu nie stanie się krzywda i...

- Nie!

Zabrzmiało to tak ostro, że aż się do niego odwróciła. Zadrżała pod jej piorunującym spojrzeniem.

- To znaczy, tak - poprawił się. - Możemy się zabawić, oczywiście, ale nie o to w tym wszystkim chodzi. Myślę, że nie będzie łatwo... Rozumiesz, co usiłuję ci powiedzieć...? -

Umilkł. - Cholera jasna.

Stevie wsunęła stopy w buty.

- Spokojnie. Nie przeżywaj tak strasznie. Wiem, że jesteś dżentelmenem i tak dalej, ale oszczędź mi, proszę, tej strasznej udręki. Obydwoje wiedzieliśmy, co robimy.

Do tego stopnia zdawała sobie sprawę z ułomności swojego argumentu, że nawet się nie obejrzała od drzwi. Jedyne przystanąła na moment.

- Możesz do mnie zadzwonić, jeśli będziesz chciał - dokończyła. - Odbiorę.

- Dokąd idziesz? - zapytał Harry.

- A co ci do tego? - odparowała, uciekając wzrokiem.

- Jesteśmy w twoim mieszkaniu.



[1] Przekład Wojciecha Młynarskiego.

ROZDZIAŁ ÓSMY

We wnętrzu było niewiarygodnie gorąco i panował taki ścisk, że chyba już ani jeden Europejczyk nie pozostał w Europie - wszyscy zgromadzili się tutaj, w niewielkim klubie nocnym o niskim suficie. Biorąc pod uwagę nawałę ponurych wieści z Anglii, nie byłoby w tym nic dziwnego. Stevie i Declan siedzieli w rogu sali i pili łąb w łąb, przekrzykując muzykę. Alkohol palił w gardle, za jego sprawą Stevie czuła, że żyje.

W pewnym momencie tłum się rozstał i na ułamek sekundy reporterka zobaczyła Harry'ego Fielda. Czy od ich ostatniego spotkania naprawdę minęły zaledwie trzy dni? Bała się tego momentu od chwili, gdy wyszedł z łóżka. Życie zamarło w oczekiwaniu.

Harry siedział przy dużym stole niedaleko rozkołysanego, roztańczonego parkietu.

Rękę oparł na krześle Sylvii, bezwiednie bawił się jej włosami, owijając wokół palca złoty kosmyk. Ten intymny gest zabolął Stevie jak cios nożem.

Może wstrzymała oddech, może w jakiś inny sposób dała coś po sobie poznać, bo Declan powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i w ostatniej chwili, tuż przed tym, zanim tłum zamknął się wokół niego na nowo, dostrzegł Harry'ego. Pokręcił głową. Przecież taka rewelacyjna dziewczyna nie będzie się chyba kleiła do tego chuderlawego Brytyjczyka?

Niestety, w następnej chwili Stevie wstała i minęła stolik, przy którym siedział Harry Field, jak najbliżej, buńczucznie i wyniośle. Major bardziej wyczuł ją, niż zobaczył. Wyczuł jej zapach, gdy mijała jego krzesło, zaalarmowany niczym zwierzę. Przeprosił towarzystwo i wstał. Sylvia, również czujna, chyba dostrzegła, jak skwapliwie przepychał się do wyjścia, lecz pozostała ze znajomymi przy stole.

Na zewnątrz było nieco chłodniej. Stevie czekała w cieniu. Zobaczyła

Harry'ego, gdy wypadł z wąskich drzwi na uliczkę. Spojrzał w prawo i w lewo, a ona poczuła przypływ adrenaliny. Chwilę delectowała się widokiem jego niecierpliwości, namacalnej żądzą, a potem wyszła ku niemu i zaraz znalazła się pod ścianą, przyciśnięta plecami do cegieł, zmiażdżona pocałunkami. Bliżej siebie być nie mogli. Dążyli do stopienia się w jedność.

Jakieś hałasy. Z klubu wypadła na uliczkę grupa znajomych. Oni, w półświecie, pozostawali ledwo widoczni, bezkształtni. Zabrzmiał czyjś ostry, przenikliwy śmiech. Harry popatrzył na Stevie z taką żądzą, że niemal też się roześmiała. Sytuacja była w równej mierze rozpacзлиwa jak absurdalna.

Potem Harry Field przyłączył się do grupy swoich znajomych i razem z nimi odszedł.

Stevie, nadal skryta w głębokim cieniu, odprowadzała ich spojrzeniem, gdy chwiejnym krokiem, niespiesznie podążali uliczką. Harry, wyższy od innych, obejmował Sylwię ramieniem.

Bolało.

Barak odpraw armii brytyjskiej był obszerny, tyle że trudno by się w nim doszukiwać jakiegokolwiek finezji - był wojskowy od piwnic po dach. Wszystkie niewygodne składane krzesła były zajęte, ponieważ przedstawiciele światowej prasy lubili siedzieć w czasie wykonywania obowiązków zawodowych. Stevie natomiast ostentacyjnie stała pod tylną ścianą i słuchała głosu Harry'ego, myślami błędząc wokół dotyku jego ciała. W rękę trzymała otwarty notes, lecz zapisała niewiele. Jishang był głodny wszelkich informacji wojskowych z Hongkongu. W ostatniej depeszy przypomniał jej bez ogródek, jak ważne jest dla niego, by chodziła na wszelkie tego typu spotkania. Czytając ostatnią linijkę wiadomości, nieomal słyszała napominający ją głos z tym niepokojącym angielskim akcentem prosto z wyższych sfer: „Pod żadnym pozorem nie pisz o przygotowaniach do wojny”.

Spojrzała na Harry'ego ponad morzem głów. Słowa Jishanga wracały do niej echem i oblewał ją rumieniec wstydu. Niedokończone sprawy z Chińczykiem budziły w niej wyrzuty sumienia, obiecała więc sobie, że gdy tylko się spotkają, przede wszystkim upewni siebie i jego, że nadal są

przyjaciółmi oraz partnerami. Nie sądziła, by okazał się szczególnie zaskoczony. Najważniejsze jednak było bezwstydne, obsesyjne pożądanie Harry'ego, które obezwładniało ją beznadziejnie.

I oto on: wysoki, smukły, elegancki, w dopasowanym mundurze wojskowym. O głosie budzącym szacunek. W morzu głów dostrzegła też wiecznie rozwichrzoną czuprynę Declana.

- Podsumowując, chciałbym podkreślić, że w razie gdyby doszło do inwazji, co uważamy za wysoce nieprawdopodobne, jesteśmy przeświadczeni, iż sama wyspa oraz należące do niej terytoria utrzymają się na tyle długo, by doczekać interwencji armii chińskiej wspieranej przez siły brytyjskie oraz kanadyjskie. Jesteśmy o tym całkowicie przekonani.

Wstał jakiś łysiejący mężczyzna w dwurzędowym garniturze.

- Z pewnością ma pan podstawy do takiego przekonania, majorze - odezwał się zgryźliwym tonem. - Zapewne rzeczywiście możemy przyjąć, że Japończycy nie zdołają uformować sił zbrojnych zdolnych nam zagrozić, tu się zgadzamy. Ale co z Rosjanami, którzy w tej chwili również z nimi walczą, a są skazani na porażkę?

Tu i ówdzie rozbrzmiał śmiech. Harry zachował powagę.

- Jesteśmy pewni swojej pozycji, szanowny panie, ale byłoby wielkim błędem nie doceniać zagrożenia ze strony wroga. Należy uznać, iż siły zdolne okupować Chiny są potężne i groźne niezależnie od standardów oceny.

- Czy dlatego ewakuujemy kobiety i dzieci?

- Wiele razy podkreślaliśmy, że to jedynie skutek wdrożenia środków ostrożności.

Mimo wszystko należało podjąć takie kroki, chyba wszyscy się z tym zgodzimy.

- Wobec tego nie ma powodów do niepokoju?

- W żadnym razie. Hongkong jest miejscem równie bezpiecznym jak każde inne terytorium należące do imperium Jej Królewskiej Mości i będzie broniony z całą stanowczością, jeśliby tylko zaistniała taka potrzeba. Dziękuję państwu.

Odsunął się od mikrofonu, a w sali zaczął narastać szum głosów.

Reporterzy przeciągali się, zakręcali pióra, zamykali notatniki i zastanawiali, dokąd iść na lunch. Harry Field w drodze do wyjścia uściskał rękę kilku z nim.

Stevie czekała.

- Czy osobiście także jest pan przekonany o zwycięstwie? - spytała, gdy przechodził obok.

- Osobiście... Moim zdaniem Hongkong jest nie do obrony. A przy tym nie ma żadnego powodu, by Chińczycy spieszyli nam z pomocą.

- Mogę pana zacytować?

- A jak pani sądzi?

Uśmiechnął się do niej szeroko, a ona utonęła w tym uśmiechu, aż świat się o niego upomniał i z powrotem go zagarnął.

Stevie poruszała się z prędkością trąby powietrznej. Pracowicie zebrała pełne naręczą porzucanych ubrań, choć w biegu barwne tkaniny wysuwały jej się z objęć. Otworzyła szafę, wrzuciła ładunek do środka i zatrzasnęła drzwi, przycinając niechlujną stertę. W łazience zerknęła w lustro. Z włosami nic się nie da zrobić, ale za to policzki miała zarumienione, a ciemne oczy lśniły. Odkręciła kran, spryskała twarz chłodną wodą. Szybkie mycie zębów będzie musiało wystarczyć. Pod oczami miała wyraźne cienie i zmarszczki od śmiechu znacznie głębsze, niżby sobie życzyła.

Harry zignorował dzwoniący telefon i rzuciwszy stertę papierów na blat, wybiegł z biura. Ken Ramsay, siedzący przy maszynie do pisania, wołał nie pytać, dokąd zwierzchnik tak się śpieszy.

Gdy odezwał się dzwonek, Stevie pędem ruszyła do drzwi, przystając tylko na chwilę, by wepchnąć jakąś przeoczoną parę majtek pod poduszkę na sofie. Victor, usadowiony w kącie, otworzył jedno oko, ale na tym poprzestał, bo miał dość rozumu, by jej nie wchodzić w drogę.

Zanim jeszcze zamknęli drzwi, już zdarli z siebie ubrania. Brytyjski mundur wylądował na podłodze obok sukienki.

Harry, nagi i unieruchomiony, siedział na krawędzi łóżka. Stevie mocno objęła go nogami w pasie. Żadne nawet nie drgnęło. Słyszała bicie jego serca, czuła kwaskowatą słodycz potu wykwitłego z pożądania.

- Kocham cię.

Udała, że nie słyszy.

- Kocham cię - powtórzył.

Zamknęła oczy. Odgrodziła się od niego. I od świata.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Kocham cię. Chcę być z tobą.

- Nic z tego.

Mocniej chwycił ją w tali i podniósł z siebie. Nieomal rzucił na łóżko. Kilka minut później, gdy wychodził, w dalszym ciągu leżała bez ruchu, strzegąc własnego serca.

Gdy trzasnęły drzwi, Victor podniósł wzrok. Stevie tego nie zrobiła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Posiłek udał się doskonale. Lily promieniała z dumy. Matka była mile zaskoczona, gdy córka zaproponowała, że zaprosi amerykańską współlokatorkę. Normalnie skrupulatnie rozdzielała życie rodzinne i pobyt w mieście. Z dala od bliskich chętnie korzystała z możliwości, jakie dawało życie brytyjskiej obywatelce - nosiła spódnice na europejską modłę i pantofle na wysokich obcasach. Nawet quipao wybierała trochę bardziej dopasowane i nieco wyżej rozcięte na bokach. Rodzinie to nie przeszkadzało. Znalazła sobie pracę i dawała im tyle pieniędzy, że wystarczało dla bliskich, a nawet dla krewniaków po sąsiedzku, więc miała prawo decydować, jak chce żyć.

Wizyta Lily w towarzystwie Amerykanki, która miała, niestety, całkiem zwyczajne ciemne włosy, stała się okazją do świętowania. Lily nie zdradziła nikomu, że Stevie jest kochanką Jishanga. Nie wydawało się to konieczne, a przemilczenie trudno było nazwać zbrodnią. Pani Li, matka dziewczyny, czułaby się skrępowana i miałyby spory kłopot z etykietą. Bo jak tradycja nakazywała podjąć kochankę dalekiego, lecz znamienitego kuzyna?

Z pewnością musiałyby pisać w tej sprawie listy i omawiać kwestię przez długi czas. A ponieważ Lily była szalenie bystrą osiemnastolatką, rozumiała, że w tym wypadku przemilczenie będzie korzystniejsze od odsłaniania całej prawdy.

Pokonała długą drogę od domu na wsi do mieszkania w mieście i szczególną przyjemność czerpała z urody własnych pięknie utrzymanych dłoni. Miała długie zadbane paznokcie, zwykle pomalowane na czerwono, a czasem, zależnie od okazji, na kolor różowy z perłą. Dziś były ciemnoczerwone jak ściany jej rodzinnego domu.

Rodzinna wioska Lily leżała mniej więcej godzinę drogi od Hongkongu. Ale gdyby oceniać tę odległość po tempie życia, mogłoby ją dzielić od miasta

jakieś sto lat. Zostawiwszy za sobą brukowane ulice, samochody, neony, reklamy i pośpiech dwudziestego wieku, Stevie poddała się urokowi zwolnionego rytmu: wół ciągnący drewniany wóz drogą między polami, brzęczenie owadów krążących nad głową... Włóczkowy kapelusik na nic się zdał wobec potęgi słońca. Zazdrościła więc miejscowym szerokich słomianych kapeluszy ocieniających całe ciało.

Oto były sielskie Chiny kontynentalne. Kraj rozległy, nieustępliwy i zdumiewający.

Majątek rodzinny Lily w porównaniu z wiejską posiadłością pani Kung był jak szept przy krzyku. Parterowy budynek skulił się u podnóża góry w niewielkiej dolinie. Na otwartej werandzie królował wszechobecny pył, a życie toczyło się w cieniu udręczonego drzewa orchideowego, rosnącego z boku. Stół umieszczono tuż obok obłazącego z kory pnia, wyniesiono też z domu wszystkie krzesła i skrzynie. Dla mieszkańców nastał wielki dzień.

Stevie tymczasem czuła wyraźnie, że zyskała rzadką sposobność przyjrzenia się życiu codziennemu zwykłej wiejskiej rodziny. Lily bowiem nie zrobiła nic, by wyprowadzić ją z błędu. Cieszyła się, że spojrzy na swój wzgardzony dom cudzymi oczami, w dodatku osoby przybyłej z innego kraju. Napawała się każdą, najdrobniejszą nawet pochwałą na temat posiłku, jaki im podano. Bo Stevie zauważała wszystko. Interesowały ją najdrobniejsze, najmniej ważne szczegóły. I choć Lily nie pojmowała jej fascynacji, podobnie jak nie rozumiała rosyjskich powieści w oryginale, to całkowicie zgadzała się ze Stevie, gdy ta podkreślała zalety tego miejsca. I to na razie całkowicie jej wystarczało.

Gdy uprzątnięto talerze i podano herbatę jaśminową, na werandzie znienacka pojawił się jakiś młody człowiek ubrany w luźny strój, najwyraźniej prosto z drogi, bo spodnie miał pobrudzone czerwonym pyłem. Pierwsza dostrzegła go Lily. Machnęła ręką, jakby chciała go przegonić, ale Stevie już podążyła za nią wzrokiem. Od razu rozpoznała Chena, młodego bohatera „bitwy o Kun Lung Wai”, jak zwykli nazywać to wydarzenie z Declanem. Tak, to z pewnością był ten gniewny młody człowiek, z którym wówczas rozmawiał Harry.

- Wybrałeś zły moment - rzuciła Lily po kantońsku.

- Jakie miłe powitanie. I uczta na moją cześć! Nie trzeba było, naprawdę.

Reszta rodziny wyglądała na sparaliżowaną ze zmieszania. Stevie, choć nie rozumiała podtekstu tych słów, doskonale wyczuła zmianę nastroju. Żeby rozładować atmosferę, postanowiła się przedstawić. Wstała i wyciągnęła rękę do młodego człowieka.

- Nazywam się Stevie Steiber, jestem koleżanką Lily z Hongkongu.

Podszedł do stołu, rzuciwszy Lily triumfalne spojrzenie, i ujął dłoń reporterki.

- Chen. Brat Lily.

- Widziałam pana wcześniej. Kilka tygodni temu w Kun Lung Wai.

W jego oczach pojawiła się rezerwa, a rozbawienie zgasło.

- Raczej nie.

- Ależ owszem, jestem pewna. Wywiązała się bijatyka... Pan wcześniej rozmawiał z moim znajomym, majorem Fieldem.

- Nie. - Chen ponownie się uśmiechnął. - Łatwo się pomylić. Jesteśmy dla was wszyscy tacy sami. - Usiadł ciągle spięty. - Tak jak wy dla nas.

Wziął ze stołu czarękę z herbatą i osuszył ją do dna.

- Czy to pani jest tą Amerykanką, która pisze do tego szanghajskiego czasopisma?

- Dlaczego pan pyta? - chciała wiedzieć z przyzwyczajenia i jak zwykle spodziewała się krytyki. Bo i cóż kobieta z obcego kraju może wiedzieć o sprawach chińskich? Co ją one w ogóle obchodzą? Dlaczego miałyby zabierać głos w kwestiach politycznych innego narodu?

Lily, założywszy, że przyjaciółka została obrażona, przysła jej z pomocą:

- Wybacz mu - zaświergotała po angielsku. - Oprych z niego. Nie widzieliśmy go ładnych kilka miesięcy, a szczerze mówiąc, wolelibyśmy, żeby wcale nie wracał.

- Nie ma o czym mówić. Nie przeszkadza mi spotkanie z oprychem od czasu do czasu.

Chen pochylił się ku niej.

- Uważacie się za radykałów - powiedział cicho i z udawanym spokojem,

lecz w jego chrapliwym głosie czaiła się pasja - ale drukujecie tylko puste słowa. Gdzie są fakty na temat Mao? Dlaczego o tym nie piszecie?

- Łamy magazynu mają umożliwić szczerą debatę. Taki jest zresztą jego tytuł, takie zadanie i takie przesłanie.

- Macie obowiązek mówić, co się dzieje naprawdę. Komuniści są demonizowani, chociaż nie robimy nic złego, tylko walczymy o lepsze warunki życia, o godne wynagrodzenie, o przyzwoite godziny pracy, o prawo do głosu w rządzeniu krajem, a sprzeciwiamy się zatrudnianiu dzieci. To przecież podstawowe prawa każdego człowieka.

Pani je ma w swoim kraju, dlaczego nie miałyby obowiązywać u nas?

- Magazyn jest forum dyskusji, a nie podium do wygłaszania mów.

Lily była wyraźnie zirytowana i zawstydzona zachowaniem brata.

- Nie ma potrzeby walczyć z rządem - stwierdziła. - Lepiej się do niego przyłączyć.

- Wracaj do swoich magazynów mody, siostrzyczko - prychnął Chen.

- A swoją drogą, co masz do zarzucenia rządowi? - rozpedziła się Lily. - Przecież właśnie on uwolnił nas od tradycji, której jesteś tak przeciwny. Wszyscy w nim reprezentują nowoczesne myślenie, są naukowcami, poetami i ludźmi starannie wykształconymi, więc powinni lepiej niż pospolici ludzie wiedzieć, co dla nas dobre. To nie jest banda wiejskich głupków, a na dodatek gołowąsów jak ty.

- Sama pani widzi - Chen zignorował siostrę. - Głupcy tak właśnie uważają. A inni muszą patrzeć, jak Kuomintang rozkrada zasoby Chin i ukrywa je w bankach Szwecji albo Ameryki. Nie ma teraz czasu na burżuazyjne dyskusje. Może później. Teraz ludzie muszą wiedzieć, co się naprawdę dzieje.

- Proszę o tym napisać, a my to opublikujemy.

Odwrócił się ze wstrętem.

- Niech pani powie swojemu playboyowi, że Szanghaj nie jest pępkiem świata.

Zniewaga była całkowicie klarowna i trafiła w cel. Stevie zaśmiała się, co było równie obraźliwą odpowiedzią. Lily poróżnowiała ze zdenerwowania. Nie pomagała jej nawet fryzura ułożona sztywno w stylu lansowanym przez

gwiazdy filmowe.

- Chen - syknęła przez zęby. - Zostaw panią w spokoju.

Stevie powstrzymała ją ruchem ręki.

- Nic nie szkodzi. Twój brat ma rację. Komuniści także powinni być słyszani. W przeciwnym razie zostaną odsunięci od głównego nurtu dyskusji.

Chen kiwnął głową, wstał i przeciągnął się.

- Muszę się umyć - oświadczył i poszedł do domu ociężałym krokiem, charakterystycznym dla wszystkich młodych ludzi w każdym zakątku świata, po drodze kopiąc piaszczyste grudy.

Pani Li podreptała za synem, natomiast Lily zasypała Stevie przeprosinami: Chen jest jeszcze bardzo młody, musi się wiele nauczyć, zawsze był niesforny, naprawdę okropny, nie ma pojęcia o manierach, a całe te komunistyczne bzdury trochę wymknęły się spod kontroli...

Stevie zapewniła ją, że nie stało się nic złego i w najmniejszym stopniu nie czuje się obrażona. Odchyliła się na oparcie krzesła. Białe liście drzewa, oglądane w słońcu, były nieomal przezroczyście. Wyraźnie widziała ich szkielety.

Dwa dni później Stevie ukończyła szkic pierwszego wywiadu z panią Kung. Miała powyżej uszu dusznego upału panującego w mieszkaniu, dlatego też postanowiła osobiście zanieść przesyłkę na pocztę. Regularnie wysyłała do Jishanga kolejne strony, a po otrzymaniu jego komentarzy przeredagowywała tekst. Dopiero na koniec zamierzała pokazać swoje dzieło samej pani Kung.

Ucieszyły ją ruch i tłok na ulicach - miła odmiana po godzinach spędzonych samotnie nad maszyną do pisania. Postanowiła zejść jeszcze na targ, kupić makaron, kapustę i może trochę kasztanów wodnych. Miała ochotę wyjątkowo przyrządzić posiłek w domu i tym samym zrobić niespodziankę Lily. Skręciła za róg ulicy i prosto przed sobą ujrzała Harry'ego.

Puściła się biegiem, żeby go dogonić, ale zanim jej się to udało, ze sklepu wyszła Sylvia i ujęła męża pod ramię.

Stevie stanęła jak słup soli. Oczy zaszyły jej mgłą, a kości zaciążyły

ołowiem. Patrzyła za nimi, aż zniknęli w tłumie. Ich bliskość paliła ją żywym ogniem.

Harry odrzucił prześcieradło, lecz nocne powietrze nadal mu ciążyło. Jego żona znajdowała się na drugim końcu lnianego oceanu. Wiedział, że także nie śpi.

- W czasie mojego pobytu w Australii będziesz musiał zdecydować, czego chcesz - powiedziała cicho.

Jakiś czas nasiąkał ciemnością, odpowiedział dopiero po chwili:

- A czego ty chcesz?

Kolejna pauza.

- Mężczyzny, który będzie mnie kochał.

- Rozumiem. - Jej słowa miały druzgocący ciężar.

- Przepraszam.

W wyobraźni widział Sylwię jako młodą dziewczynę. Stała mu przed oczami tak wyraźnie jakby w nogach łóżka. Zawsze była trochę tajemnicza, jak fotografia o rozmazanych konturach. Na tym częściowo polegał jej urok, na tym leciutkim efekcie zanikania, na niedopowiedzianych krawędziach, przez które świat nie poznał do końca jej prawdziwego kształtu. Drobną, jasną, marmurową... W jego umyśle stale pozostawała poza centrum uwagi.

Za sprawą swojej kruchości wydawała mu się odmienna, bardzo kobieca, a więc taka, jaka powinna być. Ich los przypieczętował romantyzm pierwszego spotkania. On był młodym oficerem, dopiero co po awansie, i przyłączył się do regimentu jej ojca w Hampshire. Ona miała dziewiętnaście lat, właśnie skończyła szkołę z internatem i odkrywała swoją władzę w świecie mężczyzn. Była rozchwytywana. Nawet bito się z jej powodu. Już samo to rozpałało w Harrym żądzę zwycięstwa.

I wygrał.

Ich fotografie ślubne stały się komunałem w chwili, gdy powstały. On - przystojny i sztywno wyprostowany, z włosami przyczesanymi tak gładko, że przywodził na myśl fokę, ona - delikatna i ulotna w kremowej koronce oraz welonie długim jak nawa kościelna. Gdy przechodzili pod łukami utworzonymi przez ręce zaproszonych gości, Harry nie czuł w sobie pasji ani

namiętności, lecz radość z wygranej. Jeśli chodzi o Sylwię, to nie potrafiła strząsnąć z siebie mgiełki rozczarowania, że jej moment chwały minął tak szybko. Nie miała też pojęcia, jak chce żyć. Od razu ustalili swoje strefy, których granice przekraczali szalenie rzadko i po wcześniejszym wyraźnym uprzedzeniu. Subtelna postać ich kontaktów intymnych została z jej strony naznaczona rezygnacją, a z jego - strachem. Zawsze miał wrażenie, że jej skóra jest tak delikatna, iż mógłby ją zranić.

I teraz to zrobił.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Harry był prawdziwie rozbity. Nikt, kompletnie nikt nie traktował dość poważnie transkrypcji z tygodnia rozmów między japońskimi siłami okupacyjnymi a kolaboranckim rządem w Nankinie. Nawet Ken Ramsay zbywał je wzruszeniem ramion.

On zaś widział całkiem wyraźnie, że długotrwała polityka Kuomintangu, na którego czele stał Czang Kaj-szek, zakładająca przede wszystkim walkę ze wspierającą komunistów Armią Czerwoną pod hasłem: „Najpierw pokój w kraju, potem walka z najeźdźcą”, pozwalała Japończykom zajmować pozycje coraz dalej na terytorium Chin. Głębokie przekonanie Czang Kaj-szeka, że Japończycy są chorobą skóry, natomiast komuniści przypadłością serca, wyraźnie się nie sprawdzało. Wojska chińskie były źle wyposażone i niewyszkolone, a stawiały czoło jednej z najgroźniejszych, najbardziej agresywnych i brutalnych armii w ciągu ostatnich ośmiu lat. Japończycy nie znali litości także jako zwycięzcy. Stosowali gazy bojowe, bombardowania z samolotów, nie stronili od masakr i gwałtów, wykorzystywali każdą dostępną broń i taktykę. Uciekali się nawet do działań niekonwencjonalnych, ale skutecznych, jak choćby zrzućanie z samolotów pcheł zarazonych dżumą, by wywołać epidemię. Straty były katastrofalne.

Harry znał Japończyków doskonale i wiedział, że nie zrezygnują z dążenia do zwycięstwa, ponieważ było ono wpisane w ich kulturę, mieli je we krwi, a do tego stanowiło dla nich źródło przyjemności. Chiny zostały skutecznie podzielone i osłabione przez lata wojny domowej oraz obronnej. Komuniści właśnie ponowili ataki - wysadzili kopalnię węgla na północy - a między nacjonalistami i komunistami w rządzie wybuchały otwarte konflikty.

Na dodatek było dla niego równie oczywiste, że zaproponowane ostatnio przez Amerykanów embargo na sprzedaż paliwa Japonii zaowocuje

wyłącznie wzrostem agresji jej mieszkańców.

W miarę jak wojna w Europie przybierała na sile, a Brytyjczycy coraz bardziej cierpieli od nocnych nalotów, oczywiste było, że alianci coraz mniej uwagi poświęcali sprawom na Wschodzie.

Odwrócił się do Ramsaya siedzącego przy sąsiednim biurku.

- Rozumiem, że nie widzisz tutaj niczego niepokojącego, ale powiedz mi, czy przyszło ci do głowy zastanowić się, dlaczego to jestem starszym oficerem?

Ken momentalnie poczerwieniał. Harry zdawał sobie sprawę, że jest przykry, mimo to naciskał, bo i w nim rosła frustracja.

- Każde napomknienie o Hongkongu w japońskich przekazach radiowych jest istotne, nawet jeśli nie niesie akurat dosłownego przesłania: „planujemy bombardować miasto, aż się wszystkie białasy usmażą”.

Ktoś gwałtownie otworzył drzwi i Harry obrócił się do nich z groźnym błyskiem w oczach, lecz to Stevie zaczęła mówić pierwsza, pchana furją, która kazała jej biegiem pędzić do biura majora wywiadu.

- Aresztowali Chena. Wy go aresztowaliście. To jeszcze prawie dziecko. O co tu chodzi, do diabła?!

Dwóch mężczyzn spojrzęło po sobie w osłupieniu. Twarz Kena zapewne oblałaby się jeszcze intensywniejszym szkarłatem, gdyby nie to, że już płonęła żywym ogniem. Jego umiejętność zachowania dyskrecji i tak już została poddana ciężkiej próbie w ciągu ostatnich tygodni, gdy major Field flirtował z tą niezależną Amerykanką o dzikim spojrzeniu. Nie miał natomiast bladego pojęcia, jakie zachowanie nakazywała etykieta w obecnej sytuacji.

Podręcznik dobrego wychowania zawiódł go na całej linii.

- Teraz już zabieracie dzieci? Znakomite imperium brytyjskie boi się małego chłopca?

I wy siebie nazywacie mężczyznami? Ha! - Kończący tyradę wykrzyknik wyrażał pogardę w każdym języku świata.

Harry zebrał resztki cierpliwości i odwrócił się do Kena.

- Proszę nam wybaczyć, sierżancie. - Wstał chłodny i opanowany. - Dam

pani dwie minuty, panno Steiber.

Ken z wielką ulgą uświadomił sobie, że właśnie został poproszony o opuszczenie pokoju. W chwili gdy zamknięte drzwi przesłoniły jego szerokie bary, Harry napadł na Stevie:

- Nigdy, ale to nigdy więcej tego nie rób!

- Przestańcie wyprowadzać dzieci z domu pod bronią, a ja nie odezwę się słowem.

- Stevie, to nie jest zabawa.

Obleciał ją strach.

- Wiem, że dla ciebie cały świat jest zabawką - ciągnął - ale są też sprawy poważne.

Trzymaj się idealistycznych debat i pozwól, by dorośli dbali o twoje bezpieczeństwo.

- Podeszedł do drzwi. - Każę cię wyprowadzić.

Stevie doskonale zdawała sobie sprawę, że przekroczyła dopuszczalne granice, i z chwili na chwilę coraz bardziej traciła rezon.

- Nie ma potrzeby.

- Owszem, jest. - Położył dłoń na kłamce. - Chcę mieć absolutną pewność, że wyszłaś.

Reporterka, rozogniona pasją, wskazała wielką mapę świata przypiętą do ściany.

- W swoim wojskowym świecie jesteś człowiekiem uprzywilejowanym. Wiem, że masz mnie za dyletantkę i osobę cokolwiek sfiksowaną, dlatego też jesteś przekonany, że możesz się mnie pozbyć, kiedy i jak ci wygodnie. Tylko... co wiesz o tym, jak ludzie żyją?

Toniesz w papierach, rozwijasz teorie, przeglądasz raporty... A widziałeś mężczyzn i kobiety, zwykłych ludzi na kontynencie, w głębi Chin, którzy dzień w dzień wbrew zdrowemu rozsądkowi walczą o utrzymanie swojej rodziny przy życiu? Widziałeś ich? Ja widziałam i powiem ci, że to przygnębiający widok. Ale też niestety prawdziwy. To są ludzie, Harry.

Normalni ludzie. W końcu to właśnie o nich tutaj chodzi. Więc jeśli ich nie szanujesz i jeżeli zwyczajnie popisujesz się siłą, aresztując chłopców,

ponieważ możesz to robić... - urwała na moment -...przegrasz.

Harry kochał ją w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek, lecz był zdecydowany się nie zdradzić.

- Zgoda, ty idziesz przez życie z szeroko otwartymi oczami i ci szczęściarze, którzy mogli skorzystać z bystrości twojego umysłu oraz twojej nieskończonej mądrości, mają prawo cię wielbić. Tyle że my nie mamy do czynienia z konkursem popularności, ale z wojną.

A teraz, bardzo cię przepraszam, ale muszę wrócić do ochrony konkretnego terytorium.

Nacisnął klawiskę. Stevie nie zamierzała ustąpić.

- A co z Chenem?

- Doskonale wiesz. Jest członkiem wywrotowej komórki komunistycznej i z tego powodu został aresztowany. Poświęcał swój czas na przekonywanie prawomyślnych obywateli Hongkongu, że wspieranie Wielkiej Brytanii jest równoznaczne z popieraniem ciemnych.

Stevie straciła nieco pewności siebie. Artykuł, który Chen napisał do „Szczerzej Debaty”, stanowił wzorcowy przykład dydaktyki, a przy tym wydawał się nieco zbyt dojrzały jak na chłopca, nie zawierał jednak żadnych elementów podburzających, wobec czego oboje z Jishangiem zgodzili się, że jest cenny jako świeży głos w dyskusji. Uwielbienie młodego człowieka dla dowódców tak zwanych walk wyzwoleniczych było w oczy, ale trudno byłoby się dopatrzeć w tym tekście jakiegokolwiek manifestacji antypatii wobec Brytyjczyków.

Wyprostowała się więc buńczucznie.

- Tak? Czyli ma, na co zasłużył?

Harry zamknął drzwi. Starał się mówić spokojnie, lecz nie bardzo mu to wychodziło.

- Zmieniłabyś nastawienie, gdyby ktoś z grona tych twoich prawdziwych, normalnych ludzi, jeden z chińskich sąsiadów, przystawił ci nóż do gardła w mylnym przekonaniu, że dzięki temu Japończycy będą dla niego łaskawszymi panami i zwrócą mu wolność.

- Może właśnie taka jest prawda. Może powinieneś podać w wątpliwość

niektóre własne przekonania? Czy wiesz, co Brytyjczycy zrobili Hindusom w czasie rewolucji?

- To był bunt.

- Wszystko jedno. Kazali im zlizywać krew z dróg.

Przysunął się do niej o krok. Kipiał z oburzenia.

- Mam nadzieję, że tylko udajesz głupią. Wiesz, dlaczego ciągle jesteś w drodze?

Dlaczego nie umiesz nigdzie osiąść? Powiem ci. Ciągłe podróżowanie jest dla ciebie pretekstem, żeby się w nic nie angażować osobiście. Niestety neutralność to luksus, na który nie zawsze można sobie pozwolić. - Odwrócił się od niej. - Gratuluję, znalazłaś sposób na ucieczkę od prawdziwego życia oraz unikanie lojalności wobec czegokolwiek.

Cięły ją te słowa do żywego, ponieważ w głębi serca wiedziała, że Harry ma rację. Spojrzał na nią przez ramię i ponownie otworzył drzwi, tym razem szeroko.

- Nie mogę uwolnić tego chłopaka z więzienia, ale dopilnuję, żeby mu się nic nie stało.

Nadal czuła ból.

- Świetnie ci pasuje ta pretensjonalność - rzuciła, odwracając się w progu.

Poszła korytarzem, nie oglądając się za siebie, ale wiedziała, że on patrzy. I oboje zdawali sobie sprawę, że nie chodziło o sprawy państwowe.

Dzień zaczął się źle.

Wycieczka łodzią zwykle sprawiała Stevie ogromną przyjemność, bo jacht pani Kung był prawdziwym cackiem - z kadłubem z wypolerowanego drewna i obciągniętymi płótnem fotelami, bardziej luksusowymi niż w Metropolitan Hotel. I normalnie Stevie byłaby zachwycona, gdyby cała świat spakowała się i pojechała do podnóża Wzgórza Wiktorii, by wybrać się nim na wodę. Tym razem jednak robiło jej się niedobrze na sam widok fal, zielonych i roziskrzonych jak miniaturowe łańcuchy górskie. Zanim więc całe towarzystwo usadowiło się na poduszkach i jacht wypłynął z przystani, Stevie nabrała tego samego koloru co woda, tyle że roziskrzona nie była z pewnością. Zachowywała niezwykle milczenie, podczas gdy pani Kung oraz

jej damy do towarzystwa gawędziły pod rozkołysanymi markizami.

Wysiedli na kontynencie i ruszyli do wiejskiego majątku, a Stevie nadal prawie się nie odzywała. Co więcej, wbrew oczekiwaniom i ustaleniom nie zabawiała pani Kung. Szczerze mówiąc, była wręcz znudzona. W końcu przyjezdni zebrali się w długim salonie o niskiej powale, ciągnącym się wzdłuż wewnętrznego dziedzińca, rozpalonego do białości przez niemiłosierne słońce. Gdy nadszedł czas na posłuchanie, jakaś starsza kobieta uklękła przed panią Kung, błagając o pomoc. Głos jej drżał, była zrozpaczona, a skończywszy mówić, nie podniosła oczu. Łaskawa cesarzowa wysunęła dłoń i kobieta przesunęła się do przodu, w dalszym ciągu na kolanach, by złożyć na niej pocałunek, po czym, dziękując bez ustanku, niezgrabnie dźwignęła się na nogi i wycofała z pokoju z wzrokiem wbitym w podłogę.

Pani Kung odwróciła się do Stevie, która wraz z innymi kobietami siedziała na jednym z krzesełek ustawionych wzdłuż ściany. Wysoki kołnierz eleganckiej czarnej sukni tworzył obramowanie dla niewzruszonej twarzy arystokratki, wielkie perły w uszach połyskiwały tajemniczo w popołudniowym świetle. Jej słowa zabrzmiały absurdalnie, jak z innego czasu:

- Syn tej kobiety będzie jutro stracony. Nie mogę nic dla niej zrobić.

Stevie musiała przepłoszyć z mózgu uporczywą mgiełkę spowijającą myśli.

- Za co ma być stracony?

- Jest uzależniony od opium. Nie ma dla niego nadziei.

Stevie natychmiast przypomniała sobie czarne ukojenie i poczuła ukłucie pożądania.

Pani Kung przyjrzała jej się uważnie. Przesunęła wzrokiem po rozpuszczonych włosach i nieumalowanej twarzy i nie dostrzegła na niej nawet śladu szminki. Uniosła cienkie brwi o nieskazitelnym kształcie.

- Musisz dbać o siebie - stwierdziła. - Pamiętaj o manierach. Fakt, że inni poddają się niedorzecznej panice związanej z wojną, nie zwalnia nas ze zwykłych powinności. - Wstała.

Pozostałe damy także się podniosły, szurając stopami na drewnianej

podłódze. Pani Kung pozęglowała w stronę drzwi i skinieniem dłoni przyzywała do siebie Stevie.

- Słyszałam, że masz nowego adoratora.

- Jak to... nie wiem... nie... - zająknęła się Stevie. - Od kogo?

Pani Kung przysunęła usta do jej ucha.

- Bądź ostrożna. Gdzie plotki, tam kłopoty. - Ruszyła szybciej, stukając pantoflami na półsłupkach. - Mój mąż oczekuje, że opuszczę Hongkong - oznajmiła głośniej. - Twierdzi, że tu jest niebezpiecznie.

Wszyscy, którzy to usłyszeli, zrozumieli przestrozę. Sytuacja musiała wyglądać naprawdę źle.

- Dokąd pani pojedzie?

- Któż to wie? Może z powrotem do Ameryki.

Sięgnęła ku drzwiom, a one otworzyły się same, pociągnięte przez wszechobecną i czujną, choć zadziwiająco niewidoczną służbę. Pani Kung ponownie zniżyła głos.

- Jeśli będziesz mnie kiedykolwiek potrzebować, Jishang będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć. - Podobna do motyla dłoń na moment osiadła na nadgarstku Stevie. - Mogłabyś być naprawdę śliczna, gdybyś zadała sobie odrobinę trudu.

Stevie nagle zakręciło się w głowie. Chciała coś powiedzieć, ale nogi się pod nią ugięły i osunęła się na podłogę. Zostały tylko mdłości i ciemność.

Widziała zawily ozdobny wzór i czuła tkaninę otomany. Światło raniło oczy, w ustach miała gorycz. Jeszcze walczyła o odzyskanie przytomności, ale już wiedziała, że to nie kac.

Przez krótki moment błogości sądziła, że jest w domu, a ta postać przy oknie to matka. Może nawet słowo „matka” ześlizgnęło jej się z ust. Zatonęła w uldze i ukojeniu, nie chciało jej się nawet poruszyć. W końcu jednak błogość odeszła, bo to pani Kung odchrząknęła, by przejść do rzeczy.

- Konieczna będzie pewna ostrożność.

Stevie zamknęła oczy, by odgrodzić się od słów.

- Ojciec powinien się dowiedzieć. Zwykle jest to wskazane. - Chinka umilkła na moment.

Stevie skupiła się na pulsującym karku.

- Na jakiś czas będziesz musiała zniknąć - podjęła Chinka. - Nikt cię nie będzie oceniał zbyt surowo. Wszyscy wiedzą, że wypadki się zdarzają. To niedogodność, jasna rzecz, ale nie koniec świata. Przyznam, nigdy nie zapomnę narodzin mojego pierwszego dziecka. - Zaśmiała się cicho. - Byłam pewna, że tego nie przeżyję.

Wtedy Stevie, przerażona, wypłynęła z ciemności.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z końcem sierpnia upalne lato oblepiło wszystko, a Stevie zdołała nareszcie zapomnieć o swoich problemach. Ogrom nieszczęścia powodował u niej coś na kształt paraliżu. Godziny mijały niepostrzeżenie i bezowocnie. Potem nagle zjawiała się fala mdłości albo nocą rozbrzmiewał płacz dziecka, a ona natychmiast odzyskiwała świadomość i kuliła się pod brzemieniem strachu. Fakt, że Harry wyjechał na jakiś rekonesans na kontynent (dowiedziała się dość, by zgadywać, że współpracował z dwoma wrogimi odłamami na ziemiach nieokupowanych, poza obszarem Nowych Terytoriów), był dla niej źródłem niewysłowionej ulgi i po raz pierwszy, odkąd go zaakceptowała, ledwo dostrzegała przemijające dni. Jego nieobecność dawała wytchnienie od rzeczywistości.

Słowa pani Kung ciągle brzmiały jej w uszach i dołączały do nich następne. Lily zorientowała się w sytuacji prawie natychmiast, ale nic nie powiedziała. Była bardzo młoda, lecz spostrzegawcza, a ponieważ - nie zapominając o własnych korzyściach - uwielbiała Stevie, była także wyczulona na jej zmiany nastroju. Zauważyła, że współlokatorka ma rankiem coraz większe trudności ze wstawaniem z łóżka, nie umknęło jej też, że nie odchodziła od maszyny w czasie lunchu, a jeśli już w ogóle coś jadła, to tylko ryż, ewentualnie od czasu do czasu miskę zupy. Najważniejszą podpowiedzią jednak okazało się to, że Stevie poniekąd zamknęła się w sobie. Ucichła. Była nawet całkiem spokojna, gdy Victor nasikał jej na jedwabną bluzkę. Nie powiedziała słowa, gdy wieści o wojnie zaczęły rozbrzmiewać głośniejsze. Nie protestowała, kiedy Harry oznajmił, że wyjeżdża na kontynent zapewne na kilka tygodni. Co więcej, była równie cicha i spokojna, gdy w krótkiej rozmowie telefonicznej Jishang zawiadomił ją, iż sam podjął decyzję i wysłał niedokończony szkic powieści do wybranych wydawnictw amerykańskich.

Stevie borykała się ze zmianami zachodzącymi w jej ciele. Za każdym razem, gdy lepka maź mdłości podchodziła jej do gardła, pęczniała w niej nienawiść. Przy każdej okazji, gdy dawały o sobie znać bolesne, spuchnięte piersi, gdy pojawiało się roztargnienie, gdy coś wypadło jej z rąk, czuła się coraz bardziej zdradzona. Zdradzona przez własne ciało. Bez śladu konsultacji to ciało zaangażowało się w przygodę, która jej samej nie dotyczyła i która w dodatku zupełnie nie przystawała do jej potrzeb. Stevie czuła się całkowicie wyobcowana ze swojej cielesnej powłoki. Czasami ze zdziwieniem spoglądała na swoje odbicie w koślawym lustrze opartym o ścianę sypialni. Zupełnie jakby obserwowała kogoś innego. To oddzielenie dobrze jej służyło.

Któregoś dnia, niedługo po rozmowie z panią Kung, postanowiła przenieść na drugą stronę salonu metalową szafkę na dokumenty. Do tej pory mebel stał pod oknem, pełniąc funkcję blokady okiennej, ale tamtego dnia od rana ją irytował. Usiłowała czytać tekst po korekcie odesłany przez Jishanga - jej własny artykuł na temat niewytłumaczalnie agresywnego traktowania przez rząd brytyjski chińskiej populacji Hongkongu, ze szczególnym uwypukleniem kwestii aresztowania Chena, „siedemnastolatka, który być może nieco zbłądził, lecz mimo braku dowodów winy został potraktowany jako agitator komunistyczny i był przetrzymywany w oczekiwaniu na proces w osławionym więzieniu w Stanley” - ale przeczytała jedno zdanie jakiegoś piętnaście razy, nie mogąc w żaden sposób się na nim skupić, i w końcu rozeźlona cisnęła kartki na podłogę, oparła się plecami o szafkę i centymetr po centymetrze przesuwała ją w stronę nowego miejsca, gdy do mieszkania wpadła Lily. Upuściła koszyk z zakupami.

- Co robisz? Oszalałaś? Możesz stracić dziecko! - słowa wyfrunęły jej z ust. Usiłowała je pochwycić, ale było już za późno.

Patrzyły na siebie nad wyszczerbioną szarą szafką, obie jednakowo oszołomione.

Stevie cofnęła się o krok.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Po prostu wiem.

- Od kiedy? Kiedy się zorientowałaś?
 - Bo ja wiem? Ze dwa tygodnie temu.
 - Powiedziałaś komuś?
 - Oczywiście, że nie - odparła Lily oburzona. - A ty?
- Stevie westchnęła i usiadła.
- Nie.
 - Nikomu?
 - Nikomu.

Lily wróciła do drzwi i podniosła koszyk.

- W końcu będziesz musiała.
- Nie jesteś zaskoczona?
- Nie, to twoja sprawa. - Wzruszyła ramionami. - I jego.

Stevie wbiła wzrok w podłogę. Na drewnianej powierzchni widniały zarysowania od nóg szafki.

- Nas jest ośmioro rodzeństwa - rozpędziła się Lily wreszcie uszczęśliwiona, że może mówić. - A siostra urodziła swoje pierwsze dziecko w zeszłym roku, dziewczynkę. Dała jej na imię Lily, po mnie, cudownie, prawda? Byłam przy niej. To niesamowite wydarzenie. Doktor powiedział, że nie da rady wyciągnąć małej, ale w końcu nie było tak źle. - Jedną po drugiej wykladała na stół paczki z jedzeniem zawiniętym w brązowy papier. - Pamiętam, jak krzyczała do położnej: „Zabij mnie! Nie wytrzymam!”. - Komicznie złapała się za głowę.

Prawie rozśmieszyła Stevie.

Płynęły dni, a Stevie na zmianę była to wyciszona i apatyczna, to tryskała szaleńczą energią. W tym czasie tylko jedno przedarło się przez jej otumanienie: rozpacz Lily po odkryciu, że jednak nie jest Brytyjką.

Gdy rząd ogłosił przez radio, że wszystkie dzieci i kobiety brytyjskiego pochodzenia mają obowiązek zarejestrować się w celach ewakuacyjnych, Lily oceniała ten środek zapobiegawczy bardzo surowo. Bo i w imię czego miała opuszczać rodzinny dom, skoro wojna wcale do nich nie dotarła? Przecież rząd utrzymywał stanowczo, że Hongkongowi nic nie zagraża, a więc ewakuacja była całkowicie zbędna. W końcu jednak jako prawomyślna

obywatelka zrobiła, co jej kazano. Gdy wróciła po wyprawie do budynku rządowego, Stevie po raz pierwszy zobaczyła łzy w jej oczach. Okazało się, że jest Brytyjką w stopniu wystarczającym, by płacić podatki, ale za małym, żeby objął ją program ewakuacji. Właśnie taka hipokryzja polityczna normalnie wywoływała u Stevie wybuch gniewu, lecz tym razem reporterka i ciężarna kobieta nie znalazła w sobie na to dość energii. Mimo wszystko przejęła się podłym nastrojem przyjaciółki. Posadziła ją przy stole, zaparzyła herbaty i długo patrzyła na współlokatorkę popijającą napar między jednym chlipnięciem a drugim. Później trzymała ją za rękę w czasie kolejnego napadu płaczu, gładziła po wilgotnych włosach, a czarne pasma opadły Lily na skronie, przywodząc na myśl zdecydowane pociągnięcia pędzlem. W końcu zmoczyła pod kranem jedwabną apaszkę i zawiązała przyjaciółce na głowie.

Gdy Lily w tym dziwacznym jedwabnym turbanie zebrała siły na tyle, by się odezwać, popatrzyła na Stevie ciężko i oznajmiła:

- Od teraz nazywam się Lei-Ling.

Stevie znowu pogładziła ją po dłoni.

- Bardzo ładne imię - oceniła.

- Tak mnie nazwała matka. Oznacza ono, że narobię szumu na świecie.

- Nigdy w to nie wątpiłam. Twoja matka jest bardzo mądrą kobietą.

Lily pokiwała głową, po czym uniosła brodę jeszcze wyżej i upiła łyk wystygłej herbaty.

Wiał porywisty wiatr, a ona tkwiła po szyję w rwącej wodzie. Walczyła o oddech...

Gwałtownie otworzyła oczy.

To przewróciła się szklanka stojąca na szafce nocnej, a woda z niej wylała się jej na ramię. Obok spał Harry. Wstała, podeszła do okna. Było zabezpieczone żelaznymi kratami. W panice pociągnęła za nie, musiała się wydostać. Z głębi piersi wydarł jej się nieludzki krzyk.

Usiadła raptownie, rozdygotana ze strachu. Przez uchylone okno wpływało do sypialni światło dnia. W nogach łóżka podskakiwał Victor. Ani śladu Harry'ego. Najwyraźniej zasnęła w ubraniu. Dłonie spoczywały na

niewielkiej wypukłości brzucha. Jakim cudem, do jasnej cholery, mogło jej się to przydarzyć?

Zerwała się z łóżka, pobiegła do sypialni Lily. Oznajmiła, że muszą natychmiast iść na targ. Gdy Lily zdumiona spytała o cel takiej wyprawy, Stevie wyjaśniła jej, że bezwzględnie musi zjeść liczi, już, natychmiast. Lily nie śmiała protestować.

Na targu jak zwykle mieszały się języki i różne techniki sprzedaży - z jednej strony chińskie, z drugiej - zachodnie. Patrząc na kosze pełne towarów czy przeładowane wszelkim dobrem stragany, nie sposób było się doszukać choćby cienia skutków inwazji. Jakiś handlarz czekał na kupujących przycupnięty za rozchwierutany stoiskiem, na którym piętrzyły się zamknięte w słojach różnorakie słodkości. Obok niego na płocie widniał plakat wołający do przechodniów: „Pij Johnniego Walkera Red Label Whisky”. Ręcznie wypisana tablica przed wąskim sklepikiem informowała z dumą: „Świeża dostawa amerykańskich melonów miodowych i arbuzów z Manili”. Przed kolejnym zwisały z markizy ułożone warstwami wstęgi skręconego suszonego mięsa. Stevie i Lily minęły kolejno szewca, wytwórcę pieczętek oraz stoisko z herbatą wyposażone w bogato zdobiony czajnik. Wokół rozbrzmiewały głośnie okrzyki zachęty. Ignorowały je wszystkie.

Weszły w ulicę Li-Yuen i ruszyły jej zacienioną stroną. W pewnej chwili Stevie zauważyła, że coś poruszyło się w powietrzu, jakby nadpłynęła niewidoczna mgła. Na bazarze wciąż panowały ścisk i gwar, ale coś je przesłoniło. Przy końcu uliczki minęły żonę pracownika ambasady brytyjskiej. Co niesłychane, kobieta płakała, publicznie, na środku ulicy. Do nóg tuliła jej się dwójka małych dzieci, a obok stały walizki niczym blanki muru obronnego. Świat wokół nich kłębił się i płynął wartką rzeką, a oni tkwili w miejscu nieporuszenie. Ewakuacja stała się rzeczywistością. Stevie poczuła chłodny cień wojny powlekający ulicę złowieszczym mrokiem.

Lily pociągnęła ją za rękaw. Stevie jeszcze spojrzała na ewakuowanych.

- Pewnie teraz się cieszysz, że nie jesteś Brytyjką.

- Śmieję się, ile chcesz, ale to nic nie zmieni. Jestem skołowana, bo zawsze myślałam o sobie jako o obywatelce brytyjskiej.

- Posłuchaj dobrej rady: podziękuj Bogu za szczęśliwy zbieg okoliczności i ciesz się swoimi nowiutkimi chińskimi korzeniami.

Lily uważnie ominęła stertę piachu, który spaleni na brąz półnaczy Chińczycy ładowali do worków, i pociągnęła przyjaciółkę w następną uliczkę targowiska, do stoisk z owocami. Tam Stevie dostrzegła na straganie fajkę opium. Przeszedł ją zatrważający dreszcz pożądania... Z trudem oderwała od niej wzrok. Ponieważ znowu zaczęła wzbierać w niej znajoma fala mdłości, stanęła bez ruchu, skupiając się na jej opanowaniu. Lily delikatnie położyła jej rękę na ramieniu. Brwi miała ściągnięte troską.

- Kiedy on wróci?

Stevie wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia.

- Powiesz mu?

Tym razem odwróciła się od dziewczyny do straganu, przy którym akurat stały.

Wzięła w rękę niewielką jadeitową figurkę, nie bardzo ją widząc przez łzy. Powstrzymywała je z trudem. To głupie. Była dorosła i jak na jeden dzień stanowczo wystarczyło już płaczu.

Ale niespodziewana wzmianka o nim musiała wywołać taki efekt.

Pokręciła głową.

- Nie powiem. Nie mogę. Jeszcze sama nie wiem, co z tym zrobię.

Gładziła palcem chłodny, gładki kamień. Lily wyjęła jej figurkę z dłoni i odruchowo zadrapała paznokciem, zostawiając bladozieloną smugę.

- Wiesz, kto to taki? To Kuan Ti. Bóg literatury i działań wojennych.

Oburzony właściciel straganu głośno nakazał jej odłożyć towar na miejsce. Stevie, ciągle ratując się przed mdłościami, uniosła brwi i przyjrzała się figurce.

- Naprawdę?

- Tak. I lombardów. A to nie jest jadeit, tylko kamień mydlany. Steatyt.

Stevie się zaśmiała. W tej samej chwili przez gwar panujący na targu przebił się jak maczeta znajomy głos. Dobiegł tuż zza jej pleców.

- Czarujący.

Wiedziała, kogo zobaczy, zanim się odwróciła. Niebieskie oczy znajdowały

się zbyt blisko, żeby przed nimi uciec, nie dawały szans. Zesztywniała, unieruchomiona mieszaniną strachu i poczucia winy.

- Sukienkę też ma pani bardzo ładną - ciągnęła Sylvia gładko. - Europejska, jak sądzę...

Sama ubrana była w elegancki kremowy komplet. Oszczędnym gestem wskazała nieskazitelną spódnicę.

- Od miejscowego krawca, niestety - stwierdziła z rezygnacją.

Stevie zrobiła krok w bok, chcąc zakończyć spotkanie, ale poczuła na sobie potępiające spojrzenie Lily. Sylvia nadal mówiła:

- Szukam jakiejś pamiątki, którą mogłabym zabrać z sobą do Melbourne. Czegoś niedużego.

- A, tak - odezwała się Stevie nienaturalnie pogodnym głosem. - Słyszałam, że wyjeżdżacie.

Skąpy uśmiech.

- Oczywiście.

- Pewnie to bardzo trudne.

- W zasadzie niespecjalnie. Szczerze mówiąc, od czasu zamążpójścia nie czuję się dobrze. Atmosfera mi nie odpowiada. - Nieco dłuższa przerwa. - Wilgotność.

- Przykro mi to słyszeć.

- To nie pani wina. - Odwróciła się, zawahała i jeszcze raz zawróciła. Stała tak blisko, że Stevie czuła na twarzy jej słodkawy, ciepły oddech. - Niech pani się nim opiekuje.

Odeszła lekkim krokiem i natychmiast zginęła w tłumie.

Stevie skurczyła się pod srogim spojrzeniem Lily. Była rozdygotana, bolała ją każda kość. Pokornie odstawiła małego boga na stragan.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wrzesień 1940

Wrócił bez uprzedzenia. Stevie zorientowała się, że jest, natychmiast po przebudzeniu. Serce biło jej szybko. Szum krwi przeniknął przez sny. Stał, już nagi, w smudze księżycowego światła. Przez jedną chwilę wydawało jej się, że to przybysz z innego czasu, innego świata. Zawołała głośno jego imię, a on do niej podszedł. Ukląkł obok łóżka, ujął jej rękę i pocałował, trzymając ostrożnie, jakby nigdy wcześniej jej nie widział. Dotykał palców, jednego po drugim, każdy budził olśnienie. Wszystko inne pozostało ciemnością, ale jego dotyk był przebudzeniem. Wciągnęła go na łóżko. Jakiś czas leżeli bez ruchu, wyprostowani, skóra przy skórze.

Dzwonek do drzwi w końcu ją obudził. Gdy otworzyła oczy i ujrzała Harry'ego na łóżku, uznała, że to kolejny sen, doskonale udający rzeczywistość, ponieważ zdawało jej się, że czuje dotyk jego skóry na przedramieniu. Dzwonek odezwał się znowu, lecz ona zwlekała, napawając się jeszcze jedną chwilą złudzenia.

Poruszył się. Był tu naprawdę. Przypomniała sobie noc. Dłonie same dotknęły zaokrąglonego brzucha.

Znowu dzwonek.

Sięgnęła po wyblakłą bawełnianą podomkę rzuconą na podłogę. Owinęła się nią ciasno. Jeszcze nie doszła do drzwi, a już słyszała dobiegający zza nich głos Declana:

- Kawy! Potrzebuję kawy!

Oparł się o drzwi całym swoim niebagatelny ciężarem, więc gdy je otworzyła, omal na nią nie wpadł. Wyraźnie było widać, że nie spał.

- Nie mów głośno i bądź tak miła, zaparz mi kawy, a zaraz dojdę do siebie.

Przeszła do salonu, on ruszył tuż za nią mocnym, pewnym krokiem, nieco cięższym z powodu niewyspania. Victor popatrzył na niego ze swojego kąta i dwoma susami przeskoczył na żyrandol. Zawisł tam, nie spuszczać z Declana wzroku. Stevie zauważyła, że Lily zostawiła na stole czajniczek. Dotknęła go - nadal był ciepły.

- Nie możesz zostać długo - powiedziała ochryłym od snu głosem. - Jestem zajęta.

Declan wyciągnął się na otomanie.

- Może gdybym zawisł na żyrandolu, spojrzalabyś na mnie łaskawiej?

Nalała mu letniej herbaty do filiżanki zostawionej przez Lily.

- Nie licz na to. - Podała mu naczynie. - O co chodzi?

- Roztrząsam tę sprawę od dłuższego czasu i w końcu muszę ci powiedzieć wszystko po kolei, więc mi nie przerywaj. Siadaj.

Przysiadła na brzegu stołu. Declan zawsze ją rozweselał. Był zabawny, a do tego w równej mierze nieprzewidywalny, jak i rzetelny. Umiał się bawić, ale nigdy nie tracił z oczu poważnych celów. Potrafił zachować czujność nawet półprzytomny po używkach. A co najwspanialsze, nigdy nie nudził. Czekala, i tym razem także jej nie rozczarował.

- Harry najwyraźniej jest człowiekiem niemoralnym. Dlatego uważam, że powinnaś wyjść za mnie.

Już otworzyła usta, żeby się roześmiać, ale Declan pochylił się do przodu i wyciągnął przed siebie rękę, żeby ją powstrzymać.

- Naprawdę przemyślałem sprawę - oznajmił, patrząc jej poważnie w oczy.

- Ty potrzebujesz kogoś, kto będzie cię kochał. To znaczy mężczyzny wolnego stanu. A ja potrzebuję kogoś, kto się zajmie mną i moją pracą, czyli ciebie. Świetny układ, widać na pierwszy rzut oka. I wcale mi nie przeszkadza, że jesteś starsza. Nawet mi się to podoba.

- Och, Declan... - westchnęła Stevie.

- Czy to znaczy: tak?

- No właśnie? - dobiegło od drzwi sypialni.

Oboje się odwrócili i zobaczyli Harry'ego, a on przenosił wzrok z jednego na drugie.

- Czy to znaczy: tak? - spytał uprzejmym tonem.

Stevie poparzyła na Declana.

- Nie mogę się zajmować twoją pracą. A co z moją? Poza tym co na to wszystko twoja przyjaciółka? Taka miła z niej dziewczyna.

Zdruzgotany Declan wziął się w garść.

- Niech to szlag. Dajesz mi kosza. - Pokręcił głową, wstał, otrzepał spodnie, aby odzyskać panowanie nad sobą, po czym wyprostował się jak struna. - Jasne. - Kpiąco zasalutował Harry'emu. - Idę skombinować jakiś mundur, może to coś da. - Przygarbił się lekko, jak zwykle, i zwrócił do Stevie: - Zadzwoń do ciebie wieczorem, jak ustalone. Jesteś potrzebna na zebraniu pismaków.

Stevie uśmiechnęła się mimowolnie.

- Pewnie.

- Przy okazji: kawa jest fatalna. Zmień dostawcę.

Po chwili zamknęły się za nim drzwi.

- No to w porządku - odezwał się Harry lekkim tonem, przeczącym jego uczuciom.

- Cieszę się, że za niego nie wyjdiesz. Bo to znaczy - podjął już ciszej - że możesz wyjść za mnie. Zanim Sylvia wyjechała, poprosiłem ją o rozwód.

Stevie zadrżała. Co teraz? Podeszła do okna. Na ulicy powiewał banner z ideogramem. Jakiś ptak minął budynek i poleciał dalej.

- W zasadzie to dobra wiadomość - odezwał się znowu Harry, tym razem nerwowym tonem.

Stevie usłyszała własny głos, drżący od udawanego spokoju:

- Nie wyjdę za ciebie. Nie jesteś w moim typie.

- Jak to? O czym ty mówisz? A tobie się wydaje, że jesteś w moim typie?

- Jesteś żołnierzem.

Harry zrobił krok w jej stronę.

- Przecież nie na zawsze. Zamierzam zostać charyzmatycznym wykładowcą uniwersyteckim, cieszącym się wyjątkową sympatią studentów między innymi z powodu ślepego uwielbienia dla żony.

Stevie odwróciła się tyłem do niego.

- Nie mogę za ciebie wyjść. Jestem mężatką.

Harry'emu odjęto mowę. Kilka razy mrugnął, ale na więcej się nie zdobył. W końcu się poruszył.

- Weź rozwód.

Stevie milczała, walcząc z narastającymi mdłościami.

- A tak przy okazji... - rzucił Harry - znam go?

Usiadła na otomanie, tam, gdzie niedawno leżał Declan. Siedzenie było jeszcze ciepłe.

Potrzebowała chwili, żeby wziąć się w garść.

- To Jishang. Pobraliśmy się w zeszłym roku w Szanghaju, żeby Japończycy nie zamknęli „Szczerej Debaty”. Zabronili wtedy Chińczykom wydawania prasy. Jishang jako mąż Amerykanki mógł nadal wydawać magazyn. Poza wszystkim innym i tak nie wierzę w małżeństwo, w całe to bezsensowne, publiczne namaszczenie, więc akurat taki krok wyjątkowo miał sens. Był pragmatyczny. Prawdziwa żona Jishanga nie miała nic przeciwko.

Rozumiała, że robimy to wyłącznie ze względów prawnych. Nie przypuszczam, żeby widziała w tym jakieś zagrożenie dla rodziny. Zawsze była dla mnie bardzo miła. - Czując na sobie jego spojrzenie, podniosła wzrok, zajrzała mu w oczy. - A tak właściwie to jakim typem jestem?

- Jesteś osobą nieznośnie irytującą, igrającą z narkotykami, obdarzoną ostrym językiem i przekonaną, że miłość jest ograniczeniem wolności.

- Bo to prawda - odparła Stevie bardziej gwałtownie, niż zamierzała. - Gdybym cię kochała, musiałabym być z tobą na dobre i na złe, i czułabym się winna, gdyby mi się kiedykolwiek spodobał ktoś inny, a na dodatek byłabym stale dla ciebie miła. Albo wręcz przeciwnie. Co byłoby jeszcze gorsze.

Harry pokręcił głową.

- Jak się człowieka odpycha dość stanowczo, w końcu odejdzie.

Stevie przyjrzała mu się badawczo. Po chwili wstała, podeszła do niego, ujęła go za rękę i położyła ją na swoim brzuchu.

- Skoro już musisz wiedzieć, to jest powód, dla którego nie mogę za ciebie wyjść.

Poza wszystkim innym nie zniosłabym takiego stereotypu.

Harry nie od razu zrozumiał, o co chodzi.

- Jeszcze nie zdecydowałam, co zrobię - podjęła Stevie. Pospiesznie wyrzucała z siebie słowa, które czekały na ujawnienie od tygodni. - Wydaje mi się jednak, że nie jestem na tyle szlachetna, by odmówić sobie dziecka tylko dlatego, że tak należałoby postąpić oraz po to, by uniknąć skandalu i na pewno nie zniszczyć twojej kariery w wojskowości.

- Boże drogi... - odezwał się Harry ochrypłym głosem. - Stevie...

- Nie denerwuj się - powiedziała spokojnie. - Nie panikuj. Cokolwiek postanowię, wobec ciebie nie będę miała żadnych oczekiwań.

Harry delikatnie zasłonił jej usta dłonią. Był zaskoczony, ale wątpliwości nie miał żadnych. Przepełniało go szczęście. Wydało mu się, że oboje nim promienieją.

- Cicho, ciiiicho, ty cholerna wariatko. Oczywiście, że nie musisz za mnie wychodzić, jeśli nie chcesz, ale ja bardzo chcę tego dziecka.

Stevie zabrakło słów. Łzy spłynęły jej po policzkach.

- Jesteśmy dla siebie stworzeni - ciągnął Harry - ty dla mnie, a ja dla ciebie. I nic innego mnie nie obchodzi. Zrobimy, co zechcesz. Pobierzemy się albo nie, zamieszkamy na innym kontynencie, gdziekolwiek. Jednego tylko nie dokonasz: nie przestanę cię kochać.

Opuścił dłoń mokrą od łez, a Stevie zajrzała mu w oczy wielkie ze zdumienia - i coś się w niej przełamało. Z mozołem wznoszony falochron poddał się pod naporem oceanu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Styczeń 1941

Więzienie znajdowało się na odległym krańcu wyspy. Od momentu, gdy kazano im czekać pod bramą, minęła godzina. Chociaż w chwili, gdy tu dotarli, o siódmej rano, panował przyjemny chłód, to mimo środka zimy pogoda z minuty na minutę stawała się coraz bardziej uciążliwa. Stevie znalazła jakąś hałdę żwiru naszykowanego do rozsypania na drodze okrążającej kompleks więzienny i przysiadła na niej w cieniu muru. Ciężki brzuch coraz bardziej dawał się jej we znaki.

Lily była zbyt podekscytowana, by usiąść. Od dłuższego czasu krążyła niecierpliwie, nigdy zanadto nie oddalając się od bramy. W pewnym momencie podjechało kilka pojazdów wojskowych i zaraz zniknęły z zasięgu wzroku. Co niezwykle, żołnierze, którzy z nich wysiedli, a także ci, co do nich wsiedli, wcale nie zwrócili uwagi na dwie samotne kobiety.

Sprawiali wrażenie bardzo zajętych i działających w pośpiechu. Gdy wreszcie brama się otwarła i Lily go zobaczyła, zawołała jego imię. Stevie dźwignęła się na nogi, a Lily ze łzami ulgi w oczach podbiegła do brata, krzycząc ze szczęścia.

Chen był jeszcze chudszy niż wcześniej. Jego młodzieńcza niezdarność bardziej rzucała się w oczy, podkreślona przez fatalny stan włosów i ubrania. Ale w oczach, w których dawniej błyszczał młodzieńczy bunt, Stevie ujrzała teraz zimną pewność. Zmroziło ją to spojrzenie.

- Musisz podziękować Stevie - oznajmiła Lily na wstępie. - Pisała o tobie i rozmawiała z ludźmi. Dzięki niej cię wypuścili. - Pociągnęła Chena w stronę przyjaciółki.

- Dziękuję. - Wysunął rękę. - Jesteśmy wdzięczni za wsparcie.

Ale jego ton wcale nie wyrażał tego, co słowa. Mówił raczej: nie potrzebuję ani ciebie, ani kogokolwiek innego. Dam sobie radę sam.

Podąa mu rękę.

- W zasadzie nic nie zrobiłam - stwierdziła uprzejmie.

- W takim razie dziękuję za nic. - Uśmiezek.

- Jedyne, co mogę, to pisać o tym, co się dzieje. Nic więcej.

Brama otworzyła się ponownie. Sierżant Ken Ramsay stał przez chwilę niezdecydowany, nim ruszył niepewnie w stronę ich trójki. Szczerze powiedziawszy, przy Stevie zawsze był nieswój, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Odchrząknął, tamci zwrócili się ku niemu. Wzrok mu się ciągle jeszcze przyzwyczajał do światła.

- Panno Steiber, przepraszam, ale jest kilka spraw... - zamilkł, nie wiedząc, jak ma wyjaśnić swoje zadanie.

- Tak?

Jak zawsze okazywała mu sympatię, mimo to Ken, ponieważ nie umiał zinterpretować jej uśmiechu, od razu poczuł się zbity z tropu, momentalnie ustawiony na przegranej pozycji.

- Nic, nic, nieważne. Nie ma pośpiechu. Może innym razem.

Lily, obejmująca jedną ręką brata, posłała brytyjskiemu żołnierzowi piękny, leniwy uśmiech. Ten momentalnie spiekł raka.

- Sierżancie - odezwała się Stevie - teraz jest równie dobra chwila jak każda inna.

- Odwróciła się do Lily. - Idźcie już, dobrze? Jeśli nie zdążę na autobus, to wsiadajcie, spotkamy się w mieście.

- Nie czekać na ciebie?

- Nie, nie. Lily, kochanie moje, rozumiem, że możesz być zaskoczona, ale nadal potrafię o własnych siłach wsiąść do autobusu. A tobie przyda się parę chwil sam na sam z bratem.

- No dobrze. Jak chcesz. - Zniżyła głos. - Mam na imię Lei-Ling.

- Oczywiście. Przepraszam.

Lily, nadal obejmując brata, odeszła. Ken odprowadzał ją wzrokiem. Dopiero Stevie przerwała mu kontemplację zgrabnej pupy dziewczyny.

- Przysłano pana, żeby pan mnie ostrzegł.

- Tak... tak - zająknął się Ken, znowu zбитy z tropu. - Skąd pani wie?

Mało się nie roześmiała, widząc jego zaskoczenie.

- Spodziewałam się dyskretnej porady. Od czasu, gdy postanowiliśmy, że urodzę dziecko, wiedziałam, że prędzej czy później ją dostanę. No dobrze. Wykonał pan to trudne, niewdzięczne zadanie. Teraz może pan wrócić i napisać raporcik, w którym stwierdzi pan, że panna Steiber uprzejmie odmówiła współpracy. Konkretnie stwierdziła, że będzie wdzięczna, jeśli rząd brytyjski zechce się trzymać z dala od jej prywatnych spraw, oraz że nie ma zamiaru w żaden sposób degradować pozycji majora Fielda. - Podniosła z ziemi przykurzoną torebkę.

- I co, dało się przeżyć?

Ken odkaszlnął.

- Bardzo przepraszam, ale niezupełnie o to... Cóż... polecono mi zamienić z panią słowo na całkiem inny temat.

- Tak? - zdziwiła się Stevie.

- Wiadomo nam, że zna pani niejakiego Wu Jishanga.

Stevie ściągnęła brwi. Na tym polu czuła się znacznie mniej pewnie.

- Oczywiście, to żadna tajemnica.

Ken zniżył głos do profesjonalnego dyskretnego szeptu:

- Wiemy, że ów dżentelmen przyjeżdża do Hongkongu, by zbierać pieniądze na broń dla komunistów. - Zamilkł na chwilę. - Polecono mi przekazać pani radę, by zachowała pani ostrożność. Zdaje chyba sobie pani sprawę, że w całej kolonii przeważają teraz nastroje histeryczne. Nikt nie wierzy w nasze uspokajające zapewnienia, a przy tym wszyscy znacznie bardziej obawiają się komunistów niż Japończyków. - Kolejna pauza. - Proszę zachować ostrożność. To wszystko.

Stevie opanowały mieszane uczucia. Wiedziała, że Jishang ma swoje sympatie polityczne i prowadzi różnorakie, niekiedy szemrane interesy, ale ich współpraca polegała na upowszechnianiu obiektywnego głosu w kalejdoskopie wzajemnie zwalczających się frakcji, skupiających ludzi o odmiennych światopoglądach. Nie wiedziała natomiast, że był postrzegany

jako dostawca broni dla Armii Czerwonej. Gdyby rzeczywiście tak się sprawy miały, trudno byłoby jej ocenić, co właściwie mogłoby to oznaczać. Ona sama w sposób naturalny przychyliła się raczej ku idei wyzwolenia Chin i czuła antypatię do zagorzałych narodowców, którzy nie dostrzegali agresji japońskiej. Japończycy, Napoleonowie Dalekiego Wschodu, przez całe stulecia byli zazdrośni o Chiny, o swojego wielkiego sąsiada i kuzyna, który zdawał się mieć wszystko: kulturę, język, bogactwa, historyczne pierwszeństwo.

Postawili więc sobie za cel podbicie tego kraju. Zawładnęli nim przez zaskoczenie, wykorzystali ospałe przekonanie Chińczyków, że nic ich nie pokona, nic i nikt, a już na pewno nie dokuczliwi mieszkańcy wysepki zwanej Japonią. Owszem, Chińczycy zgrzeszyli arogancją, lecz nic nie usprawiedliwiało okrucieństwa najeźdźców. Stevie widziała okaleczone, zmasakrowane ciała ofiar wojennych. Ktoś musiał stawić czoło agresorom, a jej było całkiem obojętne kto. Jishang aktywnym komunistą? Wydawało się to mało prawdopodobne, ale miała dość rozumu, by w jego przypadku nie opierać się na domysłach.

Teraz jednak nie dała nic po sobie poznać.

- Rozumiem - powiedziała z miłym uśmiechem. - Dziękuję za ostrzeżenie.

Ken odetchnął z ulgą. Polecenie wykonane. Kiwnął głową i odwrócił się, by odejść.

- Czy Harry wie? - zapytała Stevie cicho.

Przytaknął.

- Rozumiem.

Chwila milczenia.

- Czy ma duże kłopoty... - położyła rękę na wypukłym brzuchu skrytym pod czerwoną sukienką -...z mojego powodu?

Pokręcił głową.

- Proszę się nie martwić. Wszyscy wiedzą, że bez niego nie dalibyśmy sobie rady.

Odetchnęła głęboko słonym powietrzem i wsunęła palce w ciepły piasek. Z miejsca, gdzie leżała, liście palm wyglądały jak śmigła. Z uśmiechem

wyobraziła sobie, że wzbijają się w niezwykle bezchmurne niebo.

- Co cię tak bawi?

Obróciła głowę i zerknęła z ukosa na Harry'ego. Był bez koszuli, spodnie opuścił niebezpiecznie nisko na biodra, a nogawki podwinął prawie do kolan. Wyglądał jak typowy pantoflarz z głupawej pocztówki znad morza, jakie sprzedaje się w kioskach z pamiątkami Brytyjczykom stęsknionym za domem.

- Dlaczego Anglicy tak chętnie widzą siebie w roli błaznów?

- Naprawdę?

Usiadł przy Stevie i odruchowo położył dłoń na jej brzuchu.

- Jak myślisz?! - zawołał do Takedy siedzącego na składanym krześle w cieniu drzewa. - Czy Anglicy są błaznami?

- Nie wszyscy.

Śmiech Harry'ego rozgrzewał ją jak blask słońca, ale nadal nie czuła się całkiem swobodnie w towarzystwie Takedy. Była bardzo zaborcza i zazdrośnie strzegła rzadkich chwil, które miała okazję spędzać z ukochanym. Pracował teraz ciężiej niż kiedykolwiek, więc uważała, że ma prawo nie być zachwycona obecnością w tej sytuacji osoby trzeciej - niezależnie od tego, kim ona była. W zasadzie, gdy przebywała w mieście, nie przeszkadzało jej, że widują się rzadko, ale przy takich wypadach jak dzisiejszy sprawy miały się nieco inaczej. Ich społeczne wygnanie nie sprawiało jej szczególnej przykrości, jednak musiała przyznać, że czasem rola wyrzutka okazywała się trudna do zniesienia. Gdy Harry zaproponował, by zabrali Takedę na plażę, nie bardzo mogła odmówić. Japończyk nie miał rodziny w Hongkongu, a Harry jasno stwierdził, że ich znajomość to coś więcej niż układy zawodowe. Poza tym Takeda zawsze był wobec niej uprzedzająco grzeczny. W zasadzie był też jedną z niewielu osób, z którymi mogli się bezpiecznie spotykać.

- Przynajmniej umiecie się śmiać sami z siebie - rzuciła Stevie lekkim tonem - co swoją drogą dyskwalifikuje was w roli prawdziwych błaznów.

Stwierdzenie to nie było tak niewinne, jak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka, ale obaj mężczyźni byli dość bystrzy, żeby zrozumieć przytyk.

- To prawda - zgodził się Takeda. - My, Japończycy, traktujemy siebie

stanowczo zbyt poważnie. To taka nasza narodowa skaza.

- Może zasługujecie na to - zauważył Harry.

- Nie zawsze, na pewno nie zawsze. - Takeda zaśmiał się głośno. - Jak sobie przypomnę tę scenę z Morioka-sanem... Potem już nie był taki nadęty.

- Cóż, być może. Na dłuższą metę jednak nie odniosłem żadnych korzyści.

- Harry odwrócił się do Stevie. - Morioka-san był naszym instruktorem jazdy. Któregoś razu, gdy kazał mi zmienić siodło, sprawy potoczyły się nie po jego myśli.

- Koń wyrwał mu pasmo włosów.

- Nie miałem w tym swojego udziału.

Stevie szczerze nienawidziła, gdy ci dwaj pogrążali się we wspomnieniach ze wspólnego pobytu w Japonii jeszcze przed wojną. Czuła się wykluczona z rozmowy, a przy tym najzwyczajniej w świecie nie mogła podzielać uwielbienia Harry'ego dla rodaków Takedy.

Usiadła z niejakim trudem. Było stanowczo za gorąco, by długo wytrzymać na plaży, ale piasek i morze to przecież sama przyjemność. Czuła się tutaj odgradzona od niepokojów miasta, a taki rodzaj wytchnienia zdarzał jej się rzadko.

Takeda ciągle się śmiał, wydymając policzki.

- Ja obarczam winą konia, na pewno był europejski. No i nie miał pojęcia o zobowiązaniach społecznych. Był stanowczo zbyt wielkim indywidualistą.

- Rzeczywiście - zgodził się Harry. Uniósł rękę z brzucha Stevie i przeczesał włosy palcami. Z dłoni posypał mu się grad ziaren piasku. - Koń japoński - ciągnął - miałby dość szacunku dla starszego oficera, by się nie ośmielić na takie zachowanie pozbawione respektu.

Stevie ziewnęła.

- Podasz mi wodę?

Harry zanurzył ręce w płóciennym plecaku i wyjął z niego termos. Potrząsnął naczyniem.

- Lud się stopił - ocenił. Kiwnął głową w stronę niedalekiej restauracyjki. - Idziemy?

Gdy Stevie wyciągnęła rękę, pomógł jej wstać. Takeda również się

podniósł. Złożył krzeselko. Po chwili wszyscy razem ruszyli brzegiem morza. Niecodzienne trio: smukły Anglik z plecakiem przewieszonym przez ramię i sandałami w drugiej ręce, skracający krok, by iść ramię w ramię z bosą kobietą o krótkich włosach i wydatnym brzuchu, oraz zmordowany upałem krągły Japończyk. Stevie uznała, że stanowią komiczny widok, znów jak z dziwacznej pocztówki, ale z nikim nie podzieliła się tym spostrzeżeniem. Była szczęśliwa, patrząc, jak stopy jej i Harry'ego zostawiają ślady w ciemnym wilgotnym piasku na granicy lądu i wody.

Chen przeniósł wnikliwe spojrzenie na perfekcyjnie wykonany brzeg wełnianego płaszcza, który trzymał w rękach.

- Niesamowite. Jak oni to robią? Proszę spojrzeć, idealnie. I to w tym podłym świetle...

Harry pochylił się nad tkaniną.

- Rzeczywiście doskonale. - Podniósł spojrzenie na Chena. - Czy to przypadkiem nie jest troska charakterystyczna dla burżuazji?

Chen roześmiał się głośno, odsłaniając drobne równe zęby.

- Można powiedzieć, że polityka i próżność to dwie strony tego samego medalu.

- Bardzo możliwe, ale lepiej, żeby cię nie usłyszał wasz wielki przywódca.

- Mao nie jest tak nieugięty, jak się wydaje. - Chen zarzucił szorstki płaszcz na ramię.

- Ale ja mu nic nie powiem - dodał, zniżywszy głos. - I pan też nie powinien.

Harry uniósł obie ręce w geście zapewnienia.

- Z takim płaszczem nie zmarzniesz w górach - stwierdził. - To znaczy, gdybyś się tam wybierał.

Chen rzucił mu spojrzenie z ukosa.

- Ma pan rację - odparł, starannie dobierając słowa. - Lubię być przygotowany na każdą ewentualność, a podróży przez góry nie sposób wykluczyć.

Harry, nieco przygarbiony pod niskim sufitem u krawca, poklepał Chena po plecach i odwrócił się do wyjścia.

- Powodzenia. I szerokiej drogi.

Wyszedł w jaskrawe światło dnia, zostawiając chłopaka, by zakończył sprawy z bystrookim krawcem o doskonałym słuchu. Gdy Chińczyk po chwili wyszedł ze sklepiku z wetkniętą pod pachę paczką w brązowym papierze, nie był całkiem sam. Podążył za nim Harry, utrzymując bezpieczny dystans i nie spuszczać go z oka.

Prawda wyglądała tak, że do uwolnienia Chena z więzienia doszło nie tylko za sprawą wysiłków Stevie. Jak to zazwyczaj bywało w sprawach dotyczących Harry'ego, również i tutaj istniało drugie dno. Chen był dla niego znacznie bardziej użyteczny, gdy działał, niż wówczas, gdy siedział za kratkami. Ich schadzka u krawca stanowiła jedno z regularnych spotkań. Mimo wszystko Harry uważał, że nie zaszkodzi mieć młodego człowieka na oku także dyskretnie.

Przed mocno pachnącym zakładem fryzjerskim Chen spotkał się z Ping Weiem, wiecznie uśmiechniętym chłopcem o sztywnych, nastroszonych włosach. Rozmawiali swobodnie, popychali się i żartowali całą drogą przez centrum. Na granicy miasta rozdzielili się, a wówczas Harry, cudacznie przyuczajony w drzwiach sklepu z damską bielizną, w mgnieniu oka podjął decyzję, by iść za Ping Weiem, a nie Chenem. Pożałował tego prawie natychmiast, gdyż chłopak chyżymi susami szybko oddalał się od gęsto zaludnionych terenów. Harry uświadomił sobie, iż nie będzie to krótki spacer. I w efekcie zaszedł dalej niż kiedykolwiek wcześniej. Minęli wioskę Tai Long, gdzie rybacy z ludu Hakków na jego widok przerwali pracę. Ich szybkie, sprawne palce zastygły nad sieciami, lecz skoro tylko obcy pozdrowił ich uprzejmie, wrócili do swoich zajęć.

Stroma ścieżka wiła się wzdłuż wybrzeża. Po jednej jej stronie wznosiły się góry, a po drugiej wzrok przyciągały dopływy rzek i strumieni oraz malownicze zatoczki. Daleko w dole grzywacze biły o skałę. Pofalowany kobierzec wody mogli pokonać jedynie najlepsi żeglarze.

Trudno o krajobraz bardziej odległy od nowoczesnego portu w Hongkongu.

Harry miał absolutną pewność, że gdyby podążał za Chenem, ten dostrzegłby go najdalej po wyjściu z wioski Sai Kung. W pewnym momencie

zatrzymał się na środku wąskiej ścieżki i całkiem jawnie patrzył na beztroskiego Ping Weia, który pogwizdując, schodził pewnym krokiem na wąską plażę. Chłopak podskakiwał radośnie, po drodze nawet kilka razy stanął na rękach na miękkim piasku, aż w końcu wszedł do rybackiej chaty, przycupniętej pod nawisem skalnym.

Harry usłyszał szum wodospadu i odszukał strużkę przecinającą ścieżkę. Pochylił się, nabrał w dłonie chłodnej wody. Najpierw długo pił, potem spryskał twarz i kark, aż skóra wróciła do życia, obsypana zimnymi igiełkami kropel. Doszedł do wniosku, że znaleźli się na wschodnim krańcu postrzępionego półwyspu Sai Kung. Nie śpiesząc się, wyrył sobie w pamięci wszelkie szczegóły skromnej kryjówki pod wiszącą skałą, po czym zawrócił do cywilizacji.

Dwa miesiące później przyszła wiosna. Zrobiło się chłodniej i bardziej przejrzyste.

Stevie leżała w łóżku, czekając, aż Harry wróci z pracy. Nie mogła się ułożyć. Najpierw leżała na jednym boku, potem na drugim, ale ciągle było jej niewygodnie. W końcu przewróciła się na plecy i słuchała stłumionych odgłosów z ulicy. Od czasu do czasu rozlegał się warkot silnika samochodowego, niekiedy klekot drewnianych kół rikszy na asfalcie czy miękkie kroki pijaka, wsiąkające w duszną noc. Myślała o Jishangu. Niewiele miała od niego wiadomości od czasu, gdy się pożegnali na lotnisku. Przez pół roku, jeśli chodziło o pilne sprawy związane z magazynem, porozumiewali się za pomocą depech, natomiast pocztą słali

w tę i z powrotem poprawione kopie tekstów. Uczucia intymne ulotniły się gdzieś, nie wiedzieć kiedy. On nie zadawał pytań, ona rewanzowała mu się tym samym. Dawne życie w Szanghaju wydawało się tak odległe, że równie dobrze mogłoby należeć do przeszłości jakiejś innej osoby.

Wreszcie usłyszała zgrzyt klucza w drzwiach i głos Harry'ego:

- Wiem, że nie śpisz.
- Mylisz się.
- Doskonale. W takim razie nie będziesz jadła lodów.

Stanął w progu, unosząc kartonowe pudło z jej ulubionej włoskiej lodziarni.

Jakiś czas później rozścieliły się pod nimi światła miasta. Leżeli na balkonie, nadzy, oboje na plecach, tuż przy sobie. Harry jak zwykle ułożył dłoń na krągłym brzuchu Stevie.

Rozmawiali cicho, prawie szeptem.

- W razie alarmu musisz jak najszybciej dostać się na łódź Yanga.

- Jakiego Yanga?

- Tak, właśnie tego. Tego samego. Jak już wspominałem, ten człowiek ma wiele zalet.

Potrafi nie tylko dostarczać narkotyki. I na tym poprzestańmy.

Zerknął na Stevie z ukosa. Zrobiła urażoną minę.

- Nie mam pewności, która to ta jego łódź. Dawno tam nie byłam.

Harry podparł się na łokciu. Widział w jej ciemnych oczach odbicie lśniącego neonu.

- Stevie, to naprawdę bardzo ważne. Wszystko jest ustalone. Yang będzie czekał.

Przerzuci cię do Makau i przekaze innej osobie, która pomoże ci się przedostać do Republiki Chińskiej. Tam zaczekasz na wiadomości, ale nie dłużej niż tydzień. Jeśli nie dotrą do ciebie żadne wieści, kto inny pomoże ci przedostać się dalej.

- Skąd ta powaga?

- Widzisz, Japończycy nie zawrócili, jak oczekiwaliśmy. Embargo ich rozwścieczyło do takiego stopnia, że w zasadzie potraktowali je jako prowokację. Wszystko wskazuje na to, że zamierzają przestać się bawić w uprzejmości.

- Rozumiem.

- Cholerni politycy. Szkoda, że nie mają pojęcia, z czym musimy się tutaj mierzyć...

Znów miał przed oczami zdjęcie, które widział nie dalej jak tego popołudnia. Jakiś dzieciak, może sześciolatek, siedział na ziemi, trzymając bezwładną rękę matki i patrząc na jej wnętrzności wyciągnięte z tułowia rozciętego od gardła po krocze. Obok stał japoński żołnierz. W jednym rękę trzymał zakrwawiony bagnet, drugą nonszalancko przypalał papierosa.

Stevie nie rozumiała jego milczenia. Uznała je za przejaw gniewu, choć w rzeczywistości był to strach.

- Zbyt długo ich lekceważyliśmy. Najpierw uważaliśmy ich za naśladowców i sojuszników, teraz sądzimy, że są słabi. Ale ja wiem swoje. I nie widzę wyjścia. Kapelusze z piórami i orkiestra wojskowa nas nie ocala. Rozumiesz?

- A co ma do powiedzenia twój przyjaciel, pan Takeda?

Normalnie Harry nie dałby się jej sprowokować. Nie rozumiała jego układów z Takedą i nic dziwnego. Zresztą sam miewał kłopoty z rozwikłaniem własnych uczuć w tym względzie, dlatego bardzo rzadko je zgłębiał. Ale kiedy już mu się to zdarzało, widział dawne czasy w formie krótkich scen, ładnie oprawionych błyszczących fotografii: wąska uliczka rozjaśniona barwnymi kimonami kobiet, przywodzących na myśl kolibry, ciche podwórze zasłane bladoróżowym kwieciem, jakby płatki śniegu przetrwały w słońcu, parująca miska klarownego rosółu w ciasnej przegrzanej jadalni, uśmiech na poczerwieniałej twarzy młodego Takedy, który wygrał starcie na ringu bokserskim. Jeżeli jednak folgował tym myślom zbyt długo, ogarniała go dziwna gorączka. Wspomnienia tamtych dni spędzonych w Japonii zostały ukryte w najbardziej niedostępnym zakątku umysłu. Miał wrażenie, że czaiły się na niego w mroku. A jednocześnie były mu bliskie i nie życzył sobie żadnego cienia na tych rozpromienionych szczęściem czasach młodszej przygody.

- Wiem, wiem, jest czarujący i dla ciebie wyjątkowo użyteczny.

- Jest jednym z najlepszych ludzi, jakich znam.

Nie potrafił na nią spojrzeć w tej chwili, ale właściwie nie musiał. Doskonale wiedział, że ze zdziwienia miała oczy wielkie jak spodki. Nie odezwała się słowem.

- Przecież nie zaliczasz się do tych - odezwał się po chwili - którzy skłonni są gardzić całym narodem z powodu zachowania jego poszczególnych obywateli. Masz dość rozumu, by nie czuć się osobiście odpowiedzialna za rzeź Indian. A może potajemnie obwiniasz mnie o okrucieństwa wojen burskich?

- Oczywiście, że nie. Nie o to chodzi.

Chciała mu wytłumaczyć, dlaczego źle się czuje w towarzystwie Takedy, chociaż ten zawsze był wobec niej uprzejmy i taktowny. Ale jakoś nie potrafiła ubrać swojego niepokoju w słowa.

- Ty się lepiej przyznaj - zakpiła wobec tego. - Po prostu chcesz się mnie pozbyć.

Niestety na to już za późno, drogi panie!

Nie podjął swobodnego tonu. Był spięty i skupiony.

- Posłuchaj mnie, Stevie. Jesteśmy na wyspie. Musisz wiedzieć, że nie powstrzymamy Japończyków, a przy tym nie ma żadnego powodu, dla którego tutaj mieliby się zachowywać inaczej niż gdzie indziej. Widziałaś ich w Szanghaju.

Widziała. Lecz żalosna buńczuczność żołnierzy kroczących przez strefy międzynarodowe tamtego miasta nie kazała się domyślać piekła, jakie rozpętali w innych częściach Chin. Czytała wstrząsające raporty naocznych świadków i wiedziała, że nigdy ich nie zapomni.

Zaczerpnęła tchu.

- Nie boję się. Wszystko jedno, co powiesz, ja się nie boję.

Wyciągnęła ramiona do nieba. Gwiazdy błyszcząły jej między palcami.

- Przez całe życie uciekasz. Wreszcie masz szansę zrobić to z jakimś sensem. - Ujął ją za rękę. - Obiecuj mi, że gdy ci powiem, że nadszedł czas, ruszysz w drogę.

Spojrzała na niego.

- W grę wchodzi - dokończył - nie tylko twoje życie.

To był cios poniżej pasa, doskonale o tym wiedział. Odepchnęła jego rękę i usiadła z trudem. Musiała się oprzeć o ceglaną ścianę, żeby zrobić miejsce dla zaskakująco dużego brzucha. W ciężkim powietrzu zalegał szum ulicznego ruchu. Cegły nadal oddawały ciepło dnia, przynosząc ulgę jej bolącym plecom. Poczowała kopnięcie dziecka.

- Już nigdy nie będziemy sami - odezwał się Harry głosem bez emocji. - Zawsze będzie mały Winston, Mabel czy kto tam.

- Będziesz tego żałował?

- Bo ja wiem? Możliwe.

Poprawiła się znowu.

- Gdy się poznaliśmy, szpiegowałeś mnie, prawda?

Harry nie odpowiedział, co samo w sobie było wymowne.

- Nie masz prawa mi mówić, co robić.

- Jakbym o tym nie wiedział... - westchnął.

Na moment zapadła cisza. Stevie ujęła jego rękę.

- Dobrze.

- Co: dobrze?

- Jeśli będzie trzeba, pójdę na łódź Yanga. - Spojrzała Harry'emu prosto w twarz.

- Zadowolony?

Uśmiechnął się szeroko. W bladym świetle nocy jego zęby rozbłysły bielą. Stevie pokręciła głową.

- Na co nam przyszło... A tak dobrze się bawiliśmy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kwiecień 1941

Słyszała krzyk, ale nie od razu sobie uświadomiła, że to jej głos. Przeraziła ją nieuchronność bliskich zdarzeń, gdy jej ciało spięły potężne skurcze, a ona zdała sobie sprawę, że nie ma żadnej kontroli nad tym, co się z nią dzieje. A gdy strach nią zawładnął, kompletnie się zagubiła. Oznajmiła stanowczo, że zmieniała zdanie. Zgięta wpool przywarła do spódnicy Lily. Rozmyśliła się, nie chce dziecka. Popełniła straszliwy błąd.

Potem ciemność, ciało i pierwotna walka o przeżycie stały się całym jej światem. Poza nimi nie istniało nic.

Harry'ego przy niej nie było. Zamiast niego Lily niespokojnie przemierzała pokój, moczyła szmatki w chłodnej wodzie i masowała jęczącej przyjaciółce plecy. I to Lily wezwała karetkę, chodziła nerwowo po korytarzu, słuchała krzyków i szybkiego świstu drzwi. Otwarte. Zamknięte. Otwarte. Zamknięte. Biegający lekarze. Lśniące metalowe instrumenty. Porażająca czerwień krwi na białym zawiniątku w ramionach pielęgniarki.

- Zjeżdżaj! Zostaw mnie! Zabiję cię! - wrzeszczała Stevie, a Lily na korytarzu oddychała z ulgą.

Bo jedno było pewne: Stevie żyła.

Po upływie kolejnej wieczności w mrocznym świecie pod powiekami Stevie otworzyła oczy. W chromowanej obudowie lampy nad brzuchem ujrzała, że wyciągają z niej coś dziwnego, co wyglądało jak umazane na czerwono zwierzę. Krwawy skrzep.

- Proszę spojrzeć! Jaki śliczny! Ma pani synka.

Pokazano jej na chwilę to coś oślizgłe i pokryte śluzem i zaraz zabrano. Dygotała na całym ciele, wstrząsały ją fale dreszczy. I znów siła, z którą nie

sposób walczyć. Kolejny wysiłek. Nowy, całkiem inny ból.

Potem zapomniała o całym świecie. Odeszło w niepamięć rozrywające trzewia cierpienie. Nigdy jednak nie zapomniała przemieszczenia jaźni. Coś się z niej wydarło i zaistniało samodzielnie. Jakaś wewnętrzna blizna, która wzrastała i krzepła. Całkiem nowe i - jak się później okazało - niezastąpione narzędzie przeżycia.

Tymczasem Harry tkwił w jeepie gdzieś na kontynencie. Wóz o twardym zawieszaniu podskakiwał na wybojach, obijając pasażerom obolałe kości. Lornetka uderzała go w piersi, nogi mu się gotowały w ciężkich butach. Ciężko pracowali, by nawiązać kontakt z tym konkretnym człowiekiem, komunistycznym zdrajcą, agitorem gotowym podać szczegóły kampanii przeciw Japończykom, planowanej na terenie Republiki Chińskiej, poza granicami brytyjskich Nowych Terytoriów. Harry miał nadzieję zyskać dzięki niemu świeższe informacje na temat stanu rzeczy w japońskiej armii.

W błysku reflektorów zobaczył na skraju pola ryżowego jakąś chałupę. Ze zdziwieniem stwierdził, że za sprawą wąskich okien przypomina ona średniowieczną fortecę.

Na kilka chwil zatonął we wspomnieniach. Znów był dziesięcioletkiem w Cardiff Castle.

Padał deszcz, oczywiście, lecz on nie mógł oderwać wzroku od trawiastego zbocza, prowadzącego prosto do stromej, pozbawionej kształtów i okien ściany zbrojnej twierdzy. Z daleka dobiegało go wołanie brata, Rogera, ale tu, pod tym ogromnym murem, był całkiem sam. Gładził cegły ułożone przed wiekami, dotykał historii, był szczęśliwy.

- O, psiakrew! - zaklął Ramsay.

Oślepiło ich jaskrawe światło wycelowane dokładnie w ich samochód. Sierżant depnął po hamulcach. Opony zabuksowały w miejscu. Harry spojrzął na podwładnego mokrego od potu.

- To jest nasz człowiek?

- Nie wiem.

- Idziemy.

Gdy zatrzasnęły się za nim ciężkie drzwiczki, sprawdził rewolwer. Pod

nogami miał błoto. Wiedział, że Ken też idzie.

- Każda informacja się liczy - mruknął.

To był dogmat wiary. Dla niego ryzykowali życie.

Trudno było znaleźć podobieństwa między różowiutkim stworzonkiem wyglądającym z bawełnianego rożka i oblepioną śluzem koszmarną glistą sprzed kilku godzin. Stevie doskonale zdawała sobie sprawę, że znajduje się pod zbawiennym wpływem zastrzyku z morfiny. Słońce sączyło się leniwie przez białe firanki, a cały oddział szpitalny stanowił wzorcowy przykład sielanki. Co prawda bolały ją wszystkie mięśnie i ledwo żyła, jakby urządziła sobie sprint na szczyt góry, ale nie miało to najmniejszego znaczenia.

Harry niezgrabnie trzymał dziecko na rękach. Buty miał ubłocone, a twarz ściągniętą z braku snu. Malował się na niej wyraz niesłychanego zdumienia i tkliwość, jakiej jeszcze u niego nie widziała. Przyglądała mu się, gdy patrzył na swojego synka.

- Strasznie mały.

- Przecudny.

- To prawda - zgodził się Harry.

Przeniósł na nią spojrzenie pełne tak bezbrzeżnego zdumienia, że aż się roześmiała.

- Skóra zdjęta z tatusia. - Pogładziła Harry'ego po twarzy. - Tylko nie taki odczytany.

- Mnie on przypomina rozżłoszczoną żabę. - Raz jeszcze przyjrzał się niemowlęciu.

- Może Richard, po moim ojcu?

- A, nie, nie. Już mu wymyśliłam imię - stwierdziła z uśmiechem. - Będzie Rob. To skrót od „robala”. Takiego pasożyta, jak tasiemiec.

Harry parsknął śmiechem.

- Ewentualnie Benjamin, po twoim ojcu? - podsunął.

- Nie. Będzie Henry. Po jego ojcu.

Popatrzył na nią i oboje szeroko się uśmiechnęli. Postanowił nie wspominać o swoich przejściach z przełożoną pielęgniarką, która stanęła w drzwiach - samozwańczy anioł stróż świeżo upieczonych matek - i nie

chciała go wpuścić. Nie owijając w bawełnę, oznajmiła, że skoro żona nie była jej pacjentką, on nie ma prawa wejść. Musiał powołać się na znajomość z dyrektorem służby medycznej doktorem Clarkiem-Russellem. Dopiero wtedy, choć niechętnie, ustąpiła.

Zerknął w stronę stanowiska pielęgniarek na końcu długiej sali. Przełożona nie spuszczała ich z oka. Wyglądało na to, że jej system wartości miał się coraz gorzej wraz z każdym przejawem ich czułości. Cała jej postawa krzyczała pełnym głosem: „Do czego to dochodzi!!!”. Obok niej stało radio, z którego dobiegały ciche dźwięki instrumentalnej wersji *Fools Rush in*. Raptem melodię przerwały słowa spikera:

- *Prezydent Roosevelt wystosował skierowane do cesarza Japonii Hirohito stanowcze ostrzeżenie, które jest odczytywane jako próba zapobieżenia wojnie na Dalekim Wschodzie.*

Niemowlę poruszyło rączkami. Niemożliwie długie rzęsy zatrzepotały i dziecko otworzyło oczy. Harry nagle doznał olśnienia: to był człowiek. Mały, ale jednak. Prawdziwy cud.

Oddał synka Stevie, zdjęty całkiem nowym szacunkiem dla kobiety. W tamtym momencie nawet czterech jeźdźców Apokalipsy nie zrobiłoby na nim wrażenia. Cały świat i wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie, było tu, między nimi. Reszta mogła iść do diabła.

Postanowili, że zamieszkają w wynajętym mieszkaniu Stevie, chociaż u Harry'ego byłoby im znacznie wygodniej: mieliby do dyspozycji świetnie urządzonej kuchnię z lśniącoymi blatami, wyposażoną we wszystkie urządzenia pomocnicze, jakie można było dostać za pieniądze. Sylvia nudziła się i była nieszczęśliwa, dlatego całą swoją energię spożytkowała na odnowienie domu, co było widać. Całe przedsięwzięcie stanowiło dla niej mechanizm obronny, polegający na zastąpieniu celu, którego nie można zrealizować, innym.

Być może dlatego Harry nigdy nie czuł się tam dobrze, a Stevie nie chciała żyć w blichtrze wnętrza urządzonego przez Sylię. Poza tym wszystkim było coś niestosownego we wprowadzaniu rodziny do skorupy po innej, która obumarła.

Jeśli zaś chodziło o mieszkanie Stevie, trudno było sobie wyobrazić miejsce mniej odpowiednie dla niemowlęcia. W budynku często brakowało ciepłej wody, a jeśli już była, szybko się kończyła. Przez cienkie ściany swobodnie przenikały odgłosy remontów i przeprowadzek. Z powodu neonu we wnętrzu nigdy nie zapadała ciemność, a do kompletu byli tam Lily i Victor - każde na swój sposób wyrugowane przez nowego lokatora.

Lily sama siebie zadziwiła, unikając zaangażowania się w pomoc przy opiece nad dzieckiem. Jej zdaniem niemowlak był fajny, lubiła jego ciemne oczy i wrażliwą łysą główkę.

Ale pamiętała, że nie jest jego matką, lecz jej przyjaciółką. Zresztą była zaganiana jak nigdy.

Praca sekretarki w składzie meblowym u wuja zajmowała jej coraz więcej czasu. Obrotny krewny, doskonale świadom, że wojna i japońska okupacja przeszkadzają w prowadzeniu handlu na kontynencie, robił to, co każdy sumienny przedsiębiorca robiłby na jego miejscu: korzystał. Importował wszelkie meble od tapicerów i cieśli z kontynentu, płacąc za nie ceny bliskie zera, po czym eksportował te krzesła, stoły i szafy na tereny zajęte przez sympatyków komunizmu, oczywiście po naliczeniu astronomicznej marży. Komunista czy nie, każdy człowiek musiał mieć na czym posadzić tyłek i przy czym jeść. Tak to widział. W konsekwencji Lily wychodziła do pracy wcześniej rano, a wracała często dopiero późnym wieczorem.

Z Victorem była całkiem odrębna sprawa. Małpa została przejęta z dobrodziejstwem inwentarza. Poprzednia lokatorka, jakaś Rosjanka, która nie osiągnęła porozumienia w sprawie swojego uposażenia z prominentnym chińskim doradcą rządowym, zostawiła ją w mieszkaniu, wyprowadzając się do Szanghaju. Młodą małpkę dostała w ramach upominku powitalnego i najwyraźniej nie czuła się zobowiązana zabierać jej z sobą. Zostawiła także krótkie rozkloszowane futerko z ocelotów, czego zdaniem Stevie z pewnością pożałowała natychmiast po wejściu do samolotu. Stevie zaś odziedziczyła je z prawdziwą przyjemnością.

Gdy Jishang po raz pierwszy otworzył drzwi mieszkania, odebrawszy klucze z agencji wynajmu nieruchomości, Victor był tak wymizerowany, że

nawet nie próbował go zaatakować. Stevie odepchnęła Chińczyka i podbiegła do pikowanej sofy, gdzie leżało bez sił zwinięte w kłębuszek zwierzątko. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Małpka przeżyła tylko dzięki temu, że mogła pić wodę z ciekącego kranu, lecz była wychudzona, apatyczna i osowiała. W mieszkaniu cuchnęło odchodami. Ponieważ agent nie zadał sobie trudu, by sprawdzić stan lokalu po wyjeździe Rosjanki, Victor przez dwa tygodnie samotnie tkwił w zamknięciu. Stevie zasypywała go pieścizotami i smakołykami, a on się jej odwzajemnił, obdarzając ją swoją małą miłością na wyłączność.

Trzeba jednak było przy nim uważać na dziecko. Przez cały czas. By zyskać pewność, że nie powtarza numeru, jaki przygotował na powitanie, i nie siedzi noworodkowi na buzi.

Pierwsze dni minęły im niepostrzeżenie, przepełnione w równej mierze niepokojem, jak i pełnym zdumienia uwielbieniem. Harry przychodził rzadko. Nie mówił o tym, co robi, ale wyraźnie oddawał się sprawom ważnym i niecierpiącym zwłoki. Prawie zawsze miał na sobie mundur. Liczba wiadomości docierających przez telefon i odbieranych od informatorów rosła z godziny na godzinę. Siedzieli więc z Kenem i czytali raporty. Wszystko wskazywało na przygotowania do przegrupowań wojsk na kontynencie. Armia japońska była w stanie gotowości, lecz nie sposób było ocenić, co jej aktywność mogła oznaczać dla Hongkongu.

Dwa tygodnie po pojawieniu się Stevie z dzieckiem w domu Harry doszedł do wniosku, że najwyższy czas wyprać bluzę. Akurat wtedy zadzwonił telefon stojący w korytarzu na stoliku bez jednej nóżki. Gdy Harry podniósł słuchawkę, mebel zachybotał się niebezpiecznie.

- Tak?

- Departament zdrowia publicznego - rozległ się niespokojny głos Kena - chce wiedzieć, jakie zasady należy stosować w razie - głośno przełknął ślinę - ataku Japończyków.

- Wszystko jest w regulaminie.

- Tak, ale oni mają obawy, czy nie zmieniły się reguły gry. Ktoś rozsiewa pogłoski, że regulamin jest nieaktualny.

- Oczywiście, że jest nieaktualny. Został napisany w zeszłym roku. - Harry przestąpił z nogi na nogę. - Posłuchaj, powiedz im zwyczajnie, że ich najważniejszym zadaniem jest powstrzymanie paniki.

Nagle z łazienki dobiegł krzyk, a następnie mrozące krew w żyłach wołanie Stevie:

- Ratunku! Pomocy! Szybko!

- Wybacz, kolego - powiedział Harry. - Muszę kończyć.

Z trudem powstrzymując panikę, rzucił słuchawkę i pobiegł do łazienki. Stevie klęczała przy wannie, szlochając w głoś. W rękach, tuż nad wodą, trzymała swojego chłopczyka rozebranego do rosołu.

- Weź go! - krzyknęła. - Błagam cię, zabierz go!

Harry pochylił się i ostrożnie wziął dziecko. Stevie usiadła na piętach.

- Nie mogę tego zrobić. Nie dam rady! A jeśli wpadnie do wody? Co będzie, jeżeli wyslizgnie mi się z rąk? A jeśli będzie niezadowolony?

Harry przyjrzał się uśmiechniętemu dziecku.

- Nic mu nie jest, zobacz.

- Ty mnie nie chcesz zrozumieć! Ja naprawdę nie mogę tego zrobić. Nie daję rady.

- Gardło miała ściśnięte jak garotą. - Nie umiem być matką. Jaki on biedny!

- zawodziła z rozpaczą. - Powinieneś być zostać z Sylvią, ona by wiedziała, co się robi z dzieckiem...

Telefon odezwał się ponownie, a jego dźwięk pędził echem po korytarzu. Harry położył sobie dziecko na barku i przytrzymując je jedną ręką, drugą podał Stevie.

- Chodź. No chodź.

Niewiele widząc przez łzy, pozwoliła się podnieść. Przeszli do salonu. Tam Harry ułożył synka w koszyku. Stevie w tym czasie wydmuchała nos.

- Przepraszam. Popełniłam straszny błąd. Myślałam, że sobie poradzę, i dopiero teraz widzę, że każdy dałby radę, a ja nie mogę. On jest taki kruchy! Taki delikatny! Patrzę na niego i nie mogę uwierzyć, że da się oddychać przez taki malutki nosek! Nie umiem o niego zadbać! - Znowu się rozpłakała. Wychodziło z niej krańcowe zmęczenie. - Jestem do niczego.

Przepraszam. Tak mi przykro. A mama urodziła czwórkę...

Telefon znów się odezwał jak żałobny dzwon. Harry zignorował to wołanie z innej rzeczywistości. Objął rozszlochaną Stevie za ramiona.

- Czwórkę? No, to nie mamy czasu do stracenia.

Stevie uświadomiła sobie nagle, że się śmieje, a na ustach poczuła wargi Harry'ego.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Grudzień 1941

Był niedzielny wieczór, w hotelowej sali balowej zrobiło się tłoczno. Miało się wrażenie, że to przyjęcie na „Titanicu”. W tamtych dniach atmosfera buntu i oczekiwania objęła całą kolonię, a szczególnie mocno dawała się odczuć w tej bogato zdobionej szkatule pełnej klejnotów, zwanej Hongkongiem. Im bliżej podchodziła armia japońska, tym bardziej beztrąsko zachowywali się jego mieszkańcy. Jak gdyby z przekory. Jakby już zbyt długo odsiadawali wyrok, zbyt długo czekali na egzekucję, która mogła przynieść im ulgę.

Przynajmniej poznaliby swój los. Bo czekanie na nieuniknione było torturą samą w sobie. Dyskutowano jedynie o tym, czy obrona wytrzyma dość długo, by mieszkańcy doczekali pomocy z zewnątrz.

Oficjalnie wiadomo było, że Hongkong może stawiać opór przez długie tygodnie. Plan obmyślony na wypadek inwazji zakładał ewakuację przez region Koulun na obszar Nowych Terytoriów, na wyspę, która będzie się następnie broniła niczym forteca, aż przybędą statki z Singapuru i odepchną Japończyków na zawsze. Optymiści utrzymywali nawet, że Hongkong stanie się także bazą wypadową do ataków na Japończyków w Chinach. Ogromne nadzieje pokładano w linii stanowisk obronnych, biegnącej ze wschodu na zachód przez Nowe Terytoria, jakieś dwadzieścia kilometrów na południe od granicy. W ramach ochrony przed atakiem od strony morza ustawiono zapory minowe i pobudowano siedemdziesiąt dwa bunkry w rzędzie. Witryny sklepów oklejono lśniącymi pasami taśmy, by w razie nieszczęścia nie spadły deszczem szkła. Optymiści przypominali również o niedawnym przybyciu dwóch batalionów żołnierzy kanadyjskich. Co prawda byli to żołnierze

młodzi i niedoświadczeni, ale z pewnością symbolizowali szczere intencje ze strony Churchilla oraz stanowili deklarację, iż zamierza on bronić wyspy i nie zostawi jej na łasce losu. Owszem, mówili wyłącznie po francusku i rzeczywiście pojawili się bez żadnych środków transportu, wiedzieli o tym wszyscy, ale tylko nieliczni, a wśród nich Harry, mieli świadomość, że nie byli przeznaczeni do walki - mieszkańcy Hongkongu mieli po prostu wierzyć, że stanowią ostrzeżenie przesłane wrogowi przez Brytyjczyków.

Niewielka orkiestra na podwyższeniu w końcu sali grała *The Best Things in Life Are Free*. Za plecami muzyków spływały ku podłodze zwoje purpurowej kurtyny, a po obu stronach podestu ustawiono palmy w doniczkach. Na parkiecie panowały ścisk i atmosfera lekkiego szaleństwa, było głośno. Mężczyźni stojący przy barze, w znakomitej większości Brytyjczycy, mówili podniesionymi głosami, przekrzykując muzykę. Jeśli chodzi o kobiety, to zarówno przy stolikach, jak i w tańcu przeważały Chinki.

Stevie tańczyła z Harrym i kręciło jej się w głowie. Sukienka wślizgnęła się jej między nogi, jedwab przyjemnie chłodził skórę. Od narodzin dziecka minęło osiem miesięcy i właśnie tej nocy po raz pierwszy zgodziła się zostawić Hala - właśnie takie imię zyskało ich dziecko. Żeby się rozluźnić, wypła kilka drinków *gin sling*, tylko tyle, by nie myśleć stale o maleństwie. Została z nim Lily. Miała siedzieć na sofie w taki sposób, by przez otwarte drzwi widzieć Hala leżącego w koszyku. Wolno jej było opuścić posterunek jedynie w razie absolutnej konieczności skorzystania z toalety.

Piersi Stevie, ku jej wielkiej uldze, wróciły do normalnych rozmiarów, natomiast lekko zaokrąglony brzuch w niczym jej nie przeszkadzał. Traktowała go jako honorową odznakę. Problemy z mlekiem, które rozsadzało jej piersi, należały już do wspomnień dyskomfortu z pierwszych dni po porodzie. Butelki z mlekiem w proszku sprawdzały się znakomicie. W ciągu kilku pierwszych tygodni po narodzinach Hala z oszołomienia wyrwało ją tylko jedno zdarzenie, a mianowicie depesza gratulacyjna od Jishanga w tak odmiennym tonie od komunikatów słanych przez matkę i siostry, że popłakała się z wdzięczności. Stało w niej: „O HO HO WIEC TO CHLOP STOP GRATULACJE OD PRZYJACIELA”. Zdawała sobie sprawę, że to w

pewnym sensie wyciągnięcie ręki. Kilka miesięcy wcześniej wysłała mu telegram z wiadomością o ciąży, podaną w bardzo starannie dobranych słowach.

Nonszalancja odpowiedzi zabolą ją bardziej, niż przewidywała. „Czyli zostajesz w Hongkongu. Czy mam oddać do agencji nieruchomości twoje tutejsze mieszkanie?”.

Następnie porozumiewali się wyłącznie w sprawach związanych z pracą. Jishang ani razu nie spytał o jej zdrowie czy samopoczucie. W pewnym stopniu była mu za to wdzięczna, ale w znacznie większym brakowało jej potężnej awantury, dzięki której mogłaby wylać na niego wszystkie swoje pretensje i w ten sposób zmniejszyć poczucie winy. Raz tylko wyraźnie zasmucił się w czasie rozmowy, gdy okazało się, że Stevie nie ukończy książki przed narodzinami dziecka. Właśnie wtedy zrozumiała, że to książka ich łączyła, była ich wspólnym przedsięwzięciem, ich dzieckiem. Odsuniętym teraz na drugi plan przez to drugie.

Jej matka tymczasem nie uczyniła najmniejszego wysiłku, by zapanować nad wściekłością, żalem i rozgoryczeniem. Każde napisane przez nią słowo - a przez kilka miesięcy wysłała ich niemało - ociekało pogardą i kipiało oburzeniem. Jej wnuk bękartem! Jej córka ladacznicą! Reputacja zrujnowana. Miejscowy Kościół się za nią modli! Siostry dla odmiany utworzyły potępiające, zatroskane trio, biadając raczej nad obrotem spraw niż nad nią. I żadna z nich nie umiała pojąć, że Stevie może być naprawdę szczęśliwa. Wkrótce przestała otwierać listy od rodziny, leżały więc dziewicze na dnie szuflady, mamrocząc o swoich górnolotnych zasadach moralnych w cierpliwe ucho przykurzonego ciemnego drewna.

Stevie zajmowały bardziej przyziemne troski niż nastroje rodziny zostawionej w Ameryce. Oboje z Harrym mieli szczerzy zamiar powrócić na rajską wysepkę szczęśliwego romansu. Tymczasem Harry był przybity nawałem rzeczy i spraw, które dziecko wniosło w ich życie. Idąc do łazienki, zawsze natykał się na świeżo wyprane wilgotne pieluszki, wiszące na sznurku rozpiętym między łazienką a drzwiami wejściowymi. Bez przerwy trzeba było je prać, składać i na różne inne sposoby zajmować się tymi

kwadratowymi kawałkami bawełny.

W mieszkaniu czuć było bielizną, dziecięcymi siuškami i mlekiem. Nie miał nic przeciwko temu, tylko nie mógł wyjść z zadziwienia, jak to wszystko się toczy. Stevie żyła tym światem przez całą dobę, gdy tymczasem on czuł się w nim rzadkim gościem. Koledzy widywali go częściej niż ukochana kobieta.

Ta noc zaś należała wyłącznie do nich.

Stevie pochwyciła spojrzenie Phyllis Clarke-Russell, gdy mijali w tańcu ją i jej męża, dyrektora służby medycznej. Phyllis była jedną z niewielu Brytyjek, które uniknęły ewakuacji. Skorzystała z przełożenia decyzji na ostatnią chwilę. Teraz zaś odwróciła wzrok z widoczną dezaprobatą, a Stevie uprzytomniła sobie, że miała sporo szczęścia: była tak zaangażowana w wyczerpujące życie w świecie, którego pępek stanowiło niemowlę imieniem Hal, że ominęła ją największa fala plotek na jej temat, przewalająca się przez Hongkong.

- Coś podobnego! - dobiegło ją od strony kołtuńskich obywateli popijających koktajle, gdy weszli z Harrym do holu. - Tak paradować między ludźmi! Haniebne!

Nie zrobiło to na niej wrażenia. Nigdy przecież nie przywiązywała wagi do opinii innych, co więcej nawet, na dobrą sprawę czuła chwałę zwycięstwa, gdy udawało jej się wetknąć kij w mrowisko. A poza wszystkim innym przyjście Hala na świat było jej prywatną sprawą, bo i jakież to publiczne konsekwencje mogłoby wywołać?

Poddała się muzyce i ciepłej dłoni Harry'ego na plecach. Nie od razu dostrzegła dyrektora hotelu, który niezwyczajnie szybko przeciął parkiet, podszedł do podestu i ściągnął na siebie uwagę dyrygenta. Ten, nie przerywając pracy, pochylił się, by wysłuchać szeptem przekazanej nowiny. Ściągnął brwi i opuścił ręce. Orkiestra zgubiła rytm, wreszcie ucichła.

Ostatnia w powietrzu zawisła chropowata nuta kontrabasu. Tancerze zamarli, zmieszani nagłym brakiem muzyki. Harry puścił Stevie, zanim dyrektor odezwał się w zapadłej ciszy.

Mówił zbyt głośno, nienawykły do mikrofonu.

- Szanowni państwo, proszę o uwagę.

Od któregoś ze stolików dobiegł nerwowy chichot.

- Przykro mi, że państwu przerywam zabawę, ale mam pilny komunikat od gubernatora Hongkongu. - Odchrząknął. - Cały personel wojskowy ma się natychmiast stawić na swoich stanowiskach. Dziękuję państwu.

W ciszy zaległej ołowianym ciężarem stopniowo budził się szmer niespokojnych rozmów i prawie wszyscy mężczyźni zaczęli się zbierać. Wkładali marynarki, żegnali się z partnerkami, wychodzili. Harry odwrócił się do Stevie.

- Pieniądze są w Bank of Hong Kong - powiedział cicho. - A także na moim koncie w Anglii.

Stevie pokręciła głową.

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz. Wiesz, co robić.

Rzeczywiście wiedziała. Zadrżała i strach zamglił jej oczy.

Harry, już z marynarką w ręku, szedł do drzwi. Nie miał czasu jej włożyć. Minęło zaledwie kilka chwil, a w sali nie pozostał żaden mężczyzna. Oto bal kobiet, naznaczony samotnością i milczeniem.

Stevie była już na ulicy, gdy nieziemskie wycie syren przeszło miasto, wypychając z niego powietrze, pozbawiając je tchu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Strach pachniał przekwitłymi liliami. Stevie skuliła się przy łóżeczku Hala. Malec to zasypiał, to się budził. A ona kołysała się na piętach, do przodu i do tyłu. I znów. Cały czas.

Wycie syren paraliżowało jej myśli. Czy powinna go stąd zabrać i wybiec na ulicę? Co się stanie, jeśli spadnie tu bomba? Miała już wcześniej do czynienia z bombardowaniem, gdy znalazła się w oblężonym Chongqing, siedzibie Kuomintangu. Ale wtedy się nie bała. Co się zmieniło?

Budynkiem zatrzęsała potężna eksplozja. Żyrandol się rozkołysał i obudził na ścianach przerażające cienie rodem z pałacu strachów. Była kiedyś w takim, jeszcze jako dziecko.

Po drugiej stronie miasta Lily skuliła się pod stołem z tekowego drewna przeznaczonym dla komunistów. Usiłowała się przedostać do rodzinnego domu. Ruszyła w drogę, gdy tylko Stevie, sama i w poplamionej łzami sukience, wróciła do mieszkania poprzedniego wieczoru, przynosząc najnowsze wieści. Dotarła jednak tylko do wujowskiego magazynu. Mijały godziny, z nieba spadała śmierć.

We wsi Kun Lung Wai stary Chińczyk biegł ulicą. Wstrząsy powodowane ostrzałem podnosiły kłęby kurzu. Przyciskał do siebie błyszczącą nowością apteczkę. Potykając się, dotarł do leżącej na ziemi dziewczynki. Krwawiła. Upadł przy niej na kolana, drżącymi rękami z trudem uniósł wieko. Nie widział czarnych wysokich butów zbliżających się ku niemu nonszalanckim krokiem. Padł strzał. Mężczyzna przechylił się i osunął na ziemię.

Wypuścił z rąk apteczkę.

Pociski spadały jeden za drugim. Wystrzeliwano je zza przystani, z Koulun. Bombowce nurkujące wyły nad centrum. Atak powietrzny trwał i trwał, jakby nie miał się nigdy skończyć. Ulice dusiły się od gryzącego dymu, lecz

Stevie widziała tylko Hala, który nie chciał butelki. Płacz dziecka rozdzierał jej uszy. Nie odstąpiła synka nawet na moment od dwunastu godzin. Suknię balową miała poplamioną łzami i potem.

Minęło jeszcze kilka godzin, gdy otworzyły się drzwi i weszła Lily. Ponieważ nie zdołała się wydostać z przystani, postanowiła wrócić do Stevie. Padły sobie w ramiona.

Trzeba czasu, by się odnaleźć w nowym życiu i ruszyć ku nowemu światu. Harry też czuł woń strachu. Tutaj składała się z zapachu potu i zatęchłego cwelichu. Znajdował się w schronie pod rezydencją gubernatora razem z kilkoma swoimi ludźmi oraz niedawno mianowanym gubernatorem, który był na wyspie tak krótko, że nie znał nawet jej geografii - przybył niecałe dwa miesiące temu z poprzedniej placówki na Barbadosie, gdzie najprawdopodobniej wyszlifował do perfekcji umiejętność przygotowywania koktajli, ale z pewnością nie zyskał najmniejszego pojęcia o prowadzeniu wojny z zaprawionym w walce, nieprzejednanym przeciwnikiem. Jego pracownicy nie byli wcale lepiej zorientowani.

Zastępca objął stanowisko dopiero poprzedniego dnia. Harry rozumiał, że taki stan rzeczy świadczy o lekceważącym stosunku Londynu do Hongkongu, o tym, że nikt w Wielkiej Brytanii nie pojmował, nawet teraz, że rzeczywiście zagrażają jej te zabawne krasnale z Dalekiego Wschodu.

- Gdzie, u licha, jest nasze lotnictwo?
- Samoloty zostały wyłączone z akcji w pierwszym dniu ofensywy.
- Wszystkie?
- Tak, proszę pana. Po pierwsze nie było ich zbyt wiele, a po drugie znajdowały się na lotnisku w Kai Tak.
- Innymi słowy, nie możemy liczyć na siły powietrzne?

Harry pokiwał głową. Z bólem patrzył na twarze mężczyzn, którzy powinni zająć się dowodzeniem, i widział, jak powoli uświadamiają sobie ogrom nieszczęścia. Czuł się tym gorzej, że od miesięcy na wszelkie sposoby usiłował dotrzeć do nich z ostrzeżeniami.

Przecież Japończycy wcale nie kryli swoich zamiarów. Ogłaszali je wyraźnie na forach międzynarodowych od lat, przy każdej okazji. Mimo to,

zanim wprowadzono embargo, wyposażyli swoje siły powietrzne w samoloty z amerykańskimi silnikami, latające na amerykańskim paliwie i uzbrojone w pociski z napisem „Made in England”. Przypomniał sobie niedawny artykuł w „Reader’s Digest”, którego autor twierdził kategorycznie, iż japońskie siły powietrzne są śmiechu warte, a sami Japończycy niezdolni do skutecznego pilotowania ze względu na upośledzony zmysł równowagi.

Z drugiego końca pomieszczenia dobiegł go głos radiooperatora:

- Teraz Smugglers Ridge. Nikt się nie odzywa, sir.

Harry umiał odtworzyć w pamięci wygląd bunkra przy Smugglers Ridge. Był w nim nie dalej jak w zeszłym tygodniu. Na północy, od strony granicy, budowla graniczyła z terenem zalesionym, od południa miała wybrzeże i przystań. Do wnętrza prowadziły strome stopnie. Jedyne światło wpadało do środka przez szczeliny strzelnicze w grubym betonie i z szybów wentylacyjnych nad wąskimi korytarzami o pogodnych nazwach, takich jak Shaftesbury Avenue czy Regent Street. Nad granią zawodził wiatr, gwizdząc w kablach elektrycznych nad głowami. Bunkier ten stanowił kluczowy element w planie obrony. Ale już w radiu na jego częstotliwości zapadła cisza - długie lata inercji decyzyjnej zbierały obfite żniwo.

Bronić się do ostatniego człowieka? Utrzymać placówkę, póki nie nadciągnie pomoc, czy nie zawracać sobie tym głowy? Opuścić kontynent i bronić wyspy? Pozorować obronę, żeby zachować twarz? Gdybyż osobiste przekonanie Churchilla, że kolonia jest w rzeczywistości nie do obrony, było szerzej znane... „Jeżeli Japończycy wypowiedzą nam wojnę”, powiedział kiedyś Winston Churchill, „nie będzie najmniejszych szans na utrzymanie Hongkongu. Wolałbym, żebyśmy mieli tam mniej wojska, ale każde przegrupowanie sił zostałoby z pewnością zauważone i byłoby niebezpieczne”. Oznajmiałoby światu, że Wielka Brytania jest w zasadzie gotowa pozostawić Hongkong własnemu losowi.

Normalnie tutejsza jednostka wojskowa składała się z dwóch batalionów brytyjskiej piechoty, dwóch batalionów hinduskich, kilku stanowisk artylerii zarówno stałych, jak i ruchomych, lokalnych sił ochotniczych złożonych z bankierów, dentystów, księgowych i chłopców, kilku niewielkich okrętów

wojennych, dwóch latających łodzi oraz trzech samolotów torpedowych bez torped - wszystkiego razem najwyżej piętnaście tysięcy ludzi, którzy już zostali zdradzeni przez swój rząd i pokonani przez własne uprzedzenia. Armia japońska znajdowała się o pięćdziesiąt kilometrów stąd i liczyła pięćdziesiąt tysięcy doświadczonych, brutalnych żołnierzy.

Rok wcześniej Harry napisał raport, w którym wskazywał na fakt, że japońskie buty wojskowe są znacznie lepsze od brytyjskich - lekkie, miękkie i na gumowych podszewkach, podczas gdy Brytyjczycy dostawali obuwie ciężkie, skórzane, nabijane ćwiekami, takie samo jak za czasów wojen burskich. Ale major był nieomal całkowicie pewien, że nikt tego raportu nie wziął do ręki. Za dużo było salonowych rozmów nad szklaneczką whisky, a za mało przygotowywania okopów, zapasów żywności i wody czy dbałości o niezależne dostawy elektryczności.

- Ewakuujemy Koulun.
- Bardzo słusznie, bardzo słusznie.
- Czy chce pan przekazać coś żołnierzom?

Nastąpiła chwila ciszy, gubernator zbierał myśli. Mimo karaibskiej opalenizny wyglądał teraz blado.

- Walczcie dzielnie. Za imperium i królową. Niech was Bóg błogosławi w godzinie waszej największej chwały.

Harry pochwycił spojrzenie Kena i ujrzał w jego oczach ślad własnych uczuć, błysk rewolwy.

Droga przez miasto sparaliżowane strachem miała w sobie coś surrealistycznego. Niby ulice były jej znane, ale nie do końca. Niektóre sklepy działały, przeciwstawiając się wszechobecnemu chaosowi, inne zamknięto na cztery spusty, jakby już nigdy nie miały zostać otwarte.

Stevie wytłumaczyła Lily, że muszą się przedostać do przystani, bo tam czeka na nie łódź. Lily za to pokazała jej, jak owinąć Hala chustą i przytroczyć go do ciała z główką zwróconą na bok. Próbowaly dokonać tego za pomocą chusty jedwabnej, z wydrukowanym obrazem wieży Eiffla, ale na śliskiej tkaninie węzeł nie chciał trzymać. Dziewczyna wzięła plecak Stevie, do którego włożyły kilka pieluszek, puszkę mleka w proszku, butelkę i

kocyk, a Stevie wsunęła do kieszeni swetra szminkę, którą dostrzegła przy wyjściu na trójnogim stoliku obok telefonu. Były już w połowie schodów, gdy nagle sobie przypomniała:

- O, Boże! Victor!

Mimo niechęci Lily wróciły po niego. Leżał skulony w najdalszym kącie pod sofą, dygocząc z niewysłowionego małego strachu. Stevie uspokoiła go za pomocą ostatnich zapasów czekolady, a Lily potem niosła go na piersiach, przedzierając się przez ulice niczym żuk w okrągłym pancerzu.

Mieszkańcy zbierali się na rogach i szeptali. Plotki rozchodziły się równie szybko, jak powstawały. Japończycy byli już na wyspie. Nie, nie, znajdowali się bardzo daleko, a bombardowanie stanowiło jedynie zasłonę dymną, bo ich cel znajdował się całkiem gdzie indziej. Armia brytyjska walczyła na kontynencie, dzielnie odpychając wroga, albo już została pokonana i właśnie w tej chwili dochodziło do masakry. Japończycy mieli zamiar przekształcić wyspę w gigantyczne więzienie, w którym zostaną osadzeni wszyscy jej mieszkańcy. Chyba że uwolnią tylko Chińczyków i pozwolą im sprawować władzę nad Brytyjczykami. Albo ubiją interes z Brytyjczykami i zabiją jednak wszystkich Chińczyków.

Brytyjczycy byli skończeni, ale komuniści napadli na armię japońską od tyłu i zdziesiątkują wraz siły w ciągu najbliższych godzin. Od początku bowiem taki był plan. Brak informacji kompensowano coraz bardziej nieprawdopodobnymi spekulacjami. Nic nie było pewne poza tym, że wyspa została zbombardowana z powietrza i ostrzelana z kontynentu.

Następnie pojawiły się wieści o Pearl Harbor. W walkę zaangażowali się Amerykanie.

Koniec wojny jest więc kwestią dni. Nie, nie, mieli tajne porozumienie z Japończykami, w którego ramach Hongkong został poświęcony za Singapur. Nie, niezupełnie. Bo odwrotnie.

Stevie i Lily pokonały spory kawał drogi, zanim musiały poszukać schronienia. Nad wyspę nadleciał samolot. Trzymał się tak nisko, że mieszkańcy Wzgórza Wiktorii mogliby zajrzeć mu w okna. Przycupnęły za jakimś straganem z opuszczonymi żaluzjami. Stevie krew tętniła w żyłach,

serce Hala też biło w szybszym rytmie. Bomba spadła na tyle daleko, że przeżyły, ale na tyle blisko, że odczuły falę uderzeniową. Wkrótce znów, potykając się niezgrabnie, ruszyły w stronę morza.

Łodzie unosiły się i opadały na falach, ocierały się jedna o drugą w nieładzie. Stevie pobiegła przodem, bez wahania pokonując most z pokładów. Nagle stanęła. Obróciła się dookoła, rozglądając się uważnie. Gdzie ta łódź Yanga? Powinna być tutaj, między tą z obłazącym z farby żółtym kadłubem a starą łodzią rzeczną.

Lily dostrzegła panikę w jej oczach.

- Co się dzieje?

- Nie ma.

- Coś ty, te łodzie się stąd nie ruszają. Popatrz jeszcze raz. Może tam?

- Nie. - Stevie przesunęła stopę, łapiąc równowagę. - Zniknęła.

Przez chwilę trwały w ciszy przerywanej tylko chlupotem fal i odległym wyciem syren ostrzegawczych, niosącym się po wodzie. W innej części przystani, tuż nad brzegiem, płonął jakiś magazyn. Języki ognia przeglądały się w wodzie, tworząc piękny obraz błękitu zmieszanego z pomarańczem. Stevie odczuła ulgę. Zrobiła to, o co prosił Harry, a teraz dzięki cudownemu zbiegowi okoliczności mogła z czystym sumieniem zostać blisko niego, na wyspie.

Lily, widząc jej uśmiech, sapnęła zirytowana. Nawet gdyby żyła tysiąc lat, za nic w świecie nie zrozumie tej kobiety. Nie pozwoli jednak, żeby pod jej opieką ktoś umarł - ona albo dziecko.

Harry czekał w baraku na niewielkim moło na drugim końcu wyspy. Chmary moskitów nie pozwalały mu przejmować się zbyt mocno tym, co miało się wydarzyć. O świcie do zatoczki wpłynęła smukła nowoczesna łódź motorowa. Większość obserwatorów jej nie dostrzegła, a czekało na nią zaledwie kilka osób. Tak, to ta łódź.

Harry spojrzął na swoją rękę. Przedramię znaczyła krwawa smuga owadów, które przed chwilą zabił jednym uderzeniem. Sprawdził godzinę na zegarku. Idealnie na czas.

- Szykujemy się, panowie.

Czapki na głowy, marynarki poprawione, plecy wyprostowane. Skinął lekko głową, jakby tylko do siebie, i wyszedł z baraku. Drewniany pomost zaskrzypiał ostrzegawczo pod ciężarem czterech mężczyzn. Srebrny wzorzec supernowoczesnej inżynierii morskiej zwolnił.

Nieprawdopodobnie cichy silnik zamilkł, a łódź z niesłychaną perfekcją przybiła do mola, ledwie muskając stare deski. Harry czekał. Był spięty i gotowy na wszystko. Jeśli miał do czynienia z oszustem lub pułapką, stanowił łatwy cel. Zatrzymał się przed łodzią z rękami opuszczonymi wzdłuż boków. Oficerowie stanęli za nim rzędem.

Z jednostki zeskoczył marynarz po cywilnemu i przywiązał ją do pomostu. Harry nie spuszczał oczu z mężczyzn stojących w milczeniu na lśniącem pokładzie. Mieli na sobie nieskazitelne mundury, a ich ciemne oczy, podobnie jak jego, nie zdradzały niczego. Po chwili oficerowie armii japońskiej nieoficjalnie postawili pierwsze kroki w miejscu, które oficjalnie stanowiło terytorium brytyjskie. Harry postąpił naprzód i skłonił się lekko. Starszy oficer odklonił się w odpowiedzi i wyciągnął dłoń, w której trzymał list. Harry go wziął.

Przekazanie odbyło się szybko i sprawnie.

- Dziękuję.

Kolejne dwa oszczędne ukłony i Japończycy wrócili na łódź. Odpłynęli równie gładko i cicho, jak się pojawili. Major Field wraz z kolegami stał bez ruchu dopóty, dopóki z powierzchni wody nie zniknął nawet kilwater. Fale pluskały wokół bali podpierających molo.

Moskity, korzystając z okazji, cięły bezlitośnie. Żaden z mężczyzn nawet nie drgnął.

- Dobra robota, panowie - oznajmił Harry wreszcie. - Dziękuję.

Łódź zniknęła im z oczu. Całe spotkanie trwało trzy minuty. Mężczyźni gorączkowo zamachali rękami, zabijając krwiożercze bestie. Rozległy się śmiechy. Atmosfera wyraźnie zelżała. Tylko Harry wiedział, że list stanowił czystą formalność: zawierał żądania, które nigdy nie zostaną spełnione, a to spotkanie nie wstrzyma inwazji nawet na minutę. Ale ich misja była konieczna, chociaż cała scena zostanie szybko zapomniana jako nieistotny

przypis do rozgrywki zapoczątkowanej z powodu militarnych ambicji Japończyków na Dalekim Wschodzie. Znał aż nazbyt dobrze wszelkie subtelności etykiety, służące za pretekst do zachowania nieprzystającego nawet barbarzyńcom. Czas, który w ramach wymiany studentów akademii wojskowych spędził w Japonii, obfitował w pasjonujące zdarzenia i zaskakujące odkrycia. Oczywiście Harry Field rozumiał wagę swoich doświadczeń i ich znaczenie dla brytyjskiego dowództwa, które miało niewielkie lub wręcz nie miało żadnego pojęcia o Wschodzie. Ale równie dobrze zdawał sobie sprawę z tego, jak niewielką wagę należy przykładać do japońskich działań dyplomatycznych, poprzedzających tylko kontynuację imperialistycznej ekspansji.

Lily oburzona zniknięciem Yanga przekonała Stevie, że najbezpieczniej będą wszyscy troje w domu jej wuja. Rzeczywiście rodzina przyjęła ich z otwartymi ramionami, zaprosiła w swoje progi, rozłożyła dodatkowe materace na podłodze i otoczyła opieką.

Drugiej nocy zajęta była już cała podłoga. Odgłosy ostrzału, znacznie bliższe, dobiegały nieprzerwanie od kilku godzin. Stevie leżała pod oknem, patrząc, jak jej dłoń unosi się i opada na ciałku dziecka w rytm jego oddechu. Od czasu do czasu wybuchy rozpałały niebo blaskiem. W pewnej chwili rozległ się wyjątkowo głośny huk i szyba w oknie rozsypała się w drobny mak. Stevie odruchowo zasłoniła synka własnym ciałem. Gdy minął pierwszy szok, nie od razu się pozbierała i jeszcze dłuższą chwilę leżała między połyskliwymi kawałkami szkła. Była przerażona.

Dym, krzyki, chaos. Smolistą noc rozjaśniały tylko białe błyski eksplozji. Znajdowali się wysoko na Wzgórzu Wiktorii, między słodko pachnącymi krzewami. Żołnierze biegali we wszystkie strony w tumanach gęstniejącego dymu. Harry stracił Kena z oczu nieomal natychmiast. Walczyli od wielu godzin i trudno było ocenić, ilu żołnierzy z wojsk alianckich jeszcze trzymało się na nogach. Słyszał własny oddech, dźwięk wyolbrzymiony na tle huku bombardowania. Tuman przerzedził się na moment. Harry krzyknął i z wykrzywioną twarzą upadł.

Niebo żyło gwiazdami. Było piękne.

Walki toczyły się czternasty dzień. Lily siedziała po turecku na podwórzu, w cieniu sękatego drzewa. Przed nią na kocyku leżał Hal, a ona machała gałązką zakończoną listkiem tuż poza jego zasięgiem. Chłopczyk był zachwycony. Wokół panowały cisza i spokój.

Jedynym elementem burzącym tę sielankową scenę była pracująca Stevie. Pochylona nad arkuszem papieru pisała zaciekle. Palce ścierpły jej od trzymania pióra, a nadgarstek rwał niemiłosiernie. Pomyślała sobie, że gdyby nie niosła Hala, mogłaby zabrać z mieszkania maszynę do pisania. Bez cienia wstydu postanowiła, że gdy tylko bombardowanie się skończy, wróci po nią. Aha, i po szampon.

Pochyliła się jeszcze niżej, by przeczytać, co napisała. Spalała ją nieodparta potrzeba pisania, niesienia świadectwa.

Brama stanęła otworem. Wszyscy na nią spojrzeli. Ukazał się w niej brudny i krańcowo wyczerpany Chen. Trzymał się na nogach ostatkiem sił. Jego matka, pani Li, która odważyła się w czasie bombardowania uciec ze swojego domu w Koulun, gdy podchodzili pod niego Japończycy, pobięła do syna. Lily instynktownie porwała Hala na rękę.

Chłopak odsunął matkę i podszedł do Stevie. Ta wstała. Arkusze papieru zsunęły się na ziemię.

- Mam złe wieści - wychrypiał.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Gdy Stevie wyszła z podwórza, na ulicach panował dziwny spokój. Miasto wstrzymało oddech. Ci, co ośmielili się opuścić swoje kryjówki, chyłkiem przemykali między gruzami, nie zwracając szczególnej uwagi na to, który budynek ucierpiał bardziej, a który z niewiadomych przyczyn pozostał nietknięty. Miasto przypominało szczękę z ubytkami.

Nawet śmierdziało zgnilizną.

Złowieszczy samolot przeleciał z warkotem nisko nad przystanią. Jego silniki na wpół zagłuszały przekaz emitowany z głośników ustawionych na terenie Koulun i dryfujący nad wodą w stronę wyspy. Na tle piosenki *Home Sweet Home* co jakiś czas rozbrzmiewał komunikat w nieskazitelnym języku angielskim:

- Żołnierze! Pamiętajcie o swoich żonach i dzieciach! Poddajcie się, a będziecie mogli wrócić do domu. Złóżcie broń, Japonia was ochroni. Zaufajcie życzliwości japońskiej armii.

Stevie, potykając się często, na wpół szła, na wpół biegła przez centrum Hongkongu.

Zauważała różne odrębne szczegóły, jakby oglądała film. Tu budynek z wnętrznościami na wierzchu - stół naszykowany do posiłku, wystawiony na działanie żywiołów, jak na scenie - tam nietknięta butelka soku na środku chodnika, gdzie indziej pończochy zaplątane na kole rozbitego samochodu, obwisła flaga ostrzegawcza w jaskrawym świetle dnia. Nie potrafiła myśleć o niczym poza jednym i najważniejszym. Jak mantrę powtarzała bez tchu jedno zdanie: „Niech tylko przeżyje. Niech tylko przeżyje”. W odrętwiałych myślach nie pozostało nic poza nadzieją na spełnienie tego błagania.

Gdy Chen przekazał jej złe wieści, udało jej się zachować przytomność. Tylko nogi się pod nią ugięły i osunęła się na ziemię. Nie mogła wydusić

słowa, miała wrażenie, że znalazła się w koszmarze, w którym już nigdy nie odzyska głosu, niezależnie od tego, jak głośno będzie krzyczeć. Samymi ustami powtarzała „nie” bez przerwy i ciągle na nowo. W końcu to Lily wypytała Chena o szczegóły. Włożyła Hala w objęcia matki, chwyciła brata za ramiona i zasypała go gradem pytań:

- Gdzie on jest? W jakim stanie? Co mu się przydarzyło? Skąd wiesz?

Chen wyswobodził się z rąk siostry i ukląkł w kurzu obok Stevie. Ujął jej dłonie i zaczął opowiadać. Mówił cicho, lecz pewnie, jak człowiek dojrzały, cieszący się szacunkiem i autorytetem, a nie naburmuszony młodzik, jakim był przy poprzednich spotkaniach.

- Nad zatoką Repulse Bay odbyła się wielka bitwa. Poległo tam wielu ludzi. Jeszcze nie znamy liczb. Nie wiemy też, ilu wzięto do niewoli. Gdy znaleziono majora Fielda, był w bardzo złym stanie. Został przekazany Czerwonemu Krzyżowi.

- Jak bardzo złym? - Miała wrażenie, że krzyczy, lecz z jej ust wydarł się tylko ochrypły szept.

- Bardzo.

- Widziałeś go?

- Nie. Usłyszałem jego nazwisko i rozmawiałem z towarzyszem, który go ratował.

- Skąd wiesz, że to o niego chodziło?

- Major Field jest nam dobrze znany.

- Jesteś tego pewien?

Chen pokiwał głową.

- Bardzo mi przykro.

Stevie ześlizgnęła się do innego wymiaru. Takiego, w którym zupełnie inaczej płynie czas. Miała wrażenie, że brnie przez głębokie błoto. Każdy wdech i każdy wydech wymagały nadludzkiego wysiłku i zdawały się odbywać w zwolnionym tempie. Jednocześnie jej mózg pracował na tak przyspieszonych obrotach, że słyszała jego szum, gdy analizował wszelkie możliwości.

- Nie słuchali nas - ciągnął Chen. - Ostrzegaliśmy, że nie ma sensu bronić

kontynentu i powinni się skupić na wyspie. Wiedzieliśmy, że Japończycy mają doskonałe mapy. Byliśmy uprzedzeni, że zamierzają podzielić wyspę ze wschodu na zachód. Mieliśmy jednoznaczne informacje. Ale nas nie słuchali. Uważają, że sami wiedzą wszystko najlepiej, a nas uważają za bezużytecznych, nawet szkodliwych. Ale nie mają pojęcia, co robią. Nie rozumieją, że odsunięcie nas jest ogromnym błędem. - Zacisnął ręce mocniej.

- Powinni byli nas posłuchać.

Stevie z trudem dźwignęła się na nogi, Chen ją podparł.

- Czerwony Krzyż?

Chińczyk pokiwał głową.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Lily chwyciła ją za ramię.

- Dokąd się wybierasz?

- Znaleźć Harry'ego.

- Nie wychodź stąd, to szaleństwo. Co ty sobie wyobrażasz?!

Stevie oswobodziła się łagodnie.

- Znajdę go - oznajmiła krótko i tak stanowczo, że Lily odruchowo się cofnęła.

Wszyscy odprowadzili ją wzrokiem. Gdy zamknęła za sobą bramę, Hal się rozpłakał.

- Niech tylko przeżyje - powtarzała, odkąd wyszła z podwórza. - Niech tylko przeżyje.

Ociekała potem, a na pięcie, gdzie but ją uwierał, powstała rana. Ręce i nogi wydawały jej się dziwacznie ciężkie. Mimo wszystko, nawet gdy na ulice spadło rozdzierające uszy wycie syren, nie zwolniła kroku.

- Niech tylko przeżyje. Niech tylko przeżyje.

Gdy w końcu uświadomiła sobie, co słyszy, skręciła w pierwsze z brzegu drzwi.

Pchnęła obrotowe panele, a znalazłszy się w pograżonym w mroku wnętrzu, rozpoznała budynek Hong Kong and Shanghai Bank. Z cienia wynurzył się jakiś mężczyzna o pulchnej, zaczerwienionej twarzy. To pan Evans, starszy kierownik, samotnie trzymał wartę. Władczy głos z Londynu nakazał przez telefon, by ktoś z wyższej kadry miał pieczę nad budynkiem.

Wszystko wskazywało na to, że należało się obawiać plądrowania na szeroką skalę ze strony dzikich hord Chińczyków.

- Co pani tu robi? Bank jest nieczynny.

- Syreny wyją.

Nie było sposobu się z nią nie zgodzić, gdyby jednak taka możliwość istniała, pan Evans wykorzystałby ją na pewno. Ostatnie, na co miał ochotę, to odpowiedzialność za jakąś obcą osobę, na domiar złego kobietę.

- Dlaczego pani wyszła na ulicę? Na litość boską, to niebezpieczne.

- Idę do siedziby służby medycznej.

- W jakiejś oficjalnej sprawie?

- Do doktora Clarke'a-Russella.

Przyjrzał się jej podejrzliwie. Odniósł wrażenie, że gdzieś już ją widział. Oczywiście tutaj, na wyspie... Nagle go olśniło.

- Jedną chwileczkę! - wykrzyknął z oburzeniem. - Ja panią przecież znam. Pani jest... tą kobietą!

- Zapewne - zgodziła się bez sprzeciwu.

Tłuszcioch zastąpił jej drogę. Nieopodal spadł pocisk. Posypało się szkło z okien. Pan Evans nie był w nastroju do okazywania miłosierdzia. Zamierzał zademonstrować swoją dezaprobatę tej skandalicznie zachowującej się kobiecie, która miała czelność narazić na szwank reputację brytyjskiego oficera, a co za tym idzie - całego imperium brytyjskiego. Był nieprzejednany.

Drzwi obróciły się ponownie.

- Panna Steiber. Skąd pani tutaj?

Stevie ujrzała wysokiego mężczyznę i natychmiast rozpoznała w nim doktora Clarke'a-Russella. Spotkanie z nim wcale nie wydawało się jej dziwne, wręcz przeciwnie, jak najbardziej na miejscu. Znacznie później dowiedziała się, że ów cud mniemany w rzeczywistości nie był taki znów zaskakujący, ponieważ biuro administracyjne służby medycznej zostało przeniesione właśnie do budynku banku ze względu na jego położenie oraz solidną konstrukcję.

Pochyliła się ku przybyłemu.

- Gdzie jest Harry? - wyszeptała z desperacją. - Muszę wiedzieć.

Evans kipiał gniewem. Nie dość, że ta... kobieta miała czelność wejść do jego banku, to jeszcze bezwstydnie, absolutnie bezwstydnie dopytywała się o kochanka! Poszukał wsparcia u doktora Clarke'a-Russella.

- Już jej powiedziałem, żeby stąd wyszła. To niesłychane pokazywać się tak na mieście, jak gdyby nigdy nic...

- Nie ma powodu do niepokoju - przerwał mu Clarke-Russell. - Ta pani jest ze mną.

Starszy kierownik z najwyższym niedowierzaniem popatrzył na dyrektora służby medycznej kolonii Hongkong, należącej do Jej Królewskiej Mości, obejmującego ramieniem „tę kobietę” i prowadzącego ją do jednego z cennych bankowych skórzanych foteli.

Gmach znajdował się na wydzielonym terenie, gdzie również panowała niezwykajna martwota. Nieruchome powietrze, drzewa i trawa, spokój i niezmacona cisza, przerwana dopiero pojawieniem się ambulansu, który z poślizgiem zatrzymał się przed budynkiem.

Otworzyły się drzwiczki pasażera i z wnętrza wyskoczyła Stevie. Biegiem pokonała żwirowy podjazd i po szerokich stopniach dotarła do okazałego wejścia. W środku natychmiast ogarnął ją chłód przestronnego holu. Zatrzymała się, nie było kogo spytać o drogę, lecz zaraz pobiegła w górę wielkimi marmurowymi schodami, pokonując po dwa stopnie naraz. Na samej górze wpadła na pielęgniarkę z naręczem prania. Zdyszana i niecierpliwa zadała jej pytanie, po czym odwróciła się na pięcie i runęła z powrotem na dół, ślizgając się na gładkiej powierzchni. Żeby nie stracić równowagi, musiała się przytrzymywać rzeźbionej balustrady.

Skręciła w prawo i popędziła korytarzem. Każdy krok budził skrzek linoleum. Na końcu korytarza znajdowały się inne schody. Pognała nimi w górę, na szczycie skręciła w lewo i stanęła. Położyła dłoń na falujących piersiach. Starła się uspokoić oddech. Pięta paliła ją bólem. W miejscu, gdzie but otarł ciało, już dawno pękł bąbel i z żywej rany ciekła krew.

Stevie zrzuciła pantofle, zostawiła je tam, gdzie stała, i ruszyła przed siebie nieco spokojniej, już nie utykając. Zaglądała do każdej mijanej salki.

- Niech tylko przeżyje.

Wszystkie łóżka były zajęte. Leżeli na nich mężczyźni i chłopcy, lżej i ciężej ranni.

Nie zwracała uwagi na ich stan. Nie z ich powodu tu przyszła.

W czwartej sali, do której zajrzała, zobaczyła znajomą szopę blond włosów sierżanta Ramsaya. Cofnęła się, zebrała w sobie. Miała wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie.

Przygładziła niesforne loki, pchnęła drzwi i weszła do środka.

W niewielkiej salce o jasnych ścianach ustawiono tylko dwie prycze. Na jednej leżał Ken Ramsay, pokrzykując coś niewyraźnie od czasu do czasu. Rzucił się w gorączce, a w pewnej chwili zdarł nawet z siebie prześcieradło i odsłonił puste miejsce, gdzie powinna być lewa noga. Stevie nie mogła znieść tego straszego widoku. Wbiła spojrzenie w Harry'ego.

Leżał pod prześcieradłem, a twarz miał bladą jak kreda, oczy zamknięte. Nie poruszał się.

Stała tuż przy jego łóżku, schyliła się i zamarła bez ruchu. Poczowała bardzo słaby, płytki oddech. Jednym ruchem ściągnęła z Harry'ego przykrycie. Ktoś niezdarnie włożył mu spodnie od pidżamy, cały tors zaś miał w bandażach. Lewą rękę unieruchomiono mu na piersi. Białe opatrunki znaczyła siatka krwawych wzorów - starsze już zrudziały, nowsze lśniły żywą czerwienią.

Wszystko jedno. Miał obie ręce i obie nogi.

- A co tu się dzieje?

W drzwiach stał młody człowiek, najwyraźniej lekarz, zdumiony widokiem wiszącej nad jednym z jego pacjentów rozczochranej bosej kobiety, trzymającej w dłoniach uniesione prześcieradło. Stevie wypuściła z rąk tkaninę i rzuciła się lekarzowi na szyję. Chwyliła się go jak tonący brzytwy.

- Co z nim? Będzie żył?

Lekarz niezgrabnie pociągnął ją do drzwi. Przypominali parę w tańcu.

- To pani mąż?

Stevie nie zamierzała go wypuścić z rąk.

- Co mu jest? Muszę wiedzieć!

- Paraliż spowodowała kula, która otarła się o nerw.
- Paraliż?
- Jest nadzieja, że w miarę zdrowienia lewa ręka odzyska do pewnego stopnia sprawność. Wdała się też niewielka infekcja. Na razie trudno ocenić, jak się rozwinie.
- Będzie żył?
- Mam taką nadzieję. Ale jest jeszcze za wcześnie, by wyrokować. Odstąpił o krok, a Stevie zachwiała się gwałtownie. Podtrzymał ją.
- Powinna pani usiąść.
- Nie wyjdę stąd.
- Najlepiej, gdyby miał całkowity spokój - powiedział mężczyzna, ale przyniósł z korytarza krzesło i ustawił je obok łóżka Harry'ego.

Stevie usiadła. Nie odrywała oczu od woskowej twarzy ukochanego. Ledwo go rozpoznawała, taki był obcy, pogrążony w otchłani, w której nie mogła go dosięgnąć. Doktor Roger Holroyd miał dwadzieścia pięć lat i po raz pierwszy kontakt z ofiarami wojny. Nigdy wcześniej nie zetknął się z tak wielkim cierpieniem, jakiemu teraz musieli stawiać czoło, dlatego oniemiał na widok udręki tej obcej kobiety. Zostawił ją samą. Nawet nie zauważyła jego odejścia. Gdy wrócił po godzinie, spała na krześle z głową opartą o ścianę.

Otaczał ją straszliwy chaos. Ludzie krzyczeli i uciekali we wszystkie strony. Ubrania na nich płonęły, mięso odchodziło od kości. Ona też chciała biec, ale miała na rękach Hala oraz gigantyczną puszkę owsianki. Jedno i drugie stale jej się wyślizgiwało. Obudziła się z krzykiem. Zobaczywszy Harry'ego na pryczy, uznała, że w dalszym ciągu śni. Ale po chwili wszystkie lęki zniknęły, cały strach z niej opadł i pojawiła się cudowna ulga. Stevie uniosła się nieco i na jej ustach powoli zaczął wykwitać uśmiech. Wtedy dotarł do niej ostry zapach środków odkażających i leków. Opadła na kolana. Wczepiła się dłońmi w szpitalną pościel.

Żelazna krawędź łóżka wbiła jej się w zębra. Harry poruszył się, ale zaraz ponownie znieruchomiał. Stevie miała tak ściśnięte gardło, że omal się dusiła. Z największym trudem powstrzymywała łzy.

- Ty draniu - wyszeptała. - Mam nadzieję, że mnie słyszysz. Właśnie dlatego nie chciałam tej miłości. Ale ty mnie w sobie rozkochales... I patrz teraz, co z tego wyszło... Sam zobacz. Kocham was obu i co mogę zrobić dla któregoś z was? Nic. Kompletnie nic.

Jestem całkowicie bezużyteczna z powodu zupełnie bezsensownej miłości. Rzuciła pościel z powrotem na łóżko, dźwignęła się na nogi. Nic się nie zmieniło. Był tu on, była ona i tak to wyglądało.

Podeszła do okna. W ogrodzie nedorzecznie obficie kwitły różane krzewy. Zirytowana obróciła się z powrotem. Akurat na czas, by zobaczyć, jak Harry otwiera oczy.

Zauważył ją od razu.

- Hal cały?

Przywołała uśmiech na twarz.

- Tak. Tak. - Nie pomyślała o dziecku od chwili, gdy opuściła dom wuja Lily, zdawałoby się, przed laty. - Ma się doskonale.

Zanim podeszła do łóżka, zamknął oczy. Opadła na krzesło. Zebrała się na śmiałość i wzięła go za rękę. Nie doczekała się żadnej reakcji. Ukryła twarz w jego dużej, tak dobrze znanej dłoni. Po jakimś czasie Harry znów otworzył oczy. Poczowała uścisk jego ręki na swoich palcach, wyprostowała się na krześle. Popatrzył na nią z wściekłością.

- Co z tobą, kobieto?!

Zamrugła raz i drugi, nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi. Żadna odpowiedź nie wydawała jej się właściwa.

- Właściwie... - zaryzykowała w końcu - wystarczy długa ciepła kąpiel...

Wyrwał z jej uścisku zdrową rękę i skrzywił się z bólu.

- Co ty sobie wyobrażasz?! To nie jest zabawa! Równie dobrze możesz udusić Hala poduszką! Będzie szybciej!

Stevie skurczyła się w sobie. Przestraszyła się na wzmiankę o dziecku. Hal był daleko, w innym świecie, nie mogła sobie teraz pozwolić na luksus myślenia o synku. Z nerwów rozboleły ją zęby.

- Nie rozumiem...

- Powinnaś była wyjechać, póki mogłaś. Obiecałaś mi to. Ale nie, ty wiesz

lepiej. Nie mogłaś się oprzeć, jak widzę. Cóż, gratuluję, podpisałaś wyrok śmierci na was dwoje. To jest wojna, ty głupia... Wojna! Nie zabawa!

Gniew kosztował go zbyt wiele wysiłku. Opadł na poduszkę, z trudem łapiąc oddech, na policzkach i szyi wykwitły mu szkarłatne plamy.

Stevie każde jego słowo odbierała jak cios.

- Poszliśmy na przystań - powiedziała cicho, nie patrząc na Harry'ego, by nie zdradzić, jak bardzo ją zranił. - Yanga nie było. Nie było jego łodzi.

- Te łodzie nigdzie się stamtąd nie ruszają.

- Ta się ruszyła.

Podniosła na niego wzrok. Znowu miał zamknięte oczy. A ją łyzy piekły pod powiekami. Szczęście, że przeżył.

Popołudniowe grudniowe słońce oblewało świat łagodnością. Drzewa lekko drżały, na liściach o cieniutkich żyłkach kładły się plamki srebra podobne do cekinów. Stevie czuła odrętwiający chłód na czole, w miejscu, gdzie stykało się ono z szybą.

- Gdzie jest Hal? - zapytał Harry.

Drgnęła zaskoczona. Odwróciła się do niego. Był blady jak papier.

- Został z Lily. Przeprowadziłyśmy się do domu jej wuja. Uznałyśmy, że w mieszkaniu jest niebezpiecznie, a tam przyjęto nas z otwartymi ramionami.

- Jak długo jestem tutaj?

- Dwa dni.

- Co mi jest?

Stevie niepewnie zrobiła krok w stronę łóżka.

- Powiedz - zażądał z naciskiem, zanim otworzyła usta.

- Masz niesprawną rękę. Ale lekarz uważa, że wydobrzejesz.

- Tylko nie ma pewności?

- Nie ma.

Harry kiwnął głową.

- Dziękuję ci.

Stevie stała bez ruchu, bała się, że straci przytomność.

- A Ramsay?

Zerknęła na sąsiednie łóżko. Harry poszedł spojrzeniem za jej wzrokiem.

- Dzielny smarkacz - stwierdził z podziwem. - Wyjątkowo dzielny.
Wolała milczeć.

- Dowiem się, jak wygląda sytuacja - oznajmił Harry zaskakująco silnym głosem.

- Powinna działać cała siatka umożliwiająca ludziom opuszczanie wyspy. Yang nie był jedyny.

- Umilkł. - Co za kanalia.

- Bardzo cię przepraszam za to, co powiem, ale można się było domyślić, że sprzedawca opium nie jest najbardziej wiarygodnym człowiekiem na świecie.

Spojrzeli po sobie i Harry się uśmiechnął, a Stevie miała przez chwilę wrażenie, że radość promieniująca z tego uśmiechu mogłaby ją zadusić.

- Szykowaliśmy odwrót z komunistami. Pamiętasz tego młodego człowieka, którego tak heroicznie wyciągałaś z więzienia?
Odchrząknęła.

- Oczywiście. To Chen, brat Lily. To od niego dowiedziałam się, że jesteś ranny.

Gdyby nie on, pewnie bym cię nie znalazła... - Umilkła.

- On będzie wiedział. Jego zapytaj. Z początku planowali przedostawać się do Makau.

- Może powinnam wysłać z nim Hala... Mógłby...

- Zwariowałaś? - przerwał jej Harry z przerażeniem. - Przecież on bez ciebie nie przeżyje.

Dopiero teraz otrzeźwiała, wstrząśnięta własnymi słowami.

- Jakoś tak... Skąd mi się to wzięło...?

- Przysięgnij mi, że nigdy tego nie zrobisz.

Stevie podeszła do łóżka.

- Naprawdę myślisz, że mogłabym oddać dziecko? Taka jestem twoim zdaniem?

- Przysięgnij.

- Dobrze już, dobrze. Obiecuję. Przysięgam.

Doskonale czuła gdzieś, całkiem niedaleko, tuż obok tego nowego życia

cień jej dawnego istnienia, z tamtego czasu, gdy jeszcze nie znała Harry'ego. Wtedy potrafiłaby odesłać dziecko z przekonaniem, że tak będzie dla niego najlepiej, i z wiarą, że dla niej również to najwłaściwsze wyjście. Lekko zawstydzona ujęła Harry'ego za rękę.

- Jesteś głodny?

Pokręcił głową. Ścisnął jej dłoń mocno, aż zaboląło.

- Cholera jasna... - Na próżno szukał słów. - Dziewczyno! Cholera jasna...

Zapadła noc. W ogromnym starym budynku panowała cisza, tylko czasem z którejś z sal dochodził jęk i płynął korytarzem niczym zawodzenie wiatru. Ken leżał bez ruchu.

Oddech miał płytki i drżący, choć tuż przed zmierzchem znużona pielęgniarka podała mu kolejną dawkę morfiny. Stevie leżała na łóżku obok Harry'ego. Było jej niewygodnie. Żeby nie spaść, musiała przyłgnąć do metalowej krawędzi pryczy, ale nie ruszyłaby się stąd za żadne skarby. Przez okno wlewała się blada poświata. Niespokojne chmury co jakiś czas zasłaniały księżyc sinawym welonem.

- Co z domem pani Kung na Wzgórzu Wiktorii? - Jej głos jak zmarszczki na wodzie rozpływał się ledwo zauważalnie. - Stoi pusty, a tam powietrze jest na pewno lepsze niż tutaj.

Hal mógłby się tarzać w pyle do woli. Ja bym gotowała...

- No nie! - prychnął Harry. - Tu już przesadziłaś.

Stevie ściągnęła brwi w zamyśleniu.

- No tak, masz rację, ja i gotowanie... Ale mogłabym od czasu do czasu pozamiatać.

- Czy aby na pewno?

- Nie bądź taki znowu strasznie zaskoczony. Dziwniejsze rzeczy wojna robi z ludźmi.

Na przykład... - tym razem sama urwała w pół słowa.

- Na przykład?

- Na przykład okazuje się - podjęła wolno niepewna, jak ująć rzecz w słowa - że mogę oficjalnie być uznana za Chinkę, co zapewni mi i Halowi względne bezpieczeństwo. Jestem żoną Jishanga. Przecież nikt nie będzie podważał

dokumentów. Nawet jest na nich piękna czerwona pieczęć. Japończycy uwielbiają takie rzeczy, prawda? Poza tym na razie będą zajęci Brytyjczykami i Amerykańcami. Wieki miną, zanim zabiorą się do Chińczyków. - Zmieniła ton, spoważniała. - Bałam się, że już nigdy cię nie zobaczę. - Obróciła się do Harry'ego, księżyc rozjaśnił jej twarz. - Nigdy, ale to nigdy więcej mi tego nie rób. Po prostu bądź ze mną. Na zawsze. Tylko o to proszę.

- Czy to przypadkiem nie ograniczy twojej wolności?

Stevie przytuliła się do niego, objęła go mocno. Harry aż krzyknął z bólu. Odskoczyła od niego natychmiast jak rażona prądem.

- Przepraszam. Przepraszam... Bardzo boli?

Major Field zdobył się na krzywy uśmiech.

- Czymże byłoby życie bez odrobiny cierpienia?

Znów minęło trochę czasu. W dalszym ciągu leżeli na pryczy. Wstawał świt.

- To jest bardzo duży dom - szeptała Stevie. - Ogromny. Ma doskonale wyposażoną kuchnię. Ty tam przygotowujesz jakieś danie z makaronem...

- Rybę w cieście. Niech to będzie ryba w cieście. Świeży łosoś, do tego warzywa...

-...które zaraz przyniosę z ogródka. Właśnie po nie poszłam. A, nie, to Hal po nie poszedł.

- Ty wcale nie jesteś w ogrodzie. Wiem, gdzie cię szukać. Tkwisz w swoim gabinecie, w niemożliwym rozgardiaszu, i piszesz. O tym, jakie nudne jest życie na wsi i jak bardzo chcesz się znaleźć w Nowym Jorku.

- A, tak, Nowy Jork. Wracam do swojego biurka w wydawnictwie, wyszłam tylko na chwilę po obwarzanki i kawę.

- Ach, kawa.

Na chwilę umilkli oboje, rozmyślając o czarnym napoju, wchłaniając bogatą woń ciemnych ziaren.

- A ja jestem z Halem w twoim mieszkaniu - podjął Harry. - Uczę go mówić z czystym angielskim akcentem.

Stevie dotknęła palcami jego ust.

- Kocham cię.

Tym razem zapadła między nimi zupełnie inna cisza. Musieli w końcu zasnąć, bo gdy następnym razem Stevie otworzyła oczy, było całkiem jasno. Strasznie obolała odwróciła się na bok, twarzą do Harry'ego. On także otworzył oczy.

- Trzymasz się jakoś?

- Jakoś. - Ziewnęła. - Kiedyś było gorzej, jak zaczęłam pisać wiersze.

- Póki nie o mnie, póty pół biedy.

- Ważne, żebyś wrócił do formy. Będziesz mógł znowu wyrzekać na moje pisanie.

- Jestem w formie.

Stevie znacząco uniosła brwi. Harry przekrzywił głowę w drwiącym wyrazie buntu.

- Mam ci udowodnić?

Pocałunek, niezdarny i niestosowny, został przerwany przez jakieś poruszenie na korytarzu. Rozległy się podniesione głosy, słychać było pospieszne kroki, ktoś biegł.

- Następnym razem - mruknęła Stevie.

Oboje uśmiechnęli się ciepło.

Gwałtownie pchnięte drzwi stanęły otworem. W progu ukazała się młodziutka pielęgniarka, z pewnością niespełna dwudziestoletnia. Z przerażenia nie robiła wstępów.

- Poddaliśmy się - oznajmiła z niedowierzaniem w głosie. - Na posterunku policji wywieszono białą flagę. Co mamy robić? Jest Boże Narodzenie.

Stevie tylko pokręciła głową. Znowu przyłgnęły do niej lepkie macki strachu.

- W tej sytuacji - odezwał się Harry - koniec dowcipów o Włochach.

Potężna, choć stłumiona eksplozja zatrzęsa szybami w oknach. Pielęgniarka krzyknęła i kurczowo chwyciła się klamki. Harry spowaźniał.

- Strzelają z najcięższych dział.

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach i rozsłochała się przeraźliwie. W drzwiach zrobił się tłok, stanęło w nich kilku chorych i jeszcze dwie

pielęgniarki.

- Majorze! - krzyknął zbyt głośno jeden z mężczyzn wsparty na kulach. - Jak pan sądzi, czy to prawda?

Jednocześnie słychać było głos starszej pielęgniarki:

- Nie rozumiem, po prostu nie rozumiem. To niemożliwe. Dlaczego mielibyśmy się poddawać?

W efekcie cała grupa weszła do pokoju. Ken krzyknął coś nieprzytomny. Rozeźlona pielęgniarka podeszła do okna.

- Boże drogi! - zawołała przenikliwie.

Wszyscy rzucili się do okna, tylko Stevie została tam, gdzie była, na łóżku Harry'ego.

Nogi jakoś nie chciały jej nieść. Myśli znowu przestawiły się na inne obroty jak wtedy, zanim go znalazła. Ludzie stłoczeni przy oknie podtrzymywali się nawzajem, mówili coś przyciszonymi głosami. Poczuli na plecach dłoń Harry'ego. Dodawał jej odwagi, by wstała.

Z początku wydawało jej się to całkiem niemożliwe, ale wkrótce przekonała się, że stoi na własnych nogach. A wtedy zrobiła trzy kroki i znalazła się przy oknie.

Z początku nie dostrzegła nic szczególnego. Dopiero gdy spojrzała na zbcze, zobaczyła mrowie drobnych figurek podążających drogą w górę. Całkiem jak popularna zabawka - ołowiane żołnierzyki. Niewiarygodnie wolno. A za nimi pojazdy wojskowe. Też kruche zabawki. Doskonale odwzorowane. I było ich mnóstwo.

Nie od razu pojęła, że to Japończycy. Z daleka wszyscy żołnierze wyglądają tak samo.

Odwróciła się do Harry'ego oniemiała ze zdumienia. Nie musiała jednak nic mówić, on wiedział, co zobaczyła. Podeszła do niego wolnym krokiem.

- Musisz znaleźć Li Chena - oznajmił głosem jasnym i mocnym, silniejszym niż szum w jej głowie. - On będzie wiedział, co robić. - Po czym ściągnął brwi w zastanowieniu.

- Swoją drogą, skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

- Doktor Clarke-Russell mi powiedział. Miał listy Czerwonego Krzyża.

Harry pokiwał głową. Później, w zupełnie innym miejscu, wspominając tamte dwadzieścia cztery godziny, Stevie miała nieodparte wrażenie, że zostały wyjęte z innego wymiaru. Zawieszona w białej przestrzeni pomiędzy tym, co było, a tym, co miało się stać.

Cierpkie i ciężkie od tęsknoty objawiały się przez zamglony woal złudzeń i nadziei, co w tym przypadku stanowiło w zasadzie jedność. Tumult zdruzgotanego świata brutalnie ściągnął ich z powrotem do rzeczywistości, mimo to aż do ostatniej chwili zwlekała z opuszczeniem szpitalnego azyłu. Ostatnie wątpliwości rozwiązało przybycie Clarke'a-Russella. Sytuacja stała się nadzwyczaj realna i przerażająco jednoznaczna. Pielęgniarki i pacjenci poszli szukać pocieszenia gdzie indziej.

Mniej więcej godzinę później Stevie stanęła oko w oko z inwazją. Z korytarza dobiegał nedorzecznie opanowany głos Clarke'a-Russella:

- Dostawy żywności są na razie wystarczające.

Pchnął drzwi i wszedł do sali. Razem z nim pojawili się jacyś trzej Japończycy oraz pan Takeda. Stevie nie zdążyła wstać. Harry próbował usiąść, lecz mu się nie udało.

Clarke-Russell ze zgrozą uniósł ręce, prezentując jak zwykle nienaganne maniery.

- Szanowny panie, proszę się nie podnosić. Nie ma sensu marnować starań personelu, chyba się pan ze mną zgodzi. - Wskazał Stevie. - To moja znajoma, panna Steiber. - Nie zostawiając swojej wojskowej eskorcie czasu na niewygodne pytania, zwrócił się z powrotem do Harry'ego: - Panowie pragnęli się przede wszystkim zobaczyć z panem.

Stevie z niemałym trudem zdusiła śmiech. Całkiem jakby się znajdowali na salonach w hrabstwie Suffolk albo wręcz w londyńskiej dzielnicy Mayfair. Dopiero później zrozumiała, że maniery doktora ocaliły im życie i na taką właśnie ewentualność zostały stworzone, a następnie przez wieki podbojów udoskonalane.

Japończycy się uklonili. Grzeczna odpowiedź na grzeczne zachowanie. Co miało większe znaczenie? Trudno powiedzieć. Ważne, że tamtego dnia w szpitalnej sali maniery były górą. Pan Takeda zakomunikował coś swoim

kolegom. Stevie rozpoznała jedynie słowa „major” i „Field”. Tamci skłonili się ponownie. Harry odpowiedział poważnym tonem.

Wymieniono jeszcze kilka ukłonów, po czym doktor Clarke-Russell zaczął wyprowadzać panów z pokoju.

- W tej chwili mamy tu w szpitalu sześćdziesięciu czterech mężczyzn oraz dwadzieścia pięć osób personelu medycznego. Ruszajmy. - Podeszedł do drzwi, otworzył je i przytrzymał.

Oficerowie podążyli za nim posłusznie. Poprowadził ich dalej, z korytarza dobiegał jego rzeczowy, pełen godności głos.

- Najważniejsze jest moim zdaniem ustrzeżenie wyspy przed epidemiami, takimi jak cholera.

Takeda zawrócił od drzwi. Przeniósł wzrok z jednego na drugie.

- Zrobię, co będę mógł - rzucił cicho i zniknął.

Stevie z niejakim trudem przestąpiła z nogi na nogę. Mięśnie jej ścierpły.

- Co powiedzieli?

- Że ukłonem wyrażają szacunek dla moich ran.

- A ty co odpowiedziałeś?

- Że przyjmuję ich wyrazy szacunku.

- I co to miało znaczyć, do ciężkiej cholery? Co to właściwie miało znaczyć?!

Stevie doskonale zdawała sobie sprawę, że mówi coraz głośniej, tracąc opanowanie.

- A ten łajdak, Clarke-Russell?! Kolaborant! Jeszcze nikt nie potwierdził kapitulacji, a on już taki skory do współpracy! Na pierwszy sygnał niebezpieczeństwa już jest zaprzyjaźniony z wrogiem, już wszyscy się kochają, a on ich oprowadza po nowym terytorium! Co z walką? Gdzie obrona? Nie do wiary... - Dygotała z oburzenia.

Harry zamknął oczy, lecz głos miał silny:

- Clarke-Russell jest szefem służby medycznej. Jego powinności obejmują całą populację bez względu na pochodzenie etniczne, a polegają na zapewnieniu warunków sprzyjających utrzymaniu zdrowia. Będzie wypełniał swoje obowiązki dopóty, dopóki zdoła.

- Otworzył oczy. - Ja też.

Wreszcie pojęła skalę katastrofy. Ujrzała ją oczyma wyobraźni jako ciągnącą się w nieskończoność ziemię obsypaną popiołem. Raptem od drzwi dobiegł ją głos Clarke'a-Russella:

- Jeden z ambulansów jedzie do miasta. Niech pani nim wraca.

Nie potrafiła się ruszyć. Ścięta terażniejszością nie umiała zrobić kroku w przyszłość.

- Proszę iść! - nakazał jej Clarke-Russell ostrym tonem dowódcy w czasie kryzysu.

Harry dodał jej odwagi skinieniem głowy, jakby była dzieckiem stojącym niezdecydowanie w progu sali, gdzie odbywa się przyjęcie. W końcu więc zbliżyła się do niego, musnęła ustami jego policzek pokryty ostrą szczecina zarostu i odeszła.

Przyprawiający o mdłości zapach środków odkażających i zgnilizny załagał się w jej włosach na długie dni. Trochę dziwnie się czuła, gdy w końcu zniknął. Szukała go na próżno, przyciągając kosmyki do nosa. Tam, wtedy, w świętości tego białego pokoju, gdy wciągnęła w nozdrza jego oddech, usłyszała jeszcze:

- Pamiętaj, co mi obiecałaś, kokietko.

Z ciężkim sercem pełnym obaw, do czego miała wkrótce przywyknąć, podążyła za ponagląjącym gestem Clarke'a-Russella w zupełnie nowy porządek świata.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nikommu nie przyszło do głowy, żeby go odciąć. Zwisał z pokręconej gałęzi drzewa, jakby rzucił go tam kapryśny wiatr. Tyle że niezgodnie z naturą kark miał obwiązany jasnym sznurem. No i nie wiatr nim kołysał, tylko niewidoczne fale powietrza, budzące się z każdym wybuchem, nawet bardzo dalekim.

Wysiadła z ambulansu przed samą bramą. Gdyby nie wiszący na drzewie Victor, nie poznałaby podwórza, bo zostało splądrowane. Tu i ówdzie walały się resztki mebli, a płachty gazet krążyły wokół nich jak bezrozumne zwierzęta. Stała bez ruchu długie minuty, bo dużo czasu zajęło jej zrozumienie, co widzi. Nieszczęsne stworzenie ze spuchniętym fioletowym językiem zwisającym z włochatego pyska...

Nie miała czasu na żalobę, bo zaraz podbiegła do niej Lily, a z bawełnianej chusty na jej piersiach dochodził głos Hala. Gdy go przytuliła, ciepłe łzy spłynęły jej po twarzy. Lily tak szybko wyrzucała z siebie słowa, że Stevie nie rozumiała nic. Absurdalność sytuacji sięgnęła zenitu, gdy nagle zobaczyła Phyllis Clarke-Russell, wysoką i posepną, idącą od budynku. Za nią podążała jej córka Margaret. Phyllis miała na sobie suknię rozdartą na przodzie, a ponieważ halka także nie została w całości, widać było bieliznę. Stevie odruchowo oceniła, że bardzo kosztowną. Zapewne francuską.

Teraz z kolei Phyllis coś mówiła.

- Zabrali nam dom. Nie miałam dokąd iść. Zachowywali się okropnie. Byli gruboskórni i bez przerwy krzyczeli, pozrzucali rzeczy z piętra... Po prostu chwyтали i rzucali, to niewyobrażalne. Niektórzy mieszkańcy Wzgórza Wiktorii... ot, choćby pan Evans, postanowili zostać w domach, ale ja nie chciałam, żeby Margaret przebywała w pobliżu tych... tych... - z wysiłkiem

szukała odpowiedniego terminu, ale nie wystarczyło jej zasobów słownika osoby dobrze wychowanej -...tych strasznych ludzi - dokończyła wreszcie. - Dzięki Bogu, że chłopcy wyjechali do szkół. Nie wiem tylko, jak ja im wyśle świąteczne paczki ze słodyczami, skoro poczta nie działa. Nie rozumiem, po prostu nie rozumiem, co się stało z naszymi planami obrony. Mieliśmy wytrwać w oblężeniu przynajmniej trzy miesiące. Mąż mi wszystko wyjaśnił, obrona była przewidziana w najdrobniejszych szczegółach.

Stevie przycisnęła do siebie Hala i zaśmiała się głośno. Jakież to wszystko było niedorzeczne! Wszystko. Te głupie plany i tajemnice, i spiski. Rozmowy, walki, zabijanie...

Niedorzeczne!

- Co się z panią dzieje? Dlaczego pani się śmieje? Pani chyba oszalała...

- Z planami nie stało się nic szczególnego. Po prostu nie wypaliły.

Margaret zerknęła w górę spod długich jasnych rzęs. Szeptala coś cichutko. Bryza zabierała jej od ust niewyraźne dźwięki. Stevie pochyliła się nad dziewczynką.

- Co mówisz?

Ona jednak nie mówiła, tylko śpiewała. Ciągle od nowa to samo, ochrypłym, wyczerpanym z melodii szeptem.

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, rybkę złapać mam ja chęć...

Stevie spojrzała pytająco na Phyllis. Ta przyciągnęła córkę do siebie.

- Śpiewa tak, odkąd wyszliśmy z domu. Kiedy zatrzymali nas żołnierze, cały czas śpiewała. Wydaje mi się, że dlatego nas puścili. Z początku sądziłam, że stanie się... najgorsze. - Phyllis zebrała zniszczoną suknię na piersiach, lecz niewiele to dało. - Trzymali mnie bardzo mocno i stale krzyczeli. Chcieli zabrać Margaret, ale ona do mnie przywarła i tylko cały czas śpiewała. To jej ulubiona piosenka. Zna ją od zawsze.

Na więcej nie starczyło jej sił. Ciałem kobiety wstrząsnęły potężne spazmy, choć z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Tylko Margaret ciągle powtarzała swoje.

- Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć - wydzierało się spomiędzy jej bladych warg.

Stevie, jedną ręką trzymając Hala, drugą objęła Phyllis. Bezdźwięczny szloch nieszczęsnej kobiety odezwał się echem w jej ciele. Stała mocno, podtrzymując zdruzgotaną matkę z córką, dzieląc się siłą z Phyllis, której krucha jaźń została złamana.

Tuż nad ich głowami kołysały się długie, chude łapy Victora, koszmarnej flagi obwieszczającej porażkę.

W największym pokoju na podłodze wszędzie leżeli śpiący. Phyllis i Margaret dostały najlepsze miejsca, tuż obok niszy, gdzie przykucnęło bóstwo domowe, nieporuszone i bezużyteczne. Stevie siedziała oparta o ścianę i oglądała swój zniszczony amerykański paszport. Przyglądała się zdjęciu młodej dziewczyny, mniej doświadczonej i mniej utrudzonej. Wydawała się sobie taka odległa jak szkolna koleżanka, z którą dawno straciła kontakt.

Pamiętała tamtą wizytę w studiu fotograficznym w mieście Utica. Dzień był chłodny i gdy zdjęła kapelusz, włosy okazały się nie do przyjęcia, całkiem przylizane. Fotograf z nią flirtował, a ona spiekła raka. Potem zadrżała, zalana niespodziewanym strumieniem gorących światła. Uśmiechała się na zdjęciu szeroko, o tak, lecz jednocześnie widać było w jej twarzy czujność i hardość. Charakter. Wiedziała, że nie jest szczególnie piękna, słyszała to od matki wystarczająco często, ale też nie zamierzała pozwolić, by ten fakt jej w czymkolwiek przeszkodził. Wreszcie miała wyjechać w świat. Po to robiła to zdjęcie. Paszport stał się dla niej czymś w rodzaju amuletu. Dopóki go miała, dopóty wiedziała, kim jest, wiedzieli o tym również wszyscy inni. Dokument ją chronił, zapewniał bezpieczeństwo, stanowił niewidzialną tarczę, jaką było obywatelstwo amerykańskie.

Spod ubrań służących jej za poduszkę wyciągnęła granatowy płaszcz z gabardyny. Odszukała szew i zaczęła wyciągać nitkę. Z początku było to trudne, ale w końcu dopięła swego. Rozpruła zaledwie kawałek, tyle, by wetknąć w dziurę paszport. Gdy zniknął pod podszewką, odniosła wrażenie, że straciła fragment własnej tożsamości. Mimo całej buńczucznej niezależności odwagę czerpała w pewnym stopniu z tej niepozornej książeczki.

Kim więc teraz się stała?

Obudził ją straszny krzyk. Płaszcz ścisnęła w dłoniach. W szarości przed świtem trudno było rozpoznać mroczne postaci przemierzające się w pokoju. Ci dziwni ludzie poruszali się szybko, lecz cicho. Znowu rozległ się krzyk, tym razem Stevie rozpoznała Margaret, jej dziewczęcy głosik szarpany przerażeniem. Dźwignęła się na nogi akurat na czas, by zobaczyć, jak Phyllis, a razem z nią Margaret są prowadzone do drzwi przez kilku japońskich żołnierzy.

- Nie! - zawołała. - Stop! Co robicie?

Phyllis odwróciła ku niej głowę, choć cały czas popychano ją do drzwi.

- Wszystko w porządku. Wiedziałam, że po nas przyjdą. Nic nam się nie stanie. - Była zadziwiająco spokojna, nieomal pogodna. - A swoją drogą chyba powinna pani wiedzieć, że nigdy nie lubiłam Sylvii.

Przejście przez miasto zajęło Stevie prawie cały dzień. Taka podróż dawniej trwałaby może pół godziny. Prześladowało ją słowo „dawniej”. Dawniej było picie, jedzenie, alkohole i muzyka. Dawniej byli krawcy chętni do kopiowania sukien, bary i oliwki. Targ, filmy i orchidee zdobiące kreacje. Dawniej nakładało się na wszystko, co widziała, jak na dwukrotnie naświetlonej kliszy.

Wyszła o świcie. Gdy wybiegła za bramę, ślady opon ciężarówki, którą zabrano Phyllis i Margaret, były jeszcze świeże. Smród rozgrzanej gumy mieszał się z wonią jaśminu i przyprawiał o mdłości. Chociaż może po prostu było jej niedobrze z głodu.

Zaledwie kilka godzin minęło od jej powrotu ze szpitala, a na ulicach zdążyły się pojawić nowe utrudnienia. Jak w koszmarnym śnie znajome trakty kończyły się stertą gruzu, a boczne alejki całkiem zniknęły. Budynki mieszkalne wsiąkły w ziemię i wszędzie, gdzie się spojrzało, coś się paliło. Całość pokrywała wirująca mgiełka kurzu. Zamazywała obraz i rozmywała krawędzie całkiem jak burza śnieżna. W pewnej chwili obcas ugrzązł jej w czymś miękkim. Spojrzała pod nogi. Ręka. Nienaruszona, poza tym, że kończyła się zniekształconym stawem w miejscu, gdzie powinien być bark. Leżała, jakby nieuważnie porzucona, wnętrzem dłoni zwrócona ku górze, ze

swobodnie ugiętymi palcami. Widziała po drodze kilka pojazdów wojskowych, ale nikt jej nie zatrzymał. Miejsce po bąblu na pięcie znów zaczęło krwawić. Mimo wszystko biegła nieprzerwanie, a gdy już nie mogła złapać tchu, szła jak najszybciej, aż znalazła się na stromym zboczu wzgórza. Wyobraziła sobie, że Harry może stać przy oknie, cudem ozdrowiały, co prawda z ręką na temblaku, ale w zdecydowanie lepszej formie, i widzi, jak do niego wraca. Starła się iść dziarskim krokiem, z podniesioną głową, by mógł wyczytać z jej postawy, że wszystko jest w najlepszym porządku i nie ma potrzeby obawiać się ani o nią, ani o Hala. Zobaczywszy szpital, puściła się biegiem przez żwirowany podjazd, minęła karetki i dostała się prosto do gabinetu Clarke'a-Russella zdziwiona, że nikt jej po drodze nie zaczepia. Ten, do którego przysła, siedział przy biurku, tam, gdzie się go spodziewała. Zmęczenie wyrzeźbiło na jego twarzy głębokie zmarszczki.

Znowu ogarnęło ją wrażenie, że wszystko jest inaczej niż dawniej. Clarke-Russell był i nie był sobą. Wyglądał inaczej.

- Bardzo mi przykro - odezwał się na jej widok. - Nie mogłem nic zaradzić. Stevie stała niezdecydowana.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powtórzył. - Myślę, że pojechali do obozu oficerskiego na Argyle Street.

Nie rozumiała, o co chodzi.

- Nie wywieźli Margaret do obozu oficerskiego, ona ma dopiero osiem lat.

- Margaret? - Imię córki wyraźnie go zdziwiło.

- Nie ma czasu do stracenia. Zabrali je niedawno. Wszystko stało się bardzo szybko.

Nawet nie zdążyły wziąć ubrań. Ale Phyllis była całkiem spokojna, powiedziała, że się ich spodziewała. Po południu zatrzymano je w punkcie kontrolnym, tam podała im swoje dane i miejsce, gdzie zamierzała się zatrzymać i w ogóle wszystko, co chcieli.

Gdy Clarke-Russell pojął, co słyszy, zachwiał się i musiał oprzeć o biurko.

- Rozumiem - powiedział w końcu.

Zawiesił wzrok na starannie ułożonych dokumentach, resztkach pokonanej biurokracji.

- Obawiałem się właśnie... - Głos miał zmieniony, niepewny. - Jestem bardzo zmęczony.

Jego przejaw słabości przeraził Stevie bardziej niż całe zło, z jakim się do tej pory zetknęła. Clarke-Russell podniósł na nią wzrok. Wziął się w garść.

- Stevie, mówiłem o Harrym. W nocy postawiono nam ultimatum. Każdy z nas musiał podpisać zobowiązanie, że nie będzie próbował ucieczki. On tego nie zrobił. Przekonywałem go, ale nie słuchał. Znasz Harry'ego, jest uparty jak osioł.

Clarke-Russell mówił dalej, lecz ona już nie słuchała. Obróciła się na pięcie i pobiegła. Korytarze ciągnęły się przed nią bez końca, pędziła, ale ciągle nie dość szybko.

Jego łóżko stało puste. Prześcieradło leżało na podłodze, zrzucone jak gadzia skóra. W poduszce widniało jeszcze wgłębienie po głowie. Zasłoniła usta dłońmi. Instynktownie zdusiła krzyk. Kątem oka dostrzegła poruszenie. Obróciła się do drugiego łóżka. Tam, gdzie powinien leżeć Ken, zobaczyła jakiegoś łysego mężczyznę w średnim wieku o twarzy niemal całkowicie przesłoniętej opatrunkiem. Po chwili zorientowała się, że nie był łysy. Został oskalpowany.

Tyłem wycofała się z sali. Clarke-Russell podtrzymał ją, gdy osuwała się na ziemię. W rękach trzymała kubek z gorącą herbatą. Para osiadała jej na twarzy. I dobrze. Wywar był mocny i gorzki. Oczywiście przede wszystkim liczyło się nie samo picie, lecz rytuał: parzenie herbaty, podawanie, czas, by obie strony wzięły się w garść. Znajdowali się w pokoju pielęgniarek. Clarke-Russell siedział naprzeciwko w jednym z kilku odrapanych foteli. W rogu tkwił błyszczący drewniany fonograf na wrzecionowatych metalowych nóżkach.

- W jego przypadku to naprawdę była kwestia czasu - mówił lekarz tonem wprawionym od wieloletniego przekazywania ludziom złych wieści. - Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Gdyby ci żandarmi, kempeitai czy jak ich tam zwa... gdyby tylko mogli, zabraliby nas wszystkich.

- Co to za jedni?

- Teoretycznie są nową cywilną siłą policyjną, ale odpowiadają przed

dowództwem wojskowym. To mydlenie oczu. Obywatele mają wierzyć, że nie są zależni od prawa wojskowego. Znani są z bezwzględności. Działają brutalnie, a ich celem jest zastraszenie. Z takimi jak oni lepiej nie zadzierać.

- A co z panem? Pan podpisał?

- Tak, podpisałem. Nie jestem żołnierzem.

- Co z nim zrobią?

Clarke-Russell westchnął i zakaszłał.

- Posłuchaj, drogie dziecko - odezwał się wreszcie. - Mamy podstawy sądzić, że jeńcy są przetrzymywani zgodnie z międzynarodowym prawem wojennym. Pozostałym pozwolono zająć się bieżącymi sprawami. - Pochylił się, zmarszczył czoło. - Ten pulchny przyjaciel Harry'ego to kto taki?

- Pan Takeda? Właściwie nie wiem. Robi tu jakieś interesy. Pracuje dla spółki produkującej szkła do okularów. Znają się z Harrym bardzo długo. Jeszcze z Japonii.

- Rozumiem. - Ponownie odetchnął głośno. - Nie ma jasności, czy taka znajomość może Harry'emu pomóc, czy zaszkodzić. Bądź więc ostrożna.

- Zawsze był bardzo miły.

- Ale żandarmi odczytają to jako zagrożenie dla swojego autorytetu. A jeśli o nas chodzi... Cóż, rozpoznanie wroga zawsze jest trudne. Lepiej uważać. Przestraszeni ludzie łatwo doszukują się nieczystych intencji.

- U Harry'ego?

- Nie, nie, skądże. U tego japońskiego przyjaciela. I mogą mieć rację.

Stevie pochyliła głowę nad herbatą. Na powierzchni płynu dojrzała pianę. Nagle zdegustowana odstawiła kubek na biurko. Clarke-Russell wziął ją za rękę. Dłoń miał gorącą i suchą.

- Kiedy przyjdą po mnie, proszę pod żadnym pozorem nie podejmować żadnych kroków. - Jego skóra parzyła. - Nie próbować się ze mną porozumieć. Nie przysyłać jedzenia.

Ukryć wszystko, co cenne.

Była zaskoczona, gdy uświadomiła sobie, jak dużo czasu zajęło jej zrozumienie rzeczywistości. Właściwie nadal jej nie pojmowała. Przecież musi być jakiś sposób, by dotrzeć do Harry'ego. Z pewnością uda się

odnaleźć Phyllis oraz Margaret. I powstrzymać całe to szaleństwo, odwrócić tę niedorzeczną sytuację. Jak to możliwe, by życie, które znała, tak po prostu się skończyło? Przestało się toczyć, zatrzymało się, stanęło niczym zegar albo ludzkie serce. Coś jej się przypomniało.

- Sierżanta Ramsaya zabrali z Harrym?

Clarke-Russell pokręcił głową.

- Nie zdołaliśmy opanować infekcji. Może i lepiej, że tak się stało.

Przeszła już spory kawał, nim nagle się zatrzymała jak rażona gromem. Przerazenie zaćmiło jej wzrok. Cały świat okryła sinawa mgiełka. Nie dostrzegła szczupłego Japończyka wystrojonego w doskonale skrojony garnitur, który podążał jej śladem od chwili, gdy opuściła szpital. On także się zatrzymał w dyskretnej odległości i z zainteresowaniem oglądał paznokcie. Po drugiej stronie ulicy przeszedł inny japoński żołnierz. Ciągnął za sobą na sznurku jakąś starą Chinkę. Jak psa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dni mijały jak w transie. Cudem wydawały się normalne codzienne czynności: chodzenie na targ, gdzie według najnowszych wieści można było akurat kupić żywność, nabywanie jedzenia, gotowanie i spożywanie posiłków, mycie, pranie przy użyciu jak najmniejszej ilości mydła i proszku... Dostosowali się do nowego porządku świata, odsunawszy na bok luksus analiz czy prognozowania. Stevie miała obsesję na punkcie gromadzenia mleka w proszku dla Hala. Lily irytował ten przejaw strachu.

- Gdybyś go karmiła piersią jak normalna kobieta, nie musiałabyś teraz martwić się o jedzenie dla niego.

Stevie nie miała na to odpowiedzi. W szpitalu przyjęto takie założenie, ona się z nim w zasadzie zgodziła. Zanim zdążyła zmienić zdanie, Hala już przestawiono na butelkę, a ona okładała obolałe piersi chłodną flanelą. Ileż by teraz dała za własne mleko! Ponieważ jednak go nie miała, musiała przeszukiwać zdewastowane miasto, pokonywać barykady ze zniszczonych budynków i zgadzać się na każde żądanie sprzedawcy. Kiedy któregoś razu mleko w ciągu jednego dnia podrożało czterokrotnie, oddała za nie zegarek.

Za każdym razem wędrowała dalej, zawsze w inną okolicę. Jak w sennym koszmarze odkrywała miejsca niegdyś znane, lecz zmienione, i nigdy nie miała pewności, czy budynek lub kolejna ulica będą wyglądały tak jak wówczas, gdy widziała je ostatnio. I zewsząd obraźliwie kłuły ją w oczy flagi ze wschodzącym słońcem. Wisiały wszędzie, gdzie tylko dało się je powiesić, poznały jaskrawym tatuażem caluteńką wyspę. Gdy zobaczyła przystań pierwszy raz po kapitulacji, ruszyła przez ruiny, które pozostały z placu Wiktorii. W pewnej chwili przystanęła, by zorientować się wśród gruzów. Zerknęła na wodę. Wystawały z niej pod różnymi dziwacznymi kątami maszty zatopionych łodzi, celujące w niebo tak samo jak liczne

nagrobki. Nie mniej poruszające były trupy samochodów leżące na drodze niczym prehistoryczne zwierzęta, bezużyteczne i tajemnicze. I jeszcze spalone, splądrowane sklepy, obnażone, wystawione na bezlitosne działanie żywiołów. W wielu miejscach nadal płonął ogień, a większe zagrożenie niż Japończycy stanowiły bezwzględne bandy chińskich szabrowników, uzbrojonych w pręty i topory.

Gdy za drugim razem wyruszyła na poszukiwanie mleka, zaskoczył ją nagły huk i eksplozja. Ziemia zadrżała jej pod stopami. Poszła dalej w dziwacznej ciszy, skręciła z targu w Queen's Road i natrafiła na ogromny krater po bombie, która dopiero co wybuchła. Stojący przed restauracją stół zastawiony do obiadu cały był pokryty czymś białym, co na pierwszy rzut oka wydawało się płótnem, a w rzeczywistości okazało się pyłem. Poszła dalej przez błyszczące morze potłuczonego szkła. Nagle usłyszała krzyki. Podniosła wzrok i ujrzała grupkę ludzi próbujących uratować mężczyznę uczonego balkonu. On sam wył jak potępiony, choć już nie miał ust. Jedną z jego nóg łączył z ciałem tylko niewyobrażalnie cienki pasek skóry. Cała scena rozgrywała się na tle przepięknego, skąpanego w czerwieni zachodu słońca. Wszędzie dookoła leżały kawałki ciał, poszarpane, powykrzywiane, pokaleczone. Poczerniałe, poskręcane trupy tworzyły koszmarną mozaikę na szkle.

Stevie, skupiona na celu swojej wyprawy, nie do końca rozumiała, na co patrzy. Odniosła zwycięstwo, bo znalazła mleko. Teraz pilnowała go jak źrenicy oka, tak samo jak pilnowałaby Hala. Walczyłaby o te puszki z równą zaciekłością jak o dziecko, bo one pozwalały utrzymać je przy życiu. Dawno już nic nie pisała, nie miała siły. Czasami rozmyślała o Jishangu. Gdzie jest?

Czy wie, co się dzieje w Hongkongu? Czy zdarza mu się myśleć o niej, martwić o jej los?

Niekiedy też wracała myślami do Declana. Czy pisał świetne teksty, podczas gdy ona przeszukiwała ruiny? Nadal żywa w niej była potrzeba dawania świadectwa. Widziała i głęboko przeżywała tragiczne zdarzenia. Obiecała sobie, że niczego nie zapomni i opowie o nich, gdy nadejdzie czas. Teraz jednak musiała skupiać się na tym, by przeżyć.

Któregoś wieczoru pan Li, ojciec Lily, opowiedział o walkach w Mandżurii na początku inwazji japońskiej w 1931 roku. Mówił cicho, Lily tłumaczyła. Dwa połączone głosy płynęły szmerem w chłodną noc.

- Japońscy żołnierze szli na nas, a my strzelaliśmy. Po trupach wspinali się następni, a my znowu strzelaliśmy, i tak ciągle na nowo, aż rzeka po samo dno wypełniła się ciałami.

Wtedy przeszli po nich na drugą stronę, tam, gdzie się broniliśmy. Uciekliśmy. Walczą w ten sposób od lat. Skoro my o tym wiedzieliśmy, to dlaczego nie wiedzieli Brytyjczycy?

Następnego wieczora spakował się i poszedł spać do sklepu brata. Ze składu mebli nic już nie zostało, ale czuł się w obowiązku pilnować rodzinnego majątku. Kobiety nie rozmawiały, nie snuły domysłów. Wystarczyło, że przeżyły. Przetrwały jeszcze jeden dzień.

Któregoś zimnego wieczora Stevie jak zwykle odłożyła Hala do koszyka i narzuciła na siebie sweter pożyczony od Lily. Jeszcze kilka tygodni wcześniej nie chciałaby na niego nawet spojrzeć, ot, po prostu dlatego, że był bladoróżowy, teraz jednak nosiła go bez najmniejszych zastrzeżeń, nawet z wdzięcznością. Zabrała się do pomagania pani Li przy noszeniu ryżu na stół. Gdy tylko usłyszała głosy, wiedziała, że nadciągają kłopoty.

Mężczyźni pokrzykiwali do siebie bełkotliwie. Byli pijani. Któryś kopniakiem otworzył bramę. Stanęli w wejściu, rozkołysani, na szeroko rozstawionych nogach, aż ten, który został z tyłu, pchnął ich niecierpliwie. Znaleźli się na podwórzu.

Kobiety zamarły. Scena domowa. Stevie obserwowała ją z pewnej odległości i przez mgłę, bo z miski z ryżem unosiła się para. Oto stolik ustawiony na podwórzu. Przy nim Lily i jej matka. Stevie szła do nich z jedzeniem.

Wszędzie wygląda to tak samo.

Pijackie okrzyki rozbrzmiały na nowo. Jeden z żołnierzy ruszył w stronę kobiet. W ręku trzymał broń. Niezbornie omiatał nią podwórze. Kilkakrotnie obejrzał się przez ramię na swoich rozochoconych kolegów - stado bestii, prymitywów rozpuszczonych przez zwycięską wojnę. Nie było wątpliwości

co do ich zamiarów. Nikt nie potrzebował znajomości języka.

Przekaz był jasny: drapieżniki podchodziły do ofiary.

Pani Li zakołysała się w przód i w tył i zaintonowała stuletnią pieśń miłosierdzia. Wysokie nuty niosły błaganie o litość. Lily chwyciła krawędź obrusa, jakby ten mógł ją uchronić przed zagrożeniem. Tkanina ześlizgnęła się z lakierowanego blatu, nakrycia ze szczękiem pospadały na ziemię. Stevie zrozumiała, że wszyscy obecni odgrywają starożytny rytuał.

Prowodyr podszedł do stołu, krzyczał bez ustanku. Pistoletem zmiotł z blatu to, co jeszcze na nim zostało. Woda z kubka bryzgnęła na panią Li. Kobieta upadła na kolana, ciągle kołysząc się do przodu i do tyłu. Teraz rytmicznie uderzała czołem w stół do melodii modlitwy. Żołnierz przystawił jej broń do głowy. Uderzenia czaszki o drewno niosły się przez podwórze, ale pani Li nie przerywała pieśni. Stevie zastanawiała się, dlaczego on musi tak krzyczeć. Wrzeszczał bez ustanku. Jakby w ten sposób zagłuszał sam siebie. Może gdyby ucichł, zatrzymałby się na chwilę, rozejrzał dookoła, popatrzył po sobie? Może by się zdumiał własnym zachowaniem i przeprosił? Może z tego samego powodu pani Li ciągle śpiewała?

Ten śpiew trzymał ją przy życiu. On istniał, póki krzyczał. Ona istniała, póki ciągnęła pieśń.

Krzyczący mężczyzna okrążył stół. Lily wbiła wzrok w ziemię. Siedziała całkiem nieruchomo. Żołnierz przystanął za nią i akurat wtedy dostrzegł Stevie. Wyraźnie się ożywił na jej widok. Dopadł do niej, chwycił ją za szyję. Zabolało. Palce miał suche i szorstkie. Na dekolcie czuła brzeg jego rękawa. Zjęłczały smród brudnego ubrania i podłego trunku przyprawiał o mdłości.

Pistoletem wybił jej miskę z dłoni. Miękkie białe ziarna posypały się na stół jak płatki kwiatów wiśni. Naczynie potoczyło się po ziemi. Stevie zauważyła z dziwną satysfakcją, że się nie stłukło. Napastnik pociągnął ją za sobą przez podwórze. Ścisnął ją mocno za gardło, nie mogła przełknąć śliny. Widziała, jak pozostali zbliżają się do stołu. Jeden z nich wymierzył pani Li kopniaka. Starsza kobieta przewróciła się na bok. Nadal śpiewała, choć teraz ciszej, tylko w tle.

Stevie poczuła, jak Japończyk mocniej zaciska rękę na jej szyi. Wepchnął

ją do domu.

Wtedy zrodziła się jej w głowie alarmująca myśl.

- Ciii! - nakazała, kładąc palec na ustach.

Mężczyzna warknął coś wyraźnie zaskoczony, ale nie stracił z oczu celu. Stevie nie dawała za wygraną.

- Dziecko śpi! - oznajmiła kategorycznie.

Napastnik pojął sens, chociaż nie słowa. Rozejrzał się dookoła i dostrzegł Hala w koszyku.

- Nie wolno ci go obudzić - przestrzegła Stevie śmiertelnie poważnie.

Spokój Hala był dla niej najważniejszą sprawą na świecie. Zatechły oddech żółtego prymitywa nie miał prawa zakłócić ruchu powietrza, którym oddychał jej synek.

Mężczyzna wymamrotał coś i przez moment zatrzymał wzrok na jej twarzy. Wtedy dojrzała w jego spojrzeniu coś, co nią wstrząsnęło do głębi. Jemu było wszystko jedno! Był jak zwierzę, nie obchodziło go nic! Myślał tylko i wyłącznie o zaspokojeniu zachcianek! W tamtym momencie pojęła bardzo wyraźnie, że reguły życia się zmieniły.

Żołnierz nagle puścił jej szyję, a chwycił nadgarstek. Zobaczył na nim błysk metalu.

Wcisnął w rękaw niezgrabne paluchy i pociągnął za srebrny łańcuszek bransoletki z wisiorkami. Stevie położyła dłoń na jego rękę, próbując mu pomóc otworzyć zapięcie.

- Tak, śliczna bransoletka. Czekaj, nie popsuj. Ja zdejmę.

Udało się jej nacisnąć paznokciem na srebrną zapadkę. Łańcuszek zsunął się z nadgarstka, upadł na podłogę. Japończyk kucnął, uważnie obejrzał zdobycz. Delikatne wisiorki ginęły w jego brudnej ręce. Był tam kotek bawiący się malutką czerwoną piłeczką - na pamiątkę kota syjamskiego, który sypiał na poduszce Stevie przez całe jej dzieciństwo - krasnoludek z kolanami pod brodą i skrzyżowanymi kostkami, obejmujący własne nogi. Miał wielkie uszy i psotny uśmiech. Dostała go pierwszego dnia liceum na szczęście. Konia w galopie kupiła sobie sama, gdy pierwszy raz wygrała na wyścigach. Skuter był upominkiem od chłopaka, który lekkomyślnie

pozbawił ją dziewictwa, a budzik ze wskazówkami ustawionymi na kwadrans po szóstej - pamiątką od najlepszej przyjaciółki z college'u, która przez wszystkie lata wspólnej nauki ściągała ją z łóżka, by nie spóźniła się na zajęcia. Dalej łabędź z szyją wygiętą w literę S jako symbol daremnych prób ze strony matki, która miała nadzieję, że córka będzie chciała się czuć bardziej jak łabędź niż brzydkie kaczątko, za które ją uważała, a w końcu srebrna filiżanka kawy od ojca, jako haracz złożony na ołtarzu jej gruntownego i niepodważalnego antytalentu kulinarnego. Błyszczące kamyczki milowe jej życia.

Rozległo się kolejne chrząknięcie i bransoletka spłynęła do kieszeni złodzieja. W tej samej chwili, gdy jego oczy ponownie spoczęły na twarzy Stevie, z podwórza dobiegł gniewny okrzyk i suchy wystrzał.

Żołdak opadł na kolana i podkradł się do drzwi. Stevie z miejsca, gdzie stała, widziała, jak na podwórzu wywiązała się walka. Wrzaski żołnierzy brzmiały teraz całkiem inaczej, agresywnie i rozkazująco. Słyszała też głosy wołające po chińsku. Jeden z Japończyków leżał w kurzu, drugiego ktoś przytrzymał od tyłu, przyciskając mu pistolet do skroni.

Stevie rozpoznała znajomą postać. To Chen w nieodłącznym pidżamowym stroju. I jeszcze drugi Chińczyk. Mieli nad Japończykami podwójną przewagę: zaskoczyli ich i byli trzeźwi.

- Wyłaź, pokaż się! - rozkazał Chen.

Chociaż mówił po kantońsku, ten, który napadł Stevie, wyszedł na podwórze, powłócząc nogami, z rękoma wysoko uniesionymi nad głowę. Stevie słyszała krzyki Chena i jego towarzysza, ale najważniejszy był Hal. Zasłoniła ciałem koszyk z dzieckiem, gotowa bronić synka za wszelką cenę, który, co niesłychane, w dalszym ciągu spał jak kamień.

Bardziej zwracała uwagę na jego spokojny oddech niż na odgłosy walki dobiegające z podwórza. Wkrótce zresztą zrobiło się cicho. Słyszała tylko szloch Lily i natarczywy, świdrujący w uszach śpiew starej kobiety.

Nadal trwała noc. Stevie siedziała na stopniu sypialni i słuchała Chena. Jego towarzysz, Ping Wei, chłopak o gęstych włosach i szerokim uśmiechem odsłaniającym wszystkie zęby, przysiadł na piętach nieopodal. Zaciągnęła się

piekącym w gardle papierosem, który dla niej zapalił. „Pirate”, gatunek tani i podły. Jeszcze niedawno nawet by nie pomyślała o zapaleniu takiego świństwa, dobrego dla rikszarzy i ulicznych handlarzy.

Teraz o innych mogła tylko pomarzyć. Z uśmiechem pomyślała o tym, do jakiego stopnia wojna zaprowadziła demokrację również wśród osób ze złymi nawykami.

Rozmawiali szeptem, żeby nikt ich nie usłyszał. Pozostali przy życiu Japończycy wsiąknęli w mrok. Chen i Ping Wei zaciągnęli ciało zabitego w alejkę za bramą. Lily i pani Li spały przytulone do siebie, odzyskiwały siły.

- Na ulicy jest niebezpiecznie nawet dla nas. Tacy jak oni są głodni i za długo walczyli. Zapomnieli.

Stevie objęła wzrokiem podwórze. Głęboka bruzda prowadziła od miejsca upadku żołnierza aż do bramy.

- Jakich „nas”?

Chen skinął głową w stronę łagodnie uśmiechniętego Ping Weia.

- Nie jesteśmy sami. Mamy sposoby na przekazywanie informacji i zaopatrzenia.

Mamy plany i nie dopuścimy, żeby historia zapomniała o Hongkongu.

- Aha. Społeczeństwo komunistyczne przyzywa. Przejmie władzę nad światem.

Chen uśmiechnął się, odsłaniając lukę między przednimi zębami. Teraz wyglądał na jeszcze młodszego, niż był w rzeczywistości.

- Mam taką nadzieję. Świat może sobie robić, co chce, ale przyszłość Chin będzie wyglądała właśnie w ten sposób.

- Jesteś bardzo pewny swego.

- Jestem. I mogę zapewnić, że nie ja jeden.

- W pewnym sensie zazdroszczę ci tego przekonania, ale jestem na coś takiego już za dojrzała i zbyt niezależna, by zgadzać się z góry narzuconymi powszechnymi sądami.

Rozumiesz?

- Rozumiem. Naprawdę. Ale dzieje się coś, co może dla pani być trudne do pojęcia.

Powiem tylko, że czasami niezależność myślenia jest luksusem i dla sprawy wielkich rzesz ludzkich trzeba się podporządkować.

Stevie pokiwała głową w zamyśleniu.

- Chyba się z tym zgadzam. Taka jest natura ewolucji.

- Właśnie.

- Mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego wy, towarzysze, ryzykujecie życie, by pomóc nam, pokonanym kapitalistom.

- Może zdołam to wyjaśnić. - Chen zaczerpnął tchu. - Yu Bao miała dwanaście lat.

Japończycy wdarli się do jej domu i pocięli dziewczynce twarz nożami, żeby zmusić jej ojca do posłuszeństwa. Zapamiętała różne szczegóły: jak śmierdział żołnierz, który ją trzymał, że kazali ojcu dotykać jej młodszą siostrę we wstydlive miejsca i wcisnąć w nią butelkę, jak mała zanosila się płaczem i matka usiłowała ich powstrzymać, a wtedy jeden z nich rozplatał jej głowę mieczem.

- Boże...

- To nie wszystko. - Zaciągnął się papierosem, żar pobielał. - Jeśli ma pani siłę słuchać.

Stevie nieznacznie skinęła głową. Instynkt reporterki wziął górę nad wstrętem. Wtedy w ciemnościach Chen ochryplym szeptem rozpoczął opowieść o koszmarach:

- Powiedziała nam, że było ich pięciu. Pięć bestii. Kazali ojcu położyć się na jej młodszej siostrze, ale ten biedny człowiek wolał udusić własne dziecko, niż skrzywdzić je na całe życie. Żołnierzy tak to rozwścieczyło, że Yu Bao nadziali na bambusowe tyczki, a ojca pocięli mieczami. Więcej nie widziała, bo zemdlala. Gdy odzyskała przytomność, dom przypominał piekło, bo Japończycy podłożyli ogień.

Stevie kręciła głową.

- Znaleźliśmy ją w pogorzeliaku, ledwo żywą, z zakrwawioną twarzą i rozerwanym sromem. - Zaciągnął się papierosem ostatni raz i pstryknął niedopałkiem. - Umarła w szpitalu - dokończył. Podniósł wzrok na reporterkę, ale ona zakryła twarz dłońmi. - Chyba teraz pani rozumie, że pani

ocena, po której stronie powinniśmy stać my, towarzysze, bierze się z bardzo uproszczonego punktu widzenia. Przepraszam za szczerość, ale tak to jest.

Stevie uniosła głowę. Coraz bardziej lubiła tego chłopaka.

- Tak, rozumiem - przyznała.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu. W końcu trąciła go lekko.

- Swoją drogą, co cię tak odmieniło? Wydajesz się rozsądny i opanowany, chociaż teoretycznie powinieneś być szalonym rewolucjonistą. Lepiej uważaj, bo za chwilę przestanę ufać twoim listom uwierzytelniającym.

- Wu Jishang powiedział, że pani jest osobą rozsądną i opanowaną.

Stevie drgnęło serce.

- Jishang.

- Mój kuzyn.

- Gdzie on jest? Jak się miewa?

- Żyje.

- I tyle?

Chen wzruszył ramionami. Znowu na jakiś czas zapadła cisza. Ping Wei wziął jakąś gałązkę i zaczął nią rysować wzory w kurzu. Wyglądał jak chłopiec, bo i był jeszcze dzieckiem, a nie mężczyzną, który nie tak dawno zabił innego. Stevie słyszała skrzypienie poskręcanych gałęzi rosnącego na podwórzu drzewa. Trudno jej było się oswoić z faktem, że nie mogła wiedzieć, co się dzieje z Jishangiem, a właściwie o nikim nie miała wiadomości.

Declan, Harry, Phyllis... cholera... nawet kierownik sali balowej w hotelu Peninsula, którego ogłoszenie uciszyło muzykę... Wszyscy zaginęli w mroku niewiadomych.

Chen podniósł jakiś kamyk i zaczął go przerzucać z ręki do ręki.

- Mogłaby pani dla nas coś zrobić - powiedział, nie podnosząc wzroku.

Stevie czekała. Kamień znów kilka razy przeskoczył z ręki do ręki.

- Przewożą oficerów do obozu przy Argyle Street - podjął Chen. - Trzeba tam dostarczyć to i owo. Pokazalibyśmy pani, jak to zrobić.

Przeszedł ją zimny dreszcz. Do obozu przy Argyle Street zabrali Harry'ego.

- Żołnierze tam uwięzieni - ciągnął Chińczyk - mają prawo dostawać paczki

żywnościowe. Ten przedmiot trzeba ukryć w jedzeniu. Ale muszę szczerze uprzedzić, że istnieje ryzyko. Jeżeli panią przeszukają, nikt pani nie pomoże. Musi pani o tym pamiętać.

Ktoś miałby ją przeszukiwać? Czyste szaleństwo. Zaraz, o co on właściwie prosi? A co z Halem? Co się stanie z dzieckiem? Co może się przydarzyć jej samej? Wstrząsnęła się z obrzydzeniem na wspomnienie człowieka, który jeszcze niedawno ział jej zgnilizną prosto w twarz. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jakiś czas temu nie oparłaby się chęci przeżycia przygody, skorzystania z okazji, którą podsuwał jej Chen, ale teraz powstrzymywało ją wspomnienie słów Harry'ego. Słów, które wykrzyczał jej w twarz, uświadamiając jej, że nie jest już panią siebie. Buntowała się jednak przeciwko ostrożności. Owszem, szaleństwem byłoby pomóc Chenowi. Ale co z tego? Kim właściwie była, jeśli nie tą nieustraszoną kobietą, za którą się uważała? Dziewczyną, która pokonywała konwenanse siłą woli? Czy fakt, że została matką, jest równoznaczny z dożywotnim wyrokiem, skazującym ją na wieczną ostrożność oraz małostkowy strach? Oto w końcu zyskiwała szansę, by zrobić coś dla Harry'ego. Miała w pamięci także inne słowa Fielda.

Gdy odwróciła się do Chena, z sypialni dobiegło rozespiane kwilenie Hala.

- Czy słyszałeś o grupie... o siatce ludzi pomagających innym w ucieczce?

- Dlaczego pani pyta?

- Myślałam, że może ty... nieważne.

Rzuciła niedopałek na ziemię i poszła uspokoić dziecko, swoją wielką miłość, a równocześnie ogromny ciężar. Chen znów uśmiechnął się jak dzieciak.

- Jedno mogę pani powiedzieć na pewno: jako szpieg to pani kariery nie zrobi.

Wstał, przysunął się do niej. Byli tego samego wzrostu, więc patrzył jej prosto w oczy.

- Kiedy major Field... a razem z nim różni inni zaczęli rozmawiać o utworzeniu siatki przerzutowej na wypadek okupacji, uznałem, że zwariowali. Jakim cudem biali ludzie mieliby odejść niezauważeni? Niemożliwe. Oni jednak nie zwariowali. My jesteśmy ich uszami i oczami.

Jest nas więcej, niżby się człowiek spodziewał.

- Rozumiem.

Takie potwierdzenie w zupełności jej wystarczyło.

Gdy Chen i Ping Wei odeszli, Stevie upewniła się, że Hal śpi snem sprawiedliwego, i sama wsunęła się pod koc. Leżała z głową wspartą na błękitnym płaszczu, w którym głęboko ukryta tkwiła jej poprzednia tożsamość.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Styczeń 1942

W pierwszych tygodniach okupacji japońskiej trwał na wyspie teatr polegający na udawaniu normalnego życia. Ku zdumieniu Stevie na rogach ulic sprzedawano anglojęzyczną gazetę „Hong Kong News”, w której obok powszednich ogłoszeń drukowano kolejne lekcje języka japońskiego. Całość utrzymana była w beztroskim tonie i nieprawdopodobnie nasyciona jaskrawą propagandą.

Tego ranka, gdy Stevie stała przy stole, ze zniecierpliwieniem czekając, aż wreszcie zostanie sama chociaż na kilka minut, jej wzrok padł na jeden z nagłówków. Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Widziałas, co zrobili z salonem Lane Crawford?

Lily zerknęła znad igły, którą usiłowała nawlec na nitkę.

- Widziałam, że nie było na co patrzeć. Zostały tylko puste półki.

- Właśnie. Najwyraźniej nowym wynalazkiem brytyjskiej maszyny propagandowej jest prostacka grabież. A, tak przy okazji... Salon mody Lane Crawford zmienił nazwę. Teraz to dom towarowy Matsuzakaya.

Lily przewróciła oczami.

- Nie przyjmie się. A wiesz, że hotel Peninsula też usiłują nazwać inaczej? - Pochyliła się nad ramieniem Stevie i wskazała ogłoszenie. - Zobacz tutaj. „Bar przekąskowy w hotelu Hongkong serwuje tempurę”. - Wróciła do zmagania z igłą i nitką. - Puszki też chcesz owijać tak jak owoce?

- Raczej tak.

- Nie zużyj całej gazety, zostaw trochę do ubikacji.

- Najwłaściwsze miejsce dla tego szmatławca.

Uśmiechnęły się do siebie. Stevie oddała następną kartkę i starannie

owinęła jedną z przygotowanych puszek.

- No, wreszcie! - ucieszyła się Lily, gdy udało jej się nawlec igłę. - Strasznie tu ciemno.

Wstała i ruszyła do drzwi. Ledwo przekroczyła próg, Stevie wyciągnęła z kieszeni ostry kawałek metalu, który dał jej Chen, i ułożyła ostrożnie obok puszek ze smalcem.

Obejrzała się przez ramię. Nikogo. Musiała wcisnąć metalowy przedmiot na samo dno puszek.

Biały kleisty tłuszcz oblepił jej dłoń aż po nadgarstek. Pochyliła się niżej i zanurkowała pod sznurkiem, na którym suszyło się pranie. Jedna z pieluszek ciągle spadała jej na twarz.

Irytujące. Smalec pachniał kwaskowato, od czego żołądek podszedł jej do gardła. Jednym z dziwacznych skutków ubocznych ciągłego niedożywienia były mdłości pojawiające się przy najróżniejszych woniach. Nie była to reakcja ułatwiająca życie w mieście, gdzie na każdym kroku w ruinach rozkładały się gnijące trupy.

W końcu wcisnęła niewielką część radiową głęboko w tłuszcz. Wyjęła z niego rękę, oczyściła palce, wyrównała zawartość puszek na powierzchni najlepiej, jak umiała.

Wózek pojawił się z samego rana. Ktoś zostawił go tuż za bramą. Lily i pani Li przyjęły go z ogromnym zdziwieniem, choć długo jeszcze toczyły się dyskusje na temat źródła pochodzenia takiego wspaniałego daru. By pozostać w zgodzie z prawdą, należało przyznać, że pojazd ten, przeznaczony dla wykwalifikowanej niani, która w pełnym rynsztunku powinna z nim żwawo maszerować wokół jeziora Serpentine w londyńskim Hyde Parku, najlepsze dni miał już dawno za sobą. Wysoko umieszczona rączka świadczyła o tym, że z pewnością nie został pomyślany jako pojazd terenowy, ale Stevie, wiedząc, że został podrzucony przez Chena, odgrywała równocześnie zaskoczoną i zachwyconą. Szybko oznajmiła, że wpadła na doskonały pomysł: wykorzysta wózek, by zawieźć w nim paczkę żywnościową dla Harry'ego na Argyle. Ani Lily, ani pani Li nie pojmowały, w imię czego zamierzała podejmować tak ogromne ryzyko, i gorąco protestowały

przeciwko jej absurdalnym zamysłom, ale w końcu udało jej się pokonać ich sprzeciw. A przecież nie miały pojęcia o prawdziwej naturze planowanej wyprawy. Paczka żywnościowa to jedno, lecz przemykanie części radia do obozu jenieckiego to zupełnie co innego.

W ostatniej chwili Lily uznała, że nie puści Stevie samej z Halem, ale w odpowiedzi usłyszała naprędce wymyśloną pogłoskę, że akurat tego dnia na targu mogą się pokazać ziemniaki. W efekcie czego zmieniła plany. Stevie nie była zachwycona własnym krętactwem, lecz zdawała sobie sprawę, że w razie gdyby coś poszło nie tak, im mniej Lily będzie wiedziała, tym lepiej.

Otuliła Hala swoim szarym swetrem i po jego obu stronach ustawiła w wózku koszyki z jedzeniem. Spakowała do nich wszystko, co mogła: pudełko herbaty, bochenek nie całkiem czerstwego białego chleba, dwie puszki sardynek, duży pomidor i kilka brzoskwiń zerwanych nocą z drzewa sąsiada. Podczas gdy Lily i pani Li jeździły wózkiem po podwórzu, do jednego z koszy, pod sardynki, włożyła jeszcze puszkę smalcu.

Wyprawa od razu zaczęła się źle, bo Stevie ledwo dawała sobie radę z wózkiem, w którym jedno z kółek nie obracało się jak należy. Na Queen's Road, teraz nazwanej z japońska Nakameiji-dori, co obwieszczały nowiutkie tabliczki, wszystkie sklepy były zamknięte, natomiast wzdłuż chodników stali handlarze oferujący po skandalicznych cenach jedzenie, świece, garnki i patelnie, rury hydrauliczne, żarówki, pościel i porcelanowe bibeloty, wszystko najwyraźniej dopiero co zrabowane z opuszczonych domów na Wzgórzu Wiktorii. Klucząc między nimi, nie mogła się pozbyć wrażenia, że lada moment zobaczy na prowizorycznym straganie coś, co jeszcze niedawno stanowiło jej własność. Do kuchni, przy których można było dostać kleik ryżowy, jak zwykle ustawiły się długie kolejki chińskich rodzin.

W jednej z węższych uliczek musiała szukać schronienia pod ścianą, by przepuścić konwój japońskich ciężarówek. Wiedziała, że powinna patrzeć w ziemię, by nie ściągnąć na siebie uwagi któregoś z żołnierzy, a w myślach stale upewniała się, że ma przy sobie kartę identyfikacyjną. Biada temu, kto zostałby zatrzymany bez tego dokumentu. Nie była jedyną białą kobietą w mieście, ale też znajdowała się w zdecydowanej mniejszości. Brytyjczycy

oraz Amerykanie zostali internowani i trafili do dawnej bazy wojskowej w Stanley, natomiast Niemcy, Szwajcarzy, Portugalczycy, Hiszpanie i Skandynawowie nadal pozostawali na wolności. Jej dowód tożsamości identyfikował ją jako Wu Stevie, żonę obywatela chińskiego.

Gdy minęła ją ostatnia ciężarówka, kątem oka dostrzegła blade twarze Europejczyków, jak małe księżycy w mrocznym wnętrzu pojazdu.

- Zabierają nas do Stanley - dobiegł ją słaby głos. - Byliśmy w hotelu Peninsula.

Nazywam się Taylor. Proszę, niech ktoś przekaze to mojej matce w Manchesterze. - Słowa rzucone z taką samą nadzieją jak wiadomość w butelce.

Stevie pchnęła wózek i ruszyła w dalszą drogę. Gdy znalazła się na Wyndham Street, w punkcie, gdzie otwierała się panorama na okolicę, jej oczom ukazał się nieprawdopodobny widok. Oto zielone boisko do krykieta zostało przekształcone w gigantyczny parking, połyskujący metalem w promieniach słońca. Stały na nim w równych rzędach setki błyszczących samochodów. Z pewnością znajdowały się tu wszystkie auta, które nie zostały zniszczone w czasie inwazji, wielkie amerykańskie limuzyny i miniaturowe brytyjskie austiny. Oto demokracja wprowadzona między ukradzione wozy. Na oczach reporterki ładowano kolejne pojazdy na pokład kontenerowca. Dalej w przystani niewielkie łodzie transportowały na inny wielki statek skrzynie z puszkowaną żywnością. Japończycy zabierali wszystko.

Patrzyła o moment za długo. Zza rogu wyszedł japoński żołnierz, a ona niebacznie podniosła na niego wzrok. Towarzyszyło mu dwóch hinduskich policjantów w źle dopasowanych mundurach. Od jakiegoś czasu dość często widywało się na wyspie dawnych żołnierzy armii indyjskiej. Jako uciśnieni bracia Azjaci byli cynicznie zachęcani do wstępowania w szeregi japońskiej policji. A oni woleli to niż uwięzienie razem ze swoimi niedawnymi prześladowcami.

Żołnierz zatrzymał się, wziął z ziemi jakąś drewnianą belkę wielkości pałki baseballowej, zamachnął się potężnie i rzucił nią w Stevie. Pocisk trafił ją w

czubek głowy.

Zachwiała się i z trudem utrzymała równowagę. Ponieważ nie krzyknęła ani się nie rozpląkała, znudzony żołnierz poszedł dalej. Wtedy pociekły jej z oczu łzy poniżenia i bólu.

Ominęła kłodę i poszła dalej, z trudem pchając przed sobą wózek.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie, wszystko będzie dobrze - wyszeptała raczej do siebie, ponieważ Hal ciągle spał.

Zanim dotarła na ulicę Argyle, była u kresu sił.

Na oddanie paczek czekała długa kolejka kobiet, w większości Chinek, często w towarzystwie dziwnie cichych dzieci, patrzących na świat pustymi oczami. Wszyscy wydawali się przykurzeni, matowi i poszarzali. Jak wcielenia rozpaczy.

Kamienie i grudy ziemi blokowały kółka wózka. Całe szczęście, że przynajmniej Hal najwyraźniej nie miał nic przeciwko gwałtownym podskokom pojazdu. Po raz pierwszy podróżował na leżąco, a nie zamotany w chustę, toteż cieszył się tym doświadczeniem. Niebo lśniło błękitem, dzień był przyjemnie chłodny. Stevie pilnowała, by nie zostać zbyt daleko z tyłu za stojącą przed nią kobietą. Kolejka posuwała się wolno niczym dostojna parada krocząca wzdłuż ogrodzenia obozu. Prawie nikt się nie odzywał. Za Stevie szybko pojawiła się następna osoba. Prowadziła za rękę dwójkę znużonych dzieci, które ledwo powłóczyły nogami, trwając w nienaturalnej ciszy.

W pewnej chwili ku niebu wzleciał absurdalny ptasi śpiew, który wybił się ponad ciężkie kroki i skrzypienie wózka. W niewielkiej odległości, po drugiej stronie ogrodzenia z drutu szli więźniowie. Tak przewidywała ich codzienna rutyna. Obie strony płotu patrolowali japońscy żołnierze. Zarówno kobiety, jak i więźniowie przyglądali się sobie nawzajem. Stevie też przeczesywała wzrokiem zwarte linie wychudzonych twarzy. Czy dojrzy Harry'ego?

Nagle rozległ się przenikliwy krzyk. Chinka stojąca tuż za reporterką podbiegła do płotu.

- Jamie! Odcięli nam wodę! Jamie!

Jeden z mężczyzn, zmizerniały i wycieńczony, wyłamał się z rzędu i ruszył ku ogrodzeniu. Zanim jednak się do niego zbliżył, żołnierz po drugiej stronie płotu dopadł do Chinki i pchnął ją kolbą karabinu w plecy. Kobieta, szlochając w głos, wróciła do kolejki. A Stevie ze wzrokiem wbitym w ziemię pilnowała swojego miejsca, swojego nosa, swojej misji.

I nade wszystko starała się nie patrzeć tam, gdzie pod sardynkami leżała puszcza smalcu. Bliżej wartowni ludzki sznur ponownie zwolnił, aż wreszcie się zatrzymał. Wszyscy czekali, kobiety i dzieci. Jedni kucnęli, inni przestępowali z nogi na nogę, a nad wszystkimi ciążyła cisza, nabrzmiała niepokojem połączonym z rezygnacją. Za każdym razem, gdy jakiś żołnierz szedł wzdłuż kolejki, Stevie spuszczała wzrok, by nie ściągać na siebie uwagi. Co dziwne, nie czuła strachu, raczej podekscytowanie. W żyłach krążyła jej adrenalina.

Kilka kroków do przodu. I jeszcze kilka. Znalazła się przy bramie.

Wartownik zajrzał do wózka. Hala bawił się własnymi paluszkami. Żołnierz sprawdził zawartość koszyków. Stevie nie śmiała nawet drgnąć. Wziął w rękę jeden z koszy. Ten ze smalcem. Omal nie udusiła się ze strachu. Zaciśnęła dłonie na rączce wózka, by nie wyrwać pakunku z rąk mężczyzny i nie pobiec z nim przez bramę, gdzie zacznie szukać Harry'ego.

Ratować go. Zobaczyć go, smukłego i wysokiego. Dać się pocieszyć. Wrócić do normalnego wspólnego życia.

Jeden z żandarmów, w nieskazitelnym mundurze i wysokich butach, wyszedł z cienia budki i miłym gestem przejął koszyk. Nastąpiła krótka wymiana zdań, po czym wartownik stojący obok Stevie przesunął się do następnej osoby w kolejce - Chinki, która nadal cicho płakała za swoim Jamiem. Natomiast szczupły żandarm, groźny drapieżnik skryty za elegancją i miłym tonem, uśmiechnął się do Stevie, jakby byli starymi przyjaciółmi. Pochylił się nad wózkiem i pogładził Hala po buzi.

- A cóż to za piękny bobas! - odezwał się po angielsku z amerykańskim akcentem.

Stevie miała ochotę trzepnąć go po rękę, żeby nie dotykał dziecka, ale powstrzymała się z najwyższym trudem. Zaciśnęła zęby, żeby przy okazji nie

powiedzieć czegoś głupiego.

Mężczyzna wyprostował się i wskazał koszyk, który ciągle trzymał delikatnie w palcach.

- Dla kogo?

- Dla majora Harry'ego Fielda.

Przeraziła się drżenia własnego głosu.

Japończyk zważył koszyk w dłoni, po czym wyjął z niego puszkę ze smalcem.

Wyglądało na to, że zamierza ją otworzyć, ale uważnie przestudiował tylko nalepkę, po czym... odłożył ją między inne wiktuały. Gestem wezwał wartownika, podał mu przesyłkę i brodą wskazał bramę.

- Major Field - powiedział.

Żołnierz zabrał oba kosze i wrócił do wartowni. Stevie z trudem oderwała od nich wzrok. Najchętniej zaniósłaby je sama.

Sztywna z wysiłku i potwornie spięta, skupiona na każdym geście i słowie, by zachować pozory normalności, zdołała obdarzyć żandarma grymasem, który - taką miała nadzieję - wyglądał jak uśmiech.

- Dziękuję.

Po czym nacisnęła rączkę wózka, mając zamiar wykręcić go z powrotem. Myślała tylko o tym, że być może właśnie podpisała na Harry'ego wyrok śmierci. Bo co, jeśli Chen zrobił ją w ten szmugiel? Dopiero teraz pojęła, że cała ta akcja była aktem potwornej głupoty i szaleństwa. Równie dobrze mogła tu dostarczyć bombę podpisaną nazwiskiem Harry'ego.

Jakie miała dowody, że Chen był tym, za kogo się podawał? Owszem, łączyły go jakieś bliżej nieokreślone więzy krwi z Jishangiem, ale cóż to znaczyło w obecnej sytuacji? A skoro już o Jishangu mowa, to też trudno określić, komu właściwie sprzyjał.

Tak była pogrążona w ołowianych myślach, że nie zwróciła uwagi na żandarma, który cały czas tkwił u jej boku.

- Mogę pani dotrzymać towarzystwa?

Drgnęła i poniosła na niego wzrok. Zaśmiał się krótko, ponurym staccato.

- Nie chcę się żegnać z moim małym przyjacielem. - Położył dłoń na burcie

wózka.

Stevie skupiła się na krokach. Najpierw jedna noga do przodu, potem druga, jedna, druga.

- Mam szczerą nadzieję, że major Field jest traktowany odpowiednio - stwierdził Japończyk tonem przymilnym i dwuznacznym. - Spotkałem go kilkakrotnie i zawsze uważałem za człowieka ze wszech miar uczciwego.

Stevie przełknęła ślinę.

- Słusznie, jak sądzę.

- Pani jest Amerykanką.

To nie było pytanie, lecz stwierdzenie. Zerknęła na niego z ukosa. Nadal trzymał dłoń na burcie wózka.

- Mam chińskie dokumenty.

Pokiwał głową, jakby usłyszał od niej potwierdzenie wiadomości, którymi dysponował już od dawna.

- Zapewne słyszała pani o porozumieniu, w którego myśl wszyscy tutejsi Amerykanie podlegają repatriacji. W ramach obustronnie korzystnej wymiany. Będzie tu statek... Może nie luksusowy, pewnie nie ochroni nawet przed chorobą morską, ale można będzie nim wrócić...

Stevie stała się muchą uwięzioną w perfekcyjnie utkanej sieci. Pokręciła głową.

- Tak jak mówiłam, mam chińskie dokumenty.

Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie.

- Zapraszam panią na spotkanie - oznajmił oficjalnym tonem - jutro o piętnastej, w siedzibie żandarmerii. Znajduje się ona w budynku Sądu Najwyższego. Ja nazywam się Nakamura. - Pochylił się nad wózkiem i uszczypnął Hala w policzek. - Proszę, proszę... No, no, no.

Raptownie obrócił się na pięcie i odmaszerował w kierunku wartowni.

W drodze do domu Stevie właściwie nie podnosiła głowy. Zrobiła to tylko raz, zaalarmowana głośnym wołaniem, gdy przechodziła przez niewielki park. Najpierw zobaczyła białe opaski na ramionach żandarmów. Mężczyźni śmiali się do rozpuku. Jeden z nich wymachiwał bagnetem jakby na jakiejś paradzie. Z ostrza zwisało bezwładne ciało z opuszczonymi luźno

kończynami. Głowa kiwała się bezwładnie jak u lalki. Co dziwne, nie widać było krwi.

Następnego dnia o czternastej Stevie i Lily rozmawiały w sypialni. Stevie ścisnęła w ramionach wiercącego się synka.

- Jeżeli coś mi się stanie - powiedziała głosem bardziej stanowczym, niż chciała - jeśli nie wrócę, przekaz wiadomość Harry'emu, proszę. I mojej matce.

Wciągnęła w nozdrza kwaśno-słodki zapach dziecka, po czym oddała synka w objęcia Lily. Wiele starania włożyła w to, by się odpowiednio ubrać. Lily poprzyszywała jej pourywane guziki, koszulę i prostą szarą spódnicę odprasowała. Stevie całą noc nie spała.

Zdrzemnęła się zaledwie na kilka minut przed świtem. Była bardzo spięta.

Wzięła płaszcz i po chwili wyjęła spod podszewki swój amulet. Wyciągnęła rękę z paszportem do Lily. Okładkę miał zniszczoną, ale ciągle był to ten najważniejszy dokument.

Lily, zrozumiawszy, na co patrzy, cofnęła się o krok.

- Nie, nie. Ty go weź. Nigdy nie wiadomo. Może się okazać, że w końcu uratuje ci życie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Pseudoklasyczna fasada budynku Sądu Najwyższego miała krzewić ideę silnej władzy i sprawiedliwości maszerujących przez imperium ramię w ramię i zapewniających poczucie bezpieczeństwa wszystkim, którzy mieli szczęście trafić pod ich rządy, Brytyjczyków. Skoro jednak gmaszysko łatwo i szybko przeszło w ręce innej nacji, słabo wywiązywało się z pierwotnie przypisanej mu funkcji i Stevie nie mogła czerpać otuchy z jego widoku, gdy wchodziła po schodach obok wysokiej ściany utworzonej z worków z piaskiem. Jaką ochronę dawały teraz potężne szale sprawiedliwości?

Nakamura czekał między żołnierzami w cywilnych ubraniach, z demonstracyjną nonszalancją wsparty o jeden z filarów. Jego żółtawa twarz miała ziemisty odcień i wyglądała złowieszczo. Uśmiechnął się do reporterki. Gdy podeszła bliżej, odprawił gestem wartownika gotowego zażądać od niej dokumentów potwierdzających tożsamość.

- Panna Steiber, wspaniale! Jaka punktualność! - stwierdził, patrząc na swój masywny złoty zegarek.

Następnie otworzył srebrną papierośnicę i poczęstował przybyłą tureckim papierosem o filtrze zawiniętym w złotko. Gdy wyciągnął przed siebie rękę, Stevie dostrzegła pod jego prawym ramieniem rewolwer na szelkach. Wzięła papierosa, smukłego i jedwabistego, i obróciła go w palcach. Przyjęła od Japończyka ogień i zaciągnęła się głęboko dymem z dobrego mocnego tytoniu. Rozkoszne drapanie w gardle smakowało nie tak dawną przeszłością, od której teraz dzieliły ją setki lat. Japończyk wskazał rząd prostych krzeseł ustawionych w cieniu na werandzie.

- Wybacz pani, koledzy się spóźniają. - Przepraszająco rozłożył ręce. - Są bardzo zajęci.

- Wyobrażam sobie. To musi być straszne.

Nawet jeśli zrozumiał ironię, nie dał nic po sobie poznać, a Stevie w myślach przeklęła się za głupotę i posłała mu lekki uśmiech. Wsunął srebrną papierośnicę na powrót do kieszeni na piersiach.

- Mam nadzieję, że nie będzie pani czekała zbyt długo. Musi pani wracać do dziecka.

Dziecko nie powinno być odrywane od matki, jeżeli nie jest to absolutnie konieczne.

Rzuciwszy tę jawną groźbę, oddalił się wolnym krokiem pod filar - uosobienie pogardy.

Usiadła. Drewniane szczelbelki oparcia wbijały jej się w plecy. Ciszę mąciły kroki żołnierzy chodzących w tę i z powrotem przed frontem budynku. Znowu przypomniał o sobie tępy ból zranionej pięty. Czekala. Może pół godziny, może dłużej. Osunęła się na krzesło, zamknęła oczy, przycisnęła palce do skroni.

Nagle drgnęła, słysząc krzyk dobiegający od zbyt wielkich drzwi wejściowych.

Usiadła prosto. Wartownicy spieszenie stanęli na baczność. Na werandę wyszedł krzepki oficer o bujnych kręconych włosach. Gdy stało się jasne, że zmierza do niej, podniosła się z miejsca.

Spojrzał na nią bez zainteresowania.

- Dokumenty - warknął.

Złapała torebkę, otworzyła zatrask i zaczęła gorączkowo w niej szperać, aż rozdarła jedwabną podszewkę.

- Przepraszam, już, już. Jedną chwileczkę.

Wreszcie znalazła dokument, który otrzymała wskutek niefrasobliwego ślubu z Jishangiem w Szanghaju. Dokument identyfikujący ją jako obywatelkę chińską. Żandarm przyglądał mu się przez chwilę.

- Jest pani Amerykanką? - Nie odrywał oczu od papieru z ideogramami.

- Mam męża Chińczyka - powiedziała z nadzieją, że jej głos nie brzmi tak słabo i bezbrinnie, jak jej się wydawało.

Oficer podniósł na nią wzrok, zmarszczył czoło.

- Ma pani męża Chińczyka? - powtórzył. Cmoknął pogardliwie. -

Dlaczego?

Speszyło ją to pytanie. Powiedziała pierwsze, co jej przyszło do głowy:

- Bo jest przystojny.

Popatrzył na nią drwiąco. Wszyscy znali krążący między białymi mieszkańcami wyspy żart o tym, jak odróżnić Japończyka od Chińczyka. Ten pierwszy jest mały i brzydki.

Jeśli człowiek rasy żółtej jest wysoki i urodziwy - to Chińczyk.

Odwrócił się na pięcie i ruszył tam, skąd przyszedł. Stevie domyśliła się, że powinna za nim pójść. Przycisnęła torebkę do piersi jak tarczę i skierowała się ku okazałym drzwiom.

Przygniatał ją ciężar kamiennego gmaszyska. Miała wrażenie, że w porównaniu z jego potęgą zanika przy każdym kroku na podobieństwo postaci rysunkowej. Za nią w pewnej odległości szedł Nakamura. Potem rozległo się stukanie w grube ciemne drzwi i nastął moment zawieszenia, nim żandarm obrócił mosiężną gałkę i pchnął skrzydło, otwierając je na oścież.

Podłużne wnętrze było przestronne. Światło wpadające przez trzy okna wychodzące na wewnętrzny dziedziniec kładło się na cieniach grubymi liniami złota. Na przeciwległym końcu pomieszczenia stało wielkie biurko z blatem obciągniętym błyszczącą czerwoną skórą.

Siedzący za nim mężczyzna mimochodem obrzucił wchodzących nieuważnym spojrzeniem.

Rozpoznała go natychmiast i serce podeszło jej do gardła. To był Shigeo, ten, któremu przyłożyła w czasie rozróbki w Kun Lung Wai. Tym razem miał na sobie mundur żandarma i prezentował się zgoła odmiennie. Tutaj był u siebie, na swoim, i niezaprzeczalnie dzierżył władzę. Stevie przelotnie zastanowiła się, kto też siedział za tym biurkiem kilka tygodni wcześniej i czy robił to z podobnym przekonaniem o doniosłości własnej roli.

Kątem oka dostrzegła, że Nakamura oraz drugi oficer kłaniają się w pas ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wzięła z nich przykład. Shigeo zerknął na nich i uczynił dłonią gest pozwalający im odejść. Na ten znak oficer wycofał się z pokoju tyłem, stale zgięty w pół.

Shigeo odezwał się po japońsku do Nakamury. Ten wskazał krzesło

ustawione przed biurkiem nieco pod kątem.

- Tam.

Wydawało jej się, że idzie do niego całą wieczność. A Shigeo patrzył i patrzył.

Zrobiło jej się pod tym badawczym spojrzeniem nieswojo. On - nieskazitelny, ona - w starych pończochach i bluzce z jednym guzikiem przy mankiecie nie od kompletu. Wyraźnie czuła nutę fałszu. Coś było nie tak, jak powinno, tylko na razie jeszcze nie przyszło jej do głowy, że to nie o nią chodzi. Usiadła. Niedaleko za nią, tuż poza polem jej widzenia, drugie krzesło zajął Nakamura.

Shigeo splótł dłonie i wbił wzrok we własne palce. Stevie z trudem przełknęła ślinę, lecz gardło nadal miała ściśnięte. Po długim czasie próżnię wypełnił głos Japończyka, miękki i znudzony. Nakamura przetłumaczył.

- Po co pani przyszła? - usłyszała zza pleców jak echo.

- Kazano mi. - Odwróciła się, by spojrzeć na Nakamurę. - Wczoraj pan mi to polecił.

Shigeo wyrznął płasko rozłożonymi dłońmi w blat biurka. Od łoskotu zadrzało powietrze. Stevie gwałtownie obróciła się z powrotem. Szybko uświadomiła sobie, że Japończyk doskonale ją rozumiał, a tłumaczenie stanowiło tylko element gry.

Niecierpliwie potrząsnął głową. Powiedział coś ostrym tonem. I znów rozległ się zjadliwy głos Nakamury, gdy cisnął w nią angielskimi słowami:

- Kiedy przyjechała pani do Chin?

- W trzydziestym szóstym.

- W którym roku wyszła pani za mąż?

- Trzy lata później. W trzydziestym dziewiątym.

- Gdzie pani mieszkała?

- W Szanghaju. Przez cztery lata. Potem przeprowadziłam się do Hongkongu.

Pytania padały szybko, a ona wciąż walczyła ze ściśniętym gardłem. Gdy Shigeo wyrzucił z siebie następne zdanie po japońsku, zakłuło ją w piersiach, bo usłyszała słowo „Harry”. A potem ten ostry ból pojawił się jeszcze raz,

gdy Nakamura powtórzył zdanie po angielsku.

- Czy zna pani majora Harry'ego Fielda?

- Oczywiście. Jestem jego kochanką. Mamy dziecko.

Shigeo położył dłonie płasko na biurku zbity z tropu jej szczerością. Następne pytanie zadał po angielsku, kończąc farsę tłumaczenia. Wychylił się do przodu, przeszył Stevie ostrym spojrzeniem. Zrozumiała wtedy, że jest zdolny do każdego okrucieństwa.

- Kochasz pani Fielda?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie pojmowała celu przesłuchania. Przygotowując się do tego spotkania przez całą bezsenłą noc, rozważała wiele opcji, ale na coś takiego nie była przygotowana.

Pytanie zabrzmiało ponownie, tym razem zza pleców, wypowiedziane przez Nakamurę.

- Kocha pani majora Fielda?

Spętana strachem toczyła wewnętrzną walkę. Co powinna powiedzieć? Co wiedzieli?

Co się stało z puszką smalcu i częścią do radia? O co zostanie obwiniony Harry przez to, że usiłowała tę część do niego przemyścić? Po co zadawali jej tak nedorzeczne pytanie? I to z takim naciskiem? Dlaczego, do ciężkiej cholery, miała się zwierzać tym obcym mężczyznom ze swoich uczuć?

- Kocha pani Fielda? - powtórzył Nakamura z naciskiem. - Kocha pani tego człowieka?

- Tak, kocham go, oczywiście - odparła pełnym głosem. Po raz pierwszy spojrzała Shigeo prosto w oczy. I równie jak on nieugięcie. - Kocham Harry'ego Fielda.

Shigeo przyjął to absurdalne wyznanie miłości z całkowitym spokojem. Przeniósł spojrzenie na Nakamurę. Stevie cofnęła się na krześle, zaparła plecami o drewniane szczebelki. Czuła się słaba i chora.

- Wypytaj o niego - polecił Shigeo znużonym tonem.

Nakamura podniósł rękę, a Stevie o mało nie umarła ze strachu, bo przez jeden moment była przekonana, że oficer wyciągnie pistolet. Obejrzała się przez ramię, chcąc zobaczyć kulę, która ją dosięgnie, ale on wyjął z kieszeni

na piersi notatnik i zasypał ją gradem pytań.

- Co robił Field w Chongqing?

- Nie wiem.

- Kiedy wyjechał do Singapuru?

- Nic nie wiem o tym, żeby tam był.

- Co go łączy z Takeda-sanem?

Pokręciła głową. Nie chciała pociągnąć za sobą Takedy, ale coś powiedzieć musiała.

- Znają się z czasów, gdy Harry był w Japonii.

- Kiedy był w Szanghaju?

- Nie wiem. Był tam wiele razy.

- Po co?

- Nie wiem.

- Jak się kontaktuje z komunistami?

- Z komunistami? Po co miałyby się z nimi kontaktować?

Czuła na sobie drapieżne spojrzenie Shigeo. Lepki zimny pot spływał jej po plecach, a Nakamura pytał dalej, bez ustanku.

- Skąd bierzecie jedzenie? Skąd macie pieniądze? Kto wam pomaga?

Zacisnęła dłonie na rączce torebki, aż wbiła paznokcie w ciało. Lepsze to niż coraz większe odrętwienie w sytuacji bez wyjścia.

- Ile pani płacił major Field?

- Nic mi nie płacił! - sprzeciwiła się oburzona. - Sama zarabiam. Jestem pisarką. I to dobrą. W Ameryce jestem sławna.

Na twarzy Shigeo pojawił się wyraz zainteresowania. Natychmiast pożałowała butnych słów.

Popołudniowe słońce już osłabło i do pokoju wkradała się ciemność. Trzy osoby zamarły w oczekiwaniu na następne posunięcie - rozgrywka szachowa bez zegara. Pierwszy wyłamał się Shigeo. Skinął dłonią w stronę wyjścia, odprowadzając w ten sposób Nakamurę.

Oficer poderwał się, skłonił zwierzchnikowi i wyszedł, stukając obcasami na parkiecie.

Shigeo odczekał, aż zamkną się za nim drzwi, po czym odepchnął fotel i

wstał zza biurka powoli, jak człowiek zmęczony życiem. Podeszedł do najbliższego okna, wyjrzał na pusty dziedziniec. Stevie liczyła ciężkie uderzenia serca. Atmosfera w pokoju się zmieniła, zgęstniała.

- Czyli... - odezwał się Shigeo po angielsku - przyjechała pani do Chin... - cały czas patrzył przez okno, jakby mówił do siebie - w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym...

Czy to jakaś pułapka?

- Rok później - skorygowała. - W trzydziestym szóstym.

- Zamieszkała pani w Szanghaju i w tysiąc dziewięćset czterdziestym wyszła za mąż za Wu Jishanga.

- W trzydziestym dziewiątym.

Zanim się zorientowała, stał tuż przed nią, tak blisko, że ich kolana prawie się stykały.

Przestraszyła się tego gwałtownego ruchu.

- A więc jest pani sławna. Sądzi pani, że Japonia boi się Ameryki? Jest pani głupia!

Zamachał jej przed nosem plikiem papierów. Kartki zafurkotały głośno jak skrzydła ptaka.

Dość tego! Wstała.

- Proszę mnie nie wyzywać.

Nagle zorientowała się, że wie, do czego dojdzie. Zobaczyła to w jego oczach. W ogniu na dnie źrenic. Nieomylnie odgadła moment, gdy odrzuci pozory. Po kruchej chwili zwłoki położył jej ręce na ramionach i pchnął ją z powrotem na krzesło. Opuścił ręce niżej i rozpiął guziki rozporka.

Gorąco z jego ciała buchnęło Stevie w twarz. Zawładnął nią kwaśny zapach mężczyzny po całym długim dniu, woń szarego mydła zmieszana z jakąś inną, słodką, pewnie wody kolońskiej. Wstrzymała oddech. Zmieniła się w nicość. Zostało z niej tętnienie krwi w żyłach, pieczenie mięśni i napięcie ścięgien. Same zakończenia nerwowe.

Rzeczywistość stała się przezroczysta, lecz jednocześnie miała wyostrome detale. Shigeo jedną rękę włożył w spodnie, a drugą chwycił kobietę za włosy. Przysunął się o ten ostatni krok. Rękę miał ciężką i wiedział, czego

chce. Wetknął jej członek w usta. Dusiła się, fala mdłości podchodziła jej do gardła. Zaciśnęła powieki, przynajmniej patrzeć nie musiała. Odsunął się dość szybko. Pociągnął Stevie za włosy, postawił ją na nogi i spoliczkował otwartą dłonią.

Otworzyła oczy. Zobaczyła u niego żądzę władzy. Ujrzała samo zło. Równie rzeczywiste jak ziemia pod jej stopami, tak samo prawdziwe jak ciemniejące za oknami niebo. W tamtej chwili poznała swój los i dokonała wyboru. Później zdręczała się wątpliwościami. Może lepiej było podbiec do okna i wyskoczyć? Spadłaby na ziemię w deszczu szkła i wszystko by się skończyło w jednej chwili.

Nie trwało to długo. Miał wprawę. Działał mechanicznie. Przygiął ją na biurku, wcisnął jej twarz w czerwoną skórę. Palce miał ciągle zaplątane w jej włosach. Drugą ręką zdarł jej bieliznę. Stevie nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nie istniała.

Skończył. Usłyszała, że odszedł. Otworzyła oczy. Zobaczyła krwistoczerwoną skórę i pióro kołyszące się w tę i z powrotem, jakby poruszane echem niedawnych pchnięć. Nawet nie drgnęła. Instynkt kazał jej zamrzeć w bezruchu, udawać trupa. Wiatrak pod sufitem wirował po swojemu. Cisza zaległa ciężarem.

Musiał być już przy drzwiach, bo jego głos dotarł do niej z daleka, jakby z innej planety, torując sobie drogę przez gęste powietrze.

- Widzisz, jesteś głupia.

Usłyszała szmer otwieranych drzwi i kliknięcie zamka. A potem znowu cisza. Mogła tak pozostać bez ruchu do końca czasu, ale znowu usłyszała kroki. Dźwignęła się, wsparła o stół. Wyczuła za sobą czyjąś obecność. Obróciła się, zawadziła nogą o rozdarte majtki zaplątane wokół kostki.

Od drzwi szedł do niej Nakamura. Wcale nie był zdziwiony jej stanem. Wykonał surrealistyczny w tej sytuacji ukłon.

Stevie zrobiła krok, zostawiając bieliznę za sobą. Nie bardzo wiedziała, co z nią zrobić, więc podniosła i zmięła w dłoni. Podeszła do krzesła, zabrała torebkę. Dłuższą chwilę zajęła jej walka z opornym zatrzaskiem, lecz w końcu go otworzyła. Wepchnęła do środka podarty dowód swojego

poniżenia.

- Może pani wracać do swojego pięknego chłopca, panno Steiber. Który, swoją drogą, z pewnością nie jest Chińczykiem. Brytyjczykiem? Amerykaninem? To się jeszcze zobaczy.

A ona na to odparła:

- Dziękuję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Potem szła na ślepo pod słońcem, które wciąż paliło, choć zeszło już nisko nad wodę. Wiedziała tylko jedno: musi się umyć. Potknęła się o krawężnik i akurat dostrzegła kran sterczący z cienia w wąskiej alei. Zakradła się w mroczny zaułek i raz po raz nabierając wody w skulone dłonie, usiłowała się pozbyć z ciała wszelkich śladów po napastniku. Zimna woda spływała jej po nogach. Spódnicę miała całkiem przemoczoną, lecz choć szorowała skórę do czerwoności, jakaś pradawna mądrość podpowiadała jej, że już nigdy nie będzie taka sama jak przedtem. Dawna Stevie została zamordowana. A ta nowa zastanawiała się, kim jest.

Ruszyła dalej niczym duch przez miejsca, gdzie niegdyś stały ściany domów. Ogarnęła ją wstydliva wdzięczność dla Japończyka, że pozwolił jej żyć. Niestety już w następnej chwili niczym cios spadła na nią świadomość, dlaczego tak się stało. Otóż myliła się, sądząc, że okazał jej łaskę. Rzeczywistość wyglądała inaczej. Zostawił ją przy życiu, ponieważ była całkowicie nieistotna. Nie miał najmniejszego powodu się jej obawiać, by poświęcać jej więcej energii czy zaprzętać sobie nią myśli. Uzyskał to, czego chciał: swoją dominację i jej poniżenie.

W pewnej chwili dostrzegła znajome drzwi. Dawno temu, jeszcze zanim weszło im w krew chodzenie na łódź Yanga, bywali z Jishangiem właśnie tutaj. Budynek pozostał nieuszkodzony. Prowadziło do niego niskie wejście, dzielące próg z restauracją urządzoną w szanghajskim stylu. Stevie nie miała zamiaru dociekać, dlaczego ani jakim sposobem znalazła się akurat tutaj. Weszła do zadymionego, klaustrofobicznego wnętrza i omal nie rozpląkała się ze szczęścia. Nie zamierzała czekać, aż oczy przywykną do ciemności. Potykając się, dotarła do najbliższej wolnej leżanki. Tutaj nie było dyskretnych zasłon, ale też nie czuła konieczności, by się chować. Jedynie

przymus zapomnienia i rozpacz. Pragnęła zapomnieć o sobie, o problemach, o całym świecie. Ludzie tutaj byli tacy sami jak ona. I zasłonięte żaluzje.

Znajome wyposażenie do palenia opium i odpowiednio niskie stoły. Wyciągnęła rękę po fajkę.

Rozwieszane na sznurku pieluchy przeciął nóż. To żandarmi przybyli z misją zniszczenia. Powyciągali wszystkie szuflady z każdej szafki i każdej komody, a ich zawartość wyrzucili na podłogę. Niczym płatki śniegu spadały dokumenty. Dźgali bagnetami poduszki, a szarawy deszcz piór połączył się ze ścinkami papierów. Nie ominęli nawet materaca w wózku Hala. Lily tuliła płaczące dziecko, nucąc słowa pocieszenia i jemu, i sobie. Jej matka, stara kobieta, leżała skulona w kącie sypialni. Prawie się nie ruszała od tamtej nocy, gdy zostali napadnięci przez pijanych żołnierzy. Odwrócona twarzą do ściany przygotowywała się na nieunikniony cios.

Nie nastąpił. Odeszli, nie czyniąc krzywdy kobietom. Nic im nie zabrali. Przerazili je tylko całkowicie i skutecznie.

Lily stała pośrodku tej ruiny i w żaden sposób nie mogła uspokoić Hala. Była zła na Stevie. Przede wszystkim po kiego diabła uganiała się za tym Anglikiem? Gdyby nie poszła do szpitala, wtedy, za drugim razem, nie wiedziałyby, gdzie go szukać, i mogliby najzwyczajniej w świecie przeczekać burzę. A nie byłoby żadnych wezwań do budynku Sądu Najwyższego, bo i po co.

Strach budził w niej gniew. Stevie zostawiła ją samą z oniemiałą matką i rozwrzeszczanym dzieckiem, chociaż powinna siedzieć na miejscu i robić swoje. Nic nie szło jak należy. A Hal od kilku godzin dał się wniebogłosość, co było do niego całkiem niepodobne. Zwykle łatwo go było uspokoić czy zabawić, a dzisiaj nic mu się nie podobało.

W końcu Lily uznała, że pewnie będzie chory. I co ona wtedy z nim zrobi?

Harry czuł, jak wilgotna ziemia wsypuje mu się do spodni od pidżamy. Głosy zbliżyły się i oddaliły. Smuga światła spod drzwi pełzła po lepisku, w miarę jak mijały godziny. Ręce bolały go przeraźliwie, już dawno przestał zabijać moskity. Od czasu do czasu zmieniał tylko pozycję. Umysł miał odrętwiały, ale nie tracił nadziei, że skoro mógł rozmawiać ze swoimi

porywaczami, zdoła się z nimi porozumieć, uświadomi im, że nie ma potrzeby traktować więźniów tak brutalnie. Miał pewność, że wkrótce zyskają pewne podstawowe wygody: pożywienie, przybory do mycia... A okrucieństwo okaże się jedynie skutkiem chaosu panującego w pierwszych dniach okupacji.

Wiedział, że w pozostałych barakach obozu jenieckiego są inni mężczyźni, i nie wątpił, iż wkrótce będzie w stanie wynegocjować nieco bardziej ludzkie warunki egzystencji dla wszystkich. Szczerze podziwiał Japończyków i ufał, że są z natury ludźmi przyzwoitymi, działającymi według odmiennych, ale honorowych zasad. Owszem, bywali brutalni. Trudno znaleźć usprawiedliwienie dla masakr czy haniebnych czynów, sięgających grozę w Chinach.

Mimo wszystko żywił niezłomne przekonanie, iż były to jednostkowe przypadki, wyjątki potwierdzające regułę, a nie celowa manifestacja obowiązującej polityki. Przecież wszyscy obecni tutaj mężczyźni są żołnierzami i darzą się wzajemnym szacunkiem. Miał pewność, że zwycięzcy będą się zachowywali honorowo. To tylko kwestia czasu. No i bardzo chciało mu się pić.

Gdy otwarto drzwi, oślepl na moment od jaskrawego światła. Minęły już prawie dwa dni, więc miał zbyt wysuszone gardło, by mówić, ale dźwignął się na nogi i uklonił. Żołnierz wyciągnął do niego rękę z blaszanym kubkiem. Harry sięgnął po wodę, lecz gdy jego palce dotknęły chłodnego metalu, żołnierz odsunął naczynie i wylał jego zawartość na ziemię.

Harry patrzył bezradnie na niewielką kałużę, momentalnie wsiąkającą w grunt. Przykry wypadek. Podniósł wzrok na żołnierza i zmartwił.

Tamten szeroko się uśmiechał.

Wtedy Brytyjczyk pojął rzecz nie do pojęcia i nogi same się pod nim ugięły. Mimowolnie usiadł. Usłyszał, że drzwi ponownie zamknięto. Po raz pierwszy w dorosłym życiu uprzytomnił sobie, że boi się ciemności, bo ta ciemność w końcu go zabije. Zamknął oczy. Znalazł się w domu rodzinnym w swojej chłopięcej sypialni. Starszy brat zakrył go pierzyną i przygniótł całym swoim ciężarem dziesięciolatka. Harry się dusił.

Nie mógł krzyczeć, bo gęsta tkanina poszwy zatkała mu usta. Roger podskakiwał, a kołdra oplątywała Harry'ego coraz ściślej. Nie dochodziło do niego światło. Ani powietrze. Zresztą i tak nikt by go nie usłyszał. Niania była w kuchni, a rodzice poza domem, zajęci swoimi ważnymi tajemniczymi sprawami. Byli tu tylko we dwóch, on i Roger. I Roger go zabijał.

Nadludzkim wysiłkiem ośmioletni Harry wyrwał się spod brata, ześlizgnął z łóżka i złapał oddech. Starszy chłopiec wydał z siebie dziki okrzyk wojenny. Harry pognął do drzwi i wypadł na korytarz. Ślizgając się na linoleum, dotarł do schodów. Nieomal sfrunął na parter. Chwycił słuchawkę aparatu telefonicznego stojącego w przedpokoju.

- Halo? - rozległ się odległy głos operatorki. - Halo?

- Pomocy! - wychrypiał Harry. - Policja!

- Policja?

- Tak. Niech aresztują mojego brata. Chce mnie zabić.

Roger już też był na dole, więc Harry rzucił słuchawkę i uciekł. Wypadł z domu, pobiegł przez ogród, przeciął podjazd i mknął teraz po jasnozielonej trawie. Minął grządki hortensji, wielkie fioletowe kwiaty smagały go po twarzy. Wreszcie znalazł się w sadzie.

Dyszał ciężko, chwytaly go mdłości. Stanął. Czekał, przygotowując się do odparcia następnego ataku, ale Roger się nie zjawiał. Harry powoli się uspokajał. Oszałały rytm serca zwalniał. Chłopiec powiódł wzrokiem po nagich gałęziach jabłoni. Piekły go nogi wysmagane przez gałązki krzaków.

Jakiś czas później, trudno powiedzieć kiedy, zgłodniał, więc postanowił wrócić. Ostrożnie przedarł się przez krzewy. Gdy wyszedł na trawnik przed domem, zobaczył samochód, czarny, połyskujący w przybladłych promieniach jesiennego słońca. Już to było dziwne, a na dodatek spostrzegł, że drzwiczki od strony pasażera stoją otworem. Puścił się do nich biegiem, a wtedy zobaczył ojca, który siedział za kierownicą dziwacznie zgarbiony. Już, już Harry miał wskoczyć do środka, lecz gdy uświadomił sobie, co jeszcze widzi, zmienił się w słup soli. Na kolanach ojca leżał skulony Roger. Po sekundzie ciszy powietrze rozdarł niesamowity krzyk, zwierzęce wycie. Ojciec uniósł głowę i utkwiał w przedniej szybie niewidzące spojrzenie. Łzy

ściekały mu po twarzy i szyi. Harry przeraził się, odwrócił na pięcie i uciekł z powrotem do sadu, aż na sam koniec. Wcisnął się w szczelinę muru, podciągnął kolana pod brodę i odgrodził się od strachu. Po jakimś czasie zainteresował się pajakiem zjadającym muchę i siedział tak, zapomniawszy o całym świecie, aż usłyszał ciężkie kroki ojca. Dziwne. A jeszcze dziwniejsze, że ojciec przyszedł do błotnistego sadu w eleganckich miejskich pantoflach.

Harry wstał. Jakich słów użył wtedy ojciec, dokładnie nie pamiętał, lecz wiadomość o śmierci matki została mu przedstawiona z charakterystyczną dla niego prostolinijną szczerością. Harry nie wiedział, co ma z tym zrobić. Nie umiał zareagować. Wystraszony chłopiec z pustką w głowie... Pokiwał nią tylko, a mężczyzna, osierocony i zagubiony, odszedł między drzewa.

Ktoś otworzył drzwi baraku. Do środka ponownie wlało się jaskrawe światło. Harry gwałtownie wrócił do rzeczywistości. Drzwi zamknięto, a na ziemi został przewrócony na bok koszyk.

Major Field przysunął się do niego, podpierając tułów jedną ręką. Obok kosza leżała piłka. Wziął ją w dłoń i dopiero wtedy zorientował się, że to brzoskwinia. Póki nie wbił w nią zębów, był przekonany, że to halucynacja. Ale nie. Prawdziwa. Wbrew zdrowemu rozsądkowi zjadł całutki owoc od razu, łącznie z aksamitną skórką. Potem, ciągle na kolanach, zbadał zawartość koszyka, ożywiony desperacką nadzieją.

Jakaś puszka. Z czym? Ze smalcem? Obmacał wieczko. Spróbował otworzyć. Nic z tego, nie miał na to siły. Zacisnął zęby, spróbował po raz ostatni. Udało mu się obluźować wieko. Potoczyło się w kąt. Już miał zostawić puszkę w spokoju, gdy zdał sobie sprawę, że naklejka lekko odstaje. Przysunął puszkę blisko twarzy. Rzeczywiście, nalepka stanowczo nie była przytwierdzona fabrycznie. Podważył brzeg i wolno pociągnął. Pod spodem znajdował się kawałek cienkiego niebieskiego papieru listowego. Delikatnie oswobodził ten szept z innego świata i podłożywszy go pod ciekłą smugę światła, która torowała sobie drogę pod drzwiami, przeczytał słowa orzeźwiające niczym najwspanialsza strawa, napisane ręcznie, charakterem, który znał jak własny: „Kochanie, u nas wszystko dobrze. Mamy dużo mleka.

Hal jest bardzo fajny, a ja szczupła jak modelka. Dbaj o siebie. Czekamy.

Sx”. Ktoś gwałtownie pchnął drzwi. Harry zdążył wetknąć zwitek papieru w usta. Przełknął go nieomal bez kłopotu. Przez głowę przeleciała mu myśl, że w ten sposób serdeczne słowa złączą się z jego ciałem. Cienki papier rozpuścił się szybko, jakby przeznaczony do tego, by się go pozbyć właśnie w taki sposób. Major dźwignął się z kolan, ale nie zdążył stanąć prosto, bo jeden z żołnierzy uderzył go na odlew otwartą dłonią. Zachwiaił się, zatoczył w tył, osunął na ziemię. Wtedy drugi napastnik kopnął go w nerki. Harry przewrócił się na brzuch. Całe ciało płonęło z bólu. Żadne serdeczne słowa nie mogły go uchronić przed nim. Po drugim ciosie nastąpił trzeci i następne. Major Field zwątpił, czy to się kiedykolwiek skończy.

Hal w końcu usnął od płaczu, ale Lily i tak nie przestała chodzić w tę i z powrotem. Teraz chodziła, żeby uspokoić siebie, by uciec przed strachem, którego lepkie macki ścisnęły ją za serce coraz mocniej. W tę i z powrotem. Przez podwórze. Od muru do muru. Gdy zobaczyła brata, nawet nie zwolniła. Chen wślizgnął się przez bramę i starannie ją za sobą zamknął.

- Gdzie mama? - spytał.

Lily ruchem głowy wskazała drzwi sypialni.

- Wszystko w porządku?

- W porządku? - prychnęła. - Pytasz mnie, czy wszystko w porządku? Matka nie rusza się i nie odzywa, ja nie śmiem wystawić nosa za ogrodzenie. Opiekuję się cudzym dzieckiem i nie mam pojęcia, kiedy uda mi się cokolwiek zjeść... Ale poza tym wszystko w porządku.

- Gdzie jest Stevie?

Chen spytał właściwie automatycznie. Miał zamiar szybko się ogolić i zaraz wracać do niepewnego świata poza bramami domu. Tymczasem odpowiedź Lily zmieniła go w słup soli.

- Wczoraj poszła do Sądu Najwyższego i nie wróciła.

- Wczoraj?

Lily pokiwała głową. Odczuła wielką ulgę, mogąc się podzielić tą informacją, ale strach podpełzł bliżej.

- Po co? - spytał Chen cicho.

- Zniosła paczkę z jedzeniem na Argyle, a tam jakiś żandarm kazał jej iść

do sądu. W ogóle nie rozumiem, po co szła do obozu. Nie dość, że pokazała się między ludźmi, to jeszcze sprawdzili jej dokumenty... Głupio zrobiła.

Chen raptem zaczął się śpieszyć. Zanim Lily pojęła, co się dzieje, znalazł się na powrót przy bramie.

- Co robisz? - spytała, lecz jej płaczliwy głos już go nie dogonił, a ona znów została sama z oniemiałą matką, cudzym dzieckiem i własnym strachem.

Chen biegł ile sił w nogach. Stale trzymał się blisko ścian, kluczył w ruinach, bez wahania wybierał właściwą drogę w nowym labiryncie miasta. Niczym bryza mijał szerokie promenady i węższe alejki, drogi oraz ścieżki, biegł długo, słońce zdążyło opaść za horyzont.

W końcu znalazł się daleko za miastem i dotarł do drewnianej chaty, ukrytej w niewielkiej zatoczce pod zwisającą skałą. Głośno zastukał w deski zniszczone przez wiatr i sól.

- To ja, Chen - wychrypiał.

Pchnął drzwi. W nikłym blasku świecy zobaczył dwóch mężczyzn w luźnych rybackich strojach. Obaj siedzieli na piętach i obaj podnieśli na niego wzrok, wyraźnie zaniepokojeni. Jednym z nich był Ping Wei, u drugiego wzrok przyciągały lśniąco mądroską oczy i szlachetnie zarysowane kości policzkowe. Bardzo trudno byłoby w nim rozpoznać Jishanga i właśnie o to chodziło.

- Nie spodziewałem się ciebie tak szybko - stwierdził Jishang, wstając. - I co u niej?

- Uśmiechnął się ciepło. - Chyba nie była zła, że sam nie przyszedłem? Co zdecydowała?

Spotka się ze mną?

Chen nie tracił czasu nawet na zamykanie drzwi.

- Stevie została wczoraj wezwana do żandarmerii - powiedział.

Ping Wei też wstał. Jishangowi oczy pociemniały od troski. Niecierpliwie zrobił krok w stronę Chena.

- I co dalej?

- Do tej pory nie wróciła.

Jishang zamarł w bezruchu.

- Z pewnością nie zniknie bez śladu - zaczął się zastanawiać głośno. - Na to ma zbyt istotne koneksje. Nawet żandarmeria nie będzie ryzykować bez potrzeby.

- Może znaleźli szmuglowaną część? - podrzucił Ping Wei cicho.

- Tego łatwo się dowiemy - ocenił Jishang. - Jeżeli major Field nadal żyje, możemy założyć, że nie znaleźli.

Minął Chena, wyszedł z chaty.

- Dokąd idziemy? - zapytał Chen. Był młody, jego głos brzmiał niepewnie.

- Chyba wiem, gdzie jej szukać.

Już szedł żywym krokiem. Chen skoczył za nim, za sylwetką znikającą w ciemności.

Ping Wei też ruszył, ale Chen go zatrzymał.

- Czekaj na wiadomości.

Młody chłopak posłusznie spuścił wzrok. Gdy pozostali dwaj zniknęli mu z oczu, wrócił do chaty.

Stevie leżała bez ruchu. Oczy miała półprzymknięte. Opiumowy dym otulił ją szarawą mgiełką. Poruszyła się niepewnie, znowu sięgnęła po fajkę. Tym razem jednak inna dłoń chwyciła ją wcześniej i odsunęła. Niełatwo było się skupić. Ktoś tu przyszedł... jakiś kulis... trochę przypominał Jishanga.

Uśmiechnęła się, mruknęła coś niewyraźnie. Nie dało się zrozumieć słów. Potem znowu opadła na poduszki. Powieki się zamknęły, odgrodziły ją od świata.

Lily siedziała na stopniach werandy. Była zbyt utrudzona, żeby się bać, więc bez strachu podniosła wzrok. Na kolanach miała śpiącego Hala. Podtrzymywała go lekko.

Kościstą postać brata w prześwicie bramy rozpoznała natychmiast. Lecz kogoś z sobą przyprowadził... Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że tym drugim potężniejszym mężczyzną był Jishang. Mało tego, między nimi zwiśla całkiem bezwładna Stevie.

W pierwszej chwili Lily uznała, że przyjaciółka jest martwa, ale gdy odkryła swoją pomyłkę i zrozumiała jej przyczynę, wpadła we wściekłość.

Mało brakowało, a zrobiłaby dziką awanturę. Palarnia opium! Nie wiedziała, co w niej wzięło górę: gniew czy może wstręt do Amerykanki. Chen musiał ją wyprowadzić z pokoju. Wyszła, sztywna z oburzenia.

Przy Stevie został Jishang. Czekał, cierpliwy jak sam czas. W mdłym świetle poranka leżał na boku, pilnując jej snu. Przez otwarte okno wpadała lekka bryza, czasem omywając jej twarz. Wreszcie Stevie otworzyła oczy.

Najpierw owładnęło nią rozczarowanie: nadal żyła. Była też zdrętwiała i do tego stopnia otepiała, że nie zdziwił jej głos Jishanga:

- Na pewno chcesz pić.

Odkręciła głowę, nie chciała. Szorstka poszewka zadrapała ją w policzek.

- Dlaczego cię puścili? - spytał Jishang cicho, lecz natarczywie.

Odgrodziła się od niego zamkniętymi oczami.

- Co chcieli wiedzieć? - naciskał.

Współczuł jej, ale bardzo potrzebował odpowiedzi. Zależało od niej życie innych ludzi. Lecz Stevie milczała. Zniżył głos do ledwie słyszalnego szeptu.

- Co oni ci zrobili?

Poznał odpowiedź, gdy spod rzęs Stevie wypłynęły łzy. Odwróciła się do ściany, przycisnęła do niej, skuliła. Całe jej ciało zmieniło się w zaciśniętą pięść.

Minęły godziny. Stevie w końcu wyprostowała się, odrętwiała i obolała. Jishang, wierny strażnik, podał jej szklanekę wody. Usiadła niezdarnie, wzięła naczynie. Własne ciało wydawało jej się obce. Przez chwilę miała wrażenie, że faktycznie należy ono do kogoś innego. Potem nagle uderzyła ją straszna prawda, pojęła, że tak będzie się czuła już zawsze.

Dziewczyna, którą Stevie była dawniej, już nie wróci.

Jishang odezwał się tak cicho, że chociaż widziała każdą rzęsę na tle jego gładkiej skóry, musiała wyteńczyć słuch, by zrozumieć słowa.

- Przepraszam. Chen nie powinien był cię prosić o pomoc. Postąpił lekkomyślnie, naraził cię na niebezpieczeństwo, ale jest młody, więc ma niewiele rozumu. Chciał się zasłużyć, zostać bohaterem... Oczywiście chcemy przemycić radio do Argyle, ale...

- Westchnął ciężko. - Wybacz mi, proszę.

Stevie siedziała ze zwieszoną głową. Spojrzenie skupiła na splocie purpurowego koca.

- Pani Kung nam pomaga. Przesyła pieniądze. Wspaniała kobieta.

Stevie mrugnęła. Nazwisko Kung należało do innego świata, zostało w prehistorii.

Stanowiło echo poprzedniego życia.

- Jest w Ameryce - ciągnął Jishang - ale cały czas trzyma rękę na pulsie. Ja tkwiłem jakiś czas w Szanghaju, lecz nie było tam ze mnie żadnego pożytku, więc przyjechałem tutaj zobaczyć, co się da zrobić. Jest mnóstwo ludzi, Stevie, bardzo dużo. Opór wobec Japończyków nie ogranicza się do działań politycznych niezależnie od tego, co twierdzą komuniści. - Przerwał, lecz zaraz odezwał się znowu, tyle że tym razem zupełnie innym tonem, nieomal w innym języku, jakby wrywał słowa prosto z serca: - Stevie, jesteś uparta i trudno sobie z tobą poradzić, ale przy tym jesteś dzielna, odważna i mądra. Musisz dbać o siebie, a teraz jeszcze i o dziecko. Ile jeszcze razy zbłądzisz, zanim to dostrzeżesz? Jak wielką krzywdę sobie wyrządzisz? Może dopiero śmierć otworzy ci oczy... Ale więcej dokonasz, pozostając przy życiu. Możesz opowiedzieć światu, co się tutaj dzieje... Stevie, słyszysz mnie?

Podniosła wzrok i znalazła pocieszenie w znajomej ciemnej głębi jego natarczywego spojrzenia.

- Masz wiele zalet jako żona - podjął Chińczyk - ale próżno by szukać wśród nich wierności.

Spojrzał w stronę drzwi. Za nimi toczyło się prawdziwe życie. Hał w chuście na plecach Lily coś tam sobie gaworzył po swojemu. Owoce dojrzewały na drzewach. Pani Li, z twarzą zasłoniętą szalem, tkwiła w swoim kącie odwrócona do ściany.

- Ale, jak wiesz, ja też przywykłem nie dbać zbyt o nikogo i w tym jesteśmy do siebie podobni - dodał przez wzgląd na stare dobre czasy, oboje jednak znali rozmiary tego kłamstwa. - Wiem, że nie jesteś już moja. I wiem, że to nie twoja wojna. Masz wojowniczą duszę, ale nie powinnaś walczyć w nie swojej sprawie.

Stevie wzięła się w garść. Obce ciało, które teraz należało do niej,

przygotowało się na ból.

- Dlaczego wróciłeś?

- Powiedzmy, że... pilnuję interesów.

Stevie pokręciła głową.

- Boże drogi, zapomniałam, jaki jesteś irytujący.

Odniosła wrażenie, że się uśmiechnął, ale w półmroku wyniosły profil nie odsłaniał szczegółów. Przez okno, na tle miękkiego różowego świtu zobaczyła perfekcyjnie ułożony klucz gęsi.

Jishang wstał, wyprostował się i rozciągnął obolałe mięśnie.

- Potrzeba jedzenia! - zawołał, idąc długimi krokami do drzwi.

- Nie ma tu służby! - odrzyknęła Lily ze złością, ale jednocześnie skierowała się do kuchni.

Minął jeszcze jakiś czas, zanim Stevie zaczęła się ruszać. Nim zdołała wywlec się z domu, Jishang już dawno zniknął, jak bohater pantomimy, nieomal w tumanie dymu.

Najpierw stanęła pod ścianą, ucząc się, jak używać tej dziwnej nowej powłoki. Gdy ukazała się w progu, Lily akurat szła przez podwórze z miską ciepłej zupy w dłoniach. Zamarła w pół kroku. Para objęła jej twarz welonem. Stały obie i patrzyły na siebie bez słowa, rozdzielone głęboką przepaścią, a nie tymi kilkoma metrami gołej ziemi. Pierwsza odezwała się Stevie:

- Przepraszam.

Lily stała nieporuszona. Stevie uniosła ramiona.

- Co mam powiedzieć? - spytała.

Kamienna Madonna trwała w ponurej ciszy. Stevie oparła głowę o mur. Hal zaklął coś po dziecinnemu. W końcu Lily nie wytrzymała.

- Mały jest cudowny - powiedziała. - A ty na niego nie zasługujesz.

Po twarzy Stevie spłynęły łzy gorące jak krew. Z głębi piersi wydarł się jej przeszywający jęk, zwierzęce wycie, prymitywny pierwotny skowyt.

- Wybacz! Błagam, wybacz mi!

Przepraszala tym błaganiem za wszystko: za wojnę i jej brutalne oblicze, za cierpienie i głód, za to, że sprowadziła Hala na świat opętany przerażeniem.

Jak uosobienie żalości stała pod ścianą na cichym podwórzu w Hongkongu i wyła. A Lily, choć nie umiała pojąć całej głębi jej cierpienia, rozpoznała szczery żal i złagodniała. Puściła w niepamięć urazy, lecz jednocześnie... upuściła miskę. Naczynie huknęło o twardą ziemię i rozprysło się na tysiąc kawałków. Stevie drgnęła i zamilkła. Lily zaśmiała się nerwowo, a Stevie złapała oddech i ku własnemu zdumieniu też zaczęła się śmiać. Przyjaciółka zamknęła ją w ramionach, a ona, o głowę wyższa, zobaczyła tuż przed sobą zaciekawioną twarzyczkę synka. Zaśmiała się znów i choć łzy wciąż ciekły jej z oczu, płakała już z zupełnie innego powodu. W końcu, podtrzymując się wzajemnie i z trudem łapiąc oddech, poszły do kuchni ponownie nalać zupy.

Potem spadł deszcz. Stevie trzymała na rękach śpiącego Hala, więc Lily poszła po jej torebkę, która leżała obok bramy, porzucona tam przez Chena i Jishanga. Gdy ją podniosła, zatrask odskoczył, odsłaniając zawartość. Między innymi podartą bieliznę. Szybko zamknęła torebkę i zerknęła na Stevie nucącą coś dziecku. Wezbrała w niej litość. Nigdy nie spytała Stevie, co się stało. A Stevie nigdy o tym nie mówiła. Wtedy jednak, siedząc w kuchni u przyjaciółki, w zamierającym świetle, ze śpiącym dzieckiem na rękach, pozwoliła sobie na chwilę błogości. Odwróciła twarz do drzwi, ku ciemniejszemu niebu. Tam gdzie ptak przemknął pod grubymi kroplami deszczu z jednego drzewa na drugie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Harry słyszał deszcz. Bolało go wszystko. Możliwe, że miał połamane kości, ale nie potrafił odróżnić cierpień spowodowanych przez rany wojenne od skutków pobicia. Długo tylko leżał tak, jak go zostawili. Popatrywał jednym okiem, nie całkiem sklejonym zaschniętą krwią i nie do końca spuchniętym. Widział szparę pod drzwiami. Od czasu do czasu pojawiał się w niej cień stóp, ale nikt się nie zatrzymywał, więc po jakimś czasie przestał oczekiwać kolejnej napaści.

Nie oczekiwał w zasadzie już niczego. Szperał w myślach, poszukując nazw średniowiecznych fortyfikacji, i na próżno borykał się ze słowami, sfrustrowany, że nie pamięta. Tak, oczywiście, blanki, ale jak to jest po portugalsku? Oż, psiakość.

Grzechot deszczu na połańdowanej blasze pozwalał odpocząć znużonemu mózgowi. Z początku równie mile widziane były krople wody, które na niego spadały. Coraz częściej i coraz gęściej. Uświadomił sobie, że nie pomoże mu, jeśli do kompletu będzie jeszcze mokry.

Musiał się przesunąć w suchsze miejsce. Wymagało to katorżniczego wysiłku. Udało się, lecz został całkowicie bez sił. Po chwili okazało się, że leży pod inną szczeliną w dachu. Cóż, w każdym razie żyję, pomyślał. Gdyby miał siłę, na pewno by się zaśmiał.

Gdzieś z zewnątrz dobiegły go głosy Japończyków i już wkrótce nie leżał pobity na klepisku w baraku w Hongkongu, tylko na cienkim materacu w bursie należącej do Akademii Wojskowej w Kioto i z całych sił dusił w sobie śmiech po tym, jak Takeda udawał ich pułkownika. A robił to wyjątkowo trafnie, perfekcyjnie, do najdrobniejszej nuty. To był wspaniały rok, wypełniony śmiechem, zabawą i nowymi wrażeniami. Harry co krok odkrywał coś nowego: tu kruche piękno krajobrazu, tam subtelną urodę

etykiety. Od momentu, jak z pokładu statku zszedł na nieznaną mu ląd, dzień w dzień nieodmiennie dziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie i z ochotą podejmował każde nowe wyzwanie, z lubością zdobywał egzotyczne doświadczenia. Miał dwadzieścia dwa lata i cieszył się życiem.

Uprawiał szermierkę, szlifował jazdę konną i biegał. Strzelał z pistoletów i z łuku. Słuchał niezrozumiałej, obcej mu muzyki, a także jadł potrawy, które wyciskały mu łzy z oczu. Pił alkohol pozbawiony koloru i zachwycał się ognistymi jesiennymi liśćmi. A gdy po raz pierwszy stanął na ringu bokserkim, omal nie stał się pośmiewiskiem tłumu. Zachęcające okrzyki młodych mężczyzn niosły się echem w drewnianej hali. Ich tupanie rozgrzewało mu krew. Przypuścił bezpardonowy atak na znacznie mniejszego od siebie, szczupłego przeciwnika, pewien szybkiego zwycięstwa. Tymczasem chłopak zręcznie uchylał się przed ciosami, wyraźnie z niego drwiąc. Wkrótce Harry młócił na oślep, bo szczypiący pot zalewał mu oczy. Zdezorientowany i wykończony ledwo widział przeciwnika. Przegrał tę walkę.

Zainkasował piękny lewy sierpowy na dolną szczękę i legł na brezentowej podłodze. Gdy otworzył oczy, zobaczył rozmazaną twarz pochylonego nad nim Takedy, zmartwionego zwycięstwem. Od tego momentu Harry go uwielbiał.

Stanowili dziwną parę: on, długonogi, jasnowłosy Anglik, i drobny, pełen energii Japończyk. Dziwną, lecz nierozłączną. Harry'emu brakowało słów pochwały dla łagodnego usposobienia Takedy, jego nieposkromionej ciekawości i niezachwianej lojalności. Zadrzały w nim struny dawno zapomniane: zdołał odrzucić swój zatwardziały cynizm, pozwolić sobie na nowo odkrytą wrażliwość, za co był przyjacielowi ogromnie wdzięczny.

Któregoś wieczoru, na koniec długiej górskiej wędrówki, znaleźli się w wiosce, gdzie przybycie Anglika spowodowało niemałe poruszenie. W gospodzie szybko otoczyła ich grupka młodych mężczyzn. A stało się to wkrótce po podpisaniu traktatu waszyngtońskiego, w którego myśl Japonię zobowiązano nie tylko do ograniczeń w budowie okrętów wojennych, ale także do zwrotu Chinom świeżo podbitej prowincji Szantung. Atmosfera

zrobiła się napięta. Jakiś młody człowiek o twarzy pokrytej dziobami oraz z włosami modnie zaczesanymi do tyłu splunął na podłogę tuż obok stopy Harry'ego.

- Wracaj, skąd przyszedłeś, biały chłopczyku. Nie będziesz nam dyktował, co nam wolno, a czego nie.

Takeda nie zadał sobie trudu, by przetłumaczyć pogardliwe słowa. Pochylił głowę i bez ostrzeżenia zaatakował prowodyra. Pokonał go szybko, ale i tak wywiązała się bójka. Pół godziny później tkwili w swoim pokoju, opatrując skaleczenia. Gdy Harry zmoczył róg cienkiego ręcznika w misce z ciepłą wodą, jego krew zmieszała się z krwią Takedy.

Japończyk powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Teraz jesteście braćmi.

- Tak? - zaśmiał się Harry. - To znaczy, że będziemy różni jak ogień i woda i będziemy się tłukli bez opanowania przy najmniejszej okazji?

Takeda uśmiechnął się szeroko. Słyszał już o perturbacjach Harry'ego z Rogerem.

- Nie, to nie tak. Będziemy zupełnie innymi braćmi. Dlatego że chcemy nimi być.

- O, psiakrew... - skrzywił się Harry, gdy Takeda obmywał mu rozcięcie nad okiem.

- Wobec tego niech będzie. Mnie pasuje.

W ten oto sposób została przypieczętowana ich przyjaźń. W miarę upływu lat coraz rzadziej pisywali do siebie zabawne listy, a życie stało się przedsięwzięciem znacznie poważniejszym, niż zakładali. Harry często wspominał czas spędzony w towarzystwie Takedy jako najwspanialszy okres swej młodości. Świat polityki robił, co mógł, by poróżnić tych dwóch młodych mężczyzn, lecz oni wiedzieli swoje.

Któregoś razu, przed dwoma laty, zdarzyło się, że Harry zobaczył Takedę wychodzącego od fryzjera w hotelu Hongkong. Było to sześć lat po tym, jak się pożegnali.

Takeda przytył, ale pogodny wyraz jego oczu pozostał bez zmian. Uściskali się serdecznie, uszczęśliwieni, że los ponownie ich zetknął. Harry ujął

Takedę pod łokieć, nachylił się nad nim i wyszeptał konspiracyjnie:

- Czy wiesz, że twój przyjaciel fryzjer przesyła informacje do Japonii?
- W takim razie nie zdradzę mu swoich planów wakacyjnych.
- I słusznie.

Obaj promienieli zadowoleni, że mogą odświeżyć dawną przyjaźń, nie biorąc udziału w wielkich manewrach wywiadowczych, do których każdego z nich nakłaniała ojczyzna.

Strażnicy potrzebowali niemało czasu, by doprowadzić Harry'ego do przytomności.

Żołnierze nawet uznali go za martwego. Jeden z nich kopnął go, ot tak, dla pewności. Żadnej reakcji. Mimo wszystko dostali rozkazy, by postawić go przed starszym oficerem, więc je wykonali. Zawlekli go, żalosne, bezwładne ciało. Nogi ciągnęły się za nim, zostawiając na ziemi nierówny ślad.

Oficer nie był zadowolony i dał o tym znać podniesionym głosem. Zostawili jeńca na ziemi i poszli szukać medyka. Starszy oficer okrążył bezwładne ciało, po czym wziął z biurka karafkę i od niechcienia wylał Anglikowi na twarz wodę. Harry prychnął niemrawo. Medyk pomógł mu dojść do siebie, wymierzając siarczasty policzek. Tym razem Harry uchylił powieki.

- Major Field?

Nie widział, kto pyta, lecz pokiwał głową szczęśliwy, że słyszy głos kulturalnego Japończyka.

- Wie pan, co to jest?

Oficer pochylił się i przysunął mu do widzącego oka kawałek metalu. Harry z trudem pokręcił głową.

- Nie widzę - wychrypiał.

Oficer podciągnął go w górę, usadził. Zaboląło. Japończyk znów podsunął mu kawałek metalu. Harry'emu udało się zerknąć na zagadkowy przedmiot. Ze wszystkich sił starał się pomóc.

- Chyba część jakiegoś mechanizmu...

- To jest - odezwał się Japończyk cicho, lecz wyraźnie - kondensator zmienny.

Podstawowa część nadajnika radiowego. Został przeszmuglowany na teren obozu w smalcu przekazany panu. Kto go przysłał?

Harry był niebotycznie zdumiony.

- Dla mnie? Nie wiem. Nie widziałem go.

Oficer przykucnął.

- Gdzie pan się uczył japońskiego?

- W Kioto.

- Tak przypuszczałem, sądząc po akcencie.

- Pan jest z Tokio?

- Wychowałem się na przedmieściach. - Dłuższą chwilę przyglądał się Harry'emu.

- Jeżeli pan nam pomoże, majorze, wszyscy na tym skorzystamy.

Wkrótce Harry leżał na pryczy w bawełnianych spodniach i koszuli. Rany miał oczyszczone i opatrzone. Połamane kości unieruchomione. Nadal jednak niewiele widział.

Jedno oko miał całkiem zamknięte, drugim niewyraźnie dostrzegał zarysy pokoju. Znow czuł ię jak człowiek. Dlatego też, gdy przyszedł do niego oficer, który pozdrowił go z szacunkiem, zanim usiadł przy łóżku, ożyła w nim wiara w ludzką przyzwoitość.

- Panie majorze, zechce mi pan powiedzieć coś więcej o kondensatorze?

- Jest mi bardzo przykro, ale naprawdę nie mam o nim żadnego pojęcia.

Japończyk pochylił się ku niemu, ujął dłoń Harry'ego i ścisnął połamane palce. Harry zawył z bólu kompletnie zaskoczony.

- Rozumie pan, jak sędzę, że będziemy wdzięczni za wszelkie informacje.

- Ale ja nie mam żadnych.

Oficer cofnął dłoń. Harry zebrał się w sobie.

- Nie spodziewałem się nawet - podjął - że powstanie jakikolwiek opór wobec waszej okupacji. Podejrzewam, że wielu ludzi jest skłonnych zrobić wszystko, by obalić wasze rządy. To naturalne i całkowicie zrozumiałe. Ja jednak jestem oficerem armii brytyjskiej, znalazłem się pod waszą jurysdykcją. Nie znam żadnych szczegółów dotyczących jakiegokolwiek ruchu oporu.

Japończyk rozważał słowa jeńca.

- Dlaczego w takim razie - zapytał w końcu - ktoś panu przysłał kondensator?

- Nie mam pewności. Mogę się jedynie domyślać. Może dlatego, że jestem oficerem?

To fakt ogólnie znany.

Japończyk wstał gwałtownie, ze zgrzytem przesuwając krzesło po brudnej podłodze.

Skłonił się na pożegnanie i odszedł.

- Dziękuję! - zawołał za nim Harry.

Chwilę później zjawili się dwóch strażników. Poderwali Harry'ego na nogi i zawlekli do drzwi baraku, skąd widać było plac apelowy. Na spieczonym słońcem trawie klęczeli rzędem młodzi oficerowie wojsk brytyjskich i kanadyjskich. Wszyscy mieli ręce związane za plecami. Japoński oficer podszedł do nich i wyciągnął miecz. Niedbałym wprawnym ruchem obciął jednemu z mężczyzn głowę. Ciało jeszcze przez kilka sekund trwało w niezmienionej pozycji, po czym z wolna osunęło się na prawo. Inny chłopak, chudy rudzielec, krzyknął mimowolnie, gdy głowa potoczyła się po wyboistym gruncie. Spieczona ziemia chciwie piła tryskającą strumieniem krew. Pozostali klęczący starali się nie zwracać na siebie uwagi, trwali w bezruchu ze spuszczoneymi oczami. Jeden jednak zachwiał się i upadł do przodu.

Zemdlał.

Japończyk zerknął przez ramię na Harry'ego i znów podniósł miecz.

- Nie! - krzyknął Harry.

Rzucił się ku szeregowi klęczących mężczyzn. Podniosły się na niego spojrzenia pełne nadziei, ale jemu nogi odmówiły posłuszeństwa. Potknął się, upadł.

Japoński oficer opuścił miecz. Zawrócił do Harry'ego.

- Ma mi pan coś do powiedzenia? - spytał po japońsku.

- Tak, tak, tak. Tylko niech pan przestanie, proszę.

Chudy rudzielec, mimo piegów blady jak kreda, słuchał Harry'ego,

odpowiadającego po japońsku, sztywny ze strachu. Po chwili brytyjski major został podniesiony na nogi i zaprowadzony z powrotem do baraku. Potem któryś z Japończyków szczekliwym głosem wydał rozkazy: sprzątnąć ciało. I głowę. Chłopak dygotał cały. Nie mógł opanować drżenia, choć najgorsze, jak się zdawało, właśnie minęło.

- Parszywe gnoje! - wrzasnął, niewiele myśląc. - Bydlaki!

Jego sąsiad, starszy mężczyzna wyraźnie znużony, położył mu rękę na ramieniu.

- Już dobrze, Hopkins, spokojnie. My się tym zajmiemy.

Frank Hopkins przez całe swoje dziewiętnastoletnie życie nie spotkał się z niczym, co by go przygotowało na podobne doświadczenie.

W baraku panowała duchota. Natarczywy głos Japończyka mieszał się w głowie Harry'ego z innymi dźwiękami. Czasem szept Stevie, gorący od kochania, niósł mu ukojenie, po chwili jej przestraszony ton podważał jego osąd: „Bzdura! Jesteś taki sam. Między tobą a nimi nie ma żadnej różnicy! Żadnej! Tyle że oni mają lepsze buty”. „My bronimy cywilów, oni ich zabijają” - jego słowa rozbrzmiewały mu w mózgu pełną mocą, za to przez usta wydobywały się niewyraźnym bełkotem.

Japończyk pochylił się nad nim.

- Co takiego? Proszę mówić po japońsku.

Przez chwilę udało mu się skupić wzrok na twarzy oficera. Potrząsnął głową.

- Nie chodzi tylko o buty.

Został nagrodzony kolejnym uderzeniem w twarz.

- Majorze, jestem człowiekiem rozsądnym. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego skazuje pan na śmierć kolejnych swoich ludzi.

Harry widział zamazaną postać przesłuchującego idącego do drzwi. Głosy w jego głowie zawyły kakofonią: płacz Hala, szept Stevie, miękka japońszczyzna Takedy... Zdawał sobie sprawę, że przestaje nad sobą panować. Nad całym tym zgiełkiem usłyszał własne słowa cierpkie od porażki:

- Zgadzam się.

- Ma pan coś do powiedzenia?

Harry, skurczony w sobie, pokonany, zaczął mówić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Jishang pierwszy zauważył błysk światła na górskiej ścieżce. Akurat siedział na klepisku i starał się razem z Chenem sporządzić listę zabitych, rannych i zaginionych.

- Chun Leiming?

Chen pokręcił głową.

- Nie ma od niej żadnego sygnału, odkąd poszła na spotkanie z handlarzem jedwabiu w Shek O.

- On został zwerbowany niedawno?

- Nigdy go nie widziałem. Ale dotarł do nas przez zaufane kanały. Leiming jest bardzo sprytna.

Jishang uniósł brwi.

- A także bardzo młoda.

- Ma pan wątpliwości co do naszych metod? - oburzył się Chen.

- Nie. Ale czy jesteś skłonny uznać ją za zaginioną? Już minął tydzień.

Chen z ociąganiem dopisał jej imię do długiej kolumny osób zaginionych. Na kartce pojawiało się coraz więcej smutnych ideogramów.

Jishang wstał, podszedł do drzwi. Za ciemną łachą piasku księżyc rozłożył na falach srebrną ścieżkę. Raptem na gęsto porośniętym zboczu zaśniło światełko.

- Dlaczego Ping Wei wraca lądem? - spytał cicho.

- Nie powinien.

Chen też podszedł do drzwi. Światełko błysnęło ponownie. Wyraźnie ktoś szedł ścieżką nad ich głowami. W okamgnieniu zgasili lampę naftową i wymknęli się z chaty. Bezszelestnie przeszli pod wiszącą skałą do małego wodospadu. Cicho, szybko, najpierw Chen, a potem Jishang, zniknęli za kotarą spadającej ze skały wody i z wprawą wspięli się po stromym klifie.

Byli już daleko, gdy oddział Japończyków wpadł do chaty. Nie widzieli, jak łódka Ping Weia dobiła do brzegu. Nie słyszeli jego krzyków. Ale płomienie z płonącej chaty utworzyły na niebie łunę widoczną z wielu kilometrów.

Tortury Ping Weia i jego męczeńska śmierć nie zostały nigdzie oficjalnie odnotowane. Świat Harry'ego się skurczył. Ograniczył się do powolnego, niewyraźnego ciągu powtarzalnych czynności: oddychanie, jedzenie, trudna droga do latryn i z powrotem. Rany zagoiły się na tyle, że mógł stać w kolejce po żywność razem z innymi mężczyznami. Zawsze wbijał wzrok w ziemię, by nie widzieć ich twarzy. A docierały do niego wyłącznie słowa nabrzmiałe wstrętem i pogardą.

- Jeśli temu cholernemu Angolowi się wydaje, że może się tu rządzić jak u siebie, to się jeszcze przekona! - mówił Frank Hopkins do swojego sąsiada, mieszkańca Toronto, a piegi na jego spalonej słońcem twarzy świeciły jak rozżarzone węgle. - Od początku trzymają go osobno. Czymś musiał sobie zasłużyć na specjalne traktowanie. Oni nie zapewniają luksusów bez powodu.

Na jakiś czas obaj młodzi ludzie zadumali się nad wagą tych słów. Frank, stojąc w kolejce kilka kroków za Harrym, uważnie lustrował jego zgarbione plecy.

- Widziałem wtedy - podjął - jak Japonec dał mu wodę. W ogóle obchodzili się z nim jak ze zgniłym jajem. Ciekawe dlaczego.

Drugi Kanadyjczyk wzruszył ramionami.

- Jeżeli oni go nie zabiją - podjął Hopkins - sam to zrobię. Niejednemu bydlęciu na farmie skreśliłem kark.

- Aha.

- Gdzie się podziało braterstwo broni, co? - Ze złością kopnął grudę ziemi. - Lepiej niech skurczybyk ma oczy dookoła głowy.

Jakiś czas później Harry, pochylony nad miską, nie dostrzegł, że Frank nad nim stanął.

Zorientował się, dopiero gdy Kanadyjczyk splunął mu do naczynia. Podniósł wzrok, spojrzał w oczy Hopkinsa i zobaczył w nich czystą pogardę. Natychmiast ponownie odwrócił spojrzenie. Tym bardziej że zobaczył w twarzy chłopaka dokładne odbicie własnych myśli.

Nie miał powodu, by się z nimi sprzeczać.

Zasługiwał na znacznie gorszą karę niż naplucie do miski.

Odszedł. Usiadł na ziemi, opierając się o białą ścianę baraku. Inni się od niego odsunęli. Zabrał się do jedzenia cienkiego gulaszu. Wciąż te same myśli kłębiły mu się w głowie. Nie było przed nimi ucieczki. Pozostawała mu tylko nadzieja, że nie znaleźli nikogo w rybackiej chacie. Niestety, skoro pozwolono mu przebywać z innymi, należało się domyślać, że Japończycy byli zadowoleni z tego, co osiągnęli dzięki jego zdradzie.

Nie miał więc nic przeciwko ostracyzmowi. Nie był człowiekiem, za jakiego siebie kiedyś uważał. A od tego nie było ucieczki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Marzec 1942

Stevie nie miała czasu rozwodzić się nad wydarzeniami, do których doszło w budynku Sądu Najwyższego. Wiadomość o śmierci Ping Weia przeraziła wszystkich, tym bardziej że ewidentnie zostali zdradzeni. Wśród gorączkowych spekulacji na temat źródła przecieku grupa oporu została rozwiązana. Chen teraz rzadko zakradał się do domu i szybko znikał, Jishang nie pokazał się ponownie, a brat Lily twierdził, że nie zna miejsca jego pobytu. Nie było żadnego znaku życia od Declana, co akurat Stevie uznała za dobry znak.

Musiała się skupić na przetrwaniu. Nawet w czasie wojny i pod okupacją człowiek nadal potrzebuje pieniędzy, a zasoby Stevie oraz Lily i jej rodziny w pewnym momencie się wyczerpały. Do tego dochodziła jej obsesja na punkcie mleka w proszku. Stevie nie potrafiła spocząć, póki nie miała przynajmniej dwóch puszek w zapasie. No i jeszcze instynkt reporterski znów kazał jej zapisywać wszystko, co słyszała lub widziała.

Chińczycy marli z głodu. Zapasy żywności zgromadzone przez władze brytyjskie na wypadek długich miesięcy oblężenia wywożono do Japonii. Taki sam los spotkał tysiąc krów należących do Farmy Mlecznej Hongkong, więc na wyspie zostało ich tylko pięćset.

Większość chińskich członków brytyjskiej Rady Ustawodawczej nakłoniono do wstąpienia do japońskiego Komitetu Odbudowy, organu, który nie miał żadnych realnych wpływów i nie mógł zrobić nic, by powstrzymać systematyczną grabież zasobów. Wszelkie zapasy topniały w oczach.

Któregoś razu Stevie uśmiechnęła się pod nosem, widząc kobietę ubraną w

perfekcyjnie skrojony bawełniany cheongsam, uszyty z cwelichu przeznaczonego na materace. A Lily opowiadała o dwóch swoich szkolnych przyjaciółkach, które nosiły szykowne szorty z australijskich worków na mąkę. Pewnego dnia zaniósł ją na Cat Street, stromą uliczkę z mnóstwem stopni, wzdłuż której ciągnęły się stragany z książkami.

Sprzedawano tam pierwsze wydania, tomy oprawne w skórę z tytułami wybitymi złotą czcionką, pochodzące z najlepszych bibliotek Hongkongu. Encyklopedie medyczne i techniczne, rzadkie, drogocenne, piękne okazy, napisane we wszystkich językach znanych ludzkości. Sprzedawano je na wagę. Na opał. Za kilka juań nabyła dziewiętnastowieczny egzemplarz *Raju utraconego* Milтона, dedykowany jakiemuś Chińczykowi przez kolegę z Cambridge University. Z ciężkim sercem niosła dzieło do domu.

Nocą zdarzało się, że ożywał jej w pamięci któryś straszny obraz: podrapana czerwona skóra na biurku, parkiet wypolerowany na wysoki połysk, dłoń brutala przyglądająca włosy.

Wtedy dławiała się ze strachu i obrzydzenia. Albo okrzyk w języku japońskim, dobiegający z ulicy, paraliżował ją i przepełniał wstrętem.

Któregoś dnia Lily dostała gorączki. Stevie tkwiła w domu, robiła jej chłodne kompresy na czoło i zmieniała pościel mokrą od potu. Opiekowała się przyjaciółką bez szczególnej niechęci, ale też nie była urodzoną pielęgniarką. Grała tę rolę ze stoickim spokojem, lecz jednocześnie irytowała się, że nie może iść do miasta, uzupełnić zapasów mleka, tym bardziej że widziała, jak go stale ubywa. W końcu musiała otworzyć ostatnią puszkę. Niestety okazało się, że nieuczciwy sprzedawca nasypał do niej mąki. Gdy zajrzała do portfela, spotkała ją kolejna przykra niespodzianka. Trzeba było coś zrobić, koniecznie.

Następnego dnia Lily wydobrażała na tyle, że zdołała przełknąć trochę zupy, a Stevie ułożyła plan. Zanim dotarła na miejsce, miało się już ku wieczorowi. Kilka minut stała na drodze, o parę kroków od głównej bramy, by się uspokoić po wysiłku, jakiego wymagało wejście na wzgórze. W piersiach coś ją kłuło, nogi ciążyły ołowiem. Zdawała sobie sprawę, że wygląda okropnie.

Jeszcze w domu, gdy przygotowywała się do tej wyprawy, przeżyła niemiłe

zaskoczenie, gdy zobaczyła na szczotce gruby kożuch własnych włosów. Starannie umalowała usta ocalałą z zawieruchy i stale oszczędzaną szminką firmy Revlon, odsunęła się od lustra, zmrużyła oczy i dokonawszy obiektywnej oceny, uznała, że mimo wszystko jakoś ujdzie, pod warunkiem że nie będzie jej się przyglądał zbyt uważnie. Włożyła granatową sukienkę w groszki, tę z bufiastymi rękawkami, zaplotła przerzedzone włosy w warkocz francuski, a ze słodko pachnącego jaśminu wegetującego na podwórku zrobiła bukiet.

Związała go ostatnią wstążką.

Bukiet przywiął w czasie drogi podobnie jak ona, ale podeszła do bramy zdecydowanym krokiem. Wcześniej zawsze była tu przywożona samochodem i nie zastanawiała się, jak tu wejść, skoro się przyszło na nogach. Poświęciła chwilę na szukanie dzwonka i w końcu go znalazła: był na wpół ukryty za kiśćmi kwiatów glicynii. Patrząc na służącego w białym stroju, idącego do niej zwirowym podjazdem, nie mogła się pozbyć wrażenia, że ogląda scenę wyjętą z filmu: znajomą, lecz nierealną, wyobrażoną. Wydawało się niemożliwe, że ten spokojny, zadbany świat nadal istnieje w rzeczywistości, podczas gdy na ulicach miasta rozłożonego u stóp wzgórza ludzie całą energię zużytkowali na przetrwanie wbrew wszelkim przeciwnościom.

Przedstawiła się i została wpuszczona. Poszła za służącym przez bujnie rozrośniętą zieleń, rozplanowaną na wzór angielskiego ogrodu. Poczuła się jak w raju, gdy wciągnęła w nozdrza delikatną świeżą woń mokrej trawy i lawendy. Przywykła już do smrodu zniszczonego miasta i rzadko zwracała uwagę na wszechobecny odór. Jedynie czasem uderzało ją szczególnie duże stężenie fetoru rozkładającego się ciała i ludzkich ekskrementów. Zwolniła kroku, odetchnęła pełną piersią, wchłonęła wspomnienie lepszych czasów.

Takeda stał na skraju doskonale utrzymanego trawiastego kobierca, okolonego kwitnącymi różami. Celował z łuku do tarczy ustawionej na drugim końcu trawnika.

Wypuścił strzałę, cięciwa zaśpiewała, pocisk trafił w cel. Stevie szła kilka kroków za służącym. Nie mogła oderwać wzroku od jego rękawiczek

odcinających się śnieżną bielą od soczystej zieleni trawnika. Gdy zbliżyli się do gospodarza, Takeda spojrział na nich z ukosa.

Nie od razu poznał reporterkę, lecz gdy tylko zrozumiał, kto go odwiedził, wyciągnął do niej serdecznie rozwarte ramiona, jakby witał długo wyczekiwanego krewnego.

- Panna Steiber! - wydawał się rzeczywiście uradowany, może nawet poruszony. - Cóż za niespodzianka!

Podszedł do gościa, przestępując nad porzuconym wyposażeniem strzeleckim. Stevie podała mu rękę. Uświadomiła sobie, że także jest wzruszona.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - odezwała się tonem mniej pewnym, niżby sobie życzyła. Zerknęła przez ramię na beznamietnego sługę i zniżyła głos: - Nie mam pewności, czy pan sobie przypomina, ale kiedyś powiedział pan, że mogę się do pana zwrócić, gdybym potrzebowała pomocy.

Takeda energicznie potrząsnął jej ręką.

- Ależ oczywiście, oczywiście, że tak - potwierdził z uśmiechem. - Napije się pani czegoś?

Objąwszy ją lekko w pasie, skierował ku balkonowym oknom wychodzącym na ogród. Stevie drgnęła, zaskoczona zbyt poufałym jak dla niej gestem, a on natychmiast opuścił rękę.

Czekając na poczęstunek, cieszyła się luksusem siedzenia na miękkiej sofie. Japoński ceremoniał parzenia herbaty był prawie tak samo złożony jak angielski. Na stole pojawiło się ciasto i inne słodczyce - zanim uświadomiła sobie, co robi, już miała w ustach kawałek raju. A potem następny. Łakocie przesłoniły jej świat, przy czym jedną dłonią stale gładziła perkalową sofę. Napawała się cudownym chłodem wnętrza. Zasłony elegancko spływały na podłogę, parkiet lśnił jak lustro. Na moment pojawił się w jej pamięci obraz pani Kung, sunącej właśnie po tej podłodze, w tym pokoju. Dwa i pół roku minęło od tego pierwszego, brzemiennego w skutki spotkania, a równocześnie jakby cała wieczność. Podniosła wzrok, rozejrzała się po wnętrzu. Na złożonych ramach staromodnego obrazu wiszącego nad kominkiem, a przedstawiającego scenę myśliwską, nie było nawet pyłku

kurzu. Na zamkniętym wieku dziecięcego fortepianu stały zdjęcia w srebrnych ramkach, przeglądające się w błyszczącym ciemnym drewnie. Pani Kung byłaby zadowolona. Tyle że na fotografiach widnieli inni ludzie. Inne uśmiechy z innych miejsc.

Gdy tylko służba wyszła, Takeda zmienił się nie do poznania. Na jego twarzy pojawiła się troska. A im dłużej słuchał Stevie, tym bardziej markotniał.

- Harry jest w obozie przy Argyle. Kilka tygodni temu zaniósłam mu jedzenie.

Zatrzymano mnie przy bramie i kazano przyjść do budynku Sądu Najwyższego. - Umilkła niezdecydowanie, ale Takeda i tak chciał jej przerwać.

- Do żandarmerii? Po co?

- Chyba chodziło o moje dokumenty... Nie jestem pewna. - Pociemniało jej przed oczami, coś ją ścisnęła za gardło. - Proszę pana, nie mamy już pieniędzy. Nie mam czym nakarmić dziecka. Lily jest chora, a ja nie wiem, jak jej pomóc. Nie mam pomysłu, co zrobić, żebyśmy mogli dalej żyć. W tej chwili jestem Chinką, ale trudno przewidzieć, jak długo będą to akceptowali. A co potem? Połowa mężczyzn, których znałam przed okupacją, nie żyje, dziewczęta bez przerwy stoją w kolejce po miskę rzadkiego kleiku...

Takeda wstał. Był bardzo blady.

- Rozumiem, wszystko rozumiem - powiedział, wykręcając palce. - Kiedy się odbyło to spotkanie w żandarmerii?

- Tak jak powiedziałam, kilka tygodni temu. Może półtora miesiąca? Może siedem tygodni?

- Ze mną też rozmawiali.

- Z panem? Jak to?

Japończyk krążył po pokoju.

- Proszę pani, sytuacja wygląda niewesoło. A nawet źle. Bardzo źle. Obawiałem się właśnie takich kłopotów.

- Nie rozumiem, jak to wszystko jest z panem powiązane. Przecież im chodziło o Harry'ego.

- Zawsze byłem... lojalny w stosunku do majora Fielda. - Mogło się wydawać, że jest rozgniewany, ale w rzeczywistości czuł się pokrzywdzony przez los. - Oni o tym wiedzą.

- Spojrzał Stevie prosto w oczy. - A jestem człowiekiem honoru.

- Wiem.

Był ożywiony, pełen energii, jak nie on.

- Jak już wspomniałem, ja także zostałem przesłuchany przez żandarmów. Pytali mnie o panią. Cieszę się, że nie mam wielkiego pojęcia o tym, co też pani robiła.

Stevie poczerwieniała. Była głupsza, niż jej się zdawało. Niczym kompletnie pozbawiony rozważli szalencie weszła w sam środek ponurej rozgrywki, nie znając jej reguł.

Wplątała w nią jeszcze innych, ściągnęła niebezpieczeństwo na kolejne osoby. Na wiele osób... Poczucie winy odezwało się w niej pełnym głosem, lecz Takeda mówił z taką werwą, że szybko skupiła się na jego słowach.

- Proszę mnie posłuchać. Istnieje plan repatriacji cywilów amerykańskich. Ma dojść do wymiany: obywatele japońscy w Ameryce za Amerykanów pod okupacją japońską. Tyle że... - przerwał na moment - pani ma dokumenty chińskie. Wobec tego padną pytania co do pani obecnej narodowości.

- Repatriacja? Jak to? Amerykanie będą wysyłani do domu?

Trudno jej było pojąć znaczenie tych słów. Umykało jej, wydawało się nieprawdopodobne.

- Tak, do domu. - Usłyszała echo głosu Nakamury, po czym zobaczyła cień matki i poczuła słabą woń skóry i frezji, która przyłgnęła do korytarza w ich domu. W domu.

Takeda myślał intensywnie.

- Będzie pani musiała unieważnić swoje chińskie małżeństwo i zgłosić się do obozu dla internowanych w Stanley. Nie wiem, ile czasu zajmie zorganizowanie wymiany.

Negocjacje są wyjątkowo skomplikowane, a co gorsza, nikt nie wie, komu można ufać. No i oczywiście zawsze istnieje ryzyko, że do wymiany jednak w końcu nie dojdzie.

Stevie pokręciła głową.

- Nie, nie, to nie jest wyjście. Internowanie? Nie mogę. A co z Harrym? Lily?

Takeda chwycił ją za rękę odrobinę zbyt mocno.

- Musi pani! - Głos mu drżał. - Nie ma pani innego wyjścia. To pani jedyna szansa.

Sądzi pani, że okupacja szybko się skończy? Zakłada pani, że w ogóle się skończy? Chce pani, żeby synek wyrastał w cieniu wojny jako obywatel trzeciej kategorii, na podbitej wyspie? Po co? Dlaczego? W imię romantycznej idei, by znajdować się bliżej Harry'ego?

Sądzi pani, że on by tego chciał? Jeśli zrezygnuje pani z tej wyjątkowej okazji, będzie to w najlepszym razie przejaw źle pojętej lojalności. Bóg mi świadkiem, wiem, co mówię.

Niestety, na tym nie koniec. W mniej idyllicznej wersji będzie to morderstwo. Pani po prostu nie ma wyboru. - Znowu zaczął krążyć po pokoju. - Co więcej, nie mogę was dłużej chronić.

Odsyłają mnie do Tokio.

Stevie natychmiast pojęła cały sens wyznania. Wojna pana Takedy dobiegała końca.

Wracał do domu z opinią daleką od wizerunku bohatera.

- Tak mi przykro!

- Wszyscy jesteśmy w tej wojnie więźniami i zakładnikami. W taki czy inny sposób.

- Ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami, po czym skłonił się lekko i przeszedł do biurka stojącego pod ozdobnym lustrem.

Stevie zasłuchała się w bezsensownie kojący pomruk kosiarki do trawy i spokojne tykanie zegara. Takeda otworzył szufladę i wyjął z niej dużą brązową kopertę. Szybkim, zdecydowanym gestem podał ją Stevie. Odniosła wrażenie, że gdyby nie przyjęła jej dość szybko, chętnie by się wycofał.

Wstała, wzięła kopertę, a potem ujęła pana Takedę za rękę. Znajdowała się na tyle blisko, że czuła spowijający go zapach cytrynowej wody kolońskiej. Palce miał suche i chłodne.

- Czy mogę się z nim zobaczyć? Bardzo pana proszę, niech pan to dla mnie zrobi.

Takeda-san, błagam.

Wyraźnie go wzruszyły błaganie i jej dotyk, ale szybko się opanował. Gwałtownie pokręcił głową. Na jego bladej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

- Przecenia pani moje możliwości. I to znacznie.

- Ale to możliwe?

- Schlebia mi pani.

Uwolniła jego dłoń. Czuła się strasznie.

- Proszę mi wybaczyć.

- Czy mogę dla pani zrobić coś jeszcze?

Zastanowiła się przez chwilę, po czym wyjawiała pół żartem, pół serio:

- Wszystko bym oddała za gorącą kąpiel.

Rozkosz przekroczyła wszelkie oczekiwania. Okazała się porównywalna z innymi bardzo intymnymi doznaniem. Woda była na tyle gorąca, że szczypała zaróżowioną skórę, otulała całe ciało. Za otwartym oknem wiatr poruszał gałązkami jaśminu, stukał nimi w niewielkie szybki w kształcie rombów.

Stevie leżała w wannie na wznak, z ugiętymi kolanami i stopami opartymi o krawędź. Ręce położyła na brzuchu. Przyglądała się swoim nogom, palcom wystającym z wody jak kamienie rzucone przy brzegu morza. Nadal źle znosiła nawet samą świadomość, że w ogóle ma ciało, nie mówiąc już o jego oglądaniu. Dopiero teraz, w cudzej łazience, w skradzionej chwili spokoju pozwoliła sobie na nie spojrzeć. Nie do końca pojmowała, dlaczego nie widzi blizn, a nawet krwiaków, które świadczyłyby o tamtej napaści. Powinna mieć różne zasinienia, siatkę czerwonych żył, opuchliznę i kości przemieszczone pod dziwacznymi kątami. A tutaj nic. Żadnych śladów. Nikt nie odwróci wzroku od jej zeszpeconej twarzy, nie będzie przestrzegał dzieci, żeby jej nie wytykały. Nikt nie zapyta, czy pomóc przejść przez ulicę. Nikt się w niczym nie zorientuje, nikt nic nie będzie wiedział. Gwałt pozostał jej osobistą tajemnicą.

Zamknęła oczy i oddała się pod opiekę wysokich ścianek wanny, aż woda wystygła, a opuszki palców pomarszczyły się jej do tego stopnia, że przypominały krepinę. W końcu usiadła w tsunami letniej cieczy, umyła się porządnie, korzystając z mydła lawendowego, i wyszła z kąpieli.

Stała na macie. Gdy zobaczyła swoje odbicie w lustrze, najpierw zwróciła uwagę na włosy. Były mocno przerzedzone, a wśród tych, które zostały, wiele lśniło srebrem. Sukienka wisiała na niej jak na wieszaku, skóra była sucha i bez życia, pozbawiona koloru. Odwróciła oczy od tego przykrego widoku i skupiła się na cudownym zapachu lawendy, który przylgnął do jej ciała.

Spowijał ją jeszcze, gdy po powrocie otwierała drzwi domu.

Nadal trochę pachniała lawendą, gdy tej nocy pochyliła się nad śpiącym synkiem. Pachniałaby jeszcze mocniej, gdyby nie wymiotowała od razu po przyjsciu do domu i nie musiała się obmyć. Biedny skurczony żołądek nie wytrzymał bogatej uczt.

Stała nad Halem i patrząc na niego, zastanawiała się, jak by mu smakowało świeże mleko. I to dzień w dzień. Jak by mu się podobało mieć dziadków. I nie widzieć żołnierzy pod bronią.

Pogładziła maleństwo po twarzy i po raz pierwszy w życiu pozwoliła sobie na wspomnienie ulic rodzinnego miasta, sklepowych witryn zapamiętanych z młodości.

Gwałtownie, jakby ją ktoś spoliczkował, spadła na nią tęsknota za tamtym krajem, tamtym miastem, za codziennymi zwykłymi wygodami, jak jedzenie czy filiżanka kawy. Może faktycznie życie nie musi wyglądać w ten sposób? Może Hal powinien rosnąć w innym świecie? Może.

Raptem przestraszyła się własnych myśli. Czy naprawdę mogłaby wyjechać? Czy rzeczywiście gotowa była zaryzykować wolność? Położyć ją na szali w nadziei na ewentualną wymianę, na to, że oboje z Halem rzeczywiście wrócą do Stanów? Czy potrafiłaby zostawić tutaj Harry'ego, Lily, jej matkę oraz Declana?

Ach, Declan! Gdzież on się podziewał? A Phyllis i jej córka Margaret? Jak sobie radziły w obozie dla internowanych? Jak mogła w ogóle rozważyć

dołączenie tam do nich, do dawnych znajomych... Przecież to było niemożliwe.

Pokręciła głową i sięgnęła do torebki po papierosa. Ekskluzywna przyjemność. Natrafiła na kopertę od Takedy. Były w niej pieniądze. Dużo pieniędzy. Przynajmniej na miesiąc. A prócz nich fotografia. Harry i Takeda stali ramię w ramię, młodzi i silni, w białych kostiumach do fechtunku. Twarze mieli rozpromienione w uśmiechu, florety uniesione w śmiałym salucie. Przyglądała się im dłuższy czas, szukając odpowiedzi. W końcu wsunęła odbitkę z powrotem do koperty, bo twarze dwóch mężczyzn jakoś się zamazały.

Nawet nie zauważyła, że płacze.

Poszła do kuchni, obmyła twarz. Każdy szczegół trudnego życia w niebezpiecznych czasach na nowo kłuł ją w oczy. Na bezużyteczną puszkę z mąką zamiast mleka nie mogła nawet spojrzeć. Za to nagle zrozumiała, co powinna zrobić. Popatrzyła w kawałek lustra zawieszony nad zlewem i skrzywiła się niemiłosiernie.

- Matka będzie rozczarowana moim wyglądem - prychnęła. - Co prawda, to prawda, strasznie się zaniedbałam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Kwiecień 1942

Rozchwierutany stary wózek ledwo się toczył po koleinach w zaschniętym błocie. Rytualna kolejka przed płotem na Argyle tak samo jak za pierwszym razem trwała w napięciu i ciszy. Tymczasem Stevie zupełnie inaczej niż poprzednio mknęła przez miasto jak na skrzydłach, omijając przeszkody, które mogły w każdej chwili pozbawić wózek skrzypiących kółek, niesiona przekorą i siłą prywatnej rewolty. Choć Lily na przemian z wściekłością i ze łzami w oczach błagała ją, by nie szła, była zdecydowana osobiście dostarczyć do bram wartowni jedzenie dla Harry'ego. Była to ostatnia taka okazja. Wymusiła na Lily przysięgę, że po jej wyjeździe przyjaciółka będzie sama nosiła mu paczki, a ona w zamian oddała jej wszystkie swoje ubrania. Lily się zgodziła. Dawna miłość do fatalaszków ciągle w niej nie zbladła. Zaledwie kilka tygodni wcześniej Stevie zastała ją wzdychającą nad starym numerem „Vogue'a”, wyciągniętym z dymiących ruin jakiegoś budynku.

Ale determinacja i zaciętość nie chroniły Stevie bezwzględnie. Trudno było zignorować przyczajony pod nimi strach. Przez całą podróż miała nieodparte wrażenie, że obserwuje ją Nakamura. Chociaż ani razu go nie widziała, była pewna, że podąża jej śladem, chowając się w bocznych alejkach, tuż poza jej polem widzenia. Mimo wszystko szła, umocniona całkiem nowym przekonaniem o nieuchronności losu. Co miało się stać, już się stało. Najgorsze minęło.

Razem z innymi kobietami ustawiła się w kolejce do wartowni. Wolno posuwała się naprzód. Nie podniosła wzroku na strażnika, który wyciągnął rękę po koszyk z jedzeniem i dokument tożsamości. Spod rzęs obserwowała, jak przekazał jej kartę drugiemu żołnierzowi, a sam badał zawartość koszyka.

Niewiele w nim było. Żywność drożała z dnia na dzień i choć w luksusowych hotelach nadal można było pić wyrefinowane koktajle, na ulicach brakowało podstawowych artykułów.

Z trudem powstrzymała się od protestu, gdy żołnierz odgryzł kęs gruszki, po czym wypluł go na ziemię i wrzucił owoc na powrót do koszyka. Drugi wartownik powiedział coś po japońsku. Stevie stała bez ruchu, ze spuszczoną głową. Odezwał się ponownie, tym razem głośniej.

Podniosła wzrok. Miała wrażenie, że strażnik każe jej wejść do wartowni. Obejrzała się przez ramię, sądząc, że chodzi o kogoś innego. Za nią stała wystraszona młoda kobieta. Gwałtownie pokręciła głową. Stevie przeniosła wzrok na mężczyznę. Bała się coraz bardziej.

Żołnierz odezwał się jeszcze głośniej. Pokazała palcem na siebie.

- Ja?

Niecierpliwie pokiwał głową.

Ze wszystkich sił zdusiła panikę. Zalały ją mdłości, natychmiast wróciło wspomnienie lepkiej czerwonej skóry na biurku, splotu tkaniny mundurowej, gorącego odoru Nakamury, gdy stanął zbyt blisko. Skupiła się na tym, by opanować dygot. Odepchnęła od siebie brutalne obrazy i z pomocą pierwszego strażnika o zaskakująco dobrych manierach wprowadziła wózek do budynku.

Panowała tu całkiem inna cisza. Tylko muchy brzęczały na szybach. W pokoju stało duże metalowe biurko, na nim maszyna do pisania, a obok wiatrak. Wartownik zamknął drzwi, wskazał Stevie krzesło. Hał zaczął marudzić. Może przeszkadzała mu duchota panująca w pomieszczeniu. Stevie wzięła go na ręce i usiadła.

- Panna Steiber?

- Tak. - Odetchnęła głęboko. - To ja.

- Proszę czekać.

Wyszedł, zamknąwszy za sobą drzwi na klucz.

Myśli galopowały jej w głowie. Cóż, najwyraźniej to koniec. Tylko co z Halem? Jak przekazać go Lily, zanim wydarzy się najgorsze? Zaryzykowała o jeden raz za dużo i w swoim głupim uporze doprowadzi do śmierci ich

obojga. Przytuliła dziecko tak mocno, że omal na powrót stali się jednością.

- Kochanie moje najpiękniejsze - szepnęła, gdy zaprotestował. - Nie wiem, jak cię przeproszać.

Mijały godziny. Słońce schodziło coraz niżej, zaczęło się ściemniać. W pokoju panowała cisza zakłócana jedynie brzęczeniem uwieczonych much. Po drugiej stronie zakurzonego okna nieskończona parada kobiet i dzieci zwolniła, aż wreszcie się zatrzymała.

Hal ułożył się na kolanach matki, zasnął. Oparła się policzkiem na jego główce. Nagle rozblęskło światło. Stevie poderwała głowę, zamrugła oślepiona blaskiem gołej żarówki. Adrenalina spięła ją ostrogą. Zobaczyła dwóch mężczyzn. Jednego rozpoznała od razu, to był strażnik, ten, który ją tu zamknął. Przeniosła spojrzenie na drugiego. Stał na baczność tuż za plecami żołnierza. Nie miał munduru.

To był Harry.

Wykrzyknęła jego imię i zerwała się z krzesła, o mało nie upuszczając dziecka. Hal się rozplakał, a Harry chyba się uśmiechał. Tak, uśmiechał się jak najbardziej. Na jego wychudzonej twarzy królował szeroki uśmiech. Strażnik odstąpił na bok i rozkazującym gestem wskazał krzesła stojące po przeciwnych stronach biurka. Stevie, jeszcze niezborna i skołowana, z dzieckiem na rękach przycupnęła na swoim, Harry podszedł do drugiego i usiadł, przytrzymując bezwładne ramię. Od razu wyciągnął rękę do Stevie. Sięgnęła ku niemu z przeciwnej strony. Dłoń w dłoni. Nareszcie.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że nie śni. Pragnęła jedynie czuć ciepło jego skóry, nie marzyła o niczym innym, o niczym innym nie mogła myśleć. Zmieniła się w dotyk. Oboje zaczęli mówić jednocześnie.

- Dlaczego nam pozwolili...? - to Stevie.

- Cieszę się, że wyjeżdżasz.

- Skąd wiesz?

Pokręcił głową. Nieważne, zrozumiała. Oczywiście nie mógł zdradzić Takedy. Ale w ten sposób decyzja zapadła nieodwołalnie. Bo aż do tej chwili Stevie nie była całkowicie przekonana, czy faktycznie się podda. Czy powierzy życie swoje i swojego syna kapryśnemu losowi. Owszem,

wiedziała, że nie nad wszystkim zdoła zapanować. Rozumiała to i czuła ulgę.

Zaśmiali się oboje. Zaczęli mówić szybko, bardzo szybko, by powiedzieć jak najwięcej, ale żadne z nich nie wspominało o największych zmianach, jakie ich dotknęły. O tym, jak poraziła ich konieczność kompromisu i starań o przeżycie. To nie było możliwe. I nigdy nie będzie. Będą musieli oswoić się ze swoim nowym wcieleniem, niby takim samym, mimo to innym. Harry wskazał brodą Hala, który przytulił się do Stevie i zasnął.

- Szybko rośnie.

- Tak.

- Dajecie sobie radę?

- Tak.

- Nie jesteście bardzo głodni?

Pokręciła głową.

- Nie.

Przychylił się ku niej jak najbliżej.

- Nadal nie umiesz kłamać.

- Mówię prawdę. Dajemy sobie radę. - Dołożyła do słów uśmiech. Był konieczny.

Pusty, ale konieczny. - Znasz nas. Nieodmiennie oczarowani życiem.

Harry zniżył głos.

- Jeśli chodzi o naszego starego przyjaciela, tego, który wyświadczył nam przysługę, możesz się o niego nie martwić. Jest mistrzem, choć można nie docenić jego talentów dyplomatycznych.

- To dobrze. Muszę jednak przyznać, że jego rodaków źle oceniłam pod wieloma względami. - Za blisko drażliwego tematu. Wycofała się za pomocą żartu: - Na przykład ich umiejętność picia.

- A powinnaś coś o tym wiedzieć.

Uśmiech bez wesołości. Mimo wszystko szanowali się wzajemnie za hart ducha. Bo jakże inaczej rozmawiać w takiej groteskowej sytuacji?

- Dobrze się czujesz? Jak cię traktują? Co z ręką? Widziałeś się z lekarzem? Jesteś strasznie chudy.

- Wszystko w porządku - skłamał teraz on.

Rozległo się stukanie w drzwi. Oboje pochylili się do siebie. Hal otworzył oczy, ściśnięty między matką a biurkiem. Zaprotestował głośno. Stevie chwyciła rękę Harry'ego.

- Nie. To niemożliwe.

Strażnik, który go przyprowadził i na czas rozmowy się wycofał, teraz otworzył drzwi.

Zamienił kilka słów z jakimś oficerem. Stevie i Harry widzieli tylko siebie. Harry też pochylił się nad biurkiem i wreszcie ich usta się spotkały. Wargi miał suche, najeżone strupami.

Jednym pocałunkiem musieli powiedzieć sobie wszystko.

Hal zapłakał głośniejsze. Strażnik odwrócił się do nich wyraźnie zaniepokojony.

- Proszę przestać natychmiast. To jest obóz wojskowy.

Stevie zaczęła się odsuwać, lecz Harry przyciągnął ją do siebie.

- Jeszcze.

- Koniec widzenia.

Żołnierz chwycił Harry'ego za ramię i poderwał go na nogi. Krzesło się wywróciło. Brzęknął metal na betonie, obwieszczając koniec świata. Zanim Stevie dźwignęła się na nogi, Harry'ego już wyprowadzono za drzwi. Nieporadnie zrobiła kilka kroków. Ciszę rozdzierał płacz dziecka, a Harry'ego prowadzono coraz dalej w ciemność obozu. Odwrócił głowę, patrzył przez ramię, cały czas. Światła ogrodzenia rzucały na niego cień, każde po kolei. Coraz szybciej, coraz dalej.

Już był duchem.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Nowy Jork, sierpień 1945

- Jest ze mną w studiu osoba, o której wielu spośród państwa z pewnością już słyszało - zagaił aksamitnym głosem młody prezenter radiowy. Awansował niedawno i robił co w ludzkiej mocy, by wypaść jak najlepiej.

Stevie zerknęła w stronę pokoju realizatora, gdzie za szklaną szybą czekał na nią Hal, który jako żwawe i zdrowe dziecko w wieku lat prawie czterech i pół siał spustoszenie. Pomachał do niej, przyciskając nos do okna. Odpowiedziała mu tym samym gestem.

- Naszym gościem jest pani Stevie Steiber, która jakiś czas temu prześcignęła korespondentów weteranów za sprawą swojej wyjątkowej książki o chińskich siostrach Song, a teraz napisała kolejną, można powiedzieć najbardziej osobistą książkę tego roku, zatytułowaną *Byłam w Hongkongu*.

Stevie ponownie skupiła uwagę na prowadzącym. Niespodziewana radość, której zaznała na wieść o wydaniu książki o siostrach Song w czasie, gdy ona sama tkwiła w obozie dla internowanych w Stanley, dawno już zbladła. Stevie ukończyła rękopis w szalonych dniach tuż przed zgłoszeniem się do obozu i zostawiła go Lily w nadziei, że go bezpiecznie przechowa, ale przyjaciółka zdecydowała inaczej i przekazała go Chenowi. Okreśną drogą manuskrypt trafił do Jishanga, który dokonał cudu i przesłał go do Stanów. Stevie zyskała miłą świadomość, że została potraktowana poważnie, lecz książka niewiele zmieniła. Czy to w jej życiu, czy w losach świata.

Byłam w Hongkongu zaś została pomyślana jako gruntowna analiza sytuacji politycznej na wyspie podczas kryzysu japońskiego, ale wtęret na temat narodzin Hala zwrócił na nią uwagę plotkarzy, łowców sensacji i

autorytetów moralnych. W chwili gdy jej rzekomo haniebne losy stały się tematem debaty narodowej, uciekła razem z synem do domu rodziców.

Skandal spadł na nią jak grom z jasnego nieba. Gdy stało się jasne, że nieprędko ucichnie, opuściła kryjówkę, kipiąc gniewem. Kim byli ci ludzie, którzy ją atakowali? Kto im dał prawo odsądzać ją od czci i wiary? Jak śmieli wylewać na nią pomyje i traktować z pogardą?!

Co im pozwalało patrzeć na nią z góry? A ponieważ nawet słowem nie wspomniała o swoim osobistym cierpieniu, miała przeświadczenie, że wolno jej walczyć ze wszystkimi, którzy wytykali ją palcami. Rozwiązała? Nie znali nawet połowy faktów!

- Przede wszystkim chciałbym pani pogratulować odzyskania wolności.

- To z pewnością nie zaszkodzi. - Uśmiechnęła się, wcielenie wdzięku i powabu. - Nie zapominajmy jednak, że wolność to pojęcie względne.

Gospodarz audycji został uprzedzony, że panna Stevie Steiber potrafi być nieobliczalna. Przygotował się na taką ewentualność. Nie stracił rezonu.

- Wypada się z panią zgodzić - zamruczał jak zadowolony kot. - Chciałbym jednak pogratulować pani także napisania wspaniałej książki. Jest ona, jak by to ująć... momentami nieco pikantna... - Zawieszenie głosu niosło z sobą jasną implikację.

Stevie patrzyła na mężczyznę bez słowa. Widząc, że cisza, przekleństwo radia, zaczyna królować w studiu, prowadzący spieszenie podjął wątek:

- Jestem pewien, że nasi słuchacze chętnie dowiedzą się czegoś więcej o pani doświadczeniach związanych z życiem codziennym w Hongkongu. Niemalże zainteresowanie budzi choćby fakt, że wyszła pani za mąż za Chińczyka.

Stevie uniosła brwi. Zignorowała ewidentną wzgardę.

- Rozumiem, że interesują pana sprawy seksu?

Zaskoczyła prowadzącego szczerością. Użyła słowa „seks”, choć było dopiero wczesne popołudnie! Prezenterowi odebrało mowę po raz pierwszy od czasu, gdy jako początkujący głos w stacji w Kolorado pomylił się przy czytaniu prognozy pogody.

- Cóż, niezupełnie...

Ale Stevie już nie dała się zatrzymać. W jej oczach zapaliły się psotne ogniki.

- Zabawne, do jakiego stopnia ludzkość jest zafascynowana zachowaniami seksualnymi innych nacji. Proszę sobie wyobrazić, że Belgowie przyjeżdżający do Konga przede wszystkim pędzą do najbliższego burdelu, dowiedzieć się, czy prawdą jest to, co słyszeli o afrykańskich kobietach.

Prowadzący dawał rozpaczliwe sygnały realizatorowi, zdając sobie sprawę, że jego błyskotliwa kariera w naczelnej nowojorskiej stacji była całkowicie uzależniona od dobrej woli gospodyń domowych, które jej słuchały. I właśnie ze względu na te panie wywiad zbaczał w całkiem niewłaściwą stronę.

- A pierwsze, co interesuje mężczyzn z Ameryki - ciągnęła Stevie - którzy pojawiają się w Szanghaju, to czy chińskie dziewczęta rzeczywiście...

Teraz realizator zerwał się na równe nogi i - gwałtownie gestykułując - żądał od prowadzącego uciszenia Stevie.

- I powiem panu coś jeszcze. - Stevie była bezlitosna. - Słyszałam dokładnie takie same niestworzone historie o seksualnej zręczności dziewcząt afrykańskich i chińskich.

Redaktor, wbiwszy wzrok w szybę, znaczącym gestem w poprzek szyi zażądał przerwania audycji. Hal pomachał wesoło panu, który robił śmieszne miny. Mężczyźni, który właśnie uświadomił sobie, że panna Steiber po raz kolejny użyła zakazanego słowa, więc on znalazł się na najlepszej drodze z powrotem do nocnej części ramówki.

- A co najzabawniejsze, Chińczycy opowiadali mi identyczne bzdury. Tyle że o białych kobietach. Byłby pan zachwycony, słysząc, co mówią o bajecznych możliwościach mężczyzn białej rasy.

Ani na chwilę nie przestała się uśmiechać. Dawno się tak dobrze nie bawiła. Twarz prowadzącego błyszczała od potu, z trudem odzyskał głos:

- Jak już mówiliśmy, przetrwała pani japońską okupację Hongkongu...

- Rzeczywiście. Ja przetrwałam. Wypada jednak pamiętać, że nadal cierpią tam tysiące ludzi: Chińczycy, Brytyjczycy, Rosjanie, Amerykanie... Robią wszystko, by przeżyć.

Widzi pan, najważniejsza obserwacja, jaką chciałabym dzisiaj podzielić się z panem i słuchaczami, dotyczy wojny. Otóż jestem przekonana, że na wojnie nie ma zwycięzców. Nie mamy prawa nikomu prawić morałów, zwłaszcza gdy zrzuciliśmy bombę atomową na ludność cywilną.

Zaalarmowany nawiązaniem do wiadomości ciągle jeszcze świeżych i bardzo kontrowersyjnych, prowadzący usiłował przerwać Stevie, ale ona nie dała sobie w kaszę dmuchać.

- Powiem panu, czego się nauczyłam. Nauczyłam się, że odwaga jest cechą całkiem zwyczajną. Dysponują nią najbardziej zaskakujące osoby. Na własne oczy widziałam na to dowody. Większości słuchaczy tutaj, w Stanach, wojna wydaje się czymś odległym i trochę nierzeczywistym. Gdy słyszymy dane dotyczące liczby osób poległych i zamordowanych wskutek konfliktu zbrojnego, odbieramy je jak dane matematyczne, a nie informacje o losie prawdziwych ludzi, z krwi i kości. Z ciałem. I sercem. Ci spośród nas, którzy mają bliskich za granicą, wiedzą, o czym mówię. A teraz przybyły kolejne dziesiątki tysięcy ofiar. Zaledwie dziewięć dni temu Japonki przygotowywały dzieciom śniadanie, pakowały im kanapki do szkoły, gdzie właśnie zaczęły się lekcje. Uczniowie wyjęli podręczniki, rozpoczynali dzień nauki - mówiła teraz cicho, z pasją. Nawet gospodarz programu nachylił się bliżej jak ryba ściągana na wędkę. - Wskutek dwóch wybuchów... nawet nie jednego, lecz dwóch, tysiące ludzi padły ofiarą niewyobrażalnego koszmaru. Oni i my. Byłam świadkiem różnych haniebnych i zbrodniczych czynów, ale nawet tym mężczyznom, którzy zadali mi trudne do opisanie cierpienia, a tym bardziej ich rodzinom nie życzyłabym takiego losu.

Gorzki zapach Shigeo ścisnął ją za gardło, więc umilkła. Gospodarz programu skorzystał z okazji.

- Szanujemy pani wspomnienia. Czy nie uważa jednak pani - nie umiał sobie odmówić drobnej uszczypliwości - że akurat pani niekoniecznie ma prawo do moralnej oceny postępów innych ludzi? Przypomnijmy, że nasi słuchacze mają podstawy sądzić, że pani osobiste morale pozostawia nieco do życzenia...

Stevie wbiła w jego oczy płonące spojrzenie.

- Co dokładnie ma pan na myśli?

Mściwy radiowiec był przekonany o swojej przewadze.

- Ma pani syna.

- Tak.

- Ale nie jest pani mężatką.

- Zgadza się. Ma pan coś przeciwko?

Bezwstydną kobietą. Prowadzącemu znowu grunt usuwał się spod nóg. Nieszczęsny rzucił zrozpaczone spojrzenie realizatorowi, a ten wskazał wielki zegar ścienny i podniósł dwa palce. Dwie minuty. Gospodarz ponownie zwrócił się do antypatycznego gościa.

- Czy może... czy dużo pani przywiozła z Chin egzotycznych przepisów kulinarnych?

Stevie nie dała się zbić z tropu.

- Moje życie intymne to moja prywatna sprawa i nikomu nic do tego. Byłabym bardzo zdziwiona, gdyby się okazało, że pańskie założenie faktycznie znajduje odbicie w rzeczywistości i mieszkańcy Nowego Jorku, wspaniali ludzie, są istotnie zainteresowani moimi sprawami osobistymi lub moją postawą moralną. Rzeczą godną potępienia jest moralna hipokryzja naszego kraju, osiągająca niesłychane rozmiary.

Prowadzący odzyskał głos po krótkiej pauzie. Odezwał się tonem apodyktycznym, właśnie takim, jakim operował najlepiej, jaki otworzył mu drzwi do kariery, a także pozwalał przyciągać uwagę głodnych kontaktów z wielką gwiazdą młodych mężczyzn w ciemnych kątach barów:

- Bardzo pani dziękujemy za rozmowę. Była fascynująca. Niestety dzisiaj nasz czas dobiegł końca.

Stevie zdjęła słuchawki i wyrwała się ze studia. Musiała wcześniej z całej siły pociągnąć obiema rękami grube dźwiękoszczelne drzwi, które zamknęły się za nią z cichym świstem.

- W przyszłym tygodniu naszym gościem będzie pani Priscilla James - głos radiowca, gładki jak aksamit, otulał mikrofon. - Porozmawiamy z nią o jej kocim sanktuarium na Long Island.

Mocno trzymała w dłoni gorącą piąstkę Hala. Zwolniła kroku,

dostosowując się do jego tempa. Teraz, gdy znaleźli się już dobrą przecnicę od budynku rozgłośni, zdążyła nieco ochłonąć, a buzujący w niej gniew przygasł do zwykłego znajomego żaru. Kilka razy odetchnęła głęboko i wreszcie poczuła się lepiej.

Po co się śpieszyć? Mieli przed sobą całe popołudnie.

Nowy Jork ciągle na nowo ją cieszył i zachwycał. Trwała w tym stanie od dwóch lat i ani odrobinę nie zmałał jej apetyt na energię tego miasta. Z początku odnosiła się z niechęcią do dziecięcego entuzjazmu jego mieszkańców oraz niezmiennie pozytywnego nastawienia.

Ich postawa wydawała się jej zniewagą wobec życia, jakie wiodła jeszcze niedawno, prawdziwej walki o przetrwanie, egzystencji rzeczywistej, ohydnej, cuchnącej i przesiąkniętej brutalnością. Charakterystyczna dla Amerykanów determinacja, by wszystko widzieć w jasnych barwach, wierzyć w najkorzystniejszy obrót spraw i zawsze z optymizmem patrzeć w przyszłość, przyprawiała ją o mdłości. W czasie, gdy się skryła w domu rodziców, gdy zamieszkała w sypialni, którą jako dziecko dzieliła z siostrami, a co rano budził ją zapach kawy oraz ptasi świergot, świat był dla niej tak nierealny, że dryfowała przez bezkształtne dni jak w oparach halucynacji.

Rodzina włączyła ją do swego kręgu ostrożnie. Owszem, była córką marnotrawną, ale wypracowanie porozumienia uwzględniającego potrzeby obu stron zajęło im znacznie więcej czasu, niż się spodziewały. Stevie złościła postawa matki, stawiającej ponad wszystko dobro rodziny, obnoszącej się z miłością do córki i wnuka. Z trudnością znosiła jej ledwo co przyswojoną i prezentowaną ze stoickim spokojem pozę osoby o otwartym umyśle.

Uświadomiła sobie, że o wiele łatwiej jest stawić czoło pogardzie czy oburzeniu niż niewprawnej życzliwości. W końcu jednak osiągnęły kompromis. Matka zachowywała się, jakby jej córka była kobietą tragicznie owdowiałą, a nie panną z dzieckiem, i co za tym idzie

- Hal został „biednym maleństwem”, raczej sierotą niż bękartem. Stevie zaś nie potrafiła zmusić się do wdzięczności, której matka pragnęła z jej strony ponad wszystko.

W tamtych pierwszych miesiącach przy ładnej pogodzie Stevie siadywała w ogrodzie pod baldachimem utworzonym przez gałęzie wiązu. Godziny przepadały nie wiedzieć kiedy.

Aż któregoś dnia zaczęła pisać. Od tamtego momentu nie mogła się zatrzymać. Coś ją pchało do tego, wręcz zmuszało. Notowała ręcznie, bo nie potrafiła znieść widoku maszyny, z której korzystała w poprzednim życiu. Upłynął prawie rok, nim skończyła relacjonować swoją historię. Dopiero wtedy zdołała wychynąć na powietrze, rozejrzała się po świecie trochę nieprzytomnie, odetchnęła balsamicznym powietrzem wiosny i zaistniała w nowej postaci. Nie planowała, że owoc tego twórczego przymusu zostanie przekształcony w książkę.

Gdy miejscowy wydawca poprosił ją o pokazanie tekstu, przekazała mu rękopis, nawet nie rozmawiając na temat ewentualnego wydania. Oficyna jednak opublikowała *Byłam w Hongkongu* bez wielkiego rozgłosu. Książki stały przez kilka tygodni w oknach księgarni w Utice, po czym zmagazynowano je na półkach w kącie. Nic nie przygotowało żadnej z zainteresowanych stron na wstrząs, jaki niespodziewanie wywołała ta publikacja. Otóż któregoś razu książka trafiła w ręce jednego z lokalnych polityków, a ten napisał o niej w swojej rubryce w gazecie obejmującej zasięgiem północną część stanu Nowy Jork. Uznał ją za przykład degeneracji moralnej Amerykanów, powstałej na skutek spustoszenia poczynionego przez wojnę w ludzkiej psychice, oraz dowód na erozję pryncypiów i tak dalej.

Jego wypowiedź spowodowała niejaki wzrost zainteresowania w mieście, a także wybuch gorącej dyskusji, w której książka stanowiła front pomiędzy starym a nowym, tym, co możliwe do zaakceptowania, a działaniem wyrzuconym poza nawias, zachowaniem słusznym i niemoralnym. Innymi słowy, rozpętało się piekło, a Stevie znalazła się w jego centrum.

Z początku instynktownie chciała się ukryć, lecz to pragnienie szybko przerodziło się w wolę walki. Niebawem też przekonała się, że jest do niej gotowa, solidnie wyposażona i dobrze uzbrojona. Teraz już niczego się nie bała, nawet nowojorskiej krytyki literackiej. A nic nie rozpałało jej bardziej

niż małostkowi, filisterscy moraliści. Trwała mocno osadzona w rzeczywistości. Bezpiecznie odgradzona od przeszłości była gotowa zaangażować się w terażniejszość.

Równocześnie o niczym nie zapomniała. I wcale się na to nie zanosilo. Różne upiory nawiedzały ją w snach. Ze straszliwą regularnością wracał do niej dzień, gdy zgłosiła się do obozu internowania. Szlochająca Lily, obejmująca szczupłymi ramionami i Stevie, i Hala...

Sterta lżejszych i ciepłych ubrań na podłodze - pożegnalny upominek dla przyjaciółki - które wypadły Lily z rąk, gdy się rozpłakała.

- A co ze mną? - zawodziła. - Co ja mam zrobić?! - Tupnęła rozzłoszczona.

- Dasz sobie radę. Na pewno. Wszystko będzie dobrze. Sama pomyśl: koniec kłótni, ani jednej pieluchy w domu... - pocieszała przyjaciółkę, lecz serce jej się krajało na widok jej ściągniętej twarzy. Przycisnęła Lily z całej siły. - Jeśli dotrę do Ameryki - przysięgła ochryplym głosem - przyślę ci bilet.

Lily rozszlochała się głośnie.

- Chen się tobą zajmie - ciągnęła Stevie. - Zresztą to wszystko i tak niedługo się skończy, zobaczysz.

Przyjaciółka kiwała głową, starała się zapanować nad łzami.

- Byłoby strasznie szkoda - Stevie ruchem brody wskazała kobierzec z ubrań - gdyby te wszystkie skarby skończyły w Japonii.

Lily objęła spojrzeniem barwną stertę, z której na wszystkie strony na podobieństwo licznych splątanych odnóży wystawały rękawy. Chlipnęła zgodnie. Schyliła się i podniosła szczególnie pożądaną bluzkę z gołębiego jedwabiu. Paznokcie miała w oplakany stanie.

Ukochane paznokcie. Wysuszone i połamane.

Potem nastąpiło zaskakująco uprzejme wypełnianie formularzy w obozie dla internowanych w Stanley, przypominające meldunek w hotelu. Tyle że z wyjątkowo zbiurokratyzowaną obsługą. Kwaskowaty smród prymitywnych latryn dominował nad odorem choroby i fenolu. Przez cienki materac czuła każdą sprężynę wąskiej pryczy, ustawionej w podłużnym baraku sypialnym. Stale miała przed oczami twarze o rysach wyostrzonych przez głód i strach.

A potem ta kobieta, której nie mogła rozpoznać, a która na widok Stevie padła na kolana.

Phyllis.

Straciła prawie wszystkie włosy, swój kasztanowy powód do dumy, a te, które jej zostały, były całkiem siwe. Ściągnęła matowe pasma w niedbały mysi ogonek zawiązany kawałkiem struny. Stevie najlepiej zapamiętała tę strunę. Kontrast między tym wcieleniem nędzy i rozpaczy a wymuskaną panią domu, która tak entuzjastycznie pogrążyła się w konwersacji z Jishangiem podczas przyjęcia w jej perfekcyjnie wyposażonym salonie, był tak jaskrawy, że aż niedorzeczny. Stevie także osunęła się na kolana, bez słowa wyciągając ręce do znajomej.

- Pomocy... - odezwała się Phyllis. - Błagam. Ona odeszła! Odeszła!!!

Lament wyrwał się z niej jak porywisty wiatr. Złamała się wpół, czołem zamiatała ziemię. Stevie słuchała jej rozpaczy i patrzyła na tę strunę przytrzymującą włosy.

Okazało się, że w trzecim tygodniu pobytu w obozie Margaret zmarła na malarię, a Phyllis postradała zmysły. Stevie wzięła ją za ręce kruche jak pędy bambusa, o skórze delikatnej i suchej jak papier, a osierocona matka łkała i szlochała bez opanowania. Właśnie echo jej głosu, piskliwego i schrypniętego, budziło Stevie w pierwsze noce pod amerykańskim niebem.

W końcu doszło do wymiany więźniów na obywateli japońskich, przebywających w Stanach Zjednoczonych. Przedsięwzięcie to długo pozostawało w sferze marzeń i nikt nie wierzył, że w ogóle do niego dojdzie, a tym bardziej że zostanie przeprowadzone gładko i bez kłopotów. Amerykanie internowani w Stanley tworzyli wyjątkowo różnorodne towarzystwo.

W jego skład wchodził awanturnicy i poszukiwacze przygód, ryzykanci oraz członkowie establishmentu, sprzedawczynie, a także inżynierowie instalacji wodociągowych. Nie zabrakło bankierów. Znajdowało się też między nimi kilku mężczyzn i kilka kobiet, których przedwojennym źródłem dochodu lepiej było nie przyglądać się zbyt uważnie.

Nawet gdy stali już na pokładzie statku - a był to „Asama Maru”, który po

raz ostatni opuszczał port Victoria, w kłębach pary mijając wyspy u ujścia Rzeki Perłowej - Stevie nie mogła uwierzyć, że właśnie tak wygląda rzeczywistość. Przytuliła do siebie Hala, walcząc z poczuciem winy, że zostawiła Phyllis i innych. Potem nastąpił najdziwniejszy ze wszystkich pierwszy miesiąc na morzu, gdy byli niby wolni, ale nie do końca. Przechodziła wtedy przez kolejne dni prawie bez żadnej refleksji, w stanie szczególnego odrętwienia. W czasie podróży zmarł amerykański konsul, a jedna z kobiet ze Stanley urodziła dziecko. W końcu dotarli do wybrzeża Afryki i wpłynęli do przystani w Lourenço Marques, głównego portu oraz stolicy portugalskiego Mozambiku. 22 lipca 1942 roku w środku dnia przycumowali obok innego statku ochrzczonego imieniem „Gripsholm”, którym płynęli Japończycy internowani z Ameryki. Syreny zawyły na powitanie, zatrzepotały flagi sygnalizacyjne, amerykańscy marynarze wznosili okrzyki radości. Hal machał w odpowiedzi i śmiał się głośno, a Stevie z ulgi oklapła jak przekłuty balon.

Następnego dnia zeszli na Czarny Łą. Rozgrzany beton basenu portowego palił Stevie przez zdarte zelówki skórzanych pantofli. Szła, niosąc Hala, obok rdzewiejącego kadłuba „Asama Maru” do „Gripsholma”. Minęli rząd elegancko ubranych japońskich rodzin, zdążających w przeciwnym kierunku. Każdy z Amerykanów miał niedużą walizkę, gdy tymczasem Japończycy z trudem taszczyli sterty bagażu, między innymi maszyny do szycia firmy Singer, a nawet małe lodówki. Minęły się dwa sznury ofiar historycznych zdarzeń.

Na pokładzie liniowca czekał na Amerykanów specjalnie przyszykowany bufet. Rzucili się na jedzenie jak sępy, wpychając sobie do ust kurczące udka i kotlety jagnięce. W obliczu niespodziewanego luksusu zapomnieli o manierach, które w takich okolicznościach okazały się zbyt uciążliwe. Życiowym rozbitkom zaserwowano rarytasy, których Hal w życiu nie widział na oczy, choćby oliwki czy seler, a gdy stewardzi wnieśli tace z indykami, rozległy się historyczne okrzyki radości. Marynarze patrzyli na swoich nowych pasażerów z mieszaniną grozy i współczucia.

Stevie jadła dopóty, dopóki się nie pochorowała. Nie umiała się

powstrzymać, ciągle na nowo wpychała do ust kolejne kęsy. Minęło ładnych kilka dni, zanim oswoiła się z myślą, że nie ma potrzeby zjadać wszystkiego, co postawiono na stole, bo żywności nie zabraknie i za jakiś czas znowu się pojawi. Tak dopłynęli do Ameryki.

Rodzice wydali się Stevie mniejsi, skurczeni przez upływ czasu, lecz nie wyłącznie. Powrót do domu przyćmiło poczucie wyobcowania. Oddzieliło ją ono od matki, ojca i od siostr. Musiała walczyć z chęcią, by się wyswobodzić z ich uścisku. Nie należała już do tej rodziny. Wróciła jako obca, brzydka i zbyt doświadczona. Brak porozumienia rozdzielił ich niczym Wielki Kanion i choć dzielnie nawoływali do siebie z obu brzegów, na drugą stronę docierały tylko szepty i cień przekazu.

Od tamtych zdarzeń minęło sporo czasu.

Hal pociągnął Stevie do straganu z preclami. Wróciła do terażniejszości. Chłopiec był stale głodny. Gdy ruszyli dalej, zlizywał z ciasta grube ziarna soli, podśpiewując coś pod nosem. Stevie trzymała go za nadgarstek. Czuła jego puls i była dzięki temu szczęśliwa.

Wkrótce znaleźli się w tłumie, pomiędzy licznymi straganami. Chodniki były śliskie od rynsztokowych odpadów. Tutaj, w Chinatown, hałas brzmiał inaczej, okrzyki były bardziej przenikliwe, a zapach makaronów i ostrych sosów wiercił w nosie.

Stevie miała przez chwilę wrażenie, że została przeniesiona do tamtej restauracji obok portu Victoria, gdzie przy stoliku w rogu siedziała z Harrym, zapisując sobie w pamięci rysy jego twarzy. Ścisnęła rączkę Hala odrobinę za mocno i chłopiec wypuścił z dłoni resztkę obwarzanka. Już się przygotowała na płacz synka, gdy on tymczasem podniósł jedynie na nią wzrok pełen nieskończonej cierpliwości.

- Mamusiu? Nic się nie stało.

- I tak już prawie skończyłeś.

- Właśnie.

Poprawił rękę w jej dłoni. Żeby dziecko ją uspokajało? Tego już za wiele. Odwróciła głowę w bok, udając, że szuka właściwych drzwi.

- Synku, to chyba gdzieś niedaleko...

Hal ufnie poprowadził ją między zwojami pergaminu i ptasimi klatkami do ciemnych drzwi niszczonego budynku. Mroczną i wilgotną klatką schodową wspięli się na drugie piętro. Stevie zaczęła na synka, który wolał po schodach wędrować sam, przytrzymując się tralek i poręczy. Pozwoliła mu zapukać do drzwi mieszkania. Gdy je po chwili otwarto, przeszli wąskim korytarzem w stronę pokoju znajdującego się na jego końcu. Tam krępy Chińczyk gestem zaprosił ich do środka. Hal pobiegł do światła.

Pomieszczenie było niewielkie i zagracone chińskimi antykami. Na brokatowym szeslongu siedziała pani Kung, szykowna i nieskazitelna, stanowczo niepasująca do tego ciasnego wnętrza. Hal przytulił się do niej i został objęty wytwornym uściskiem. W cieniu przy inkrustowanych gablotach majaczyły postacie dwóch potężnie zbudowanych ochroniarzy.

Stevie odczekała, aż gospodyni wskaże jej czarne krzesło zdobione macicą perłową, i dopiero wtedy usiadła.

- Jest chudy. Za mało je.

- Je bez ustanku, proszę pani. Jeżeli będzie jadł choćby trochę więcej, zwłaszcza słodczy, zmieni się w ciasto.

Starsza kobieta przeniosła wzrok na dziecko, które nadal trzymała w ramionach.

- Czy to prawda?

Hal był wyraźnie rozdarty między grzecznością a koniecznością wyznania prawdy.

- Dostałem precel, ale go upuściłem - wyznał w końcu.

Pani Kung uśmiechnęła się i postawiła malca na podłodze.

- Wobec tego idź, poszukaj sobie czegoś słodkiego.

Hal zerknął na Stevie, po czym wybiegł z pokoju. Za nim podążył jeden z postawnych mężczyzn. Był to znajomy rytuał. Kobiety popatrzyły po sobie - nadszedł czas na poruszenie trudnych tematów.

- Znowu donieśli o jego śmierci - odezwała się Stevie drżącym głosem.

- Tak. Słyszałam.

Długie kolczyki załśniły, gdy pani Kung poruszyła głową.

- To nie jest prawda?

- To nie jest prawda.

- Nadal jest w obozie?

- Jeśli się nie mylę, tak.

Stevie odetchnęła z ulgą, lecz pani Kung jeszcze nie skończyła.

- Natomiast ten chłopiec, któremu pomogłaś...

- Chen?

- Został zabity.

Stevie uchwyciła się śliskiej poduszki leżącej przy udzie.

- Na pewno?

- Na głupotę nie ma lekarstwa.

Reporterka wróciła myślami do dnia, gdy widziała chłopca po raz ostatni. Pamiętała bezczelny wyraz jego twarzy i niesforne włosy, ale też swoje wrażenie, że Chen spoważniał.

Ciągle był niewzruszenie przekonany o słuszności sprawy, za którą walczył. Widać było w nim potężną namiętność. A teraz nie żył. Umarł za idee, w które wierzył.

- Gdzie? - spytała cicho. - Kiedy?

Kolczyki znów pochwyliły światło. To pani Kung lekko wzruszyła ramionami.

- Jakiś czas temu. Przed trzema dniami zauważyłam jego nazwisko w jednym z raportów. Napisano o nim, że był wyjątkowo dzielny w czasie ataku, który jednak się nie powiódł. W jednym z miasteczek na południowym zachodzie. Kilka miesięcy temu.

- A czy wiadomo coś o Lily?

Znów światło drzące w szlachetnych kamieniach i nic więcej.

Stevie starała się odszukać Lily od pierwszej chwili po powrocie do Stanów. Napisała na każdy adres, jaki знаła w Hongkongu i na kontynencie. Raz w tygodniu wysyłała listy: do Lily, do Harry'ego i do Jishanga. Nie dostała żadnej odpowiedzi. Ani słowa od Lily. Nic od Jishanga. I co najgorsze, żadnych wieści od Harry'ego. Jakby zniknęli z powierzchni ziemi.

Siedząc u pani Kung, gdzie zza okna przesłoniętego ciężkimi kotarami dobiegały odgłosy Chinatown, po raz kolejny uległa wyrzutom sumienia.

- Nie powinnam była wyjeżdżać.
- Zrobiłaś, co musiałaś. - Pauza. - Jak my wszyscy.
- Czy aby na pewno? Czy musieliśmy? Nie potrafię się uwolnić od myśli, że mogłam zrobić coś innego, coś więcej...

- A nie wydaje ci się, że to normalna reakcja człowiecza? Wieczna świadomość, że mogło być inaczej? Nie trać czasu na takie myśli, to prosta droga do szaleństwa - stwierdziła pani Kung zdumiewająco mocnym tonem. - Jesteśmy odpowiedzialni tylko za własne decyzje.

- Cóż, chyba jednak nie zawsze tak to wygląda. Z pewnością jesteśmy współodpowiedzialni, przynajmniej w jakimś stopniu, za świat, w jakim żyjemy. Każdy skutek ma swoją przyczynę. Gdyby nie zaistniała sytuacja umożliwiająca wojnę, losy ludzkości mogłyby się potoczyć całkiem inaczej.

Nigdy wcześniej w rozmowach z panią Kung nawet nie zbliżały się do tematów politycznych. Zdarzyło się to po raz pierwszy i Stevie natychmiast pożałowała swoich słów.

Pani Kung wyprostowała się sztywno.

- To naiwny pogląd, moja droga, nawet jak na Amerykankę.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym gospodyni odezwała się ponownie, głosem pełnym napięcia:

- Czy naprawdę sądzisz, że istota ludzka może znieść brzemię poczucia winy, które jest wpisane w kompromis i zdradę nie do uniknięcia? Tak uważasz? Ja nie. Może zdoła tak żyć mieszkaniec jakiejś wioski, którego głowy nie zaprzętają sprawy inne niż przemijanie pór roku. Choć nawet w takim prostym życiu istnieją zrządzenia losu, wymagające pójścia na ugodę. A każda decyzja niesie w sobie cień drogi, której się nie wybrało. To nie do zniesienia.

Cóż... nie, nie biorę na siebie takiej odpowiedzialności.

Stevie przyjrzała się rozgnionej twarzy kobiety na szezlongu i pojęła, że najciemniejsze zakamarki jej sumienia, gdzie łupieżczy reżim jej męża zostawił odłogiem szerokie połacie ojczyzny, nie oprą się badaniu nawet w najdelikatniejszym świetle.

Pani Kung strząsnęła z kolan niewidoczny pyłek.

- Li Chen zajął się polityką. Możesz być pewna, że Lily, która znajdowała się pod jego opieką, nadal nie będzie zdana wyłącznie na siebie. Istnieje, jak przypuszczam, coś takiego jak złodziejski honor.

- Był tam też taki chłopiec... Ping Wei. Jego Chen nie zdołał ochronić.

- Ten chłopiec padł ofiarą zdrady. Nie sposób się obronić przed zdradą przyjaciela.

- Co pani mówi? - Stevie ściągnęła brwi. - Czy pani wie, kto to zrobił?

Pani Kung milczała dłuższą chwilę. Gdy w końcu się odezwała, dobierała słowa powoli i jeszcze staranniej niż zazwyczaj.

- Wiem, że zdarzył się wypadek. To wszystko.

Dała znak jednemu z mężczyzn, by przyniósł jej gorącą wodę do dzbanka. Stevie ledwo stłumiła niecierpliwość.

- Nie zrozumiałam pani intencji.

- Powiedziałam, że ci, którzy znają nas najlepiej, zawsze stanowią zagrożenie.

Stevie mruknęła zirytowana i usiadła prosto.

- Jeszcze herbaty? A swoją drogą, zauważyłaś może, jak dużo dziś pomidorów na targu?

Jakiś czas później Stevie i Hal znowu ruszyli przez ulice kipiące tłumem. Na prośbę chłopca przystanęli kilka przecznic od Empire State Building, by mógł przyjrzeć się robotnikom naprawiającym szkody na siedemdziesiątym dziewiątym piętrze. Z tej odległości ziejąca w boku wieżowca dziura sprzed trzech tygodni przypominała rozcięcie w malowanej zasłonie. Trudno było sobie wyobrazić los samolotu, który wbił się w ścianę budynku. Stevie dostrzegła w tym metaforę kruchości państwa. Do wypadku doszło we mgle, z powodu błędu pilota. Wolą nie myśleć o płonących żywym ogniem pracownikach biurowych.

Właśnie lawirowali między ludźmi w hali dworcowej Grand Central Station, gdy raptem nastąpiła wyraźna zmiana w głosie osoby mówiącej przez mikrofon. Jej głos się załamał w środku zdania o odjeździe pociągu o piętnastej pięćdziesiąt cztery do Georgii z peronu siódmego i z głośników popłynęła zaskakująca informacja. Kobieta odchrząknęła.

Wszyscy pasażerowie zwolnili, a w końcu stanęli. Jedynym elementem ruchomym pozostało stadko gołębi, przelatujące nad ludzkimi głowami.

- Dzisiaj, piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, przed godziną radio podało, że cesarz Japonii uznał zwycięstwo sił alianckich na Pacyfiku.

Najpierw zapadła kompletna cisza, zmrożona w bezruchu oszołomienia, a w następnej chwili ogromną halę napełniły wiwaty i okrzyki radości. Niejednej osobie pociekły z oczu łzy. Stevie porwała Hala na ręce i przycisnęła go mocno do siebie. Jakaś młoda kobieta, przechodząca obok, spontanicznie przytuliła ich oboje, po czym, odsuwając się, spojrzała na Stevie uważniej i aż się zatchnęła.

- Pani jest Stevie Steiber! Nie do wiary! Uwielbiam panią! Jest pani niesamowita!

Stevie jej nie słyszała. W ogóle nic nie słyszała. Myślała tylko o tym, że teraz Harry może wrócić do domu. Wróci do domu. Stała nieruchomo, Hal obejmował ją rączkami za szyję, a świat gnał do przodu swoją drogą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Wrzesień 1945

Od kilku tygodni zalewały ją ogłoszenia, doniesienia, listy i komentarze. Co kilka chwil pojawiały się nowe niesprawdzone wiadomości. Stevie nie zwracała uwagi na ten szum informacyjny. Jej wersja była klarowna i niezmienna, tak samo jak w latach przed zawarciem pokoju: Harry żył i na pewno ją odszuka.

Siedziała w swoim pokoju zastawionym książkami, nisko pochylona nad nieporęcznymi klawiszami maszyny do pisania. Ostatnio zrobił się tu większy nieład niż zwykle, w niebezpieczeństwie znalazła się ciasna przestrzeń na biurku, gdzie normalnie można było oprzeć łokcie. Stevie niecierpliwie odsunęła na bok stertę wycinków prasowych.

Sfrunęły na podłogę, uniesione leniwym podmuchem z wolno kręcącego się wiatraka. Zdawało się, że zawisły w powietrzu na dłużej niż normalnie, ale w końcu opadły na zakurzone deski. Stevie odchyliła się na krześle, splotła dłonie za głową. Niech sobie kłamią, pomyślała. Kątem oka dostrzegła pod pachami ciemniejsze plamy potu. Opuściła ręce. Miała nadzieję ponosić tę bluzkę jeszcze przynajmniej jeden dzień.

Przez otwarte okno docierały odległe hałasy ruchu ulicznego. Gęsty upał przecięło wycie syreny. Stevie zadrzała. Westchnęła i znów przygarbiła się nad maszyną. Palce zawisły nad klawiszami.

Nic.

Ponownie zerknęła na dokumenty i fotografie, na jedną szczególnie, zrobioną na przyjęciu w Szanghaju jeszcze przed wojną. Ludzie z różnych krajów z drinkami w dłoniach, wszyscy w doskonałych nastrojach, rozbawieni... Prawie wszyscy. Bo Jishang, smukły i elegancko ubrany,

podejrzliwie zerka kątem oka w obiektyw, posyłając groźne spojrzenie tajemniczemu fotografowi.

Zakryła zdjęcie otwartym notatnikiem. W zasięgu wzroku zostały tylko szczupłe palce Chińczyka, obejmujące pękaty kieliszek. Nagle zirytowana uderzyła dłońmi w klawisze.

Burknęła coś pod nosem, odepchnęła krzesło i wstała. Metalowe nóżki wyłłobiły w drewnianej podłodze kolejne rany. Zrobiła kilka kroków. Nie patrzyła na stertę bukietów w celofanie leżących tam, gdzie je zostawili posłańcy. Każdy z doręczycieli musiał pokonać długą drogę po wąskich schodach oblanych skwarem, nim się dostał do jej drzwi, gdzie spotykał się jedynie z niewdzięcznym burknięciem. Sięgnęła do niewielkiego elektrycznego wiatraka stojącego na szafce i przełączyła go na najwyższe obroty. Stała przed nim dłuższą chwilę, gdy niemrawe ciepłe powietrze owiewało jej twarz. Zamknęła oczy, przysunęła się bliżej do urządzenia.

- Małpy mają siusiaki - dobiegł ją głos Hała. - Naprawdę. Widziałem.

Roześmiała się, podeszła do drzwi swobodniejsza i spokojniejsza. W następnej chwili utonęła w uściskach dziecka i jego gorącym oddechu. Rozpłynęła się jak zawsze. Ciągle jej było mało tych cudownych momentów. Musiała szybko pokonać strach i zwątpienie. Bo w przeciwnym razie cóż ten cud witalności mógłby mieć z nią wspólnego?

Hał zaanektował ją całą dla siebie, przesłaniając jej świat, toteż Declan musiał się nieco wysilić, żeby go usłyszała. Tym bardziej że opierał się o framugę, dysząc ciężko, na wpół z powodu schodów, na wpół ze śmiechu.

- Opowiedz mamie o lodach.

Hał, szczerzy i otwarty, wolał ciągnąć poprzedni temat.

- I one są różowe. Widziałem.

Stevie pozwoliła sobie na moment zapomnienia, dotykając wargami gładkiego policzka dziecka. Nie odpowiedziała mu dopóty, dopóki nie wyslizgnął się jej z objęć i nie wszedł dalej do pokoju.

- Lody też są różowe.

Declan zaśmiał się głośno, a Stevie pomyślała, że jego poczucie humoru zawsze było dla niej ważne.

- Dziękuję, że go zabrałeś.
- Od dzisiaj będę prowadził do zoo wszystkie gorące panny. Popracowałaś trochę?
- Nie bardzo.
- Declan odsunął się od framugi i szerokimi barkami zasłonił całe jej światło. Podał Stevie stertkę listów. Papier emanował ciepłem jego dłoni.
- Mogę mieć królika? - spytał Hal. - Mógłby mieszkać u mnie pod łóżkiem.
- Wydobył spośród bukietów dużą, imponującą paczkę. - Co to jest?
- Daj, niech zobaczę.
- Stevie nadal klęczała. Szpara między deskami wpijała się jej w kolano.
- Tu jest napisane „Hal Field” - przeczytała. - Kto to taki?
- To ja! To ja! - Chłopiec tryskał zaraźliwą radością.
- Usiadł z wyciągniętymi swobodnie nóżkami i ostrożnie zabrał się do rozpakowywania przesyłki. Declan przysunął się do Stevie.
- Czytałaś gazetę? - odezwał się zupełnie innym głosem, po cichu, z niepokojem.
- Stevie unikała jego współczującego spojrzenia. Wskazała stertę omdlewających bukietów. Declan odezwał się jeszcze ciszej:
- Tak mi przykro.
- Niepotrzebnie. Nie ma w tym krztyny prawdy - oznajmiła z całkowitym przekonaniem. - Tak samo jak zawsze do tej pory.
- Wiedziała, że nie brzmi wiarygodnie. Protestowała zbyt żarliwie.
- Stevie... wcześniej czy później będziesz musiała spojrzeć prawdzie w oczy.
- Naprawdę mi przykro, ale tak to już jest.
- Jej śmiech był tak nie na miejscu, że nawet Declan, nawykły do jej nieprzewidywalnych reakcji, dał się zaskoczyć.
- Lista więźniów, którym udało się przeżyć - podjął - została zweryfikowana przez obie strony i opublikowana. Jego na niej nie ma.
- Ja wiem swoje. I nie tylko ja. Ludzie pracujący dla pani Kung też twierdzą, że on żyje.
- Ach, ta stara wiedźma... Dlaczego jej słowo jest najważniejsze?

Stevie postanowiła zignorować jego ton.

- Bo zawsze ma najlepsze informacje. Doskonale o tym wiesz.

- A co ona właściwie robi w Chinatown? Udaje, że jest tam z własnego wyboru!

Przecież to śmiechu warte! Wszyscy wiedzą, że jej mąż ukradł całe bogactwo Chin.

- Nie żądam, żebyś darzył ją sympatią...

Dobiegł ich triumfalny okrzyk Hala, któremu udało się rozpakować pudło. Stevie nachyliła się nad synkiem, lecz Declan jeszcze zdążył dostrzec na jej twarzy cień zwątpienia.

- Fuuu! Mamusiu, zobacz, brzydko pachnie! - stwierdził Hal z nietęgą miną.

W kartonie było łąjno. Na wewnętrznej stronie ścianek widniały ciemne ślady powstałe w drodze od anonimowej bigotki prosto do dziecięcego świata. Z ust Stevie wyrwał się okrzyk, coś pomiędzy zaskoczeniem a wściekłością. Odebrała pudełko dziecku, wetknęła je w ręce Declanowi i natychmiast wróciła do synka. Declan odkręcił głowę ze wstrętem.

- Boże drogi, kto robi coś takiego?

Hal się rozplakał. Nie wiedział dokładnie, co takiego się stało, lecz miał pewność, że to coś złego. Może sam zrobił coś nie tak?

Declan także przykląkł, nadal z kartonem w rękach. Hal ucichł, zdziwiony niecodzienną sceną. Może Declan zrobi coś śmiesznego? Tymczasem głos Declana zabrzmiał dziwnie chwiejnie, choć był w nim żar.

- Stevie, wyjdź za mnie. Proszę. Zostań moją żoną.

- Przestań - poprosiła cicho. - Dajmy już spokój.

- Dlaczego nie chcesz? Przecież bylibyśmy świetną parą. Nie zaprzeczysz. A na dodatek ja pokochałem cię pierwszy, zanim jeszcze poznałaś Harry'ego.

Stevie pokręciła głową, ale Declan nie mógł już zamilknąć.

- Co jest złego w małżeństwie? Wszyscy wielcy moralisci mogliby iść do diabła, a ja bym ci się nie wtrącał do pracy. Pomagałbym przy tym zawsze, gdybyś tego chciała.

Wstała. Hal wisiał na niej, obejmując ją nogami w pasie jak małpka.

- Wystarczy. Dość.

- No dobrze, jak chcesz. Może nie potrzebujesz męża. Ale co z Halem? Przydałby mu się ojciec... - Uświadomił sobie, że posunął się za daleko.

- Ma ojca - odparła Stevie ochryplym głosem.

A Declan oczywiście pluł sobie w brodę, że nie potrafił utrzymać języka za zębami, bo, jak wiadomo, co się stało, to się nie odstanie.

Jakiś tydzień później stała w grupce reporterów przed konsulem japońskim, czekając na kolejne oświadczenie na temat postępów w negocjacjach. Z wnętrza nie docierały żadne oznaki życia. Zaciągnęła się papierosem.

- Cześć, Bette Davis. - Declan przepchnął się do niej, nachylił do ucha. - Nic tu się nie będzie działo. Nawet odźwierny nie wyjdzie złożyć oświadczenia o ostatniej wieczery.

Dostałem cynk. Vivien Leigh jest w Hiltonie. - Wyjął jej papierosa z ręki i zaciągnął się głęboko.

- Jeszcze trochę zaczekam.

Wzruszył ramionami, oddał jej papierosa.

- Dasz mi klucze? Przyniosę kolację.

- Nie.

- Pewnie skończę wcześniej niż ty. Przecież to ma sens. Mogę ci zdjąć z głowy przynajmniej ten drobiazg. - W jego głosie zabrzmiały melancholijne nuty.

Stevie nie bez trudu zdusiła irytację. Pokręciła głową.

- Nie.

Brakowało jej cierpliwości. Nie dawała sobie rady z jego nadskakiwaniem.

- Wiesz, muszę z tobą omówić jedną sprawę - stwierdziła.

- Tak?

Na jego szczerzej twarzy malowała się niepewność. Łatwo było go zranić. Stevie poczuła się nagle bardzo stara. Zrobiło jej się przykro i trochę wstyd. Próbowwała się wycofać.

- Mówisz, że Vivien Leigh jest w Hiltonie... Powiedz z kim?

- Z kim. O co chodzi? Wyduś to z siebie.

Wziął ją za ramię i wyciągnął z grupki czekających. Stanęli w pewnym oddaleniu od pozostałych.

- No?

Grając na zwłokę, postanowiła wejść w rolę udzielnej księżniczki.

- Po prostu nie chcę, żebyś miał powody zakładać, że moje mieszkanie jest twoje.

- Ja niczego nie zakładam. Jestem reporterem.

- Naprawdę ostatnio mam wrażenie, jakbyś się wprowadzał. - Odetchnęła głęboko.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co dla nas robisz, jesteś naszym najlepszym przyjacielem, a Hal cię uwielbia...

- Znamy się od lat. Całe długie lata. Powinniśmy być razem. Jako para.

- Gdybym mogła, dawno bym się zgodziła - przyznała Stevie łamiącym się głosem.

- Możesz mi wierzyć. Nie ty jesteś winien. Chodzi o to, że... Mówię to, bo widzę, że nie traktuję cię jak należy. Bardzo mi przykro, naprawdę. Po prostu nie mogę inaczej.

Declan zatrzęsł się ze złości.

- Wiem, że nie możesz. Chciałbym natomiast wiedzieć, co ty sobie właściwie wyobrażasz? Że Harry powróci niczym Odyseusz, cały i zdrowy, i będziecie żyli długo i szczęśliwie jak w jakimś podrzędnym romansidło? Nic z tego.

- Tak, tak, wiem. - Mało brakowało, żeby się rozplakała. - Okropnie się pogubiłam.

- Uwierz człowiekowi, który wie, co mówi - powiedział Declan udręczonym tonem.

- Ciebie zabija nadzieja. Cholerna, pieprzona nadzieja.

Odszedł tak szybko, że ledwo się zorientowała. A może nie zauważyła tego z powodu łez. Stała przez jakiś czas odrętwiała i niepewna, aż w końcu odeszła od grupki przekomarzających się reporterów i ruszyła przed siebie bez celu. Nagle uświadomiła sobie, że spóźni się po Hala.

W korytarzu było gorąco, duszno i głośno, bo z sali dobiegały głosy

podekscytowanych dzieci. Już rozpoczęły się zajęcia następnej grupy, więc Hal siedział samotnie na krześle, ze zwieszoną głową, machając niemrawo nogami. Obraz nędzy i rozpacz.

- Jak było? - zapytała Stevie. - Dobrze się bawiłeś?

Wiedziała, że jej głos brzmi tak, jak powinien - mocno i spokojnie. Nauczycielka gimnastyki już dawno zdążyła wyrazić swój pogląd na kwestię samotnego wychowywania dziecka. W konsekwencji Stevie stawała na głowie, żeby zawsze być po Hala na czas, a do tego obsesyjnie dbała o jego kostium, wskutek czego miał chyba najczystszy strój w klasie.

Zsunął się z krzesła i ciągle unikając patrzenia matce w oczy, podniósł sweter z podłogi. Podbiegła do nich nauczycielka. Zawsze biegła. Może należało to do jej obowiązków? Tak czy inaczej, niewiele to wpływało na rozmiar jej tylnej części ciała. Przywołała na usta uśmiech przeznaczony na okazje rozmów z rodzicami.

- Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję, jak najbardziej.

- Pewnie jest pani bardzo zajęta.

- Owszem.

- No tak, tak. - Zmierzyła Halowi włosy władcym gestem. - Nikt nie lubi czekać po zajęciach, prawda?

Hal stał bez ruchu, wzorcowy przykład grzecznego chłopca. Stevie udało się odpowiedzieć uśmiechem.

- Rzeczywiście.

Wzięła synka za rękę i poprowadziła do drzwi, ratując go przed słowami ledwie skrywanego oburzenia. Gdy weszli do mieszkania, wróciła myślami do Declana i pożałowała, że tak stanowczo odepchnęła propozycję pomocy. Nie jego wina, że nie mogła się z nim związać.

Minęły już dwa lata od czasu, gdy wniósł w jej życie trochę radości. Dotarł do Nowego Jorku przez Dublin. Wyruszył do Nowego Świata przy pierwszej okazji. Jego wydawca bardzo chętnie przyznał mu status marnie opłacanego wolnego strzelca, relacjonującego zza oceanu, a Declan szybko postarał się o dodatkowe fuchy. Zadzwoił do Stevie od razu z portu, a ona bladym

świttem, jeszcze nie całkiem przytomna, w pierwszym momencie wzięła go za Harry'ego. Długo nie mogła dojść do siebie po tym wstrząsie. Kilka tygodni później, gdy wieczór przygasił światło w mieszkaniu, a budynki naprzeciwko zmieniły się w czarny szkic na tle pięknie wybarwionego nieba, Declan opowiedział jej o swojej ucieczce z Hongkongu.

- Wiedziałem, że najmniejszy szmer może zdecydować o życiu lub śmierci. Szedłem w nieznane, stąpałem po bardzo cienkiej linii, nie mając nikogo zaufanego, prowadzony przez całkiem obcego człowieka. Mówił cicho, przypalając kolejne papierosy jeden od drugiego. Noc zeszła na miasto i w końcu Stevie widziała tylko pomarańczowy punkcik światła, robaczka świętojańskiego w aksamitnej ciemności. Declan, legitymujący się irlandzkim paszportem, nie mógł być internowany w Stanley. Przez trzy miesiące ukrywał się, unikając jakiegokolwiek kontaktu z władzami i pisząc, ile tylko mógł, o wszystkim, co sam

widział i o czym inni mu opowiadali.

- A jak wysyłałeś teksty?

- To nie było łatwe.

- Ja myślę.

- Z początku najzwyczajniej w świecie pocztą. Niestety, dość szybko wyszło na jaw, że ta droga przestaje się sprawdzać. Japońscy cenzorzy okazali się równie skuteczni jak brytyjscy, ale znacznie bardziej agresywni. Kiedy zapukali do drzwi, żeby mi doradzić umiar w pisaniu, wywalili je z zawiasami. - Zaciągnął się papierosem. - Zrozumiałem przekaz.

- Czyli wiedzieli, gdzie jesteś.

Declan pokiwał głową.

- Wtedy uznałem, że czas najwyższy wcielić w życie plany wyjazdowe.

- To znaczy?

- Znaleźć Chena. Powiedział, że gdybym kiedykolwiek potrzebował pomocy, mam zamieścić ogłoszenie w „Hong Kong Timesie”. „Frau Steinschneider udziela lekcji śpiewu.

Zgłoszenia PO Box 230”.

- Trochę jak ze *Szkarłatnego kwiatu*.

- Właśnie. Mnie też się to wydawało idiotyczne, ale tak czy inaczej dzień po tym, jak dałem ogłoszenie, przed drzwiami mieszkania zaczęła mnie młoda Chinka. Z początku doszło do pewnego nieporozumienia, ale gdy już zrozumiałem, że nie przyszła, by uprawiać ze mną wyuzdany seks, wyszeptala mi w ucho bardzo szczegółowe instrukcje.

Jeszcze tego samego wieczora, zabrawszy z sobą jak najmniej bagażu, czyli plecak z notesem i piórem, bochenkiem chleba, kawałkiem sera oraz parą skarpetek na zmianę, poszedł do baru na Hollywood Road. Tam jakiś mężczyzna, którego widział pierwszy raz w życiu, ubrany w uniform szofera, kazał mu iść za sobą. Declan złożył swoje życie w ręce kapryśnego losu. W drodze nie zamienili ani jednego słowa. Napięty jak struna Irlandczyk wsiadł za swoim przewodnikiem do tramwaju.

- Najdziwniejsza była w tym tramwaju cisza. Niepokojące wrażenie robiły wychudzone twarze Europejczyków, ale co najbardziej niesamowite, nikt się nie odzywał.

Przecież w Hongkongu w tramwaju normalnie panował zgiełk, prawda? Głośne okrzyki, ciągła wrzawa.

Stevie pokiwała głową i choć wiedziała, że Declan tego nie widzi, nie wstała, by zapalić światło.

- Nikt się nie odzywał - ciągnął Irlandczyk. - Ludzie nawet na siebie nie patrzyli.

Kiedy mijaliśmy japońskich żołnierzy na ulicy, nikt na nich nie zerknął. Większość siedziała ze zwieszonymi głowami, starając się za wszelką cenę unikać kontaktu wzrokowego, bo wszyscy wiedzieli, że nawet taki pretekst wystarczy, żeby Japończycy zatrzymali tramwaj, weszli do pojazdu i wyrzucili z niego pasażerów. Człowiek nie wiedział, czy nie skończy w roli trupa na poboczu, a jego z trudem zebrane wiktuały - pod kołami samochodów. Ja wbiłem wzrok w siedzenie przede mną... Nigdy nie zapomnę tej wystrzępionej tapicerki. A kątem oka pilnowałem czapki szofera, mojego przewodnika.

Wysiedli przy Shaukiwan Road, za klubem jachtowym.

- Poszliśmy na brzeg. Słyszałem plusk fal i wypatrzyłem w ciemnościach

kilka sampanów.

Stevie bez trudu wyobraziła sobie niskie kadłuby połyskujące perłowo na tle mrocznej wody.

- Szofer gestami nakazał mi wsiąść do jednej z łodzi. Sam usiadł w innej. Ledwo zdążyłem zauważyć, że u mnie przy wiosłach siedzi kobieta. Zostałem pchnięty na dno i ktoś osłonił mnie ciężką plandeką. Boże, leżałem rozplaszczony na mokrych deskach śmierdzących rybą i brudem. Myślałem, że gorzej już być nie może, ale się myliłem. Nagle zalało nas oślepiające światło. To był szperacz z japońskiego okrętu. Łódź musiała być widoczna jak na dłoni. Co najdziwniejsze, płynęliśmy dalej, nawet nie zmienił się rytm plusku wiosła.

Nie potrafił ocenić, jak długo trwała podróż przez morze ani kiedy w końcu poczuł, że kadłub uderza o kamienistą plażę. Ktoś zdjął z niego ciężką tkaninę, pod którą ledwo oddychał. Znowu bez słowa został przeprowadzony na ląd. Czekający na niego mężczyzna miał na sobie mundur żołnierza Armii Narodowo-Rewolucyjnej.

- Byłem zaskoczony, że komuniści współpracują z narodowcami.
- Nie spieszyli się.
- Co fakt, to fakt.

Poszedł za żołnierzem przez gęsto zalesiony teren. Wędrowali przy mglistym świetle gwiazd. Przeprawili się przez rzekę i w końcu tuż przed świtem dotarli do jakiejś wioski. W pomieszczeniu bez okien, rozjaśnionym jedną świecą, przywódca miejscowych komunistów przywitał go w języku, w którym Declan nie rozumiał ani jednego wyrazu, ale i otoczył go gościnnieścią zrozumiałą bez słów.

- Wyobraź sobie: na jednym końcu stołu leżą rewolwery, a na drugim - góra klusek.

Nie mówiąc już o tym, że dostałem też najwspanialsze pod słońcem ciepłe piwo. W życiu nie piłem lepszego. Pokazali mi łóżko, przespałem cały dzień. Wczesnym wieczorem obudził mnie jakiś dzieciak, tak na oko dwunastolatek. Bóg mi świadkiem, bolało mnie wszystko.

Zaprowadził mnie do najbardziej zdumiewającej osoby na świecie -

okazałego faceta o ciemnej skórze, z długimi, mocno kręconymi włosami, przypominającymi zwiniętą linę i opadającymi na szerokie bary. Człowiek był umundurowany, w pełnym rynsztunku.

- Może miałeś halucynacje?

- Sam się nad tym zastanawiałem, ale nie. Był prawdziwy, z krwi i kości, jak ty czy ja.

Wyobraź sobie, jeszcze wyższy ode mnie. Musiał się schylać, żeby stanąć pod dachem. Ale co najbardziej niesamowite, miał szalenie delikatne rysy, robił wrażenie przemiłej osoby.

Bardzo dziwne. Przedstawił się jako Khan, mówił po angielsku z lekkim akcentem jakby z zachodnich Indii.

- Rzeczywiście dziwne. Skąd się wziął w Chinach?

- Bo ja wiem? Spytałem go oczywiście, ale nie był specjalnie rozmowny. Odniosłem wrażenie, że to jakiś miejscowy dygnitarz wojskowy. W końcu był wystrojony jak na paradę, a do tego nieźle uzbrojony: nie dość, że miał pistolet maszynowy Sten, to jeszcze rewolwer.

Tak czy inaczej, prowadził mnie jakiś czas, aż dotarliśmy do wioski na bagnach zbudowanej na palach. Wtedy zniknął w ciemnościach, a na jego miejscu pojawił się Chińczyk w brytyjskim mundurze.

- Coraz ciekawiej.

Declan uśmiechnął się i mówił dalej:

- Od tamtego miejsca droga była znacznie trudniejsza. Ale wtedy już chyba nic nie mogłoby mnie zaskoczyć. Żyłem z chwili na chwilę, cały czas spodziewając się zasadzki.

Liczyłem się też z tym, że ktoś mnie najzwyczajniej w świecie utopi w którymś strumieniu. Szliśmy kilka godzin, aż wreszcie dotarliśmy do zatoki, gdzie czekała dżonka z załogą składającą się z mężczyzn o twarzach pokrytych bliznami i odzianych w straszne łachmany.

Ewidentnie miałem do czynienia z piratami. Uświadomiłem to sobie, gdy zobaczyłem tuzin sztuk broni maszynowej. Upchnęli mnie na rufie i pięć godzin później wysadzili na wybrzeżu Republiki Chińskiej.

- Niezła przygoda.

- I jeszcze, wyobraź sobie, pierwszą osobą, którą tam zobaczyłem, był pogodny Australijczyk, a pierwsze słowa, jakie usłyszałem, brzmiały: „Człowieku, ale jaja, udało ci się!”.

Stevie zaśmiała się głośno, Declan jej zawtórował.

- Gorsza sprawa, że największej przygody życia w żaden sposób nie mogę opisać - zakończył z nieskrywanym żalem.

Declan jak to Declan, natychmiast stał się nieodzownym elementem jej życia. I strzegł swojego miejsca jak żrenicy oka. I ona, i Hal z wdzięcznością przyjęli jego poczucie humoru, energię i stałą gotowość do pomocy. Któregoś wieczora, może ze cztery miesiące po jego przyjeździe do Stanów Zjednoczonych, przyniósł z ulicznego straganu w Chinatown pudełko makaronu w ciemnym sosie fasolowym. Usiedli w ciasnej kuchence przy blasku świecy i rozmawiali. Stevie nie wychodziła z domu wieczorami. Nigdy nie zostawiła Hala z nianią.

Wydawało jej się to niewłaściwe. Był to jeden z wielu, ale dość widoczny skutek traumy życia powszedniego. Wobec tego wspólny wieczór przy chińszczyźnie wyglądał jak randka.

Declan opowiedział jej w przytulnym blasku świecy o tym, jak znalazł ciało swojej dziewczyny w ruinach apartamentowca. Pomagał usuwać gruzowisko. Pierwsze, co zobaczył, to była jej ręka. Zadbana, doskonała, zaciśnięta na figurce chińskiego bożka. Wiedział, że to jej ręka, bo na palcu widniał pierścienek, którego on nie chciał uważać za zaręczynowy, a ona wykorzystywała, by całemu miastu pozwalać się domyślać, iż jest wręcz przeciwnie.

Stevie razem z Declanem zaśmiała się gorzko.

- Może i tak było - powiedziała. - Może miała rację.

Pokręcił głową i spojrzał jej w oczy, błyszczące wśród cieni obejmujących jej twarz.

- Dobrze wiesz, czemu się jej nie oświadczyłem.

I zanim zdążyła go powstrzymać, znowu wyznał jej miłość, a ona chciała mu wierzyć. Jej smutne, puste serce odpowiedziało na silne wezwanie. Raz pozwoliła sobie na iskierkę nadziei. Może rzeczywiście? Kto wie, może uda

mi się zrobić ten krok? Ale już w następnej chwili wróciła do niezbitego przekonania, że to niemożliwe.

Declan wstał i pociągnął ją do siebie. Słyszała jego serce, biło tuż przy jej uchu, wprawiając w drżenie całe jego ciało. Przez krótki czas czuła niesłychaną, zaskakującą ulgę płynącą z kontaktu z drugim człowiekiem. Szybko jednak minęła i zaraz na nowo strach ścisnął jej żołądek. Odepchnęła Declana i wcisnęła się w kąt wąskiej kuchni. Zdołała tylko pokręcić głową. Głos ugrzązł jej w gardle razem ze słowami. Zresztą co miała powiedzieć?

Jakiś czas później zrozumiała, że już nigdy nie będzie zdolna do fizycznej intymności. Najzwyczajniej w świecie nie potrafiła. Nie zamierzała tego faktu opłakiwać ani się uzalać nad swoim losem. Zaakceptowała go, pogodziła się z nim i tyle. W końcu przecież i tak całkiem nieźle sobie radziła. Po pierwsze, przeżyła. Po drugie, miała Hala. No i pracę. Więc cóż z tego, że jakaś jej część umarła? Niewielka to cena za przetrwanie.

Usłużna pamięć podsunęła obraz włosów Phyllis ściągniętych struną, schrypnięty głos wypowiadający słowa godne szaleńca. Tym bardziej była wdzięczna losowi, że z nią obszedł się łaskawiej.

Zajęta przygotowaniem posiłku nie zauważyła, że Hal podniósł z wycieraczki jakąś kopertę. Chłopiec, stojąc w przedpokoju, pieczołowicie rozdzierał papier, biorąc przykład z matki. Niestety, nie udało mu się dokonać tego tak gładko, więc jednak poszedł do niej z dwiema połówkami depeszy w ręce.

- Podarło się.

Stevie odwróciła się do synka i od razu zrozumiała, co trzyma w dłoniach. Telegram.

Jej serce zwolniło rytm. Podeszła do chłopca, wyciągnęła rękę. Położył na niej oba kawałki papieru. Zmieszany milczeniem mamy Hal błędnie odczytał je jako naganę i objął ją za nogi.

- Przepraszam, mamusiu. Nie gniewasz się?

Wyswobodziła się delikatnie, podeszła do kanapy. Złożyła razem dwa bliźniacze kawałki papieru. Postrzępione brzegi pasowały do siebie niemal idealnie.

Przeczytała:

„NIE SPOSÓB WYPYTAĆ O WSZYSTKO, CO CHCĘ WIEDZIEĆ.
STOP. ZROZUMIEM, JEŚLI JEST KTOŚ INNY. STOP. HARRY”.

Hal objął ją za kolana, na dziecięcej twarzyczce malowało się zdumienie.

- Nie płacz - zaćwierkał. - Skleimy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Taksówka zatrzymała się przed niskim terminalem przylotów. Budynek robił wrażenie przygarbionego, jak postarzały świadek kryzysu i dramatu. Ponieważ Hal przez całą drogę wiercił się niemiłosiernie, Stevie szczęśliwie nie miała czasu zbyt intensywnie rozpatrywać ostatnich wydarzeń. Przez następne dni po odebraniu telegramu żyła w takiej gorączce, że nie pojmowała skali zmian. Stać ją było jedynie na to, by się powstrzymać od usprawiedliwiania i skoncentrować na detalach. Harry do niej wracał. Naprawdę. Żyła do rytmu tych słów: Harry wracał. Mimo to sen zakłócał jej bezimienny niepokój, który budził ją co chwilę. Wszystko kręciło się wokół dotrwania do tego dnia, gdy wsiądzie do taksówki, a potem wejdzie do tego budynku. Nie miała pojęcia, co zdarzy się później. Żadnego planu. Nie rozważyła ani jednej ewentualności. Nie układała rozmowy. Jej wizja kończyła się na wejściu do tego budynku.

Harry wysłał depezę z Hongkongu w pierwszym dniu niepodległości. W obozie już od tygodni panowała szczególna atmosfera, pełna niepokoju i wyczekiwania. Strażnicy, raz wyjątkowo nerwowi i roztrzęsieni, raz niesłychanie swobodni i nieobowiązkwowi, podsycali paranoję szerzącą się wśród więźniów, aż urosła do rozmiarów amoku. Plotki rozchodziły się po obozie jak prowadzona przewodami elektryczność, z minuty na minutę szybciej, z chwili na chwilę coraz bardziej szalone: wszyscy zostaną rozstrzelani, będą musieli wykopać własne groby. Nie, jednak nie będą rozstrzelani. W ramach oszczędności amunicji zostaną zamknięci w jednym baraku i spaleni żywcem. A w zasadzie dostaną truciznę w ryżu.

Właśnie w takiej atmosferze Harry zauważył któregoś dnia, że strażnicy zniknęli. Opuścili obóz niewielkimi grupkami. Broń zabrali z sobą, ale bramy nie zamknęli.

Nie wracali. Harry obserwował wejście.

Ponieważ niespodziewanie okazało się, że ma rękę do roślin, hodował w jałowej ziemi, co się tylko dało, i dzięki temu zyskał coś na kształt milczącego szacunku. Z zasady odzywał się jedynie wówczas, gdy było to absolutnie konieczne, i unikał wszelkich kontaktów z innymi ludźmi.

Akurat teraz klęczał nad pędem fasoli, puszczonego po bambusowych palikach, gdy Frank Hopkins, rudzielec, który dorobił się opinii awanturnika, przebiegł obok, krzycząc przez ramię do innego chłopaka:

- Rusz się, człowieku! Wiem, gdzie trzymają tytoń! Nikt go nie pilnuje!

Harry usiadł na piętach.

- Ostrożnie - powiedział. - Założyli tam miny pułapki.

Frank stanął w miejscu. Harry odezwał się do niego po raz pierwszy od tamtego straszego dnia, gdy jego koledze ścięto głowę.

- Ooo! Odezwał się pan major!

Harry wzruszył ramionami i odwrócił się z powrotem do fasoli.

- Kolaborant! - syknął Frank z nienawiścią.

Harry nie drgnął. Przez lata słyszał to słowo pod swoim adresem, gdy stał w kolejce po jedzenie, natomiast pierwszy raz rzucono mu je w twarz.

- Niby dlaczego miałbym cię słuchać? Dobrze wiem, co zrobiłeś. Wiem, że jesteś z nimi w zмовie.

- Uważaj na druty - powiedział Harry, nie patrząc na chłopaka. - Na potykacze. Są rozciągnięte tuż przed szopą.

Frank cofnął się o krok, przyjrzał się Harry'emu z uwagą.

- No dobra. Skoro taki jesteś mądry, to powiedz, gdzie te skurczybyki się podziały?

Sid mówi, że czekają na ulicy i strzelą w łeb każdemu, kto się wychyli za bramę.

- Nie wiem.

- I tak nie powiesz. Pasuje ci, żeby nas wszystkich rozwalili. - Odwrócił się do kolegi.

- Chodź, zapytamy, co inni myślą.

Harry odczekał, aż ich kroki ucichły, po czym wstał. Minęło już

przynajmniej pół godziny od czasu, gdy wyszli ostatni strażnicy. Nie bardzo wiedząc, w co wierzyć, pokonał kilka metrów dzielących go od bramy. Bez zatrzymywania minął ogrodzenie. Oczekiwał śmierci w każdej chwili. Przy każdym kroku spodziewał się wystrzału.

Nic się nie wydarzyło. Trwała cisza.

Raptem odezwała się cykada. Jej granie raniło uszy. Szelest liści brzmiał jak grzechot ulewy na blaszanym dachu.

Harry szedł ostrożnie, z każdym krokiem badając nową rzeczywistość. Chude nogi z trudem dźwigały ciężar jego ciała. Szedł na bosaka i choć stopy miał stwardniałe jak podeszwy, stawy były sztywne, spuchnięte i sprawiały ból. Od lat nie zaszedł tak daleko.

Przytłaczały go szczegóły tej dziwnej ucieczki. Był tak skupiony na przetrwaniu, że nawet się nie zorientował, kiedy minął róg, zakręt ulicy, który niemal przez cztery lata zamykał mu horyzont. Co dziwniejsze, przy tej drugiej ulicy znajdował się przystanek. A z niego odjeżdżały autobusy.

Konduktor, Chińczyk, nie próbował zatrzymać Harry'ego, choć z pewnością rozpoznał w nim więźnia - był przecież biały, wychudzony i obdarty. Nie spytał nawet o bilet.

Harry usiadł i dopiero gdy przez cienką bluzę poczuł na plecach szorstką tkaninę oparcia, zaczął pojmować rzeczywistość. Odchrząknął, bo w gardle miał całkiem sucho, i spytał siedzącą naprzeciwko kobietę, czy są jakieś nowe wieści. Podniosła na niego wzrok znad jedwabnego haftu, przyjrzała mu się uważnie, po czym znowu opuściła głowę nad robótką.

- Mówią, że wojna się skończyła.

Dystyngowana ostrożność kobiety powiedziała mu o wojennych cierpieniach więcej niż najbardziej wystawna feta. Popatrzył przez okno. Po twarzy spłynęły mu łzy. Nie uczynił najmniejszego wysiłku, by je otrzeć.

W Hongkongu panował chaos. Harry szedł ulicami i przyglądał się ludziom - wszyscy mieli takie same miny: byli oszołomieni. Nie mogli uwierzyć, że koszmar się skończył.

Znalazł urząd pocztowy, wciąż działający w tym samym miejscu co dawniej. Wyszperał z kieszeni najcenniejszy na świecie kawałek papieru

poznaczone siatką zagieć. Był to jedyny list, jaki do niego dotarł w obozie, dostarczony w dwa lata po nadaniu. Wysłał telegram zawierający słowa całkiem inne niż te, które przez długi czas układał.

Dopiero wtedy ruszył w drogę do domu.

W hali przylotów panował ożywiony ruch. Stevie poprowadziła Hala przez tłum pasażerów, torując sobie drogę między bagażami. Zatrzymała się przed tablicą z informacją o przylotach krajowych. Pan Am z Los Angeles. O czasie.

W powietrzu unosił się mocny zapach palonej kawy. Ponieważ było wcześniej rano, poszli z Halem do kafeтерии. Zachwycone dziecko dostało koktajl mleczny, a ona zdecydowała się na cierpką kawę z ekspresu złagodzoną śmietanką o nieco zakurczonym smaku oraz dwiema łyżeczkami cukru z bakelitowej cukiernicy stojącej na blacie. W czasie gdy Hal osuszał szklankę z mlecznym rarytasem, Stevie ciągle na nowo zwracała się myślą ku chwili, gdy zobaczy Harry'ego. Nie wiedziała, co będzie, choć oczywiście potrafiła go sobie wyobrazić, jak idzie znajomym długim krokiem przez halę. Na pewno będzie chudy. Ale twarz? Nie mogła dostrzec jego twarzy. Miała lukę w pamięci.

Znowu spojrzała na zegarek. Sekundy pełzły rozmyślnie wolno. Przyglądała włosy, które nie odzyskały dawnego połysku. Obcinała je na krótko, chętnie nazywając tę fryzurkę chłopięcą. Gdy przypadkiem natrafiła spojrzeniem na swoje odbicie w zakrzywionej powierzchni ekspresu do kawy, szybko odwróciła wzrok. Kimże była ta kobieta? Na twarzy miała wymalowane napięcie i lęk, czoło poznaczone zmarszczkami, oczy ciemne, lecz zmatowiałe, a we włosach siwe nitki. Boże drogi, czy to się nigdy nie skończy?

Gdy Hal wylizał szklankę, sięgając językiem jak najgłębiej po śliskich ściankach, pomogła mu zsunąć się ze stołka i zabrała do łazienki, żeby nie musiał tam iść w kluczowym momencie. Mijając lustro, zerknęła raz jeszcze na siebie. Co zobaczy Harry? Czy wystarczy mu jedno spojrzenie, by dostrzec wszystkie zmiany, jakie w niej zaszły, zrozumieć, że już nie jest tą dziewczyną, którą pokochał? Czy w ogóle ją rozpozna, czy może przesunie

wzrokiem po jej twarzy i będzie szukał dalej? Ją samą stale zadziwiał brak widocznych blizn. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak każda inna kobieta, która przetrwała lata wojenne zatroskana o bliskich. Wyjęła z kieszeni szminkę, poprawiła czerwone kreski na ustach. Odwróciła się od jaskrawego obrazu w lustrze i po raz kolejny spojrzała na zegarek. Potem, wzięwszy się w garść, ujęła synka za rękę.

W hali zmieniła się atmosfera. Zniknęła nuda czekania, pojawiła się czujność. Nasilił się hałas. Fresk na suficie rotundy zdawał się wirować, tryskając niesamowitymi kolorami.

Stevie razem z Halem stała się częścią fali pełną naprzód, w stronę barierek odgradzających wyjście. Dopiero teraz zobaczyła, że w tłumie czekających znajdowali się mężczyźni z aparatami fotograficznymi oraz sprzętem nagrywającym. Była też ogromna kamera z obiektywem wycelowanym prosto w drzwi, przez które miał wejść Harry. Mimo wszystko Stevie nadal nie pojmowała, że całe to zamieszanie mogłoby mieć z nią cokolwiek wspólnego. Chociaż skoro wyobrażała sobie tę chwilę tysiące razy i za każdym razem widziała ją odmiennie, cóż szkodziło, by rzeczywistość napisała jej własny, jeszcze inny scenariusz? Ściskając w dłoni śliską rączkę synka, wyciągała szyję, by zobaczyć coś między głowami reporterów.

Teraz, już, lada moment...

Raptem któryś z mężczyzn zawiesił na niej wzrok. Zmrużył oczy, przyjrzał się uważnie i po chwili ją rozpoznał.

- O, panna Steiber! - Oddech miał kwaśny i odpychający. - Co pani czuje? Na pewno jest pani zdenerwowana. Ile to czasu minęło?

Podetknął jej mikrofon, posypały się następne pytania, głośne i nachalne. Tłum zyskał nowy temat. Ściągał w jej stronę, aż po chwili widziała głównie smugę złożoną z wielu twarzy, a w uszach huczał jej gwar głosów nie do odróżnienia.

- Czytałem w pani książce o tym, jak pani poznała majora - wybił się jeden z mężczyzn. - Chce pani coś dodać?

- A on dostał rozwód, laleczko?! - krzyknął inny.

Raptem wrzawa przycichła. Czekający znów ruszyli do bramki. W luce

między ich plecami Stevie dostrzegła lekko przygarbionego mężczyznę w średnim wieku. Harry. Czy może raczej jego nowe wcielenie... Ubrany w mundur szedł między dwoma amerykańskimi żołnierzami w stopniu oficerskim. Bardzo się postarzał. Twarz miał spaloną na brąz,

poznaczoną głębokimi zmarszczkami, jak bruzdami wyciśniętymi w piachu. W tej właśnie chwili zrozumiała, jak ogromną cenę zapłacił za przeżycie. I równocześnie uświadomiła sobie, że ich spotkanie będzie zupełnie inne niż którekolwiek z tych, jakie wymyśliła.

Smutniejsze, posępne. Zrozumiała też, że i on widział po niej koszty wojny. Z rozdrażnieniem zmrużył oczy przed oślepiającymi błyskami fleszy. Z jakimś trudem torował sobie drogę przez halę. Echo niosło okrzyki reporterów:

- Tutaj, majorze! Tutaj!

Stevie chciała odejść. Nie tak miało być. Przestraszyła się. Odwróciła na pięcie. Przepychała przez tłum. Ponieważ rączka Hala wyslizgiwała jej się z dłoni, chwyciła go za nadgarstek. Mały się rozplakał. Reporter o przykrym oddechu położył jej rękę na plecach i popychał z powrotem w stronę barierki. Starła się od niego uwolnić, ale nie dała rady strząsnąć z siebie ciężkiej dłoni. I wtedy się spotkali.

Spojrzał na nią, niesiony falą tłumy. W tej chwili Stevie przestała słyszeć i widzieć cokolwiek. Liczył się tylko on. Szyja za chuda do kołnierzyka.

Czuła mocne pulsowanie własnej krwi. Błysk.

- Zamierza się pan z nią ożenić?

Błysk. Chytre spojrzenie reportera, mikrofon pomiędzy nim a Harrym, rwący srebrną nić połączenia dwojga ludzi rozdzielonych przez okrutny los.

- Najwyższy czas zrobić z niej uczciwą kobietę, co, kolego?

Harry, zmieszany, pochylił głowę.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Właściwie nie wiem - odpowiedziała Stevie niewyraźnie. - Może to przez książkę...

- Ach, no tak.

- Wiesz o niej?

- Wiem.

- Strasznie mi przykro. Nie miałam pojęcia, że ktoś ją przeczyta.

Harry uśmiechnął się, uniósł brwi i obrzucił ją znajomym spojrzeniem, na wpół gniewnym, na wpół kpiącym. Nie mógł jednak zatrzymać się na dłużej: jeden z oficerów kierował go w dalszą drogę. Oddaliwszy się nieco, podniósł głos, by usłyszeli wszyscy reporterzy:

- Zawdzięczam jej życie. Tyle mogę powiedzieć.

Drugi żołnierz zablokował dziennikarzom drogę.

- Wystarczy tego dobrego. Proszę państwa, proszę się odsunąć. Major Field jest tutaj jako osoba oficjalna, a nie zwykły obywatel. Jeszcze nie został zwolniony.

Cyrk zniknął równie szybko, jak powstał. Rozwiął się po hali, jakby był tylko snem.

Stevie stała, patrząc za Harrym. Dłuższą chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, że nie jest przyszpilona do konkretnego miejsca, że to tylko Hal, obejmujący ją za nogi, krępuje jej ruch.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Mdły, kredowy smak w ustach - niezależnie od tego, ile razy szorowała zęby - nie ustępował. Najwyraźniej myliła się, sądząc, że najgorsze ma już za sobą. Wydawało się jej, że czekanie, czepianie się resztek nadziei, negowanie doniesień o jego śmierci było najgorsze.

Ale to nieprawda. Tamtego wieczora Declan znalazł ją skuloną w rogu salonu. Jakoś udało jej się przeciąć halę przylotów, wsiąść do taksówki, potem wejść do domu, nakarmić Hala i ułożyć go do snu. Ale potem uszło z niej całe powietrze. Po raz pierwszy od tamtego straszego dnia w Hongkongu została z całkiem pustymi rękami bez pomysłów na znalezienie sobie miejsca w nowej rzeczywistości. Twarz Harry'ego, tak mocno kochana, taka znudzona, tak dobrze znajoma, a jednocześnie pełna bólu, trwała jej przed oczami - obojętne czy otwartymi, czy zamkniętymi. Było w jego rysach także rozczarowanie i poczucie winy. Rezygnacja i poddanie. Ale przede wszystkim tak obcy mu brak pewności.

Tego się bała. Dopiero teraz dostrzegła, że od chwili odebrania telegramu żyła jak w transie. Jak szalona. Wiadomość o tym, że Harry przeżył, dość szybko przedostała się do mediów, a zapotrzebowanie na tę szczególną historię, bogatą w pełne nieodpartego uroku elementy skandalu, niełatwo było zaspokoić. Dwa dni później akurat wróciła do domu, gdy zadzwonił telefon.

- Tak?
- Panna Stevie Steiber?
- Słucham.
- Jak zamierza pani uczcić odzyskanie wolności przez majora Fielda?
- Przepraszam, kto mówi?
- Czy sądzi pani, że zostanie z panią, czy raczej wróci do żony?

Wystarczyło jej opanowania na tyle, by rzucić w słuchawkę oschłe:

- Bez komentarza.

Po czym odłożyła ją na aparat na tyle gwałtownie, że Hal, urządzający na dywanie wyścigi samochodowe, zdziwiony zainteresował się, co też mama robi.

Całe życie skoncentrowało się na szukaniu informacji o Harrym. Niestety, nie dało się z nim skontaktować. Został włączony w długotrwałą procedurę składania zeznań. Potem przyszedł drugi telegram. W krótkich słowach zawiadamiał, że Harry leci do Los Angeles pomóc amerykańskim wojskowym zweryfikować ich informacje na temat wojny na Pacyfiku.

W dalszej kolejności miał przylecieć do Nowego Jorku.

W tamtym czasie Stevie borykała się z miłością i nienawiścią do telefonu. Aparat stał się dla niej instrumentem wyrafinowanych tortur. Zawsze podnosiła słuchawkę na wypadek, gdyby dzwonił Harry, lecz nie mówiła nic, dopóki rozmówca się nie przedstawił. Przeważnie miała do czynienia z różnorako zakamuflowanymi przedstawicielami prasy. Czasem otrzymywała wiadomość od pani Kung lub któregoś z jej ludzi. Niekiedy odzywała się rodzina. Ale za każdym razem, gdy odbierała telefon, czuła przyływ adrenaliny. Gdy w słuchawce odzywał się zatroskany głos matki, wzdychała rozczarowana, zapewniała śpiesznie, że wszystko jest w najlepszym porządku, i pytała, czy mogłyby raczej porozmawiać następnego dnia. Mniej więcej po miesiącu czekania w takim stanie Stevie, holując za sobą Hala, wracała do mieszkania z urzędu pocztowego. Akurat wysłała następną paczkę do Lily, kolejną z wielu. Nie miała kompletnie żadnego pojęcia, czy którakolwiek dotarła do przyjaciółki, lecz ten brak informacji nie wydawał się jej wystarczającym powodem, by tego zaprzestać. Do paczek rzeczywiście dołączała listy, w których opowiadała o psotach Hala czy jego śmiesznych przejęzyczeniach. Utrzymywała korespondencję w lekkim, pogodnym tonie, pytała też o wieści. Któregoś razu wysłała pudełko herbatników w kształcie zwierzątek, przy innej okazji - kaszmirowy sweter. W tej najnowszej paczce przekazała informację o tym, że Harry przeżył, oraz parę granatowych skórzanych rękawiczek podbitych króliczym futerkiem.

Gdy dochodziła do budynku, dogonił ją męski głos:

- Hej, panno Steiber!

I zaraz odezwał się ponownie, tym razem bliżej:

- Panno Steiber!

Obejrzała się przez ramię. Zobaczyła podstarzałego mężczyznę o rzadziejących rudych włosach, kuśtykającego w jej stronę z wyraźnym wysiłkiem. Przystanąła, zaczekała.

- Słucham pana - odezwała się pogodnie.

Ponieważ dzień był piękny, miała w sobie mnóstwo dobrej woli.

- Jakiś czas temu słyszałem panią przez radio i jak tylko mogłem, przyjechałem do Nowego Jorku. - Mówił z kanadyjskim akcentem. - Czekałem na panią.

- Rozumiem.

Teraz, gdy mężczyzna się zbliżył, dostrzegła, że źle oceniła jego wiek. Wcale nie był stary.

- Z kim mam przyjemność? - Wyciągnęła do niego rękę.

Zawahał się, nim ujął jej dłoń i potrząsnął nią szybko.

- Sierżant Hopkins. Byłem w Argyle.

Wpił w jej twarz dzikie spojrzenie.

- Och... Bardzo mi przykro.

- Nie przyszedłem tu, żeby rozprawiać o pani moralności czy innych takich.

- Miło mi to słyszeć.

- Ja tam pani nie winię. Wydaje się pani nawet całkiem miła. - Położył jej rękę na ramieniu, przysunął się bliżej, zniżył głos. - Bękart też niczemu nie winien. - Oczami wskazał Hala.

Stevie z ciężkim sercem, przewidując kierunek rozmowy, uwolniła ramię spod dłoni mężczyzny i przyciągnęła do siebie dziecko. Drugą ręką zaczęła szperać w torebce, szukając kluczy.

- Pani kochaś to żaden bohater. To zdrajca.

- Jak pan mnie znalazł?

- To nie było trudne.

- Proszę nas zostawić w spokoju, bo zawołam policjanta.

Wreszcie znalazła klucze.

- Przyjechałem, bo powinna pani usłyszeć prawdę - ciągnął sierżant z naciskiem.

- Nabrała się pani na jego kłamstwa jak wszyscy. Ale ja wiem swoje. Ja tam byłem. Widziałem i słyszałem. - Wyblakłe niebieskie oczy miał wielkie jak spodki. - Pewnego dnia cały świat się dowie, co zrobił brytyjski majorek zakochany w Japończykach. Widziałem na własne oczy - mówił szybciej, coraz bardziej piskliwym tonem. - Chce pani wiedzieć, dlaczego ciągle z nimi rozmawiał? Ja pani powiem: zagarniał pod siebie! Ratował własną skórę, a innych wydawał na śmierć! - Z ust pryskała mu ślina.

Hal milczał, ale Stevie czuła, że drży. Nareszcie udało jej się obrócić klucz w zamku.

Weszli, zatrzasnęła drzwi, mimo to ciągle słyszała sierżanta.

- Niech pani mu powie, że Frank Hopkins go szuka. Ja znam prawdę!

Efekt tej napaści był większy, niż Stevie miałyby ochotę przyznać nawet przed sobą.

Co prawda, gdy przy jakiejś okazji Hal wspomniał o zajściu Declanowi, a ten ją zapytał o to, zbagatelizowała incydent, ale miała świadomość, że stale ogląda się przez ramię, odruchowo wypatrując Franka Hopkinsa, a cień rzucony przez jego słowa kazał jej zacząć się domyślać, jaką cenę zapłacił Harry za ocalenie życia. Nie miała siły na takie rozważania. Odsunęła je od siebie.

Tymczasem zaczęły się pojawiać wieści na temat innych osób z Hongkongu.

Przeglądając ciągle na nowo listy więźniów uratowanych z obozów, znajdowała wiele znajomych nazwisk. Na przykład młodych ludzi, którzy chętnie grali w karty, a także, wypiwszy stanowczo za dużo, gnali po ostrych zakrętach drogi prowadzącej na szczyt Wzgórza Wiktorii. Gdy w końcu docierało do nich, że „nie” znaczy dokładnie to, co znaczy, pokazywali jej noszone w portfelach zdjęcia swoich przyjaciółek. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi pan Evans, dyrektor banku, także przeżył. Ale najtrudniej było Stevie wówczas, gdy nie mogła kogoś odszukać. Na przykład Phyllis.

Podobnie jak jej męża, doktora Clarke'a-Russella. Ci ludzie odwiedzali ją nocami. Pograżona w żałobie Phyllis znów rozpaczliwie ścisnęła jej rękę. Stevie budziła się z krzykiem, rozdygotana i mokra od potu, uwalniając się od kościstych palców.

Któregoś dnia, kilka tygodni po spotkaniu z Hopkinsem, pani Kung przekazała jej pewien list.

Szanghaj, sierpień 1945

Droga Stevie

Jako współwłaścicielka „Szczerzej Debaty” masz prawo do połowy pozostałego po wydawnictwie majątku. Niestety, nie jest tego dużo. Prasa drukarska została zniszczona w 1943, a dzierżawa biura wkrótce potem wygenerowała straty. Meble zostały odzyskane i oddane na potrzeby pobliskiej szkoły, podobnie książki, które nie spłonęły w czasie bombardowania. Moja rodzina mieszka w górach. Można się ze mną skontaktować z wykorzystaniem zwykłych kanałów, prowadzę różne interesy. Czuję się dobrze. Z tego, co mi wiadomo, Ty także pozostajesz w dobrym zdrowiu. Bardzo mnie to cieszy.

Wu Jishang

PS Przypuszczam, że chętnie obejrzysz zdjęcie Li z towarzyszącymi.

Wytrząsnęła z koperty wycinek z gazety. Znajdowała się na nim czarno-biała fotografia przedstawiająca jakieś komunistyczne spotkanie. Stojący na podwyższeniu młody człowiek przemawiał z ogniem w oczach. Za nim

widać było młodą kobietę. I to w zasadzie tyle. Stevie przyjrzała się zdjęciu uważniej, lecz nadal nie dostrzegła Chena.

I nagle aż się zatchnęła. Ta młoda kobieta to była Lily. Włosy miała schowane pod czapką, lecz tak, znajome drobne rysy twarzy, dołeczki w policzkach - bez wątplenia ona! I coś jeszcze. Ręce trzymała złożone na kolanach, a na dłoniach miała skórzane rękawiczki.

Przy nadgarstkach wystawało ledwo widoczne podbicie z królika. Stevie siedziała w ciasnym mieszkaniu pani Kung, wpatrywała się w zdjęcie i płakała rzewnymi łzami. Na kilka chwil przeniosła się we wspomnieniach do pięknej sypialni w górskim domu, gdzie w ciemną noc leżała na jedwabnych prześcieradłach otoczona różnymi pięknymi bibelotami, tworzącymi znakomitą kolekcję Jishanga, do której i ona została włączona.

W końcu pewnego zwykłego dnia w czasie lunchu zadzwonił Declan. Stevie odebrała telefon jak zwykle, czekając na głos z drugiej strony.

- Stevie, nie wiem, czy już słyszałaś...

- O czym?

- Harry wrócił do Nowego Jorku. Zdaje się, że jest tu mniej więcej od tygodnia.

Pozwoliła sobie na wymowną ciszę.

- Zgaduję, że się z tobą nie skontaktował - podjął Declan z niezwykłym u niego brakiem zdecydowania. - Wpadłem na gościa, który pisze o rządowych planach procesów związanych ze zbrodniami wojennymi. Harry pracuje z zespołem prokuratorskim przy sprawach dotyczących japońskich oficerów.

- Dziękuję za wiadomość.

- U ciebie w porządku?

- Tak - odpowiedziała głosem bez wyrazu.

- Wiedziałaś cokolwiek?

- Nie.

Wcisnęła się w kąt najdalej, jak mogła. Od telefonu w sprawie Harry'ego zamknęła się w sobie. Oddech miała tak płytki i cichy, że nieomal niedostrzegalny.

Harry był w Nowym Jorku. Blisko. Ale nic jej nie powiedział. Od tygodnia! Dlaczego się z nią nie skontaktował? Przecież wiedział, że na niego czeka. Dlaczego nie chciał się z nią zobaczyć? Co tu się działo, do ciężkiej cholery? Czy rzeczywiście pracował dla prokuratury, czy może rację miał Frank Hopkins i Harry był przez prokuraturę oskarżany?

Declan zawołał ją przez otwór na listy. Drgnęła, lecz nie otworzyła oczu.

Skoro nie odpowiadała, pchnął drzwi i wszedł. Nie zaglądał tu od jakiegoś czasu, więc rozejrzał się po wnętrzu odrobinę niespokojnie. Szybko jednak doszedł do wniosku, że nie dzieje się nic strasznego, a bałagan nie jest większy niż zazwyczaj.

- Stevie?

Światło docierało jedynie z ulicznych lamp, mimo to szybko znalazł Stevie skuloną przy grzejniku. Odetchnął z ulgą.

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś zamykała drzwi na klucz? Nigdy nie wiadomo, jaki potwór może ci się tu wpakować. Patrz, choćby ja. - Lekki ton nie zamaskował troski.

- No, chodź, chlapiemy sobie po jednym. Za stare dobre czasy.

Ponieważ ciągle nie było odpowiedzi, podszedł bliżej, kucnął.

- Wzięłaś coś? Zrobiłaś coś głupiego?

Delikatnie położył wielką dłoń na jej kolanie. Drgnęła, ale głowę miała odwróconą, a oczy zamknięte. Usatysfakcjonowany tym, że Stevie żyje, postanowił jej nie ruszać. Podniósł się, cofnął o dwa kroki, po czym zasiadł w fotelu.

- Wiesz, kogo mi przypominasz? Starą panią Li. Pamiętasz? Opowiadałaś mi o niej.

Tę kobietę z Hongkongu, co tylko leżała twarzą do ściany. - Odczekał chwilę. - Wiem, że jestem ostatnią osobą na ziemi, którą chciałabyś teraz widzieć, ale spójrz na siebie, dziewczyno! Ktoś przecież musi ci przemówić do rozumu. No dobrze, zgoda, spotkanie na lotnisku nie było jak z bajki. Wygląda też na to, że Harry cię unika. Mimo wszystko nie ma powodu, żebyś zachowywała się jak mała dziewczynka, której nikt nie zaprosił na szkolny bal. Co to właściwie ma znaczyć? Gdzieś ty się podziała, Stevie?

Przecież teraz się nie poddasz!

Usłyszał zduszony szloch, rozpaczliwy, beznadziejny. W bohaterskim akcie bezinteresownej pomocy odepchnął własne marzenia.

- Kochanie - odezwał się cicho. - Idź, poszukaj go.

Nigdy wcześniej nie zwrócił się do niej tym słowem.

Otworzyła oczy.

Następny ranek wstał chłodny i czysty. Przez otwarte okno wpadała bryza, która niosła orzeźwienie nawet w najbardziej zapomniane kąty mieszkania. Stevie całe przedpołudnie od chwili, gdy oddała Hala do przedszkola, spędziła przy telefonie. Mocno ścisnęła słuchawkę w dłoni, bo to było jej koło ratunkowe.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Twierdzi pan, że nie mogę z nim rozmawiać. A może to on ze mną nie może mówić? - Miała ściśnięte gardło. - Proszę wybaczyć, ale to niedorzeczne.

Cisnęła słuchawkę na widełki. Nagle podjęła decyzję. Chwyciła płaszcz wiszący na oparciu krzesła i otworzyła drzwi tak energicznie, że mało nie wyrwała ich z zawiasów.

Dopiero przed wejściem do okazałego drapacza chmur przystanęła, by zebrać się w sobie.

Stała na gładkim, śliskim od deszczu chodniku i słuchała własnego pulsu jak pykania stygnącego silnika. Spojrzała na zegarek. Południe. Może zaczekać w jakiejś kawiarence, aż będą wychodzić, i wtedy złapać Harry'ego? Rozejrzała się za odpowiednim miejscem, lokalem z oknami od ulicy. Owszem, był taki niedaleko, po drugiej stronie ulicy, w dodatku miał zaparowane szyby.

Wypadła z mieszkania, nawet nie zerknąwszy w lustro, gnana rozgoryczeniem i napływem adrenaliny. Teraz natomiast straciła odwagę. Przejrzała się w bocznym lusterku zaparkowanego samochodu: zaczerwienione policzki, oczy o spłoszonym spojrzeniu, włosy w nieładzie... Koszmar. Wyprostowała się, odsunęła od siebie próżność. Jeśli będzie chciał z nią porozmawiać, zrobi to bez względu na jej fryzurę.

Ruszyła prosto na portiera odzianego w stylu militarnym. Ze wzrokiem

wbitym w przestrzeń za jego plecami mignęła legitymacją prasową. Ponieważ nie wiedziała, dokąd iść, zwyczajnie poszła tak, jak prowadził korytarz, a instynkt zaprowadził ją pod drzwi głównej sali konferencyjnej. Cicho uchyliła skrzydło z jasnego drewna i z wprawą wślizgnęła się do środka. Zobaczyła lekko zakrzywione rzędy foteli ustawione na stopniach jak w kinie. Zajęta była może połowa miejsc. Przeważali mężczyźni, ale dostrzegła też kilka kobiet. Wszyscy słuchali mężczyzny w doskonale skrojonym garniturze, który stał przy mównicy na podwyższeniu.

- Pozostaje mi podziękować państwu za cenny wkład w lepsze zrozumienie procesu tego przerażającego konfliktu.

Za jego plecami siedzieli rzędem różni wojskowi. Drugi od prawej był Harry. Mówca kontynuował na tle szmeru zbieranych papierów i dyskretnego poruszenia wśród słuchaczy, zwiastującego zakończenie spotkania. Odwrócił się do siedzących za nim i objął ich gestem równocześnie miękkim i oficjalnym.

- Doświadczylście cierpień trudnych do opisania. Naszym obowiązkiem i zamiarem jest dopilnowanie, by świat już nigdy nie przechodził przez równie tragiczne zdarzenia.

Dziękuję.

Wtedy przedstawiciele różnych nacji zdjęli słuchawki, dzięki którym słyszeli tłumaczenie. Rozległy się uprzejme oklaski.

Stevie przemknęła pod prąd ludzkiego strumienia w stronę mównicy. Nagle zrobiło jej się nieznośnie gorąco. Gdyby tylko mogła, pewnie by zawróciła. Teraz jednak było to już niemożliwe. Coś ją do niego ciągnęło jak na sznurku.

Harry, schodząc z podwyższenia, rozmawiał z jednym ze swoich kolegów i dopiero gdy w pół zdania rozejrzał się dookoła, wtedy ją zobaczył.

Usiedli w kawiarence pod oknem, przy stoliku ze sztucznego tworzywa. We wnętrzu było mnóstwo pary, panował gwar i ruch, lecz oni tkwili we własnym świecie pogrążeni w milczeniu. Niewielka przestrzeń, jaka ich dzieliła - stolik z plastikowym pomarańczowym storczykiem w wazoniku, solniczka, pieprzniczka i cukiernica - mogłaby równie dobrze równać się

odległości Słońca od Księżyca. W dwóch kubkach stygła kawa.

Harry prawie nie patrzył na Stevie. Ani na ulicy, ani teraz. Nawet nie podali sobie rąk. Mimo to cały czas czuła jego obecność. Gdy stał przy barze, by złożyć zamówienie, nie mogła oderwać od niego wzroku. Kim był ten kościsty, spalony słońcem mężczyzna w mundurze? Czy gdyby go nie poznała wcześniej, zwróciłaby na niego uwagę na ulicy? Albo gdyby się przypadkiem znaleźli w tej samej kawiarni? Czy zawiesiłaby na nim oko? Tak.

Nawet teraz, gdy wyglądał przez okno, nie widząc nic, nadal go pragnęła, usiłując okiełznać nieznośną nadzieję.

- Wybacz mi najście - odezwała się cicho, a on odwrócił się do niej, by lepiej słyszeć.

- Myślałeś, że uda ci się ze mną nie spotkać?

Pokręcił głową.

- Jak mogłaś - odezwał się, nie kryjąc pretensji - pisać o nas takie rzeczy?

Stevie była zaskoczona. Spodziewała się, że będzie ewentualnie zażenowany, owszem, albo może w ogóle zmienił zdanie na jej temat, ale unikać i jej, i Hala z powodu głupiej książki? Nie do pomyslenia.

- Pisałam o tym, jak wyglądał świat przed wojną, o polityce... O nas ledwo wspomniałam. My tam wcale nie byliśmy ważni.

- Kompletnie obcy ludzie stawiają mi pytania, których nie ma śmiałości zadawać nawet rodzina.

- Przepraszam.

Stevie straciła rozpęd, była zmęczona. Chętnie by się zdrzemnęła z głową na stoliku, na błękitnym blacie upstrzonym brązowymi plamkami.

- Uprzedzałam cię, trzymaj się z daleka od literatów.

Harry poprawił się na krześle.

- Tak zrobię.

Oprzytomniała.

- Co mówisz?

Strach chwycił ją za gardło. Harry wyprostował się jeszcze bardziej. Zauważyła, że podtrzymuje lewą rękę. Pochylił się nad stolikiem.

- Chcę, żebyś miała jasność: nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Jestem wdzięczny, że starałaś się ratować mi życie. I nigdy z nikim nie byłem tak szczęśliwy jak z tobą. Ale to było dawno.

Stevie zrobiła się ciężka jak ołów i niewyobrażalnie powolna.

- Odrącasz mnie?

Ich dłonie dzieliły zaledwie centymetry.

- Ułożyłaś sobie życie. Musiałaś, to zrozumiało. Ani tobie, ani Halowi nie dzieje się krzywda. Nie chcę cię do siebie przywiązywać. Nie chcę i nie mogę - mówił jeszcze ciszej.

- Jestem zmęczony, nie ma ze mnie żadnego pożytku i okazałem się innym człowiekiem, niż sądzisz. - Wbił wzrok w blat stolika. - Jestem skończony.

- No to co?

- Nie rozumiesz...

Musnęła jego dłoń. Skóra wydawała się szorstka i gruba, lecz kości delikatne.

- Nie dbam o to, co było. Obojętne mi to. Ważne, że jesteś, że żyjesz...

- To bez sensu. - Podniósł na nią wzrok. - Stevie, jesteś wolna. I tak powinno być.

- Nie, wcale nie tak. - Z trudem hamowała histerię. Miała nieodparte wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Nagle zbił ją z pantałyku.

- Chodzi o to, że cię kocham.

- Wobec tego...?

- Nie rozumiesz? - Dotknął jej palców, a ją jakby prąd przeszedł. - Właśnie dlatego cię zostawiam.

Gniew pojawił się znienacka, sama się zdziwiła.

- Aha, rozumiem. - Gwałtownie odsunęła krzesło. - Tak, teraz już widzę wszystko całkiem wyraźnie. Masz neon nad głową, a na nim dużymi literami wypisane: tchórz. Tchórz!

Wstała, zrobiła kilka kroków, ale nie potrafiła tego tak zostawić. Mimo furii rzeczywiście widziała wyraźnie. Dzięki temu zyskała coś na kształt pewności

i spokoju.

Dlatego wróciła do stolika, spojrzała z góry na Harry'ego i po raz pierwszy zobaczyła go naprawdę. Zarówno siłę, jak i słabość tego człowieka. Zyskała pewność, że to, co do niego czuje, to miłość. Chociaż w nowej formie. Taką, jaką darzyła Harry'ego, gdy jeszcze był jej obcy. Miała dla niego cały ocean miłości, lecz nie rozpaczliwej, wymagającej i niezbędnej w tłumie ze względu na swoją stałość, lecz silnej, rozrosłej i niewzruszonej.

- Coś ci powiem - stwierdziła. - Tak to właśnie jest. To jest życie. Ono się toczy tu i teraz. W tej chwili. W tym momencie. - Objęła gestem wnętrze kawiarni. - Mamy to, co teraz i tutaj, ciężki durniu, więc lepiej weź się w garść i łap szansę, póki możesz.

Widziała w jego oczach swoje odbicie - bliźniaczy cień. I miała pewność, że może odejść, ponieważ wiedziała, że właśnie tak wygląda prawda: gdziekolwiek była ona, tam był również on. Niezależnie od tego, czy czuł się gotowy iść z nią przez nowy świat.

Była już prawie przy wyjściu, gdy go usłyszała. Zawołał ją po imieniu i wstał od stolika. Zaczekała. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Minęła ją jakaś młoda kobieta, zostawiając za sobą zapach perfum. Stevie odsunęła się na bok, w spokojniejsze miejsce.

Harry już był blisko. Oparł dłonie na ścianie, przy jej ramionach, i zajrzał jej w oczy.

- Boję się - powiedział.

- Ja też.

Znowu drzwi - otwarte, zamknięte. Kuchnia dostała zamówienie z baru. Przy najbliższym stoliku matka patrzyła, jak jej nastoletnia córka zapala papierosa, i postanowiła tego nie komentować. Na ulicy znów obudził się wiatr. Wczorajsze gazety potykały się o lampy uliczne. Z taksówki wysiadło trzech rozweselonych sprzedawców.

Harry usłyszał głos Stevie, jakby słuchał własnego:

- Co robisz później?

Umówili się w parku. Stevie przyprowadziła Hala na plac zabaw. Gdy przyszedł Harry, bujała synka na huśtawce. Szare zimowe niebo uniosło się

trochę i przez chmury przedarły się ostre promienie słońca.

Hal natychmiast nabrał podejrzeń wobec obcego mężczyzny. Mocno trzymał matkę za rękę. Rozpłakał się, gdy Harry chciał go zdjąć z huśtawki. Z całej siły przywarł do żelaznych prętów, póki nie wkroczyła Stevie.

W drodze do parku wyjaśniła synkowi, że spotkają się z jego tatą. Widziała wyraźnie zmieszanie na twarzy chłopca. Tatuś od dawna był gdzieś daleko, więc skąd miałby się wziąć tutaj? Groźnym spojrzeniem obwieszczał wyraźnie, że wcale nie jest pewien, czy chce poznać tego pana, a gdy zobaczył mamę, jak się rozpromieniła na widok jakiegoś obcego mężczyzny, i usłyszał jej szczególnie ciepły śmiech, zyskał całkowitą pewność, że sobie tego nie życzy.

Później, gdy Harry kupił mu lody, a Stevie na dodatek pozwoliła je zjeść, chociaż bezdyskusyjnie było to podjadanie między posiłkami, pojawiła się nadzieja, że chłopiec jednak da się przekonać i może nie będzie źle. Szli powoli, rozmawiali przyciszonymi głosami, a Hal biegł przed nimi, strasząc gołębie.

- Wybacz, że ci nie powiedziałem, że tu jestem. Kiedy skończyły się przesłuchania w Kalifornii, zostałem poproszony o pomoc przy oskarżeniach o zbrodnie wojenne. Zgodziłem się z radością. Było mi wszystko jedno, dokąd mnie wyślą. - Umilkł. - Szczerze mówiąc - podjął jeszcze ciszej - nie tylko się ucieszyłem, ale też byłem im wdzięczny.

Patrzyli na Hala biegnącego w kółko. Gołębie stale trzymały się tuż poza jego zasięgiem.

- Jest bardzo podobny do ciebie.
- Przykro mi, że potraktował cię z taką rezerwą.
- Trudno się dziwić. W końcu jestem mu całkiem obcy.
- Dobrze, że był wtedy całkiem maleńki. Sprzed Nowego Jorku nie pamięta właściwie niczego.

- Kto by pomyślał: mój syn, nowojorczyk.
- Mogło być gorzej. Mógłby być Anglikiem.

Harry zerknął na Stevie i uśmiechnął się krzywo. Po raz pierwszy tego dnia.

- Boże broń.

Stevie pochwyciła jego spojrzenie.

- Dla mnie nie jesteś obcy, nawet jeśli tego chcesz.

Harry zatrzymał się. Liście na drzewach szeleściły, trącane wiatrem. Z trudem dobierał słowa.

- Kłopot polega na tym, że jestem obcy samemu sobie.

- Dlatego mnie potrzebujesz. Ja ci przypomnę, kim jesteś.

Próbował jej przerwać, ale uciszyła go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Wiedziała, że nie umarłeś. Wiedziała nawet wtedy, gdy wszyscy inni porzucili nadzieję. I nie dlatego, żebym nie chciała w to wierzyć. Gdy usłyszałam o śmierci Chena, nie miałam żadnych wątpliwości. Widzisz... naprawdę nie dbam o to, jak ciężko nam będzie.

Najgorsze mamy za sobą.

Ledwo skończyła mówić, Harry wysunął ramię spod jej dłoni. Wydawał się dziwnie skurczony. Odwrócił wzrok, zrobił kilka kroków. Można było odnieść wrażenie, że nie do końca wie, co się dzieje, jakby nie był całkiem przytomny. Stevie wstrzymała oddech. Nie chciała pogarszać jego stanu, choć go nie rozumiała.

- Nie miałem wyboru - odezwał się wreszcie głosem pustym, bezdźwięcznym, bez wyrazu. - Musiałem to zrobić. Inaczej zabiliby wszystkich. Musiałem im coś dać, coś powiedzieć, jakoś ich powstrzymać.

Stevie nagle przypomniała sobie Franka Hopkinsa rzucającego pełne jadu oskarżenia.

Gdy przyjrzała się Harry'emu, jego twarzy poranej zmarszczkami, uświadomiła sobie, że są sprawy, o których nie musi wiedzieć.

- Przestań. - Objęła go za szyję. Chciała go podeprzeć, wspomóc, dać mu siłę.

- Czy był tam ktoś jeszcze? - spytał schrypniętym głosem.

- Gdzie?

- W tej chacie, w której znaleźli Chena.

- Nic mi nie wiadomo o żadnej chacie, kochanie. Chen zginął gdzieś na południowym zachodzie w czasie potyczki zbrojnej.

- W walce? - Harry ściągnął brwi. - Jesteś pewna?

- Jak najbardziej. Możemy łatwo zdobyć bardziej szczegółowe informacje, jeśli tylko chcesz. Ludzie pani Kung dużo wiedzą.

Harry zdawał się jej nie słuchać. Pokręcił głową.

- Jeżeli nie ufasz wersji chińskiej - powiedziała - to może wojsko się czegoś dowie?

Nadal kręcąc głową, odezwał się bardzo cicho. Stevie musiała się do niego przysunąć, by wyłapać poszczególne słowa.

- Zrobiłem rzecz straszną.

Zniknęły gdzieś nagie drzewa Nowego Jorku, znalazła się ponownie w Hongkongu, w budynku Sądu Najwyższego, w tamtym pokoju. Poczowała ciężką dłoń Shigeo na swojej głowie, palce wczepione we włosy. Ostry podmuch wiatru pchnął ją na Harry'ego. Patrzyła mu prosto w oczy. Niewiele brakowało, a dotknęliby się rzesami.

- Nie dbam o to, co się tam stało - oznajmiła stanowczo. - Wszystko mi jedno, co z tego wynikło. To się nie liczy. - Nigdy wcześniej nie zaznała takiej bliskości z Harrym.

- Kocham cię i tylko to ma znaczenie.

Harry ogrzewał się w ciepłe jej oddechu. Pozwolił sobie na odrobinę otuchy. Stevie poczuła pociągnięcie za płaszcz. To Hal przyszedł pochwalić się wystrzępionym szarym piórkiem. Ledwo dyszał, ale patrzył triumfalnie. Pochyliła się nad synkiem.

- O, piękne! Dla mnie?

Chłopiec pokręcił główką.

- Dla tego pana.

Teraz i Harry się nachylił. Przyjął podarunek z wielką atencją.

- Dziękuję.

Wsunął piórko w butonierkę. Hal był zachwycony.

- To medal!

Major Field zaszalutował, a maluch zaśmiał się głośno. Stevie wzięła synka za rękę i wszyscy troje - badając teren, czujnie wypatrując niespodziewanego i układając życie - ruszyli wolnym krokiem pod koronkowym cieniem drzew w nowy świat.

ZNACZNIE PÓŹNIEJ

Noc opadła aksamitną kurtyną. Głos mężczyzny brzmiał miękko, dotyk był delikatny.

- Tak?
- Tak.
- A tu?
- Dobrze.
- Tutaj nie?
- Nie.
- Dobrze, nic nie szkodzi.

Zapadła między nimi cisza. Taka wspólna cisza miała w sobie tyle samo intymności co namiętność.

- Mogę na ciebie popatrzeć? - spytał.
- Tak.
- Dziękuję. - Chwila ciszy. - Jesteś piękna.
- Przepraszam, ale...
- Nic nie szkodzi. Wystarczy mi. Naprawdę tyle mi wystarczy.
- Wybacz...
- Mamy czas.
- Po prostu nie mogę.
- Nic nie szkodzi. Naprawdę, wcale nie szkodzi.
- Nie powiedziałam ci...
- Nie musisz nic mówić.
- Muszę.
- Nie. To nie ma znaczenia. To znaczy, nie zmieni to nic między nami.

On też miał blizny. Niektóre widoczne. Przesuwała po nich opuszkami palca.

- Moim zdaniem szansa jest jak trzy do czterech.
- Ja bym się nie zakładała. Bo jeśli mi się nie uda? Wcale?
- Wszystko jedno. Mogę czekać.
- Bez końca? Jakoś nie podejrzewam.
- Zobaczymy. Nigdzie nam się nie śpieszy.

Ujął w rękę jej dłoń.

- Tak dobrze?
- Tak.
- Czujesz? To ja.

Na fotografii ślubnej stoją na stopniach ratusza skąpani w wiosennym słońcu. Hal ukrywa się za nogami Stevie. Declan stoi schodek wyżej, twarz ma na wpół przesłoniętą przez kapelusz Harry'ego. Nieskazitelnie ubrana pani Kung ustawiła się obok panny młodej.

Wszyscy się uśmiechają.

PODZIĘKOWANIA

Przeżywałam tę przygodę z wieloma osobami i wielu jestem winna serdeczne podziękowania. Są między nimi przede wszystkim zdumiewająca Amanda Boxer oraz Carola Vecchio, które powierzyły mi swoje rodzinne opowieści i pozwoliły traktować je całkiem swobodnie. Gdyby nie Caroline Wood, jej wsparcie, zachęta i wizja, moja książka by nie powstała. Dziękuję też wszystkim z Felicity Bryan Associates. Miałam szczęście natrafić na swojej drodze na Helen Garnons-Williams, niespotykanej cierpliwości wydawcę z klarownym wyobrażeniem celu, korzystającego z mądrej i sprawnej pomocy Eriki Jarnes oraz innych pracowników Bloomsbury. Za niewyczerpaną energię dziękuję Rachel Holroyd i Sophie Dolan z agencji Casarotto Ramsay, które broniły mnie przed licznymi wątpliwościami. Moja pierwsza czytelniczka Linda Fraser dała mi odwagę do dalszego pisania. Sandra Yarwood, Elizabeth Dench i Jenny Borgars uwierzyły w powstanie tej historii na długo przed tym, nim ją złożyłam w całość. Jeszcze Sue Brill, Marius Brill, Agatha Sadler, Sian, Kit, Caitlin, Molly oraz Helena Line, Claire Jephcott, Claire Scudder, Oliver Rose i Jane Haynes - dziękuję wam za niezachwiane i wielkoduszne wsparcie każdego rodzaju. Natomiast Anne Stamper, archiwistka w Women's Institute, pomagała mi przy bardzo ważnych poszukiwaniach.

I na koniec Bobby Allen, Rebecca Bowen oraz Romy Brill Allen - z głębi serca dziękuję wam za pogodę ducha i cierpliwość, niekiedy wbrew wszelkiej logice. Jestem wam winna dozgonną wdzięczność.

SŁOWO OD AUTORKI

Mam ogromny dług wdzięczności wobec dzielnych mężczyzn, a jeszcze większy wobec wspaniałych kobiet, których życiowe doświadczenia legły u podstaw tej książki. Mam na myśli w szczególności Emily Hahn, której relacje stanowią, tak jak miała nadzieję, spektakularny dokument społeczny. Obok niej ogromną rolę odegrał jej mąż, świetny żołnierz i akademik Charles Boxer. Muszę też koniecznie wspomnieć o żądnych przygód reporterach, takich jak Tilman i Peggy Durdin z „New York Timesa”, Corin Bernfelt, która pisała w brytyjskiej edycji „Vogue’a” do kącika porad na temat robótek ręcznych, po czym ze złamanym sercem wyjechała do Chin, Teddy White, korespondent „Time’a”, Betty Graham, dziennikarka niezależna w Chongqing, Dorothy Jenner, reporterka australijska, oraz amerykańska pisarka Gwen Dew.

Bohaterowie powieści to wytwory mojej wyobraźni, poza siostrami Song, które, jak to często bywa, przeżyły więcej nieprawdopodobnych zdarzeń, niżby się dało zawrzeć w jakiegokolwiek powieści. Informacje na temat ich losów można znaleźć w książce Emily Hahn *The Song Sisters* oraz w dziele autorstwa Jung Chang i Jona Hallidaya zatytułowanym *Madame Sun Yat-sen*. Pozwoliłam sobie na niemałą swobodę przy konstruowaniu mojej wersji postaci samej pani Kung oraz jej otoczenia. W tamtym okresie na Wzgórzu Wiktorii mieszkali wyłącznie biali, toteż stawiając tam chińską willę, przesunęłam nieco granice rzeczywistości, chociaż sir Robert Ho-tung dostał zezwolenie na budowę, więc jak widać, zdarzały się wyjątki. Funkcję dyrektora służby medycznej pełnił w owym czasie Selwyn Selwyn-Clarke i ani on, ani jego żona Hilda stanowczo w niczym nie przypominali wymyślonych przeze mnie państwa Clarke-Russell. Co ciekawe, Hilda Selwyn-Clarke przez długie lata pracowała jako sekretarka pani Qingling,

żony Sun Jat-sena, i nie ukrywała swoich sympatii komunistycznych.

Słowa gubernatora Hongkongu skierowane do mieszkańców wyspy przytoczyłam wiernie.

Tam gdzie uznałam za istotne, wykorzystałam zeznania i opowieści naocznych świadków konkretnych zdarzeń: moment, gdy Stevie patrzy na Japończyków z okna szpitala, pierwszą część pytań w czasie jej przesłuchania czy scenę, w której Japończyk ciągnie na sznurku Chinkę, zaczerpnęłam z doświadczeń Emily Hahn, podobnie jak strukturę całej akcji.

Nieocenione okazały się pamiętniki wojenne Jamesa O'Toole'a - pomogły mi zrozumieć życie codzienne jeńców wojennych w Hongkongu. W dużym stopniu wykorzystałam opowieści Gwen Dew o traktowaniu jej przez Japończyków, a opis śmierci dziewczynki, o której Chen mówi Stevie, zaczerpnęłam z relacji naocznego świadka upadku miasta Nankin.

Wyjaśnienia Paula Tsui stanowiły istotne źródło w odniesieniu do heroicznych działań British Army Aid Group (MI9, Brytyjskiego Zarządu Wywiadu Wojskowego), a także opisu drogi ucieczki Declana z Hongkongu.

Zrobiłam, co w mojej mocy, by fikcyjnym bohaterom stworzyć tło oparte na rzeczywistych wydarzeniach, ale jeśli zaistniały jakieś nieścisłości czy pomyłki, to wyłącznie ja ponoszę za nie odpowiedzialność.